

A woman with long, dark hair is lying on her back on a bed, looking up towards the ceiling. She is wearing a dark, textured sweater. An open book is lying on the bed next to her. The background is softly blurred, showing a lamp and other items on a bedside table.

Cuda się zdarzają. Głównie wtedy,  
gdy ich nie oczekujemy.

Wioletta Sawicka

---

# DZIEŃ CUDU

Prószyński i S-ka

Wioletta Sawicka

# DZIEŃ CUDU

Prószyński i S-ka

# Hanka

Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak się bałam, jak teraz, gdy siedziałam na wprost mężczyzny, który przeglądał moje wyniki badań. Prawie nie mrugałam, by nie uronić nawet najmniejszego grymasu z jego kamiennej, nalanej twarzy. Minimalnego zmarszczenia brwi, czoła, wygięcia w dół czy w górę ust, czegokolwiek, co by mnie przybliżyło do tego, co za chwilę usłyszę.

Dobijała mnie każda sekunda niepewności. Czy on wie, że dłużej nie wytrzymam?! Robi to specjalnie, aby pokazać swoją władzę nade mną?! Dlaczego traktuje mnie jak robaka, obojętny sobie byt?!

Chciałam zerwać się i uciec, nie mogłam znieść tego napięcia. Jak zwykle chciałam uciec. Odkąd pamiętam, ciągle uciekałam, ale teraz przyrosłam do krzesła. Nagle przestałam mieć mięśnie. Zwiotczały, jakby ktoś zaaplikował mi końską dawkę pavulonu. Moje pachy zwilgotniały od potu, w głowie przelewało się jezioro, palce rąk zaczęły drętwieć i zbierało mi się na wymioty. On tego nie widział albo wolał nie widzieć. Cały w bieli, od włosów po buty, prócz czerwonej plamy twarzy, wyglądał jak anioł śmierci. To było jedyne skojarzenie, jakie miałam, patrząc na niego.

– Nie mam dobrych wieści – odezwał się w końcu do kartek, które trzymał w rękach, nie do mnie. Na mnie nawet nie spojrzął. Właściwie nie musiał już kończyć. To jedno zdanie sprawiło, że na chwilę serce przestało mi bić. – Obraz z tomografii nie pozostawia wątpliwości, to glejak pnia mózgu – zakomunikował.

Głos miał obojętny, bezpłciowy, ledwo poruszał mięsistymi wargami. Oczy za szklami okularów, spod których wystawały krzaczaste brwi, też miał obojętne, znudzone, czułam jednak, jak każdym precyzyjnie odmierzone słowem wbijał gwóźdź do mojej trumny.

Dzieliła nas tylko szerokość biurka w zimnym od bieli gabinecie, a ja miałam wrażenie, że dzieli nas przepaść.

Nie to chciałam usłyszeć, przychodząc tutaj. Nie tego się spodziewałam, siedząc wiele godzin w długim, dusznym korytarzu, wciśnięta między takimi samymi jak ja, czekającymi na wyrok. Mój już zapadł. Jeszcze odroczone w czasie, ale zapadł.

Wszystko zaczęło się we mnie trząść. Trzęsa się cała moja nijakość, od patyczkowatych nóg, przez wąskie biodra, płaskie piersi, mysie włosy, aż po mój guz gdzieś głęboko w mózgu. Trzęsło się całe moje bezbarwne dwadzieścia pięć lat. Miałam wrażenie, że właśnie oglądam przyspieszony film ze swojego nijakiego życia niezrealizowanych marzeń.

Zacisnęłam w pięść zdrętwiałe palce z poszarpanymi skórkami. Krótkie, niemalowane paznokcie wbiły się w skórę. Zamknęłam oczy i przygryzłam usta, żeby zdławić krzyk, który rozrywał mnie od środka: DLACZEGO JA?!

– Wiem, co pani czuje – powiedział lekarz.

Teraz zabrzmiało to niby współczująco, ale w gruncie rzeczy miał mnie tak samo w dupie jak dziesięciu innych pacjentów przede mną i dwóch po mnie. Był stary, już dawno zaimpregnował się na takie sytuacje. Rutyniarz. Dla niego to tylko praca. Potem wróci do swojego bogatego domu i spraw tak odległych od moich, do drogich wakacji, poukładanego, szczęśliwego życia, a ja?

Jak on może wiedzieć, co ja teraz czuję?! Tego nie wie nikt, kto nie znalazł się po drugiej stronie.

Czasem widziałam, jak moja matka zabijała kury. Trzymała je mocno za skrzydła i kładła łbem na pieńku. A potem jednym zamachem odrąbywała wielką siekierą kurzą głowę od reszty. Głowy spadały od razu, ale bryzgające krwią korpusy szamotały się wściekle po podwórku. Trzepotały rozpaczliwie skrzydłami, póki nie padły. Czasem biegły przed siebie, a czasem wpadały w szaleńczy wir. W tej chwili czułam się jak taki kurzy kadłub z zakrwawioną szyją. Teraz znalazłam się w tym momencie między korpusem a głową, zanim do końca umrę. Umarłam dopiero w połowie.

Lekarz włożył do koperty klisze. Mój wyrok. Mojego glejaka. Nawet ja, prosta dziewczyna ze wsi, wiedziałam, co to jest glejak.

Rósł we mnie cicho, niepostrzeżenie, nie wiadomo od kiedy. Wymościł sobie gniazdko w takim miejscu, że już nie można go stamtąd wyrwać. Był tak przebiegły, że nie dawał żadnych oznak, podstępny konspirator. Prawie żadnych, jeśli nie liczyć tego, że czasem bolała mnie głowa. Brałam tabletki i przechodziło do następnego razu. Tabletki zapisała mi lekarka z przychodni rejonowej, stwierdziwszy migrenę.

Skoro lekarka zdiagnozowała migrenę, to i ja nie doszukiwałam się niczego więcej. W końcu jestem tylko po zawodówce. Nie przejmowałam się tymi drobnymi sygnałami, które wysyłał mój glejak, nie byłam wyczulona na jego zwiadowców. Nie miałam czasu ani nawyku, by wsłuchiwać się w siebie.

Dopiero jak zemdlałam w sklepie, poszłam jeszcze raz do przychodni. Wtedy jednak pomyślałam, że mogę być w ciąży, choć test z apteki tego nie potwierdził, co przyjąłam z ulgą. Nigdy nie chciałam mieć dzieci. Męża też nie chciałam mieć, ale tak wyszło, że mam.

Trafiłam do tej samej lekarki. Znów bąkała coś o migrenie. Zapamiętałam jej lekceważące prychnięcie, gdy poprosiłam o skierowanie na badania. Wypisała mi je na odczepnego po drugiej prośbie, bo nie widziała wskazań. Za tomografię zapłaciłam sama. I tak obciążyłam państwową kasę zbędnym wydatkiem za morfologię, czego nie omieszkała mi wytknąć pani doktor.

Ciekawe, co by powiedziała dziś, gdyby usłyszała diagnozę, która ścięła mnie z nóg.

Ile bym teraz dała, żeby to jednak była ciąża. Nawet tak powiedziałam mężowi, kiedy wybierałam się rankiem do szpitala, że idę potwierdzić ciążę, czym nieźle go wystraszyłam. Po raz pierwszy nie miał pretensji, że urywam się z pracy, choć wcześniej utyskiwał, że robię to za często. Okłamywałam go, że chodzę do dentysty. Nie chciałam mówić prawdy, dopóki sama się nie dowiem, co mi jest. Teraz już wiem.

Tkwią w niezmienionej pozie przed biurkiem w gabinecie lekarskim i słucham.

– Nie mogę ukrywać, że lokalizacja glejaka w takim miejscu jest fatalna, bo wyklucza jego ewakuację chirurgiczną. – Biała postać skrobie coś długopisem po kartce. – Bez biopsji nie możemy określić stopnia zezłośliwienia nowotworu w tym przypadku.

Suche sformułowania, medyczny bełkot nazw, z których niewiele potrafię zrozumieć, kiedy profesor Dobromir Rajski, neurochirurg z przyszpitalnej przychodni, charakteryzuje mój przypadek. Dla niego jestem po prostu przypadkiem medycznym. Jednym z ostatnich, jakie dziś przyjął.

– Dlaczego nie można go wyciąć? – Wydusiłam przez zaciśnięte gardło.

Wpatrywałam się w grube paluchy lekarza, którymi tak precyzyjnie przykładając pieczęć do kawałka papieru, jakby od tego miało zależeć moje dalsze życie.

– To mogłoby naruszyć ważne funkcje życiowe organizmu – odpowiedział rzeczowo, ale wciąż na mnie nie patrzył. – Dam pani skierowanie do szpitala. Spróbujemy zadziałać z naświetleniami i chemią. I może jeszcze rozszerzymy diagnostykę. Choć, mówiąc szczerze, nie sądzę, żeby to coś zmieniło.

– To znaczy, że mnie nie wyleczycie? Nie będę zdrowa? – pytam i jak żebrak wbijam wzrok w lekarza.

Unika mojego spojrzenia, wyraźnie to widzę. Dla niego już umarłam. I dawno przekroczyłam czas wizyty. Cała reszta to zasłona dymna, by mnie jeszcze bardziej otumanić. Profesor wkłada skierowanie

do koperty, zerkając przy tym na zegarek.

– To bardzo przykre, ale obowiązek nakazuje mi być z panią szczerym. Gdyby guz dał się leczyć chirurgicznie, gdyby się tak fatalnie nie umiejscowił, rokowania byłyby inne – podsumowuje zimno.

Czuję, jak zamraża mnie ten chłód, i zaczynam się trząść jeszcze bardziej. Nie mogę zapanować nad dygotaniem szczęki. Nawet gorące łzy na policzkach stygną, nim dopłyną do brody. Nie pamiętam, kiedy ostatnio płakałam. Nauczyłam się nie uzalać nad sobą już wtedy, gdy moje dziecięce łzy nie robiły na nikim wrażenia. Teraz też nie płaczę, one płyną same. Nie mogę ich powstrzymać.

– Spróbujcie go wyciąć! Przecież i tak umrę! – Podnoszę głos. Brzmi mocno. Tak mocno, że rozpaczliwie. Lekarz przesuwa okulary na czoło i dopiero wtedy obrzuca mnie dłuższym spojrzeniem.

– Pani Hanno... – Po raz pierwszy, odkąd tu weszłam, ucłowiecza mnie imieniem. – Już mówiłem, operacja wiąże się z licznymi komplikacjami. W pani przypadku nawet biopsja jest ogromnym ryzykiem, którego się nie podejmujemy. Żaden lekarz nie weźmie za to odpowiedzialności. – Bezradnie rozkłada ręce.

Tylko w serialach lekarze są ciepli i współczujący. Kiedyś lubiłam seriale. Jedna z nielicznych wspólnych rzeczy, które łączyły mnie z matką. Taki doktor Adam Krajewski czy Wiktoria Consalida z *Na dobre i na złe*, nie mówiąc już o doktorze Housie, umieliby zoperować nawet trudno dostępnego glejaka, a zwykły Rajski tego nie potrafi, choć to profesor i długo czekałam na wizytę u niego.

Powinłam go teraz zasypać pytaniami o jakąś szansę, jakiegokolwiek mikroskopijne, choćby nieprawdziwe możliwości, ale coś się we mnie poddaje. Dezerteruję już na samym początku.

Kulę się w sobie tak bardzo, że chyba to zauważył i usiłuje podtrzymywać mnie na duchu. Rzuca jakiś słowny ochłap, żebym myślała pozytywnie. Ręka drży, gdy łapie róg koperty i mnę go w garści. Już nie patrzę na lekarza, nie słucham, bo w mojej zawłaszczonej przez raka głowie pojawia się najważniejsze pytanie. Tylko to jedno mam siłę teraz zadać:

– Ile czasu mi zostało?

Patrzę w stronę okna za plecami lekarza. Niebo końcówki lutego jest szare, prawie ołowiane, kojarzę je z kolorem mojego raka na kliszy w kopercie. Robert już się denerwuje, że tak długo mnie nie ma, stwierdzam w duchu, choć jest to najbardziej niepotrzebna w tym momencie myśl.

– Tego nikt nie wie. – Profesor Rajski znów bezradnie rozkłada ręce i krzywi usta w czymś, co ma być uśmiechem. Niby wsparciem. Macha przy tym długopisem wetkniętym między palec wskazujący a środkowy.

– Rok?

– Pani Hanko... – wzdycha.

Długopis wyslizguje mu się z ręki. Słysząc stęknienie, gdy lekarz pochyla pękaty brzuch, aby podnieść pisak spod biurka. Wszystko we mnie szarpie się i wyje.

– Czyli mniej niż rok – odpowiadam sama sobie.

Nie trzeba mieć wyższego wykształcenia, aby odczytać ów niewypowiedziany wprost komunikat. Może jestem niewykształcona, ale nie głupia. Rozumiem go nazbyt dobrze.

– Proszę tak nie myśleć. Są pacjenci, którym udaje się przeżyć nawet i kilka lat – mówi, a ja słyszę w jego głosie wyraźne kłamstwo. Może żyją, ale ci, którym można wyciąć ten guz z głowy. Mnie to nie dotyczy. Należę do tej gorszej kategorii.

– Ma pani rodzinę? – Po raz pierwszy w głosie Dobromira Rajskiego słyszę człowieka, nie lekarza.

Mam, nie mam, co go to obchodzi, denerwuje mnie jego głupie pytanie. Rodzina nie będzie za mnie umierać. Czuję, że robi mi się niedobrze. Muszę stąd jak najszybciej uciec, zanim zrzygam się na podłogę. Profesor mówi coś jeszcze, ale nie słyszę co. W głowie mam tylko szum.

Zrywam się z krzesła i wybiegam na korytarz. Przede mną siedzi para bladych istot z teczkami

dokumentów na kolanach. Ciekawe, która z nich za chwilę dowie się tego samego, co ja? Wbijają we mnie trwożliwe spojrzenia.

Muszę wyglądać strasznie, bo mijani ludzie gapią się na mnie natarczywie. Odpycham rękę starszej kobiety i przez długi hol brnę do wyjścia. Czuję się jak na rozpędzonej karuzeli. W jej wirze tańczą napisy na plakatach pokrywających ściany: „Zrób rakowi wspan”, „Rak to nie wyrok”. Są jeszcze jakieś inne, ale widzę je jak przez mgłę.

Wyrok, dla mnie wyrok, nie mam już wątpliwości.

Umrę, umrę, umrę, powtarzam w myślach, jakbym chciała się do tego przyzwyczaić. Nie wiem, na którym jestem piętrze, gdy wnętrzności podchodzą mi do gardła.

Nie zdążyłam znaleźć toalety. Zwymiotowałam na schodach, wprost pod nogi jakiegoś mężczyzny. Odskoczył gwałtownie, gdy moje wymiociny obryzgały jego masywne buty.

– Wszystko w porządku? – Słyszę niski głos tamtego, gdy nachyla się nade mną.

Zastłonięta włosami jak firanką, nie widzę jego twarzy, ale musi być wysoki, bo mówi do czubka mojej głowy. Ale dla mnie, przy moim wzroście, każdy jest wysoki. Mężczyzna łapie mnie za zgiętą rękę, gdy czepiam się poręczy schodów.

– Przepraszam. – Wyswobadzam łokieć i pędzę przed siebie.

Zostawiam za sobą białe gmaszysko szpitala, zatopione w zgniliznie odwilży, i biegnę w popłochu jak przerażone zwierzątko. Zawsze umiałam szybko biegać. Kiedyś przeczytałam, że Murzyni biegają najszybciej na świecie. Podobno natura ich tak wyposażyła, aby mogli uciekać przed niebezpieczeństwem. Ja też zawsze uciekałam przed niebezpieczeństwem. Nie zawsze skutecznie. I choć teraz nikt mnie nie goni, biegnę coraz prędzej.

Deszcz ze śniegiem zacina mi w twarz i miesza się ze łzami. Kurczowo przyciskam do siebie przemoczoną kopertę. Powinnam ją wyrzucić jak najdalej, ale przyrosła mi do rąk. Jeszcze przyspieszam, choć zatyka mi już płuca. Potrącam ludzi, przecinam ulice, nie patrzę na samochody, tylko mknę na oślep jak ten kurzy korpus.

Razem ze mną biegnie mój rak. Jesteśmy już złączeni ze sobą aż do śmierci, stanowimy jedność jak jin i jang, awers i rewers tej samej monety. Ja nie mogę istnieć bez niego, on żywi się mną. Mój rak należy do mnie, tak jak ja do niego. Nigdy nas nie rozdziela. Jestem jego oblubienicą, zagarniętą wbrew jej woli. Będę tańczyć chocholi taniec w rytm jego muzyki.

Oszalały puls rozsadza mi czaszkę, gdy potykając się o własne nogi, mijam kolejne przecznice gdańskiej Zasy, równie brzydkiej co pogoda dzisiaj. Typowy pejzaż blokowisk z wielkiej płyty jest wyjątkowo ponury. Nawet kolorowe reklamy na rzędach jednakowo landszaftowych pawiloników handlowych wzdłuż głównej ulicy nie rozweselają tego widoku.

Żeby choć promyk słońca. Żeby choć skrawek soczystej, świeżej trawy, zielonych listków na drzewach, zamiast tej wszechogarniającej jednostajności. Wszystko jest takie bure, od ziemi z resztkami brudnego śniegu, po niebo ciężkie od chmur.

Już nie mam siły. Opadam na mokrą ławkę i kulę plecy, pochylając się nad kolanami. Z długich strąków moich włosów spływają strużki wody. Palce zamarzają na kopercie. Kiwam się w tył i przód jak dziecko w chorobie sierocej. Po chwili podnoszę głowę i patrzę tępo przed siebie na ludzi, którzy przechodzą spieszenie obok mnie osłonięci parasolami. Jakąś starą kobietę ciągnie golden na smyczy. Jakieś dziewczyny, chyba z liceum, śmieją się, pokazując coś sobie na ekranach smartfonów. Jakaś matka ciągnie za rękę marudzące dziecko. Na mnie, przemoczoną kupkę nieszczęścia, nikt nie zwraca uwagi. Oni wszyscy zostaną, jak mnie już nie będzie, i nawet nie skojarzą, że kiedyś mnie mijali. Są po innej stronie.

– Monika, daj mi coś powiedzieć... – Słyszę zdenerwowany głos tuż obok siebie.

Wysoki facet w skórzanej kurtce w miodowym odcieniu, z postawionym kołnierzem, przystaje bokiem przed moją ławką. Jedną ręką za plecami zamyka pilotem samochód, drugą przyciska do ucha telefon. Bardziej słucha, niż mówi. Do mnie też dolatuje podniesiony głos z komórki.

Jakaś Monika trajkocze bez przerwy, ale nie rozumiem co. Widzę, jak napięcie mężczyzny wzrasta. Facet zaciska powieki, kręci głową, nabiera powietrza, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko otwiera usta. Tamta kobieta nie dopuszcza go do głosu.

– Nastawiasz Michała przeciwko mnie – odzywa się w końcu mężczyzna, podsuwając do góry zamek błyskawiczny swetra pod szyją – i dobrze o tym wiesz. Halo, Monika! – krzyczy w słuchawkę.

Tamta musiała się rozłączyć, bo zaklął tylko „kurwa” i usiadł obok mnie na mokrej ławce. Sprawiał wrażenie, że mnie nie widzi, wpatrzony gdzieś przed siebie. Kropelki deszczu spływały po jego kurtce, wsiąkając w szare dżinsy, mocząc ciemne włosy, ale nie zwracał na to uwagi. Tak samo jak nie zwracał uwagi na mnie, jakbym miała na sobie czapkę niewidkę. A jednak w końcu chyba się zorientował, że ktoś siedzi koło niego, bo po chwili, nie odwracając się ku mnie, mruknął jedynie:

– Przepraszam, żona. – I ruszył przed siebie.

Patrzyłam, jak odchodził sprężystym krokiem. Wysoki, barczysty, zupełnie obcy człowiek, który na kilka sekund wpuścił mnie do życia swojego i jakiejś Moniki.

On też mnie nie skojarzy, gdy umrę. Ich życie będzie się toczyć dalej, a ja swoje kończę, choć nigdy go tak naprawdę nie miałam. A teraz już nie należy do mnie, tylko do mojego raka. To on zdecyduje, ile jeszcze potrwa, nie ja, myślałam, wlokąc się do domu w niemodnych butach i workowatej kurtce, sięgającej połowy ud.

Od dziś będziemy mieszkać tam we trójkę. Mój mąż, ja i rak. Rak należy tylko do mnie. Mój mąż jeszcze nie wie, że ma konkurenta.

Zdjęłam mokre ubranie, buty i znacząc wilgotnymi stopami ślady na skrzypiącym parkiecie, krok za krokiem przesuwałam się po naszej kawalerce, wodząc dookoła wzrokiem.

Jasny regał na wysoki połysk, a na nim trochę książek, kilka fajansowych figurek, segregatory na dokumenty. Przy nim ława i dwa fotele po przeciwnych stronach, wersalka we wnęce. Pięcioramienny żyrandol na suficie i tapeta w zielonkawy deseń.

Jeszcze wczoraj nasze mieszkanie, tak odbiegające wystrojem od tych, które oglądałam w serialach, wydawało mi się koszmarne. Ale w tym momencie było dla mnie cudem świata, z którym niedługo się rozstanę. Jakie to zaskakujące, że wystarczy jedna diagnoza, aby spojrzeć na wszystko zupełnie inaczej. Moja odmieniona optyka dotyczyła nawet naszej szkaradnej kawalerki.

Myślę „naszej”, ale tak naprawdę mieszkanie należy do Roberta. Za odziedziczoną przez niego kawalerkę na Startowej też wyszłam za mąż, tak samo jak za jego osiedlowy warzywniak. Za wszystko to razem uciekłam za mąż, ledwo skończyłam dwadzieścia jeden lat; wydałam się za pierwszego, który mnie chciał.

Myślicie, że jestem materialistką? Nie, ja tylko spełniłam jedno jedyne ze swoich marzeń. Chciałam się wyrwać z popegeerowskiej wioski do miasta. Byle dalej od biedy, marnej przyszłości i jeszcze gorszej przeszłości.

Przecież ludzie pobierają się z różnych powodów. Najczęściej z miłości albo z powodu wpadki, albo Bóg wie dlaczego. My zawarliśmy kontrakt. Taki ustny, nieformalny, choć podparty aktem ślubu. Robert potrzebował kogoś do prowadzenia domu i sklepiku. Dla mnie była to szansa na zmianę ponurej rzeczywistości. Choć chciałam, nie mogłam uciec inaczej, w pojedynkę. Powód był tak prosty, że nie warto o tym mówić. Nie miałam pieniędzy na skok w nowe życie.

Robert postawił tylko jeden warunek: „żadnych dzieci i żadnych problemów”. Mnie to wyjątkowo

odpowiadało. Nigdy nie stwarzałam problemów. Nauczyłam się, że bezpieczniej jest ich unikać, nim jeszcze dobrze zaczęłam chodzić.

Tkwiałam w nijakim związku, w letniej temperaturze uczuć, z człowiekiem, który mnie nie kochał ani ja jego. Ale nie narzekałam. Mogłam trafić dużo gorzej. Jeśli zaletą udanego związku może być brak przemocy, to mój związek z Robertem należał do udanych.

Nigdy nie doznałam od niego żadnej przemocy. Miłości też nie, ale na nią i tak nie liczyłam. Skoro obywałam się bez niej przez całe życie, to uwierzyłam – albo wmówiłam sobie – że nie jest mi potrzebna.

Tylko czasem, gdzieś głęboko na dnie, rodził się we mnie sprzeciw, że jednak chciałabym żyć inaczej. Tak, jak to widziałam w telewizji lub czytałam w książkach; barwniej, prawdziwiej, głębiej. A jednak zabrakło mi determinacji, by wcześniej coś zmienić, a teraz już za późno. Na wszystko przeraźliwie za późno; klepnęłam rozpostartą dłonią w kuchenne okno.

Z wysokości dziesiątego piętra dostrzegałam Wrzeszcz, centrum Gdańska, stocznie i port. To była moja przestrzeń nieurzeczywistnionych marzeń, wciąż odkładanych na potem. Jeszcze dziś rano tak było, ale nie teraz. Teraz stałam z głową przytkniętą do szyby i widziałam tylko szarość. Równie bezbarwną jak moje życie. Przed mężem i z nim.

Łączyły nas wspólne sprawy, problemy i praca. Nigdzie specjalnie razem nie wychodziliśmy. Zawsze byłam odludkiem, a Robert nie nalegał na wspólne wypady. Nawet za bardzo nie mieliśmy o czym ze sobą rozmawiać. A jeśli już, to rozmawialiśmy monotematycznie. O utargu, towarze, który nie zszedł, konkurencji powstałej na tej samej ulicy, rachunkach, zakupach i pomysłach na rozszerzenie interesu. Zwykła szara codzienność.

Roberta często nie było w domu, a kiedy wracał, zasypiał, gdy tylko przyłożył głowę do poduszki albo przed telewizorem, z gazetą na brzuchu. O moim mężu, starszym ode mnie o siedem lat, wiele nie wiedziałam. Tyle o ile. Jedynek, wychowywany przez babcię. Nie lubił mówić o swojej przeszłości, a ja też nie byłam skłonna do zwierzeń. Pod tym względem pasowaliśmy do siebie jak ulał.

I tak żyliśmy niby ze sobą, choć zupełnie obok siebie. On, przeciętny, niewysoki facet, jakich pełno na ulicach, i ja, szara mysz. Razem stworzyliśmy dom na trzydziestu metrach kwadratowych małego mieszkanka, oszczędzając każdy grosz na większe. Tylko po co nam ten większy metraż? Chyba tylko po to, żeby nasza nijakość miała większą przestrzeń.

A jednak w jakimś sensie Robert stał mi się bliski. Przywykłam do jego obecności w moim życiu, był przecież moją rodziną. O własnej, zostawionej w Niebie, zapomniałam. Ani razu nie pojechałam do mojej wioski, odkąd uciekłam za męża. Nie chciałam.

A teraz co mogę chcieć? Czy jeszcze zdążę coś chcieć? Co mnie jeszcze może spotkać? Szpital, hospicjum, umieranie na raty? Czy pośród tego wszystkiego usłyszę od kogoś słowa, na które w głębi serca czekam, a nie umiem się do tego przyznać? Czy ktoś mi powie, tak szczerze, prawdziwie: „Kocham cię”? Czy ja komuś tak odpowiem, nim odejdę?

Osunęłam się na krzesło w kuchni i otepiąłem podparłam głowę rękoma. Na kraciastym ceratowym obrusie stało niedojedzone śniadanie. W zlewie czekały brudne naczynia. Rano Robert spieszył się do warzywniaka, a ja szłam do szpitala. Żadne nie miało czasu sprzątnąć. Jeszcze wczoraj taki widok byłby dla mnie nie do przyjęcia, teraz stał się tak obojętny, jak topniejące za oknem resztki brudnego śniegu.

Z odrętwienia wyrwał mnie dzwonek telefonu.

– Hanka, już po pierwszej! – usłyszałam nagłą głos męża. – Miałaś mnie zmienić dwie godziny temu. Gdzie ty jesteś? Jeszcze u lekarza?

– W domu – odpowiadam. I już chcę wyrzucić z siebie wszystko, ale Robert mnie ubiega.

– I co, ciąża? – W jego pytaniu słyszę prawie panikę.



– Nie.

– Ufff, Bogu dzięki, bo bałem się, że jednak tak. – Tym razem w jego głosie zabrzmiała taka ulga, że się wzdrygnęłam. – Jak załatwiłaś wszystko, to przychodź prędko. Wiesz, że za godzinę muszę być w Gdyni. Pospiesz się. Co dla pani?

Ostatnie pytanie nie było już do mnie. Wyłączył się tak szybko, że nie zdążyłam nic więcej powiedzieć.

Rak, nie rak, kartofle sprzedawać trzeba. Dlatego zdjęłam wyjściowe ubranie, włożyłam bezkształtne dzinsy, których jedyną zaletą była promocyjna cena, mokre włosy przykryłam czapką i poszłam do pracy.

Nasze życie kręciło się wokół zarabiania pieniędzy. Nawet w niedzielę mieliśmy czynny warzywniak albo któreś z nas handlowało na nielegalnym bazarku na dawnym pasie startowym przebiegającym przez naszą dzielnicę. Własne wydatki ograniczałam do minimum. Nie miałam zapełnionej kremami, perfumami, pudrami łazienki, chociaż w głębi duszy chciałam mieć to wszystko, z czego musiałam zrezygnować. Odkąd pamiętam, ze wszystkiego musiałam zrezygnować. Tak przywykłam do tego stanu, że stał się moją drugą naturą.

Warzywniak znajdował się kilka bloków za naszym wieżowcem. Doszłam tam w pięć minut w osłonie deszczu ze śniegiem, rozchlapując burą breję pod nogami. Klientów akurat nie było. Robert wynosił z zaplecza skrzynki z marchwią i z łomotem stawiał je na podłodze.

– No, jesteście wreszcie. – Przywitał mnie skinieniem głowy. Otarł ręce o szary polar i znów zniknął za zasłoną oddzielającą zapchany półkami sklepik od zaplecza. – Jak długo można siedzieć w szpitalu? – Usłyszałam stamtąd. Po chwili mój mąż wyszedł ze skrzynką selerów. Sapnął, stawiając ją na najniższej półce.

– Hanka, no co tak stoisz? – spytał, poganiając mnie wzrokiem na zaplecze. Pośpiesznie ściągnął przybrudzoną bluzę i włożył przez głowę sweter. – Przebierz selery, bo niektóre już podgniły. Trzeba będzie wpisać w straty. I wypoleruj jabłka, takie chętniej biorą. Na razie mamy marny utarg. Postaraj się, żeby pomidory wszystkie zeszyły. Skrzynki pownosiłem, więc masz lżej. Muszę lecieć, czekają na mnie ci od ryb. Będziemy się przebranzawiać, bo z warzywami to żaden interes, jak tyle marketów pod nosem. Dziś był ten gostek, co chce kupić od nas kiosk. Wiesz, ten z konkurencji.

Przez zastawione napojami okienko wskazał głową w stronę drugiego warzywniaka. Tamten był nowy, większy i wyglądał jak mały pawilonik.

Stałam na środku sklepiku, ręce miałam opuszczone wzdłuż ciała i myślałam sobie, jak niewiele mnie już to obchodzi. Patrzyłam na plamę wyciekającą spod moich sznurowanych butów do kostek. Rytmicznie złączałam i rozłączałam noski brązowych trzewików, rozmazując błoto.

– Daje piętnaście tysięcy – dodał pośpiesznie mój mąż.

Nawet nie zauważył, że nie słucham. Nie widział strachu na mojej twarzy, zaczerwienionych od płaczu oczu, drżenia, w które wpada moje ciało, pochylonej głowy.

– Chyba sprzedamy i wejdziemy w ryby. Właśnie jadę w tej sprawie do Gdyni, a potem od razu skoczę do Szczecina, żeby dogadać resztę. Sprawdzę na miejscu tę ich firmę. Wiesz, żeby się w coś nie wpakować, bo...

– Robert – przerwałam, gdy był już w progu. Otworzył drzwi i z zewnątrz wpadło chłodne, wilgotne powietrze. – Muszę ci coś powiedzieć.

– Nie teraz. – Odsunął moją rękę, gdy próbowałam go zatrzymać. – Mam mało czasu, a chcę się jeszcze przebrać w domu, spakować. Zaraz będą korki na ulicach. Jest jakiś obiad?

Obiad? Mój glejakowaty mózg nie miał dziś głowy do obiadu. W zamian nieoczekiwanie wysyłał wyraźny sygnał, który odczytywałam, stojąc naprzeciw męża. Sama nie wiedziałam dlaczego, ale tak naprawdę, po raz pierwszy, odkąd byliśmy małżeństwem, chciałam, żeby mnie przytulił.

– Nie szkodzi, zjem kanapki – odpowiedział, nie odczytując mojego pragnienia.

Dlatego sama przytuliłam się do Roberta. Wsunęłam nos w jego kłujący sweter. Mój mąż trochę zeszywniał, gdy objęłam go rękoma w pasie.

– Co jest? – spytał zaskoczony i niezdarnie przygarnął mnie do siebie.

Nie byliśmy przyzwyczajeni do takich ciepłych, spontanicznych gestów, ale teraz potrzebowałam tego tak, jak nigdy wcześniej.

– Aaaa, już rozuuuumiem – przeciągnął z ulgą. – Też się cieszę, że to nie ciąża. Znasz moje zdanie w tej sprawie. Nie nadaję się na ojca.

– Robert, mam...

Nie dokończyłam, że mam raka. Do sklepiku weszła klientka, walcząc z parasolką. Przeciąg, który się zrobił, wygiął druty w drugą stronę. Jeden zahaczył o mój policzek. Kobieta bąknęła pod nosem „przepraszam”, Robert odsunął się ode mnie, wyminął klientkę i już był na zewnątrz.

– Pogadamy, jak wrócę. – Machnął ręką na pożegnanie. – Będę jutro. Może pojutrze. Trzymaj się, Hanka.

– Zważy mi pani dwa kilo ziemniaków – poprosiła tymczasem tamta, a ja jak automat stanęłam za ladą. – I może dużą kapustę bym wzięła. I ze trzy banany. Trochę obite te pomidory. – Skrzywiła się, przebierając w skrzynce.

– Sprzedam pani taniej – odpowiedziałam jak gdyby nigdy nic. Bo przecież dla tej obcej kobiety mój glejak to nic.

Przetrwałam klientkę i nagle zaczęłam się dusić w ciasnym, zawilgoconym wnętrzu. Potrzebowałam przestrzeni w ten chłód, deszcz i chmurny półmrok, by wyprowadzić myśli na spacer, zanim eksploduję z rozpaczy.

Zamknęłam wcześniej warzywniak i poszłam nad morze. Jedyne miejsce, prócz starówki i Oliwy, które tak naprawdę podobało mi się w Gdańsku. Najbardziej lubiłam takie na pół zimowe. Z ciemniejszą wodą, groźniejsze, z pustymi, pobielonymi śniegiem plażami, jak teraz.

Wiatr wypychał mi kurtkę. Szum morza mieszał się z krzykiem mew. Ołowiane fale biły o brzeg, podpływając mi pod nogi, kiedy tak szłam przed siebie i myślałam o własnym życiu, którego tak naprawdę nie miałam.

A gdyby tak wejść do wody i skończyć z tym wszystkim, zanim rak skończy ze mną? Jakaś absurdalna myśl pchała mnie ku wodzie. Przecież i tak nie umiem pływać. Nikogo nie ma – rozejrzałam się na boki. A jednak jest; skrzywiłam się, widząc biegacza, który truchtał w moją stronę. Wysoki, w czarnym, obcisłym ubraniu i czapce nasuniętej mocno na oczy. Cofnęłam się kilka kroków od brzegu.

– Nie radzę – rzucił zdyszany. – Strasznie zimna woda. Chyba że jest pani morsem, to chętnie popatrzę.

Odwrociłam się w przeciwną stronę. I tak bym przecież tego nie zrobiła. To był tylko krótki impuls. Jedna, nieznacząca sekunda głupiej myśli. Może mój rak mi ją podpowiedział? Cofnęłam się spieszenie do wyjścia z plaży, pod stopami zachrząścił piach przyprószony śniegiem. Popychał mnie wiatr dmuchający w plecy. Zerknęłam nieznacznie przez ramię. Facet przystanął i patrzył za mną, jakby mnie pilnował. Głupek.

Tego wieczoru długo siedziałam w mikroskopijnej łazience z wanną pokrytą rdzawymi zaciekami. Owinięta ręcznikiem, patrzyłam w lustro nad umywalką. Odbijała się w nim nijaka postać. Szara, mysia, stara jak na swoje dwadzieścia pięć lat.

Nie miałam ani mocno zarysowanych brwi, ani długich rzęs rzucających cień na policzki, jak to czytałam w książkach, ani zmysłowych ust, ani nawet piersi. Zamiast biustu dwa małe piegi ze sterczącymi sutkami. Nawet stanika nie musiałam nosić, a jeśli już, to w dziewczęcym rozmiarze.

Dobrze, że choć miałam długie włosy (ciekawe, jak długo jeszcze będę je mieć), które zawsze maksymalnie zgarniałam na twarz, żeby przykryć nimi swoją bezbarwność.

Może dlatego Robert nie nalegał, żebyśmy się często kochali.

Nasz seks był tak samo nijaki jak nasz związek. Mąż nie wykazywał specjalnego zainteresowania tą stroną naszego życia. Ja, uczciwie mówiąc, też nie. Nigdy nie inicjowałam zbliżeń. A jak już do nich dochodziło, to odbiegały od tych, o których czytałam lub oglądałam je w filmach. Nie unosiłam się na falach orgazmu jak książkowe bohaterki. Nie miałam motylków w brzuchu ani nie szybowałam do nieba. U nas odbywało się to całkiem zwyczajnie. Kilkadziesiąt sekund pod kołdrą przy zgaszonym świetle. Nawet bez specjalnej gry wstępnej. Robert przykrywał ręką moje piersi, dotykał niżej, a potem kładł się na mnie i to wszystko. Za każdym razem tak samo.

Był moim pierwszym mężczyzną i nie miałam żadnego porównania, jak to może wyglądać. Dokładniej, co innego mogłabym wtedy odczuwać, bo dotychczas nie czułam nic nadzwyczajnego.

Wydałam się sobie taka żalosna, że ciężkawym krokiem powlokłam się do łóżka, zagryzając zębami wargi, by stłumić skowyt.

Za ścianą sąsiedzi przygotowawali się do kolacji. Brzęczały garnki, szumiała woda, szurały przesuwane krzesła. A ja wciąż leżałam w ciemnym pokoju, czekając nie wiadomo na co. Otoczona ludźmi odgradzonymi ode mnie pięciocentymetrowymi ścianami z betonu, poczułam się przeraźliwie samotna. W tym bloku, w tym mieście, na tym świecie nie miałam nikogo, kto by mnie kochał. Mój rak miał mnie. Kochał mnie tak samo mocno, jak ja go nienawidziłam.

# Piotr

Telefon dzwonił namolnie gdzieś pod stertą ubrań w drugim pokoju. Nie miałem ochoty odbierać. Przewróciłem się na drugi bok i podciągnąłem kołdrę na głowę. Ciemne rolety w sypialni nie wpuszczały do środka zbyt wiele światła. Mogłem dłużej pospać, tymczasem jakiś natręt dobijał się do mnie już czwarty raz. Jacy ludzie są tępi! Skoro nie odbieram, to znaczy, że nie mam ochoty z nikim gadać! Z nikim oprócz Michała. Wydzwaniałem do niego, a on mnie zlewał tak samo jak ja teraz tego, kto się do mnie dobijał.

– Piotruś, twój telefon dzwoni! – wrzasnęła z łazienki Elżbieta.

Dobrze, że zdążyłem się wcześniej wysikać. Jak długo można siedzieć w łazience? Mnie z goleniem i całą resztą zajmuje to kilka minut. A jej godzinę.

Nie cierpię, jak Elżbieta rządzi się w mojej łazience. Potem nie mogę znaleźć swoich rzeczy, tyle tam jej babskich kremów, płynów, mazideł, włosów na posadzce, spinek i cholera wie czego jeszcze. Nie cierpię, jak panoszy się w moim mieszkaniu i mówi do mnie „Piotruś”. Tyle razy ją prosiłem, by przestała, ale jest wyjątkowo odporna na to, co mówię.

– Piotruś, odbierz! Może to coś ważnego?! – znowu się drze.

– Cholera, chwili spokoju człowiek nie ma! – klnę pod nosem.

Odrzucam kołdrę i goły zwlekam się z łóżka. Potykam się o spiętrzone na podłodze książki i powłócząc nogami, leżę do drugiego pokoju, żeby odkopać telefon. Przerzucam kłębowisko ciuchów z fotela i wyciągam brzęczący zajadle aparat, zaplątany w moje gacie i fatałaszk Elżbiety. Nawet nie patrzę, kto dzwoni.

– Mróz – rzucam krótko w słuchawkę.

– Dzień dobry, panie Piotrze – słyszę znajomy głos i aż mnie skręca ze zniechęcenia. To mój wydawca.

– Wreszcie udało mi się z panem skontaktować.

Nie cierpię tego wkurzającego gościa i jego protekcyjnego tonu. Nie pamiętam, jak się nazywa. Chyba... Ryszard. Tak, Ryszard Derecki czy Demecki, nieważne.

– Witam – burczę i już szykuję w głowie dobre argumenty, by jak najszybciej go spławić. Zwłaszcza że i tak nie mam dla niego wiadomości, na jakie pewnie liczy.

– No jak tam? – pyta, niby lekko, ale wyczuwam wyraźny nacisk, bo facet zaczyna idiotycznie szczebiotać. Sam chyba nie czuje, że głos mu skoczył o oktawę. – Napisał pan już coś?

Od miesiący niczego nie napisałem, wypaliłem się, do diabła! Pomysł na nowy kryminał pewnie bym znalazł, ale po prostu cholernie mi się nie chce! Ostatnio nic mi się nie chce! Jestem chory na nieuleczalny tumiwisizm!

– Jeszcze nie – odpowiadam, z trudem się powstrzymując, by nie wykrzyknąć mu, żeby się ode mnie odpieprzył.

I gdyby nie to, że wziąłem od nich zaliczkę na nową książkę, pewnie bym tak zrobił. Słyszę, że tamten nie jest zadowolony. Syknął przez zęby i chyba pstryka długopisem.

– Nie chcę wypominać, że wypłaciliśmy panu sporą kwotę na nową książkę, pan zaś się zobowiązał, że dostarczy powieść do lutego. Jest trzeci marca – skrzeczy.

Bingo!

Wiedziałem, że mi wytknie kasę, złamas jeden. Ale wiedziałem coś jeszcze.

Dla małego wydawnictwa Czarne Oko byłem lokomotywą finansową. Moja trylogia o śledczym Boreckim nie schodziła z list bestsellerów. Potem napisałem jeszcze *Rzeźbiarza*, trzymający w napięciu kryminalik o psychopacie, który mordował wybranych facetów, a potem każdemu wycinał najpiękniejsze części ciała i robił z nich odlewy, by stworzyć doskonałe dzieło. Morderczynią okazała się kobieta. *Rzeźbiarz* rozchodził się w księgarniach jak świeże bułki. Zrobili nawet dodruk. Wcześniej dodrukowali *Mordercę z pociągu*, ta historyjka o maniakalnym psycholu zabójcy też nieźle się sprzedawała.

Nie musiałbym nawet kiwnąć palcem, by znaleźć nowego wydawcę. Zresztą sami się do mnie dobijali. Zostałem w Czarnym Oku, ponieważ tak mi się podobało. Jednym słowem, jestem górą i Rysio może mi nagwizdać, pomyślałem z satysfakcją. Głośno zaś powiedziałem:

– Wiem, że nie dotrzymałem terminu, ale mam problemy osobiste – skłamałem, choć nie do końca.

Miałem problemy. Syn mnie olewał, nie oddzwaniał, kiedy chciałem z nim pogadać, nawet mnie nie odwiedzał, a kiedy ja wpadałem do niego do Wrocławia, nigdy nie miał dla mnie czasu.

– Coś poważnego? – Ryszard wyraził niepokój. Nie miałem zamiaru spowiadać się przed nim.

– Jak powiedziałem, sprawy osobiste – uciąłem.

– Panie Piotrze – zmiękł. – Rozumiem, że problemy mogą nie sprzyjać pisaniu, ale bardzo proszę się zmobilizować. Ze względu na naszą dotychczasową współpracę możemy przesunąć termin o kilka miesięcy. Do pół roku, powiedzmy, nie dłużej. Czytelnicy domagają się nowej powieści. A streszczenie, które pan nam wysłał, jest bardzo obiecujące.

– Postaram się – odpowiedziałem, by skończyć tę gadkę i wrócić do łóżka.

Słyszę, jak Elżbieta wychodzi z łazienki. Idzie do mnie owinięta różowym ręcznikiem, nawet ładnie kontrastującym z jej oliwkową skórą. Elżbieta uśmiecha się, zalotnie przechyla głowę z długimi lokami czarnego baranka – wątpliwym efektem trwałej – i zrzuca ręcznik. Jest pioruńsko zgrabna i zawsze ma ochotę na seks. Ale teraz jakoś mnie ten widok nie rusza. Staję bokiem do niej i słucham głośnego Ryszarda o planowanym cyklu spotkań z czytelnikami.

– Niestety, muszę odmówić, skoro mam zdążyć z książką – przerywam jego wizję mojego ewentualnego rajdu po księgarniach.

Nie mam zamiaru telepać się po Empikach i Matrasach w całej Polsce. Zresztą on dobrze wie, że nie lubię tych imprez. Pokazywać się publicznie i odpowiadać na banalne pytania! Kryminały też wydają pod pseudonimem jako Max Nieznany. Po pierwsze, bo nie zależy mi na popularności, po drugie, nie chcę, aby ktoś skojarzył, że kiedyś byłem gliną. Moi dawni kumple z wydziału też nie wiedzą, że piszę.

– Panie Piotrze, czytelnicy chcą wreszcie poznać ulubionego autora. – Tamten nalega, a tymczasem Elżbieta klei się do moich pleców. Jest wilgotna i pachnie niczym luksusowa perfumeria. Opędzam się od niej jak od muchy.

– Przykro mi, ale odmawiam. A książkę postaram się przysłać do sierpnia.

– Trudny z pana zawodnik. – Ryszard wzdycha. – Skoro pan odmawia, to nie będę dłużej nalegać. I trzymam pana za słowo, że dotrzyma pan terminu.

– Postaram się.

– Może raporty ze sprzedaży bardziej pana zmotywują, bo są kapitalne. Jutro prześlemy panu pieniądze za sprzedane książki. I chyba znów będziemy dodrukowywać *Rzeźbiarza*, księgarze zgłaszają braki. No i jeszcze jedno, co powinno pana szczególnie ucieszyć. *Rzeźbiarz* prawdopodobnie zostanie sfilmowany. Właśnie negocjujemy warunki z zainteresowanym producentem.

– To miłe. Do usłyszenia. – Wyłączam się, bo ta rozmowa męczyła mnie od samego początku.

Tak jak zaczyna mnie męczyć Elżbieta. I nie chodzi tylko o pieszczoty, których nie przerywa, mimo

mojego braku wyraźniejszego zainteresowania, choć nie jestem impotentem. Co to, to nie! Jeszcze nie! Chodzi o coś więcej.

Mój układ z nią też zaczyna się wypalać. Dla mnie zawsze był to jedynie dobry seks, zwłaszcza że Elżbieta jest napalona jak nastolatka. Taka młoda laska jak ona dla czterdziestoletniego faceta jak ja powinna być niezłą zdobyczą. Problem w tym, że Elżbieta od początku sama pchała mi się w ręce, a tego nie lubię. Jestem typowym samcem z krwi i kości. Łowcą, wojownikiem. Wolę zdobywać, podchodzić, zabiegać, bardziej mnie to kręci niż łup, który dostaję bez żadnego wysiłku.

Spotykamy się od trzech miesięcy. Poznałem ją w salonie fryzjerskim, gdy poszedłem się ostrzyć. Zrobiła mi nawet całkiem zgrabną fryzurę. Nie za długą, nie za krótką, męską. W żartach zaprosiłem Elżbietę na kawę. Widać słabo znam kobiety, bo sądziłem że będzie się wzbraniać, krygować, mówić, że jest zajęta, a ona zgodziła się prędzej, niż wybrzmiało moje zaproszenie.

Pierwszą randkę zakończyliśmy w łóżku. Nie powiem, było miło. Dałem radę kilka razy, a Elżbieta też wiedziała, o co w tym chodzi. Przestało być tak miło, kiedy po drugiej randce, tym razem u mnie, zaczęła się rządzić w mojej kuchni i znaczyć moje mieszkanie swoją obecnością.

Pierwszą oznaką zadomowienia była jej szczoteczka do zębów w łazience i kapcie pod łóżkiem. Jakieś damskie szmatki w szufladach, porządek, który usiłowała zaprowadzić wszędzie, choć ja lubiłem swój twórczy nieład. Mnie nie przeszkadzały książki, byle jak porozkładane na półkach, parapetach, podłodze. Jedne leżały okładkami do góry, drugie z karteczkami przyklejonymi na ciekawych cytatach. Elżbieta uparcie je porządkowała, ustawiała na półkach od najmniejszej do największej, grzbietami do pokoju. Potem nie mogłem nic znaleźć.

Ołówki też wkładała do jednego dzbanka wetkniętego między książki. Ja lubiłem mieć je porozkładane po całym mieszkaniu, by nie pędzić przez trzy pokoje, gdy nagle chciałem coś zapisać.

Czasem jakaś fajna myśl czy porównanie zaświtały mi w głowie, gdy byłem w łazience. Zanim doszedłem do biblioteczki po ołówek, zdążyły ulecieć. Nie znosiłem tego. Nie pamiętam już, ile razy zwracałem Elżbiecie uwagę, by nie zaprowadzała u mnie swoich porządków. Była jednak głucha na wszelkie prośby.

A już cholera mnie brała, gdy przynosiła skądś jakieś szkaradne paskudztwa z metalu czy drewna albo różowe poduszki i zdobiła nimi moje mieszkanie wedle własnego uznania. „Piotruś, nie możesz mieszkać w bibliotece”, tłumaczyła za każdym razem, gdy broniłem się przed nowym dziwolągiem, który miał ocieplać wnętrze. Ale ja, do licha, mam ochotę mieszkać w bibliotece! Najlepiej sam! Elżbieta jednak tak skutecznie oplątywała mnie swoją siecią, że zostało mi coraz mniej pola do manewru.

Nie chciałem definitywnie z nią zrywać, bo rzeczywiście była niezła w te klocki. Chyba najlepsza, z jaką ostatnio byłem. W jej mniemaniu byliśmy parą. W moim, jedynie dwojgiem ludzi, którzy spotykają się w ściśle określonym celu. Czysta biologia, potrzebna dla rozładowania napięcia i higieny psychicznej, a potem każde idzie w swoją stronę. Tak jak było to z poprzednimi kobietami, z którymi się widywałem.

Elżbieta jednak zmierzała tak uparcie w moją stronę, że zaczęło mnie to irytować. I zamiast większej, miałem coraz mniejszą ochotę na spotkania z nią. Tak jak moje ciało, które pozostało niewrażliwe w najczulszym miejscu, mimo zabiegów Elżbiety. Do jej ślicznej, ale pustej główki nie dotarło, że seks nie zaczyna się między nogami, tylko w mózgu. Ścisłej, w podwzgórzu. Choć licho wie, czy w ogóle miała pojęcie, gdzie owo podwzgórze się znajduje i za co odpowiada.

– Nie teraz. – Sięgam po slipy i spodnie od dresów.

– Dlaczego?

Patrzy na mnie przeraźliwie niebieskimi oczami. Wielkimi, ładnie wykrojonymi, z długimi ciemnymi rzęsami, ale nie widać w nich żadnej głębi. Niczego, co mogłoby mnie zafascynować poza ich urodą.

– Po prostu nie mam ochoty – odpowiadam. – Jeszcze nie doszedłem do formy po nocy.  
– Podobało ci się, misiu? – Przeciąga się przede mną jak kot. – Bo mnie baaardzo...  
– Podobało – przyznaję, mocując się ze sznurkiem w pasie spodni. Jak na złość, zaplątał się na supeł. – Elżbieta, proszę, nie mów tak do mnie. Nie lubię takich spieszczeń, tych wszystkich „misiu”, „piesku”, „kotku”. To infantylne.

– Jakie? – Robi zdziwione oczy.  
– Dziecinne – wyjaśniam z przyciężkim westchnieniem.  
– Ale to tak słodko brzmi – szczebiocze i ściąga usta w ryjek.  
– Nie przepadam za słodyczami. Idę pobiegać. A ty nie musisz wracać do domu? Już dziewiąta.  
– Zaczynam o jedenastej – odpowiada maślanym głosem. – Dziś mam tylko dwie klientki do strzyżenia i jedną na balejaż. Piotruś, gdybyś tylko chciał, nie musiałabym już wracać do domu. – Uśmiecha się przymilnie i przekrzywia głowę na bok.  
– Przed chwilą prosiłem, żebyś nie mówiła do mnie „Piotruś”. – Cmokam zniecierpliwiony, wkładając bluzę przez głowę. – Dlaczego nie musiałabyś wracać? – Strugam idiotę.  
– Pobierzmy się – proponuje nieoczekiwanie, a mnie zatyka, dosłownie jakby ktoś wcisnął mi knebel w usta.

Chyba muszę wyglądać na oszołomionego, bo Elżbieta jest zadowolona z reakcji, którą wywołała. Nigdy nie dałem jej żadnych powodów, by pomyślała, że kiedykolwiek moglibyśmy żyć razem w formalnym związku. Łączy nas tylko seks i nic więcej. Nie chcę żadnego poważnego układu. Do niczego nie jest mi potrzebny. Jestem w miarę zadowolony z życia, które prowadzę. „Pobierzmy się”?! Co jej strzeliło do głowy?! Czułem, jak wpadam w popłoch, ale zanim zdołałem cokolwiek powiedzieć, Elżbieta znów opłotła mnie ramionami.

– Dbałabym o ciebie, trochę cię oswoiła, żebyś zaczął bywać wśród ludzi. Przecież wiesz, że cię kocham. – Zadziera do góry głowę i patrzy mi prosto w oczy.

– Elżbieta – odsuwam jej ręce ze swoich pleców – bez urazy, ale nie wierzę w coś takiego jak miłość. Cenię sobie własną prywatność i nie chcę jej zmieniać. Zresztą nigdy nie dałem ci powodu, byś myślała inaczej.

– To co w takim razie nas łączy?  
– Przecież to oczywiste. – Zdejmuję jej nogę z tyłka. – Łączy nas tylko seks. Oboje jesteśmy dorośli i zgodziliśmy się na to. Resztę sobie dopowiedziałaś – wyjaśniam enty raz, szczerze, jak jest.

Elżbieta podnosi z podłogi ręcznik i owija się nim cała. Podchodzi do okna i gwałtownym szarpnięciem wyjmuje z kartonowego pudełka chusteczkę higieniczną. Odwrócona do mnie plecami głośno czyści nos.

– Jesteś tak samo podły, jak piękny. Zimny drań. I nie potrafisz kochać. Moja mamusia też tak uważa – podsumowuje z wyrzutem.

– Rozmawiasz o mnie ze swoją mamusią??? – Łapię się za głowę.  
– Oczywiście – przyznaje, jakby to było coś naturalnego. – Ze wszystkiego jej się zwierzam, nie mamy przed sobą tajemnic. Nie podoba jej się, że żyjemy bez ślubu. Powiedziała nawet, że pokryje koszty wesela, żebyśmy się wreszcie pobrali.

– Elżbieta – jęczę, bo czuję się zwyczajnie rozłożony na łopatki. – Jaki ślub? Jakie żyjemy? My tylko uprawiamy seks. Nie chcę niczego zmieniać.

– Ale ja chcę. – Odwraca się od okna i podchodzi do mnie. – Chcę mieć męża, dzieci, dom. Mam trzydzieści lat, a to najwyższy czas, by założyć rodzinę. Ja wiem, że się tego boisz, tak jak każdy facet, ale zupełnie niepotrzebnie. Skoro dobrze nam w łóżku, to w życiu będzie jeszcze lepiej. – Gładzi mnie po policzku. – Seks jest podstawą związku. Każdy tak mówi.

Obezwładniła mnie tą swoją wizją bardziej niż podwójnym nelsonem. Prawie słyszałem, jak kark mi

trzeszczy pod jej naporem. Język też musiał mi skołowaciec, bo przez chwilę nie mogłem wydusić z siebie słowa. Dzieci? Dom? Mąż? Ten mąż to niby mam być ja?

– Basia zaprosiła nas na urodziny – ciągnie niczym niezniechęcona Elżbieta, a ja stoję jak kołek i wciąż przetrawiam to, co przed chwilą usłyszałem. Ona zaś bierze się do układania moich książek. – Musimy pójść, wiesz, że to moja najlepsza przyjaciółka. Będą jeszcze Ewa z Karoliną. Te, co otworzyły salon kosmetyczny, mówiłam ci. Karola ma nowego faceta. Podobno dziany gość, to on wyłożył całą kasę na ten ich salon. Mówiły, że chcą się dogadać z jakimś lekarzem, żeby przychodził do nich wstrzykiwać klientkom botoks i kwas hialuronowy, bo wiesz, teraz gabinet bez tego się nie liczy. W każdym razie dowiemy się więcej na urodzinach. Basia liczy na nas oboje. – Wspina się na palce i upycha w biblioteczkę tytuły, które wczoraj wyjąłem do poczytania.

Rany boskie, mój popłoch przeradza się w panikę. Jakich „nas”, do cholery? Jestem tylko ja i ona. Urodziny u Baśki? Zagadają mnie te baby na śmierć! Nigdy w życiu! I tak mam dość ciągłego trajkotania Elżbiety o pierdołach, jak do mnie przychodzi. Usta jej się nie zamykają. Najczęściej opowiada mi o swoich klientkach, niezależnie, czy słucham czy nie. W ogóle nie dostrzega mojego znużenia. A jak czasem dopadną mnie we dwie z Baską, to łeb mi pęka od tej ich paplaniny. Ciągłe muszą gadać! I to o czym? O paznokciach, włosach, ciuchach, wyprzedazach, przepisach kulinarnych, dietach odchudzających, plotkach. Żadnej głębszej myśli, refleksji, absolutnie nic.

– Nic z tego – odmawiam zdecydowanie. – Nie będę wam psuł spotkania. Zresztą, jak pracuję, to lubię się zaszyć sam ze sobą.

– Jeszcze cię przekonam. – Ignoruje moją odmowę.

A ja się zastanawiam, do czego będzie mnie przekonywać. Do urodzin czy małżeństwa? Bo jakoś niespecjalnie przejęła się moim zdaniem w sprawie tego drugiego.

– Kończę o trzeciej. Przyjdę i zrobię nam obiad. Kurczaka w curry z dzikim ryżem albo kotlety sojowe i sałatkę z kiełkami, bo troszkę boczki ci odstają, Piotruś. Potem możemy wyskoczyć do kina. Na tę komedię romantyczną, o której ci mówiłam. I czas, żebyś wreszcie pomyślał o kupnie telewizora. Nie wiem, jak w dwudziestym pierwszym wieku można nie mieć w domu telewizora? – pyta o to samo kolejny raz.

– Do niczego nie jest mi potrzebny i nie zamierzam go kupować – wyjaśniam, podobnie jak robiłem to wcześniej. – Dziś chciałbym pobyć sam, zebrać myśli. Słyszałaś, że dzwonił mój wydawca.

– Ciebie interesują tylko twoje książki! – Elżbieta uderza w wysokie tony. – Głupie, wymyślone historie! Tylko im jesteś się w stanie poświęcić!

– Przesadzasz.

– Tak? A po co tyle tu ich masz? – Pokazuje ręką dookoła.

Prawie na każdej ścianie pokoju dziennego, który w końcu nie jest taki mały, stoją regały zapchane książkami. Część pochodzi jeszcze z dawnych szkolnych czasów, sporo dostałem od rodziców, znajomych, resztę kupowałem. Lubię gromadzić książki. Żadnej przeczytanej nikomu nie oddałem. Dlatego przez te kilkadziesiąt lat po prostu w nie obrosłem, ale wyjątkowo mi to odpowiada. Mam w domu około sześciu tysięcy tytułów i czuję się dumny ze swojej kolekcji. Zresztą wcale nie jest taka duża. Inni mają więcej.

– Wiesz, ile pieniędzy mógłbyś mieć, gdybyś nie kupował tylu książek? – Elżbieta ujmuje się pod boki.

– Pozwól, że z własnymi pieniędzmi będę robił, co chcę. To po pierwsze. A po drugie, książki są mi potrzebne do życia.

– Do życia potrzebne jest powietrze! – Błyska złośliwą ripostą. – Ja w ogóle nie czytam, a jakoś żyję!

– I tym się właśnie różnimy – odpowiadam, wkładając buty do joggingu. – Jak wyjdiesz, zamknij mieszkanie, a klucz wrzucić do skrzynki. Proszę, nie sprzątaj tu, bo potem niczego nie mogę znaleźć.



– Jak chcesz żyć w chlewie, to twoja sprawa! – Elżbieta dumnie unosi głowę, zagarnia ubrania z fotela i znika w sypialni. Ja znikam z domu.

Na dworze zimno, szaro i wieje jak diabli. Żadna pogoda jednak nie jest w stanie powstrzymać mnie przed bieganiem. Uzależniłem się tak skutecznie, że bez niego nie funkcjonuję. I nie chodzi mi wyłącznie o kondycję i utrzymanie ciała we względnej formie, mimo odstających boczaków, choć według mnie nic mi nie odstaje, a nawet jeśli, to mam to gdzieś. Bieganie mnie oczyszcza i poprawia nastrój.

A ten po dzisiejszym ranku był dokumentnie skopany.

Elżbieta powiedziała, że nie potrafię kochać.

Co ona tam wie? Przecież kiedyś kochałem, ale dostałem tak po dupie od miłości, że jeszcze mnie boli, choć minęło prawie dziesięć lat. Odkąd Monika puściła mnie w trąbę, nie mogę się do końca pozbiierać. Nie, żebym wciąż rozpaczał, jednak zacząłem inaczej traktować kobiety. Bardziej instrumentalnie. Monikę traktowałem jak boginię i okazało się, że nie było warto.

Moja eks, którą kochałem jak wariat, bez skrpułów przyprawiła mi rogi. I to z kim? Ze starym, zramolałym biznesmenem. Głupia suka poleciała na jego kasę. Z mojej policyjnej wtedy pensji nie mogłem spełniać jej rosnących wymagań. A tamten mógł. Mógł tak skutecznie, że po siedmiu latach małżeństwa spakowała manatki, wzięła Michała i przeprowadziła się do gacha.

Miał tyle szmalu, że przegrałem też w sądzie. Jego świetnie opłacany adwokat załatwił rozwód niby z mojej winy, bo rzekomo nie poświęcałem czasu rodzinie i zaniedbywałem obowiązki, co doprowadziło do trwałego rozkładu pożycia. Siekło mnie to wtedy tak, że skapitulowałem.

Zaniedbywałem obowiązki? A kto tyrał jak wół, żeby wszystko miała, jak nie ja? Ona nie pracowała. Wychodziła z założenia, że to facet powinien zapewnić byt rodzinie. Trochę mnie to uwierało, ale nie protestowałem. Żony moich kumpli robiły kariery, prowadziły domy i były zadowolone. Tylko Monika wiecznie narzekała. Notorycznie była zmęczona Michałem, gotowaniem, praniem, sprzątaniami. „Wszystko jest na mojej głowie, bo ty wolisz znikać z domu na całe dni”, wyrzucała mi za każdym razem, gdy wracałem później, niż obiecywałem. Nie rozumiała, że grzebałem się w żmudnych dochodzeniach, tropiłem przestępców, a wcześniej wycierałem się na patrolach, przecież nie tylko dla idei, pasji tego, co robiłem, ale też dla kasy! Żeby Monika była ze mnie zadowolona, ale nigdy nie była. Jej żądania rosły w tempie lawinowym.

A to wynajmowane mieszkanie jej nie pasowało i trzeba było kupić własne. Co też zrobiłem, zadłużając się po uszy, gdzie się dało. A to wakacje za granicą, żeby mogła pochwalić się koleżankom. Modne ciuchy, drogie buty, regularne wizyty w salonach piękności. Nie wytrzymałem tego ciśnienia. Edward dał jej to wszystko bez ciśnienia. Miał chyba pięćdziesiątkę albo i lepiej, gdy zakręciła się koło niego i sprzedała za pieniądze.

Syna też mi zabrała, i to dosłownie. Sąd przyznał jej opiekę nad Michałem. Po rozwodzie przenieśli się z Gdańska do wypasionej rezydencji jej sponsora pod Wrocław. Nawet za niego wyszła, niespełna rok po rozstaniu ze mną. Ich ślub, o którym czytałem w kolorowych szmatławcach, był wydarzeniem towarzyskim,omalże nie na skalę ogólnopolską. I tak moja ukochana Monika zrobiła karierę.

Byłem nie tylko ślepy, ale i głupi. Ja, glina, nie spostrzegłem, że na moim podwórku grasuje złodziej i kradnie mi żonę. Nie byłem nawet wyczulony na pierwsze symptomy, bo naiwnie jej ufałem. A i Monika potrafiła się niezłe maskować. Sypiała jednocześnie z tamtym szują i ze mną chyba z rok, nim w końcu ją nakryłem na kłamstwie. I to jak banalnie! Prawie książkowo!

Tamtego dnia miałem wolne i zajmowałem się Michałem. Monika poszła do kosmetyczki na jakiś długi zabieg. Ledwo wyszła z domu, szef wezwał mnie pilnie do komendy. Powierzyłem sąsiadce Michała i pogałem do pracy. Mieliśmy jechać z Bartkiem, moim ówczesnym partnerem, przesłuchać ważnego świadka, gdyż ten zdecydował się zeznawać w sprawie, którą prowadziliśmy. W drodze powrotnej

Bartek zgłodniał, bo wyleciał z domu bez śniadania.

Zajechaliśmy do pierwszej restauracji, jaka była przy trasie, ale ceny zwały nas z nóg. Już wychodziliśmy z za drogiego jak na nasze policyjne kieszenie lokalu, kiedy w stylowym lustrze na ścianie zobaczyłem namiętnie całującą się parę. Moją żonę w objęciach Edwarda.

Gdyby Bartek mocno mnie nie trzymał, to chyba zabiłbym na miejscu i ją, i tego jej gacha. Potem w domu z niczego się nie tłumaczyła. Oświadczyła jedynie, że chce rozwodu, ponieważ nie sprawdzam się jako mąż. Tyle.

Żeby nie zapisać się na śmierć i jako tako pozbierać, zacząłem regularnie biegać. A kiedy przed dwoma laty odszedłem z policji na wcześniejszą emeryturę, do joggingu dołożyłem pisanie kryminałów.

Nie wiem, co mnie do tego skłoniło. Widocznie tak miało być. Pisałem jak najęty, jedną historię za drugą. Wyładowywałem się w tworzeniu coraz bardziej psychopatycznych zabójców. Udoskonalałem ich zbrodnie, obnażałem popaprane psychiki i tak gmatwałem wydarzenia, żeby do ostatniej kartki nie było wiadomo, kto jest kim. Czułem się jak pan życia i śmierci, wszystko zależało ode mnie. To mnie nie tylko kręciło, ale i bawiło. A teraz nagle przestało. Choćbym nie wiem, jak się starał, nie mogłem zmusić się do pracy. Samo napisanie streszczenia, wcale nie tak dobrego, jak twierdził Ryszard, było dla mnie męką.

Po kiego diabła wymyślać kolejną bzdurną fabułę, która ma tyle wspólnego z rzeczywistością, co ja z baletem rosyjskim? Niemal roześmiałem się w głos na to porównanie, przystając zdyszany.

I nawet się nie zorientowałem, że dobiegłem prawie do Sopotu. Byłem głodny, spragniony i chciało mi się sikać. Tę ostatnią potrzebę załatwiłem bez problemu w ustronnym miejscu na plaży. Dwie poprzednie musiały poczekać, bo nie miałem grosza przy sobie.

Zawróciłem do domu i biegłem już spokojniejszym tempem. Wiatr trochę zelżał, ale znowu zaczęło mżyć. Dobiegałem do mojego wyjścia z plaży, gdy w oddali zamajaczyła mi dziwna postać. Wydawała się znajoma.

Prawda, widziałem ją kilka dni temu, gdy chciała się kąpać. Teraz też tkwiła nieruchomo tuż przy brzegu i patrzyła na morze. W musztardowej kurtce o fatalnym fasonie i chyba trochę za dużej. Nie, żebym się znał na modzie, ale Elżbieta w życiu by czegoś takiego nie włożyła. Taki strój pasował raczej do emerytki niż do młodej dziewczyny. Zafrapowany przyjrzałem jej się nieco dokładniej. Długie, jasne włosy, nieosłonięte czapką, nogi w sznurowanych kamaszach, do tego zwykłe dżinsy. Nie za wąskie, nie za szerokie, zwyczajne. Wszystko przypadkowo dobrane, ale coś sprawiło, że ta dziewczyna przyciągnęła moją uwagę. Niska, drobna, nienachalnie interesująca, wyraźnie ukryła się pod tym bezkształtnym ubraniem.

– Dzień dobry – przywitałem się, gdy do niej podbiegłem. – Znowu się spotykamy.

Nie odpowiedziała.

Nawet na mnie nie spojrzała, patrzyła gdzieś przed siebie, jakby nieobecna. Nie znam kobiet, które nie boją się deszczu, wiatru, zrujnowanej fryzury i rozmazanego makijażu. A ta dziewczyna sprawiała wrażenie, że w ogóle jej nie obchodzi, jak wygląda. Byłem tuż obok niej, a miałem wrażenie, że jest gdzieś setki kilometrów stąd. Zaczęła mnie coraz bardziej intrygować. Zaciekał mnie jej smutek, milczenie, i jakaś tajemniczość.

– Mógłbym pani w czymś pomóc? – zapytałem odruchowo.

W odpowiedzi wbiła we mnie zielone oczy. Stałem przez chwilę jak zahipnotyzowany siłą jej spojrzenia. Niemal czułem, jak dwa zielone punkciki wwiercają się wprost w moje myśli. Nigdy nie doświadczyłem podobnego stanu. Odeszła, nic nie mówiąc, a ja patrzyłem za nią, aż zniknęła mi z oczu.

# Hanka

Robert nie wracał od trzech dni. Zadzwoił ze Szczecina, że coś się pokomplikowało i musi na kogoś czekać. Byłam sama ze swoim rakiem dłużej, niż chciałam. W pracy jeszcze jako tako się trzymałam, dlatego zwlekałam się rano z łóżka po przepłakanej nocy i człapałam do warzywniaka. Gorzej było, gdy wracałam do domu. Wtedy rozpadałam się zupełnie.

Przeczytałam w internecie niemal wszystko o raku pnia mózgu. Zaglądałam na fora, jakie tylko znalazłam, i z każdym wpisem uświadamiałam sobie, jak przerażająco mało czasu zostało.

Nieoperacyjny glejak nie dawał mi żadnych szans. Najwyżej złudne nadzieje, między naświetlaniami a chemią, które i tak mnie nie wyleczą, tylko odsuną o kilka miesięcy to, co nieuniknione. Rozpacz wypełniała każdą moją komórkę. Jak nigdy w życiu potrzebowałam w tym momencie kogoś bliskiego przy sobie. Kogoś, kto tylko by ze mną był, potrzywał mnie za rękę, z kim mogłabym się podzielić tym, co w sobie noszę, zanim żal i paniczny strach rozerwą mnie na strzępy.

Ścisnęłam telefon w dłoniach, snując się nocami po mieszkaniu. W jednej chwili chciałam zadzwonić do męża, w następnej z tego rezygnowałam. Przecież nie powiem mu przez telefon, że mam raka. Wolałam to zrobić, jak Robert przyjedzie, by przytulił mnie mocno, wsparł choćby nieprawdziwym słowem pocieszenia, zapewnił, że przejdziemy przez to razem. Przecież mimo wszystko był dla mnie najbliższym człowiekiem, jakiego miałam.

O tym, by pojechać do swojej rodziny i u niej szukać pomocy, nawet nie pomyślałam.

Ponieważ wśród moich nierealnych marzeń najważniejsze było to, by urodzić się w innej. Z tej, w której przyszłam na świat, każde z dzieci uciekało, ledwo weszło w dorosłość.

W roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym, roku obrad Okrągłego Stołu, roku, w którym runął berliński mur, a wcześniej czołgi rozjeżdżały w Pekinie studentów, czwartego czerwca zaś Joanna Szczepkowska ogłosiła upadek komunizmu w Polsce, urodziłam się ja. Dokładnie tego samego dnia. Jedyne dziecko i najmłodsza z piątki rodzeństwa. Nigdy nie miałam i nie mam złudzeń, że dla rodziców dzień moich urodzin był wyjątkowy, choć dla historii stał się dniem przemian.

Jak podrosłam, lubiłam sprawdzać, co ważnego wydarzyło się na świecie tego dnia, kiedy przyszłam na świat. Dowartościowywałam w ten sposób sama siebie, bo dla moich rodziców byłam tylko kolejnym przypadkowym dzieckiem, które trzeba wykarmić.

Mieszkaliśmy w małym poniemieckim domu obok kilku podobnych w pegeerze Niebo w północno-wschodniej Polsce. To znaczy – w byłym pegeerze. Tego działającego, w którym pracowali prawie wszyscy z naszej osady, w tym moi rodzice, nie pamiętam. Zostały po nim tylko długie, zdewastowane szare budynki, straszące z daleka pustymi oczodołami okien, i nasza osada Niebo, bezdusznie pozostawiona swojemu losowi.

Niebiańska nazwa nie pasowała do tego piekielnego miejsca, zapomnianego przez Boga i ludzi. Do większej wioski trzeba było iść trzy kilometry ścieżką między polami. Zewsząd otaczały nas pola. Tylko od północnej strony stał walący się budynek ze starą rampą przeładunkową, gdzie najczęściej bawiły się wiejskie dzieciaki. Podobno dawno temu jeździł tamtędy pociąg. Tory, których nie zdołano

rozkraść na złom, porosły trawą. Nasz dom był najbliżej tej rudery, do której czasem uciekałam.

W naszym domu były dwa pokoje z pomalowaną na olejno podłogą, węglowa kuchnia i piec. Nie mieliśmy łazienki, tylko wodę podciągniętą ze studni. Za potrzebą chodziliśmy do wychodka. Spaliśmy po dwoje, bo na więcej łóżek nie było ani pieniędzy, ani miejsca. Ja dzieliłam łóżko z najmłodszym z braci, Przemkiem. Tylko najstarszy, Romek, spał sam. Nie byłam szczególnie zżyta z braćmi, a i oni mnie przeganiali. Tak samo jak matka.

– Idź mi stąd – opędzała się ode mnie zniecierpliwiona, kiedy obejmowałam rączkami jej szerokie biodra, gdy stała nad wielką misą i robiła pranie w burych mydlinach.

A ja chciałam tylko się przytulić do miękkiego, pulchnego ciała matki, ubranej w kwiecisty, styłonowy bezrękawnik. Może i kochała mnie na swój sposób, ale ja tego nie czułam. Nie pamiętam, by kiedykolwiek nazwała mnie córeczką czy Hanusią, zawsze byłam tylko Hanką.

Muszę uczciwie przyznać, że mimo tego chłodu matka troszczyła się o nas. Nigdy nie chodziliśmy głodni. Była mistrzynią w zrobieniu czegoś z niczego. Zamykała w słoiki wszystko, co tylko mogła przetworzyć. Do perfekcji opanowała przyrządzanie na dziesiątki sposobów potraw z kartofli, bo były najtańsze. Prała i łątała nasze znoszone ciuchy, dbała, by zimą było czym palić w piecach. To matka biegła do pomocy społecznej po zapomogi i chowała pieniądze przed ojcem.

Latem goniła nas do lasu na jagody, które sprzedawaliśmy w skupie. Jesienią musieliśmy zbierać grzyby na handel. Jak było trzeba, szliśmy do bogatszych sąsiadów z innej wioski, żeby pracować w polu. Tylko ojciec nigdzie nie chodził, bo albo spał pijany, albo szukał okazji do wypicia. Najgorzej było wtedy, kiedy nie dopił. W takich chwilach najczęściej szukał pretekstu do awantury. Wtedy należało uciekać, żeby nie oberwać. Może dlatego umiem tak szybko biegać?

Ojciec upijał się na smutno. Kiedy był już mocno pijany, wtedy kiwał się na krześle przy stole i rozmazując łzy ze smarkami, narzekał:

– Za pegieeru to ja panem byłem! Wypłatę dawali, jajka, mleko, mięso, a i na boku człowiek zahandlował. Nie to, co teraz! Za komuny to my by żyli jak ludzie!

– Weź się do roboty, ochlewusie jeden, bo moje żresz i przepijasz! – warczała matka.

– Zamknij ryj, szmato! – odpowiadał ojciec i zrywał się z pięściami.

Tak najczęściej rozmawiali ze sobą moi rodzice. Chowałam się wtedy za szafą albo uciekałam ze strachu. Na rampę, w pola, gdziekolwiek, byle dalej od krzyku i awantur. Do dziś nienawidzę krzyku.

To właśnie ta pustynia uczuciowa wyganiała nas, okaleczonych emocjonalnie, z tego domu, do którego nie chcieliśmy już wracać.

Matka urodziła mnie po czterdziestce. Ta niewysoka, przedwcześnie postarzała i zgorzkniała kobieta łagodniała tylko przed ołtarzem. Bo w naszym domu był ołtarz. Nie taki prawdziwy, jak w kościele czy w domach moich koleżanek, gdzie na koronkowych serwetkach stały figurki Matki Boskiej, a na ścianach wisiały święte obrazki. Obrazek u nas też był, matka codziennie modliła się przed nim i nas do tego goniła krzykiem bądź ręką, ale naszym rzeczywistym ołtarzem był telewizor. Stary, kolorowy odbiornik jeszcze z czasów, gdy rodzicom lepiej się powodziło, czyli gdy pracowali w pegeerze.

Telewizor znajdował się na centralnym miejscu w większym pokoju, osłonięty serwetką jak firanką. Stały na nim dwa porcelanowe liski, a między nimi sztuczne kwiatki w wazoniku. Matka nabożnie zarzucała serwetkę na figurki i włączała odbiornik. Najchętniej oglądała seriale, zwłaszcza telenowe. Wtedy widziałam inną matkę niż ta, którą znałam na co dzień. Bywała wzruszona, czasem się uśmiechała, pokazując nadsute zęby, i mówiła do mnie inaczej niż zwykle, ciepłej.

– Patrz, Hanka, jaka ta Esmeralda piękna – wzdychała. – A jakie ma bogate życie. Wiesz, że się miałaś nazywać Isaura? Tylko ksiądz nie chciał cię tak ochrzcić. Może to i lepiej, bo niekatolickie imię to grzech.

– Opowiesz mi o tym mamó? – prosiłam, przycupnąwszy przy jej kolanach.

– Nie przeszkadzaj teraz, widzisz, że oglądam – odburkiwała, nie odrywając twarzy od ekranu. – Chwili spokoju człowiek nie ma.

No więc nie przeszkadzałam. Oglądałam cichutko razem z nią. Nawet chrapiący na łóżku pijany ojciec nam nie wadził. A bracia jak zwykle gdzieś znikali. To był czas tylko mój i matki.

To z telewizora dowiadywałam się, jaki jest świat. I nie mogłam się nadziwić, że ten na ekranie jest zupełnie inny niż mój prawdziwy. Tam były piękne mieszkania, ładni ludzie, śliczne zabawki, szczęśliwe rodziny, dzieci na spacerach z rodzicami i drogie restauracje z takim jedzeniem, jakiego w życiu nie widziałam.

Najbardziej lubiłam oglądać reklamy zabawek, o których mogłam tylko marzyć. Sama nie miałam ładnych zabawek. Jakieś resztki po braciach albo otrzymane z darów i jedną lalkę, którą dostałam, nie pamiętam od kogo.

Chłonęłam te obrazy latami, aż do czasu, gdy odkryłam inny świat. Świat książek. Tylko ja w mojej rodzinie czytałam książki. Chociaż czasem robiła to też matka, jeśli można nazwać czytaniem wertowanie książeczki do nabożeństwa. Zaczynałam podstawówkę, kiedy pierwszy raz poszłam do biblioteki w szkole.

Pracowała tam wtedy pani Róża. Była dużo starsza od mojej matki. Miała siwe włosy, spięte w kok, okrągłe okulary i ciągle się uśmiechała. To pani Róża dała mi pierwszą książeczkę i uczyła mnie czytać, bym szybciej opanowała literki. Szło mi tak dobrze, że wkrótce mogłam czytać sama.

Pani Róża wybierała dla mnie książki, a potem pytała, co mi się najbardziej podobało, którym bohaterem chciałabym być i dlaczego. Jak ja to uwielbiałam! Lubiałam iść drogą między polami ze szkoły do domu i wyobrażać sobie, że jestem zagubioną w buszu Nel albo Anną przeciągającą listy na sznurku z Lisą, tak jak dziewczynki w *Dzieciach z Bullerbyn*. Byłam nawet Jagienką, polującą na niedźwiedzia. I dzielnym Wołodyjowskim, złym Azją, Barim, synem szarej wilczycy. Moja fantazja nie miała granic. Chciałam być wszystkim, bylebym nie była tym, kim jestem. Biedną dziewczynką z patologicznej rodziny.

Określenie „patologiczna rodzina” usłyszałam po raz pierwszy, jak miałam dziesięć lat. Do naszej osady przyjechała jakaś komisja z województwa. Ubrani w garnitury urzędnicy oglądali opuszczone pegeerowskie budynki, potem nasze domy, a było ich w Niebie siedem. Dzieciaki ze wsi, wśród nich i ja, biegały za tą komisją. Wtedy jedna pani powiedziała do jakiegoś pana:

– To patologiczne rodziny, spisane na straty. Tu żadne programy naprawcze nie pomogą. Tylko dzieci szkoda.

Zapamiętałam każde słowo. Potem w szkole sprawdziłam, że „patologiczny” znaczy odbiegający od normy. Nie mogłam tego pojąć. Dla nas normą było życie, jakie wiedliśmy, bo wszyscy w Niebie żyli tak samo. W każdym domu tak samo się piło jak u nas, biło dzieci albo żony, narzekało na nowe czasy, z nostalgią wspominało komunę, biegło po zapomogę do gminy albo dorabiało na czarno. Norma nad normami. To telewizja była patologiczna, bo odbiegała od naszej normy. Ludzie z ekranu nawet pewnie nie wiedzieli, że jest taki świat jak nasz. Wtedy przestałam oglądać telewizję i czytałam jeszcze więcej.

Wkrótce zauważyłam, że odstaję od mojej rodziny. Nawet mówiłam inaczej niż oni. Matce jednak przeszkadzało, gdy włączałam słabą żarówkę zwisającą z sufitu i schylona nad książką siadałam przy piecu.

– Hanka, gaś światło, tylko prąd marnujesz – burczała za każdym razem.

Posłusznie wyłączałam światło, by więcej prądu zostało dla telewizora. Matka zawsze oglądała filmy po ciemku, podobno tak lepiej widziała. Bracia też się podśmiewali, widząc mnie z książką. Sami zaczęli wtedy zaglądać do kieliszka.

– Ty, literatka z koziej dupy, uważaj, za mądra będziesz – rechotali, rozwaleni na łóżkach, popijając

w ukryciu wino z butelki. Resztkę, której nie dopił ojciec, bo padł.

To był czas, kiedy ojciec właściwie nie trzeźwiał. Nienawidziłam i wstydziłam się go. Zazwyczaj widziałam go w zaplamionych brązowych spodniach, wsuniętych w gumki, starej koszuli z flaneli i dziurawym, burym swetrze. Niedomyty, zarosnięty facet z czerwonym nosem.

Taki mam obraz ojca, z którym nie czułam i nie czuję najmniejszej więzi. Uciekałam od niego, gdy spał pijany w przydrożnym rowie albo wracał do domu, zataczając się na wszystkie strony. Uciekałam, gdy wrzeszczał i przeklinał, rzucając się do bicia. Nie mogłam znieść widoku jego rozwalonego cielska na łóżku. Walił się na nie nieprzytomny, nie zdjęwszy nawet gumiaków. To matka ściągała mu je za każdym razem, a potem pokój wypełniał smród skarpet.

I choć wiele razy życzyłam ojcu śmierci, to jednak broniłam go zajadle, gdy koleżanki w szkole śmiały się ze mnie, że mam tatę pijaka. Plotłam wtedy takie bzdury, że sama zaczęłam w nie wierzyć. Kłamstwo wielokrotnie powtarzane zyskuje moc prawdy, a bieda ma bogatą fantazję.

Dlatego w moich fantazjach, wygłaszanych na użytek koleżanek, mój tata był dobry, zrobił dla mnie bujany fotelik na urodziny, a na wakacje zabierze mnie nad morze. Wymyślałam coraz bardziej niestworzone historie na temat ojca, w moich opowieściach urastał on do rangi bohatera. Wręcz supermena, odważnego rycerza, który zawsze mnie broni i spełnia zachcianki. Byłam taka naiwna, iż myślałam, że mi uwierzą, zwłaszcza że w klasie miałam dziewczynki z innych wsi. Nie wiedziałam wtedy, jakie dzieci potrafią być okrutne. Jak łatwo rozszyfrują moje kłamstwa.

– Ale ty, Hanka, głupia jesteś. Idź, zobacz swojego ojca, chrapie w krzakach za torami. Mój tata rano go widział i ja też, jak jechaliśmy do szkoły. – Dorota pokazała mi język, nazwała mnie kłamczuchą i namówiła inne dziewczynki, żeby więcej się ze mną nie zadawały.

I tak zostałam bez koleżanek. Potem sama się od nich odsuwałam. Dlatego nie mam przyjaciół, bo nie umiałam nabrać zaufania do ludzi. Do dziś tego nie potrafię.

Za to jeszcze bardziej znenawidziłam ojca. Prawda była taka, że nigdy nic od niego nie dostałam. Prawie nigdy; pamiętam, że kiedyś dał mi cukierka.

– Dla ciebie, córka. – Wyjął z kieszeni zgniecionego irysa w rozpakowanym częściowo papierku.

Cukierek był oblepiony paprochami z kieszeni, ale wyjątkowo mi smakował. Może kiedyś ojciec dał mi coś jeszcze, jednak moja pamięć tego nie zarejestrowała. Matka też specjalnie nie rozpieszczała nas upominkami. Pod choinkę dostawaliśmy słodycze, skarpety, jakieś drobiazgi, a na urodziny czekoladę.

Nie wiem, jak wyglądały święta w innych domach. U nas, prócz lepszego jedzenia i wyprawy do kościoła, ponieważ, jak wszyscy, chodziliśmy do kościoła w sąsiedniej wsi, było jak co dzień. Niezależnie, czy to Boże Narodzenie czy Wielkanoc, ojciec się upijał, a potem albo przychodzili jego koleżkowie, albo on szedł do nich. Czasem odwiedzała nas w święta dalsza rodzina ojca, a wtedy piło się więcej. Było jednak coś jeszcze.

W święta ojciec wkładał garnitur. Taki brązowy, w prążki, i białą koszulę, którą zapinał na ostatni guzik przy kołnierzyku. Matka zaś bezrękawnik w kwiatki zamieniała na granatową garsonkę, siwe włosy zawijała na wałki, a usta malowała na różowo. Gdy wchodziła do kościoła, brała nawet ojca pod ramię.

Odstawiała podobną szopkę każdej niedzieli, gdy udało jej się krzykiem albo przekupstwem zagonić ojca na mszę. Miała na niego niezawodny sposób: ćwiartkę wódki po powrocie do domu. My, najmłodszy, nie mieliśmy nic do gadania, i siłą rozpędu musieliśmy chodzić z rodzicami. W kościele matka modliła się najżarliwiej, zezując oczami na boki, ojciec zaś śpiewał najgłośniej. Całemu światu i wszechświatu obwieszczał w ten sposób, że oto zasłużył na obiecanej nagrodę.

Napawała mnie wstrętem ta gra pozorów. Nie mogłam sobie tylko wytłumaczyć, na czyj to użytek. Sąsiadów? Przecież i tak wiedzieli, co się u nas dzieje na co dzień. Na wsi wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. Czy też Pana Boga? Przecież, jeśli jest wszechwiedzący, tym bardziej znał prawdę. Zresztą

i tak zapomniał o nas dawno temu. Gdyby tak nie było, to mój dom i rodzina wyglądałyby zupełnie inaczej.

Obowiązywała u nas żelazna zasada: każdy jak najszybciej musiał zacząć zarabiać i oddawać wypłatę matce. Nawet najstarsi bracia oddawali jej zarobione gdzieś dorywczo pieniądze.

– Mieszkacie pod moim dachem, opieram was, karmię, żyły sobie dla was wypruwałam całe życie, więc stulić pyski i pieniądze na stół! – Tak zwykle krzyczała matka, gdy któryś z braci buntował się przeciw temu rozkazowi.

Nie wnikała też za bardzo, gdzie zarabiają. Najważniejsze, aby przynosili jak najwięcej. Potem się dowiedziałam, że Romek sprzedawał części z kradzionych samochodów. Miał nawet sprawę w sądzie, ale jakoś się wywinął przed więzieniem. On pierwszy odszedł z domu i wyjechał do Anglii, żeby pracować na budowie. Zaraz po nim wyniósł się Leszek. Pojechał do Romka. Czasem przysyłali kartki na święta. Potem przestali.

Trzeci brat, Irek, wylądował w więzieniu za bójki i kradzieże. Z naszej piątki w domu zostaliśmy tylko Przemek i ja.

Przemek, starszy ode mnie o trzy lata, dorabiał jako pracownik niewykwalifikowany w lesie. Nigdy nie ciągnęło go do nauki. Zresztą żadnego z moich braci nie ciągnęło do nauki, a matka ich nie zachęcała. Ojca w ogóle to nie obchodziło, bo jego wypalony wódą mózg od dawna nie funkcjonował. Tylko ja z piątki rodzeństwa chciałam się uczyć.

Kończyłam gimnazjum, miałam dobre stopnie i pragnęłam pójść do liceum, a potem na studia. Jednak moja matka prędko storpedowała te plany.

– Ty mi tu, Hanka, żadnym liceum głowy nie zawracaj! – Aż się zatrzęsała na mój pomysł. – Do zawodówki pójdziesz. Fach zdobędziesz, to i pieniądze prędej zarabiać zaczniesz! Ile lat chcesz jeszcze na garnuszku starej matki siedzieć?!

Nie wypominałam jej wtedy, że i ja od dawna dokładałam się do tego garnuszka z pieniędzy za jagody, grzyby i prace sezonowe. To ja w każde wakacje siedziałam przy szosie z wiaderkiem kurek czy jagód i sprzedawałam je ludziom, którzy się zatrzymywali. To ja chodziłam zbierać truskawki, rwać porzeczki, okopywać ziemniaki do innych, tych co mogli zapłacić. Z czasem odkryłam, że byli w naszym sąsiedztwie jacyś „inni”, którym się udawało wygrzebać z biedy i żyli jak ludzie. Moi rodzice jednak wciąż tkwili w martwym punkcie, jakby czas się dla nich zatrzymał wraz ze zmianą systemu.

Nic z tych pieniędzy, które zarabiałam, nie zostawiałam sobie. To matka zawsze decydowała, ile i na co mogę wydać. Nie aprobowała wydatków na utrzymanie mnie w liceum, do którego musiałabym daleko dojeżdżać, nie mówiąc już o studiach. I nie obchodziło jej, że sama dowiedziałam się w gminie o zapomogach dla dzieci wiejskich, specjalnych programach edukacyjnych, które miały wyrównywać szanse.

– To moje marzenie, żeby pójść do liceum, a potem na studia – upierałam się przy swoim.

– Marzeniami się nie nazrzesz! – Matka grzmotnęła pięścią w stół. – Wielka uczona się znalazła! Pójdziesz do zawodówki i koniec!

Odpyskowałam jej wtedy, że jest podła i krótkowzroczna, pozbawia mnie lepszej przyszłości, ale dalsze wywody przeciął policzek, który mi wymierzyła. Nie byłam pełnoletnia i musiałam jej słuchać. Może gdyby wtedy jeszcze żyła pani Róża, pomogłaby mi przekonać matkę i moje życie wyglądałoby inaczej. Umarła jednak, jak byłam w ostatniej klasie gimnazjum.

Poszłam więc do tej handlowej zawodówki i zaraz po jej skończeniu zaczęłam pracować w sklepie w sąsiedniej wsi.

Prawie całą wypłatę oddawałam matce, zostawiając sobie grosiki, a i tak narzekała. Zawsze narzekała. Nigdy mnie nie pochwaliła. Nawet za piątkowe świadectwa.

Nie wiem, czy są ludzie stworzeni do konkretnych celów w życiu. Jeśli tak, to moja matka na pewno nie miała powołania do macierzyństwa. Tak samo jak ojciec do ojcostwa. Nie przekazali nam nic, co moglibyśmy oddać swoim dzieciom. Dlatego sama nie chciałam mieć dzieci. Bałam się, że nie będę umiała ich kochać, bo mnie nikt nie kochał. Jedyną wartością, jakiej doświadczyłam, była taka, że musiałam dorosnąć, nim przestałam być dzieckiem. To nieprawda, że sami wybieramy swój los. To los wybiera nas. Mnie upodobał sobie ten gorszy. I złośliwie dorzucił mi jeszcze glejaka na dokładkę.

W sklepie pracowałam ponad rok. Tam też poznałam Roberta. Zajmował się wtedy dodatkowo handlem obwoźnym i co jakiś czas dostarczał nam towary.

Zamieniliśmy ze sobą kilka słów o tym i owym; raz czy drugi podwiózł mnie do domu. Trwało to jakiś czas, ale do niczego między nami wtedy nie doszło. Nie podrywał mnie, nie adorował, nie stało się nic, co by mnie skłoniło do najbardziej absurdałnego pytania, jakie udało mi się dotąd zadać. Zebrałam w sobie całą odwagę i zapytałam, czy się ze mną ożeni, a on się zgodził. Nie od razu, ale się zgodził.

Wzięliśmy cichy, cywilny ślub. Mojej matki na nim nie było. Obraziła się, że zrezygnowaliśmy z kościelnego. „Jak Bóg nie pobłogosławi tego związku, to ja też nie! Nie mam już córki!”, tak nam wtedy wykrzyczała i wyzwała mnie od bezbożnic. Zabolało, ale byłam już dorosła i nie musiałam się liczyć z jej zdaniem. Wolałam własny wybór niż hipokryzję, w której rosłam, i religijność na pokaz.

I tak poszłam w ślady braci, zapominając o swojej rodzinie. Ale czy o takiej rodzinie chce się pamiętać? Ja nie chciałam i nie czuję się z tego powodu winna. Mogłabym znieść najskrajniejszą biedę, ale osłodzoną choć odrobiną uczucia. Moich rodziców jednak nie było na to stać. Jak mogli nas kochać, skoro warczeli na siebie jak psy i zatruli się wzajemnie nienawiścią? Dlatego tak bezwzględnie stamtąd uciekłam. Nie byłam w Niebie od prawie czterech lat. Podobnie jak bracia wysyłałam kartki na święta. Od mojej ultrakatolickiej matki nie dostałam ani jednej.

Ciekawe, jak by zareagowała, gdybym teraz przyjechała i powiedziała jej, że umieram, zastanawiałam się, siedząc w ciemnym pokoju, wpatrzona w oświetloną Zaspę. Przytuliłaby mnie? Żałowałaby tego, jaka dla mnie była? Ona nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo mnie okaleczyła. To przez nią nie umiem kochać. I nie wiem, czy zdążę się nauczyć, myślałam, wyłuskując z opakowania tabletki przeciwbólne.

Ból pulsował mi w głowie. Nie był jeszcze silny, ale i tak wydawał się przerażający w swojej nieuchronności, do której mnie prowadził. Tylko rano go nie czułam, gdy przed pracą poszłam na plażę. Drugi raz napatoczył się ten dziwny biegacz.

– W czymś pani pomóc? – zapytał.

Gdzieś go widziałam wcześniej, tylko gdzie, zastanawiałam się, przygotowując kolację dla Roberta. Miał niedługo wrócić. Dopiero obierając warzywa do zapiekanki, uświadomiłam sobie, że sama przez te dni prawie nic nie jadłam. Mój żołądek zawiązał się na supeł.

Prawda, już wiem, gdzie pierwszy raz zobaczyłam tego człowieka, dopiero teraz sobie przypomniałam. To przecież on usiadł wtedy na ławce z komórka. Jak go spotkam znowu, to zapytam, czy mnie pamięta. Niby czemu miałyby o mnie pamiętać jakiś obcy facet, wzruszyłam ramionami w momencie, gdy zachrobotał klucz w zamku. Wrócił Robert.

– Już jesteś! – zawołałam i podbiegłam, by go przywitać.

Naprawdę ucieszyłam się, że wrócił. Objęłam go mocno, jakbyśmy byli kochającym się małżeństwem, dla którego trzydniowe rozstanie to cała wieczność. Znów trochę zeszywniał, ale też mnie objął.

– Jestem i mam same dobre wieści. Zaraz ci opowiem, tylko umyję ręce. – Przesunął mnie w progu, zdjął kurtkę, buty i wszedł do łazienki. – No więc słuchaj – zaczął, mydląc dłonie pod kranem. – Pierwsza rzecz, to sprzedałem nasz warzywniak. Za piętnaście tysięcy łącznie z towarem. Ten gość był tak napalony, że wydzwaniał do mnie kilka razy. Jutro podpisujemy umowę, inwentaryzację trzeba będzie



zrobić, a potem pozałatwiać w urzędach – mówił podekscytowany, strząsając z rąk krople wody.

Podaliśmy mu ręcznik, słuchając bez specjalnego zainteresowania. Robert bombardował mnie zalewem informacji, moja sprawa musiała poczekać.

– Załatwiłem też wszystko w sprawie ryb. Kroi się niezły interes. Możemy dobrze się na nim ustawić. Dlatego myślę, że prócz tych piętnastu tysięcy powinniśmy zaryzykować choć część oszczędności, tak z dychę na przykład. Zostanie prawie drugie tyle, ale wiesz, jak jest. Więcej włożysz, więcej wyjmiesz, to i mieszkanie kupimy szybciej. Zaraz ci dokładnie wszystko opowiem, tylko najpierw coś bym zjadł. – Zacierał ręce zadowolony.

– Już dochodzi zapiekanka, taka jak lubisz – odpowiedziałam trochę przygaszona.

Co mnie teraz obchodzi większe mieszkanie czy też lepsze perspektywy, ten cały wyścig, w którym biegniemy bez wytchnienia? Jednak mój mąż jaśniał jak nigdy. W tym blasku wizji lepszej przyszłości nawet nie widział cienia, który na mnie spłynął. Zjadał pośpiesznie kolację, wciąż opowiadając o szczegółach nowego biznesu. Planował, że będzie dostarczać świeże ryby do restauracji w Trójmieście, a latem otworzy smażalnię przy plaży.

Słuchałam, grzebiąc niemrawo widelcem w talerzu. Prawdopodobnie będzie to ostatnie lato w moim życiu; poczułam taki żal, że przygryzłam usta i zacisnęłam powieki.

– Hanka, o co chodzi? – Robert odsunął talerz i po raz pierwszy, odkąd wszedł do domu, popatrzył na mnie z uwagą. – Myślałem, że się ucieszysz, bo możemy szybciej stanąć na nogi, a ty jesteś taka skrzywiona.

– Musimy... – przełknęłam ślinę, wpatrzona w talerz – porozmawiać.

– Teeraz? – jęknął przeciągle. – Padam na nos. To były wyczerpujące dni, a jeszcze droga ze Szczecina zapchana, śliska. Odłóżmy to do jutra.

– Nikt nie wie, co będzie jutro – odpowiedziałam z głową zwróconą w stronę okna.

W nieosłoniętych firankami ciemnych szyb odbijały się nasze sylwetki. Jego większa, moja mniejsza. Bardziej żałosna, zgarbiona, zasłonięta włosami. Plecy miałam pochylone tak, jakbym dźwigała na nich przeogromny ciężar albo ziemia ciągnęła mnie do siebie.

– Filozof z ciebie. – Robert cmoknął i wstał od stołu. – Dobra, tylko najpierw wezmę prysznic, strasznie się lepię.

Zniknął w łazience. Pozmywałam, zmieniałam pościel, a potem poszłam się umyć. Kiedy wróciłam owinięta grubym szlafrokiem, Robert już przysypiał przy włączonym telewizorze. Wyciszyłam dźwięk i usiadłam na brzegu wersalki obok męża, naciągając nocną koszulę na podwinięte kolana.

– Dlaczego się ze mną ożeniłeś?

– To o tym chciałaś rozmawiać? – Spojrzał na mnie zaskoczony.

– Nie o tym, ale chciałabym wiedzieć.

– Przecież sama chciałaś. – Uniósł się na łokciu. – Naprawdę musimy teraz o tym rozmawiać? – Usłyszałam zniecierpliwienie w jego głosie.

– Nigdy nie rozmawiamy.

– Co ty gadasz? – Poklepał ręką poduszkę, na powrót przykładając do niej głowę. – Przecież ciągle rozmawiamy. Nie dalej jak kwadrans temu przy kolacji. Śpijmy, bo już po dziesiątej, a rano trzeba wstać do pracy. – Odwrócił się do mnie plecami i naciągnął pod brodę swoją część kołdry, dając do zrozumienia, że chce spać.

– Robert, muszę ci coś ważnego powiedzieć. – Odetchnęłam głębiej, gdyż zaczęłam się obawiać, jak przyjmie tę wiadomość. Przecież nie chciał żadnych problemów, a glejak to jednak problem.

– Prawda, coś wtedy wspominałaś. – Odwrócił się na drugi bok. – Tylko się streszczaj.

– Najpierw odpowiedz na moje pytanie – nie ustępowałam, ponieważ w głębi duszy liczyłam na jedyną

odpowiedź, jaką chciałabym teraz usłyszeć. – Wystarczyło, że cię poprosiłam, żebyś się ze mną ożenił?

Zsunął kóldrę do wysokości torsu i pomyślał chwilę.

– Dobry był z ciebie materiał na żonę. Bezproblemowa, pracowita, gospodarna. Czego chcieć więcej. – Usłyszałam powód zbyt racjonalny jak na moje oczekiwania. Czego chcieć więcej, powtarzałam w myślach. Dużo więcej, odpowiedziałam sama sobie.

– Nie kochałeś mnie i chyba nie kochasz – odparłam, bawiąc się obrączką na palcu.

– Kocham, nie kocham, jakie to ma znaczenie? – Mój mąż się zniecierpliwił.

– Powinno mieć, żeby potem nie żałować, że się coś ważnego w życiu przegapiło. Ty nie żałujesz, że między nami jest tak trochę nijak? Wypełniamy czas prawie wyłącznie pracą, tylko dlatego, że nie umiemy wypełnić go niczym innym. Nigdy nie chciałeś, żeby było inaczej?

– Jest normalnie – stwierdził obojętnie. – Nie kłócimy się, jesteśmy młodzi, mamy mieszkanie, pracę, spokój, jakieś perspektywy, chyba żyjemy zwyczajnie. To się nazywa stabilizacja. Wypełniamy czas pracą, ponieważ praca jest ważna. Co ci raptem przyszło do głowy? Przecież wcześniej nie narzekałaś. Czego mam żałować? Że co przegapiłem? Ty coś przegapiłaś? – zadawał kolejne pytania kompletnie zdezorientowany.

– Przegapiłam.

– Niby co?

– Miłość. I chciałabym to nadrobić o tyle, o ile jeszcze zdążę – dodałam, kładąc się obok niego, z głową na jego ramieniu.

– Naprawdę dziwnie coś gadasz. – W jego głosie słychać było napięcie połączone ze zniecierpliwieniem. – Stało się coś?

Milczałam przez chwilę, a potem nabrałam powietrza i byłam gotowa odpowiedzieć.

– Mam raka.

Mnie samą zaskoczył spokój, z jakim to mówiłam. Oznajmiłam to tak, jakbym powiedziała, że mam bilety do kina albo przepis na ciasto z czekoladą.

– Co... masz? – Usiadł gwałtownie, podciągając i mnie do siadu. Popatrzył na mnie rozbieranym wzrokiem. Wyglądał, jakby mi nie uwierzył. Może się przestraszył, nie dosłyszał, nie wiem.

– Raka – powtórzyłam. – To guz mózgu, nie można go wyciąć. Nic z nim nie można już zrobić. Umrę.

Robert zastygł w bezruchu, z półotwartymi ustami. Dosłownie zamienił się w słup, a ja powtórzyłam wszystko, co powiedział lekarz i co sama przeczytałam w internecie. Wpatrywałam się przy tym w widoczny na regale róg koperty, w której zamknięty był mój rak. Trzeci lokator w tym domu. Niemy uczestnik naszej rozmowy.

Robert słuchał prawie nieruchomo. Po chwili wstał i zaczął się miotać po pokoju.

Wyłączył telewizor, włączył małą lampkę, chodził z kąta w kąt, jakby nie mógł sobie znaleźć miejsca. Raz po raz przeczesał ręką rzędzące włosy, których koloru nigdy nie mogłam określić. Coś między szarością a ciemnym blond, takie mysie jak moje. Przycisnął dłonie do twarzy i pokręcił głową, wypuścił ze świstem powietrze.

– Dlaczego teraz? – spytał w końcu, a ja zamrugałam, jakby wpadło mi coś do oka.

Dlaczego teraz? Wystarczyłoby samo „dlaczego?”. Po co jeszcze „teraz”? A kiedy jest odpowiedni czas na raka? Teraz czy potem? Nie spodziewałam się jakiejś specjalnej rozpaczki ze strony mojego męża, zresztą nawet jej nie chciałam, ale jego pytanie mnie dotknęło. Przełknęłam jednak tę gorzką pigułkę, ponieważ taka wiadomość mogła być dla Roberta szokiem, a ludzie różnie wtedy reagują.

– Też wolałabym umrzeć za pięćdziesiąt lat, ale wyszło inaczej i nie jest mi z tą świadomością komfortowo. Prawdę mówiąc, ledwo sobie z nią radzę. – Mimowolnie przygryzłam usta.

– Przepraszam, źle to ująłem. – Robert zamachał rękoma. – Chodziło mi o to, że dlaczego teraz, kiedy

możemy wyjść na prostą, kiedy jesteś taka młoda. Nie wiem, co powiedzieć w tej sytuacji, Hanka, naprawdę mi... przykro. – Usiadł obok mnie, a potem mocno mnie przytulił.

Boże, jak ja tego potrzebowałam. Wczepiłam się w niego jak kleszcz. Prawie wtopiłam się w jego skórę.

– Jesteś pewna, że... że naprawdę nic nie da się z tym zrobić? – Odsunął mnie na długość ramion. – Nie można tego wyleczyć?

– Nie w moim przypadku. – Mój głos załamał się mimowolnie, po policzkach popłynęły łzy, choć przecież nigdy nie płacę. Już nie powinnam mieć czym, wypłakałam się przez te trzy samotne wieczory.

– Nie pomogą mi, dlatego nie pójdę do szpitala, to znaczy – poprawiłam się – nie pójdę tak długo, jak się da, żeby nie tracić czasu.

– Nie pójdziesz – powtórzył stłumionym głosem.

– Nie.

– Co powinienem teraz zrobić? – W pytaniu Roberta słychać było bezradność. Czułam, że muszę dodać mu odwagi, choć sama jej potrzebowałam. Dlatego znów do niego przywarłam.

– Bądź ze mną – poprosiłam, przyciskając policzek do jego policzka. – Po prostu bądź. Spróbujmy nadrobić to, co nam umknęło, tyle, ile zdążymy – zakończyłam ciszej.

– Przerażasz mnie.

– Ja?

– Jesteś taka spokojna.

– Nie. Potwornie się boję, ale co to zmieni, jeżeli będę teraz histeryzować? Nic. Próbuję się z tym pogodzić. I jedyne, czego chcę, jeśli nie można nic więcej zrobić, to jak najlepiej wykorzystać czas, który mi został.

– Przestań. – Robert prawie zmiążdżył mnie w uścisku.

Tej nocy długo nie spaliśmy. Nie rozmawialiśmy też więcej. Leżeliśmy wtuleni w siebie, próbując zmierzyć się z tym, przed czym postawił nas los.

# Piotr

Michał, będę czekał na ciebie w piątek wieczorem na dworcu – powiedziałem do syna.

Po drugiej stronie słuchawki usłyszałem lekceważące prychnięcie. Od dziesięciu minut, odkąd trwała nasza rozmowa, prawdę mówiąc, nie słyszałem nic innego. Mój syn ignorował mnie dokumentnie. A ja, zamiast przywołać go do porządku, cieszyłem się, że w końcu raczył odebrać i jeszcze nie odłożył słuchawki.

– Powiedziałem, że nie przyjadę. Nie ogarniasz prostych komunikatów? – burknął, ciamkając gumą do żucia. Chyba zrobił balon, bo coś puknęło.

– Czy to tak wiele spędzić weekend z ojcem?! – Nie wytrzymałem i podniosłem głos. – Nie widzieliśmy się kilka miesięcy.

– Wisi mi to – prychnął po chamsku.

– Ale mnie nie wisi – odpowiedziałem spokojnie, choć coraz trudniej mi przychodziło znoszenie jego krnąbrności. Nie dam się sprowokować, nie dam się sprowokować, powtarzałem w myślach, by moje słowa brzmiały w miarę spokojnie. – Chcę zobaczyć własnego syna. Będzie fajnie. Połazimy po Gdańsku, pogadamy.

– A o czym ty chcesz ze mną gadać? – Lekceważenie przybrało na sile.

– Kiedyś mieliśmy wspólne tematy – wpadłem w tani sentymentalizm, ale mój syn nie dał się na to złapać.

Ryknął mi w ucho krótkim, głupawym śmiechem. Odruchowo odsunąłem słuchawkę od ucha.

– Nie mamy wspólnych tematów, odkąd skończyłem siedem lat! Wyluzuj z tymi tekstami, bo rzygać mi się chce.

– Jestem twoim ojcem. – Chwyciłem się tego najgłupszego argumentu, by podtrzymać rozmowę, a raczej jej głównianą namiastkę. Chyba cierpię na jakieś rozdwojenie osobowości, bo choć chodził we mnie każdy nerw, robiłem wszystko, by nie dać tego po sobie poznać.

– Poważnie??? – Kpina w głosie Michała ostro mnie dźgnęła. – To powiedz, w której jestem klasie? A, B czy C? Jak się nazywa moja wychowawczyni? Jaki mam rozmiar buta? Podrzuc nazwę mojej ulubionej kapeli! Jak ma na imię moja laska? Co jem na śniadanie?

– Michał – starałem się zapanować nad emocjami – wiedziałbym to wszystko, gdybyś raczył ze mną rozmawiać. Nadrobimy, jak przyjedziesz. A w klasie jesteś C – strzeliłem, jak Boga kocham, strzeliłem, naprawdę nie miałem pojęcia, w jakiej klasie jest mój syn, prócz tego, że w drugiej liceum.

– Noooo, brawo, ojciec – zaśmiał się beczelnie. – To jednak coś o mnie wiesz. A matka gada, żeś taki nieogarnięty.

– Daj mi ją do telefonu.

Nie zamierzałem odpuścić mojej eks tego, że nastawia dzieciaka przeciwko mnie.

– Polecieli z Edziem bzykać się na Kanarach. Wracają za tydzień.

– A ty zostałeś sam w domu? Jesteś niepełnoletni.

– Co ty powiesz? – Szyderstwo to za mało, by określić brzmienie głosu Michała. – No fakt, niepełnoletni. Został niecały rok. Ekstra, że mi przypomniałeś.

– Dobra, skończ te kpiny, do niczego nas to nie zaprowadzi. Skoro jesteś sam, to tym bardziej możesz do mnie przyjechać na weekend. W piątek o dwudziestej drugiej będę czekał na dworcu. A jak cię nie będzie, to zjawię się we Wrocławiu. Musimy pogadać.

– Niczego nie musimy.

– Radzę ci, żebyś był, wiesz, że żartuję tylko do czasu. – Groźba chyba zadziałała, bo Michał zmiękł.

– Moooooże – stęknął.

– Nie „może”, tylko masz być.

– No doooobra – zgodził się łaskawie. – W sumie to śmiechowco będzie twojej nawijki posłuchać. Spadam, bo laska na mnie czeka.

– Stop! – krzyknąłem. – Chcę wiedzieć, czy jest z tobą ktoś dorosły?! Bo naprawdę wsiadam w samochód i za parę godzin jestem we Wrocławiu!

– Wyluzuj, ojciec. – Strzelił gumą. – Jest Krycha, ten stary pasztet, co u nas sprząta i gotuje.

– Michał! – rzuciłem ostro, musiałem go jednak spionizować. Niech sobie smarkacz nie myśli, że wszystko mu wolno!

To są skutki metod wychowawczych Moniki, psioczyłem w myślach na moją byłą. Zero szacunku dla starszych.

– Siemka! – Mój syn się wyłączył.

Szlag by to, zakląłem pod nosem. Ponownie wybrałem numer Michała, ale od razu włączyła się poczta. Zadzwoiłem do Moniki. To samo. Cisnąłem komórkę na sofę, zaplotłem ręce za głowę i wychylony maksymalnie w fotelu, zarzuciłem nogi na biurko.

Umiałem łapać przestępców, rozwiązywać skomplikowane sprawy, pisać kryminały, spławiać Rysia, nawet przed ekspansją Elżbiety jako tako się broniłem, a nie umiałem się dogadać z jedynym synem. Jeśli chciał mnie wkurzyć, to cholernie mu się udało. Szurnałem nogą papiery z biurka, aż sfrunęły elegancko na podłogę.

Mój mały Michaś, którego nosiłem na barana, woziłem na sankach, wrzucałem do morza, a on aż po szyję zakopywał mnie w piachu na plaży albo ścigał się ze mną samochodzikami i rysował dla mnie laurki w przedszkolu, teraz stał się zwyczajnym rarogiem. Cynicznym małolatem, z którym, choćbym na rzesach stanął, nie potrafiłem złapać wspólnego języka.

No fakt, przyznaję, dużo w tym mojej winy, bo kiedyś odpuściłem i teraz mogłem sobie tylko w brodę pluć. Po rozwodzie z Moniką widywałem Michała kilka razy do roku. Jakoś niespecjalnie myślałem wtedy o synu. Bardziej zajęty byłem lizaniem swoich ran i robotą niż dzieciakiem.

Zabierałem go na wakacje, czasem na święta i to wszystko. Nie wychowywałem go tak, jak powinienem. Nie byłem z nim na co dzień jak Edzio. No i co tu dużo mówić, z mojej gównianej policyjnej pensji nie mogłem Michałowi zapewnić tego wszystkiego, co zapewniał mu tamten. I też prawdę mówiąc, nie zamierzałem tego robić. Nie żebym był sknerą, ale nie uważam, że zasypywanie dzieciaka drogimi prezentami wyjdzie mu na dobre.

Moja była żona jednak tego nie rozumiała, chociaż tłumaczyłem jej nie raz. Dla niej „mieć” znaczyło dużo więcej niż „być”. Nade wszystko w świecie kochała szmal i związany z nim blichtr. A Michał prędko podłapał jej ideologię mimo moich protestów.

Alimenty też płaciłem liche, chyba tylko po to, by Monika miała satysfakcję. Przecież te parę stów miesięcznie przy dochodach jej gacha było im potrzebne jak śnieg w maju. Ta kwota nawet w jednej setnej nie mogła pokryć rosnących wymagań Michała. Chłopak był psuty kasą w tempie zastraszającym, ale w tej sprawie nikt nie brał mojego zdania pod uwagę.

Mnie wystarczała zwykła komórka, a Michał musiał mieć najbardziej wypasiony model iPhone’a, koszulki Lacoste, najdroższe buty Adidasa i gacie Calvina Kleina.

O dziesiątkach elektronicznych wynalazków: grach z dekoderem ruchu, sprzęcie stereo i telewizorze, włączającym się na kłaśnięcie, nie wspomnę. Ja jeżdżę dziesięcioletnią cytryną, a Michał na osiemnastkę podobno miał dostać od Edzia jakiś sportowy wózek, prosto z salonu, czego nie omieszkała mi zakomunikować Monika podczas ostatniej rozmowy.

Ten padalec Edzio wiedział, jak przekupić mojego syna, a Monice było w to graj. Szlag mnie trafiał, gdy czasem mi opowiadała, żmija jedna, jak to było im cudownie we trójkę na Seszelach czy Dominikanie albo na zakupach w Nowym Jorku. Edzio nie tylko miał kilka limuzyn, takich, że za jedną można by kupić mieszkanie, ale również jacht, no i bardzo szeroki gest.

Rzadko rozmawialiśmy, zresztą i tak najczęściej przez telefon, ale Monika wykorzystywała każdą okazję, by wbić mi szpilę, jakim to byłem nieudacznikiem, a jak doskonały jest Edward. Prezes megaholdingu, członek rad nadzorczych w spółkach skarbu państwa, mecenas kultury, sponsor klubu piłkarskiego, et cetera, et cetera.

Kiedyś, jak mnie to wkurzy, prześwietlę interesy pana Czopka. Jeszcze mam dobrych kumpli w wydziale przestępczości gospodarczej.

Parsknąłem śmiechem, zawsze bawiło mnie jego nazwisko. Wielki rekin biznesu dla mnie był zwykłym Edziem Czopkiem, który najchętniej wetknąłbym sobie w tyłek. I tam go zresztą miałem. Za to Monisia prawie się do niego modliła. Jestem ciekaw, czy choć jeden orgazm przeżyła z tym zramolałym, spasionym safandulą. Co jak co, ale ze mną pod tym względem nie mogła narzekać. No chyba że... udawała?!

Nie, do cholery, nie mogła udawać! Przecież czułem, widziałem, jak odpływała za każdym razem! Zresztą diabli wiedzą, jak było, skoro zamieniła orgazmy ze mną na miliony Edzia. No chyba że z nim też udaje? Dla kasy, rzecz jasna, bo to dla niej najlepszy afrodyzjak.

Dlatego mogła się trochę poświęcić dla Edzia. Nie dość, że spełniał jej wszystkie zachcianki, to podobno traktował Michała jak syna, któremu, jak to określiła, „nieba by przychylił”. Jeśli niebem jest kolejny drogi gadżet, prywatna szkoła czy ekskluzywne wakacje, to rzeczywiście Edzio realizował się na tym polu doskonale i psuł moje dziecko, bo swoich nie miał.

No i czym wobec tego wszystkiego mogłem zaimponować Michałowi?

Tym, że piszę kryminały? Miał to tak samo w poważaniu, jak mnie. Swoją przygodę z czytaniem skończył na etapie *Harry'ego Pottera*. Zresztą, jakie „piszę”? Pisałem. Od rozmowy z Rysiem minął tydzień albo lepiej, a ja nawet nie otworzyłem komputera.

Zerknąłem na zegarek. Dochodziła trzecia. Kiszki zaczęły mi marsza grać, więc powlokłem się do kuchni, żeby coś przekąsić.

Nie przepadałem za gotowaniem, ale umiałem przyrządzić to i owo. Ostatnio pichciła mi Elżbieta. Najczęściej jakieś niskokaloryczne wynalazki, bo wiecznie była na diecie odchudzającej. Mnie też chciała odchudzać, choć nie wiem, z czego; odruchowo złapałem w palce kawałek skóry na brzuchu. Co prawda nie miałem „kaloryfera”, ale poza tym wcale nie było tak źle. Miałem gdzieś jej diety, dlatego podsmażyłem makaron z kielbasą i jajkiem, dorzuciłem trochę szczypioru. Jeszcze skubnąłem bazylii, którą Elżbieta ustawiła na parapecie. Nie powiem, nawet fajnie pachniało, ale zapomniałem podlewać i wszystko zwiędło. Udało mi się odzyskać dwa listki, które jako tako nadawały się do jedzenia. Wtrząchnąłem ze smakiem swój obiad przy akompaniamencie Zetki i usiadłem do pracy.

*To jest opowieść o nienawiści.*

Napisałem pierwsze zdanie i dalej ani w ząb. W streszczeniu wysłanym do Czarnego Oka główną bohaterką książki miała być maniakalna stalkerka, likwidująca kobiety, które kręciły się koło jej wybranka. Choć w krótkim zarysie fabuły wszystko wydawało się logiczne i spójne, teraz nic nie chciało się przelać do komputera. Nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić mojej bohaterki. Utknąłem po

pierwszym zdaniu i za nic nie mogłem się zmusić, by napisać następne. Zadzwonił telefon. No i dobrze, zyskałem pretekst, by przerwać.

– Hej, stary, żyjesz jeszcze? – Usłyszałem głos starego kumpla, co mnie ucieszyło.

Z Wojtkiem znaleźliśmy się jeszcze z liceum w Sopocie. Fajny gość był z niego. Odkąd pamiętam, zawsze ciągnęło go morze. Mnie zaś w ogóle, choć się nad nim urodziłem. Na samą myśl, że miałbym wsiąść na coś, co unosi się na wodzie, dostawałem choroby morskiej. Pływać, owszem, lubiłem, ale wyłącznie za pomocą nóg i rąk. Zupełnie inaczej niż Wojtek. Dlatego po maturze poszedł do Akademii Morskiej w Gdyni i teraz, w stopniu kapitana żegluga wielkiej, pływał po całym świecie na kontenerowcach. I to nie byle jakich, bo na czterdziestotysięcznikach.

A ja, prosty magister historii, w dodatku zaoczny, emerytowany policjant, były mąż z porożem jelenia, zapomniany ojciec, wypalony autor, biedziłem się nad nową książką, której nie chciało mi się pisać.

– Noooo, jesteś na lądzie, wilku morski! – zagrziałem basem. – Kiedy wróciłeś?

– A ze dwa tygodnie już będą.

– I dopiero teraz dzwonisz?

– Wiesz, jak jest. – Roześmiał się. – Kiedy człowiek osiem miesięcy siedzi na wodzie i jedyne kobiety, jakie ogląda, to te na spłowiących plakatach, to potem trzeba sobie ulżyć.

– Czasem chyba zawijasz do jakiegoś portu? Jakąś chętną na pewno można tam znaleźć.

– A chciałbyś egzotycznego syfa załapać? Aż takim desperatem nie jestem. Słuchaj, dziś już nie, bo jestem ustawiony, jutro też, ale w piątek może jakaś męska wódka?

– W piątek nie da rady, przyjeżdża Michał. Ale po weekendzie bardzo chętnie. Do kiedy zostajesz?

– Na początku maja znów wybywam. Lecę do Singapuru i okrętuję się tam na swojej jednostce. Co u Michała? Dawno go nie widziałem.

– To tak, jak ja. Ciężko nam się dogadać. Trochę się stawia – przyznałem bez ogródek, bo z Wojtkiem mogliśmy pogadać o wszystkim. Zresztą to on był chrzestnym Michała.

– To po ojcowsku strzel dzieciaka w dziób i od razu wszystko mu przejdzie albo daj mi szczeniaka na rejs. Jak trzy razy dziennie wyszoruje cały pokład, to szybko zmięknie. Mój bosman taką musztrę mu robi, że po pół roku chłopaka nie poznasz. Będzie chodził jak w zegarku.

– I tak już go nie poznaję, ale kto wie, może kiedyś skorzystam. Na razie próbuję ugodowo.

– Ugodowo to można pójść do łóżka z fajną laską. W życiu potrzebna jest twarda ręka i mocna dupa. Mam taką zbieraninę załogi z całego świata, że gdybym im choć trochę odpuścił, to żadnego transportu nie dowiozłbym bezpiecznie na miejsce. Dyscyplina to podstawa, bracie. No a co u ciebie poza tym? Pisziesz coś?

– Właśnie przed chwilą napisałem pierwsze zdanie nowego kryminału i dalej mogiła.

– No to kiepsko. Natchnienia ci brak. Malwina coś słabo dba o ciebie.

– Malwina to już historia.

– Nie gadaj! – Wojtek aż zapiał. – I ja o tym nic nie wiem? Kto ją teraz zastępuje?

– Elżbieta, ale też niedługo przejdzie do historii.

– Ładna?

– Tylko ładna, dlatego przejdzie do historii.

– Uważaj, bo lasek ci w Gdańsku zabraknie. Jak to mówią, głowa siwieje, dupa szaleje.

– Zejdź ze mnie – zachnąłem się. – Po pierwsze, jeszcze nie siwieję, a po drugie, sam nie jesteś lepszy.

Nie pamiętam, żebyś jakąś chciał zatrzymać na dłużej.

– A na cholerę mi stres? Wolę mieć spokojną głowę w robocie, niż gryźć się na rejsie, czy moja pani nie wali mnie po kątach jak ciebie Monisia – bezczelnie wytknął mi moją eks, palant jeden. Już chciałem coś mu powiedzieć do słuchu, tak po przyjacielsku, rzecz jasna, ale ktoś zadzwonił do drzwi.

– Wojtek, muszę otworzyć. Chyba mam gościa. – Ruszyłem w stronę korytarza. – Zdzwonimy się po weekendzie.

– Baw się dobrze, tylko o gumkach nie zapomnij.

– Palant.

Przyszła Elżbieta.

No, nie powiem, dziś mimo wszystko byłem zadowolony z jej wizyty. Potrzebowałem odreagować po rozmowie z synem. I żarty z Wojtkiem jakoś tak seksualnie na mnie podziałały. Elżbieta też wyglądała na zainteresowaną, bo ledwo pomogłem jej zdjąć płaszcz, przeciągnęła się kusząco i założyła nogę na moje biodro.

– Mam pół godziny, zaraz lecę zrobić rzęsy. – Ugryzła mnie w ucho. – Będiesz dla mnie miły, misiaczku?

– Daj mi dwie minuty – przełknąłem tego „misiaczka”, zawijając do łazienki.

Wyszorowałem zęby, wskoczyłem pod prysznic i umyłem się piorunem. Kiedy wróciłem przepasany ręcznikiem oraz zaopatrzony w ostatnią gumkę, Elżbieta siedziała na kuchennym blacie.

Odrzuciła do tyłu głowę i wyciągnęła przed siebie nogę. Spod dopasowanej czarnej sukienki wysunęła się koronka samonośnej pończochy. Elżbieta wodziła tą nogą w szpilce po moim torsie, przesunęła ją niżej, po czym czubkiem buta zsunęła ręcznik. Zmrużyła oczy, powoli oblizując krwistoczerwone usta. Muszę przyznać, że te tanie sztuczki miała w małym paluszku.

Mój organizm tym razem zareagował prawidłowo. Gotowość bojową osiągnąłem bez specjalnej gry wstępnej. Trochę się napuszyłem z dumy, bo gdy wkładałem prezerwatywę, Elżbieta z uznaniem oceniła moją wydolność.

Odwróciła się plecami, zapraszając mnie skwapliwie do środka. Chwilę później poczułem się wyjątkowo zrelaksowany.

I tym to dla mnie właśnie było, bez dorabiania jakiegokolwiek uczuciowej ideologii. Czysty, higieniczny seks, który przynosił odprężenie. Szybki niezobowiązujący numer, pozwalający rozładować emocje, by człowiek w miarę sprawnie funkcjonował.

Elżbieta też wyglądała na zadowoloną. Ucieszyłem się, bo aż takim egoistą nie jestem. Przyjemność partnerki zawsze była dla mnie równie ważna, jak moja.

Reszta dnia zeszła mi jałowo. W pisaniu nie posunąłem się nawet o jedno słowo, choć siedziałem godzinę przed laptopem. Uciałem sobie małą drzemkę, a potem, z braku lepszych pomysłów, drugi raz tego dnia poszedłem pobiegać. Jak zwykle nad morze. Zastanawiałem się, czy znów spotkam tę dziewczynę o hipnotycznym spojrzeniu. Nie widziałem jej od kilku dni. Nie, żeby mi aż tak na tym zależało, ale przypominało to trochę zabawę w podchody lub gonienie króliczka. W każdym razie było to coś, co budziło we mnie jakby potrzebę rywalizacji. Sam przed sobą nie potrafiłem wytłumaczyć, dlaczego w ogóle ta dziwna dziewczyna zaprzęta moje myśli. Truchtałem brzegiem tam i z powrotem prawie do szarówki, ale bez skutku. Nie przyszła. Poczułem lekki zawód.

A gdyby to właśnie ona została moim pierwowzorem bohaterki? W sumie nawet pasuje, analizowałem w drodze do domu. Te jej oczy... w zamyśleniu przystanąłem przed klatką. Oczy ma wyjątkowo intrygujące. Smutne, choć nieco wojownicze, trochę nieobecne, zamyślone. Chociażby z ich powodu mogłaby rzeczywiście stać się prototypem mojej bohaterki. Wyglądały prawie jak oczy tej Afganki, która kiedyś trafiła na okładkę „National Geographic”. I kto wie, czy spojrzenie nieznanym z morza nie zrobiło na mnie jeszcze większego wrażenia. Muszę ją jeszcze raz spotkać, żeby jej się lepiej przyjrzeć.



# Hanka

Od dawna nie miałam tyle wolnego czasu co teraz. I gdyby nie to, że mój rak nie dawał o sobie zapomnieć, byłby to dobry czas. Nawet głowa za bardzo mnie nie bolała. Albo tak koncentrowałam się na zmianie, która powolutku zachodziła w naszym życiu, że nie myślałam o swoich dolegliwościach. Nawet jeśli wkrótce nastąpi pogorszenie, kiedy rak mocniej da o sobie znać, to nie jestem z tym już sama. Miałam obok siebie Roberta. I nawet mniej już się bałam. Strach dzielony na pół przestaje być tak straszny.

Minął tydzień, odkąd Robert dowiedział się o chorobie. Nie musiał nic mówić, sama widziałam, jak nim to wstrząsnęło. Chodził markotny, trochę zagubiony, zestresowany i w kółko mnie wypytywał:

– Jak się czujesz?

– Dobrze – odpowiadałam poruszona jego troskliwością.

Czasem dzwonił po kilka razy dziennie, by zapytać, czy czegoś mi nie trzeba albo czy się nie przemęczam. I wprost nie mogłam uwierzyć, że ten sam mężczyzna, kiedy za niego wychodziłam, oświadczył mi, że nie chce żadnych problemów.

Teraz mój problem stał się jego problemem i miałam wrażenie, że przeżywa go tak samo jak ja.

Wieczorami, kiedy myślał, że śpię, przeglądał internet. Po historiach wyszukiwań widziałam później, że wchodził na strony o nowotworach. Sama wolałam raczej wyprzeć z siebie myśl o raku, a Robert chciał wiedzieć o nim jak najwięcej. Doszło nawet do tego, że to ja wspierałam męża, kiedy wychodziliśmy na spacer.

Nawet nie przypuszczałam, że zwykła przechadzka może być taka przyjemna, jeśli idzie się razem, trzymając za rękę, tak jak my dzisiejszego popołudnia i przez kilka poprzednich. Widać naszej dwójce potrzebny był rak, żebyśmy zaczęli wreszcie wychodzić z nijakości. Może nawet zakochamy się w sobie, myślałam, wsuwając rękę pod ramię Roberta.

Szliśmy wzdłuż plaży w słoneczne popołudnie. Nawet dokuczliwy od kilku dni wiatr trochę osłabł. Słuchałam krzyku mew, szumu morza i wystawiałam twarz ku niemrawemu słońcu.

– Jak się czujesz? – Robert objął mnie w pól.

– Dobrze. – Przytuliłam głowę do jego ramienia.

– Nie jest ci zimno?

– Nie.

– Może jesteś zmęczona i chciałabyś usiąść? – dopytywał się z troską.

– Nie, naprawdę jest dobrze.

– Nic cię nie boli?

Zatrzymałam się przed Robertem i spojrzałam mu w oczy. Widziałam w nich wyraźny lęk.

– To mi nie pomaga – starałam się mówić łagodnie, nawet się uśmiechnęłam, bo w tej chwili nie chciałam myśleć o raku. Choć przez chwilę próbowałam udawać, że o nim nie myślę.

– Przepraszam. – Robert przyciągnął mnie do siebie.

Oparł brodę o czubek mojej głowy w dzianinowej szarej czapce. Powiewały spod niej włosy. Mocniejszy podmuch zarzucił ich pasmo na twarz Roberta.

– Zawsze lubiłem twoje włosy – powiedział. To chyba pierwszy komplement, jaki od niego usłyszałam. Nawet za bardzo nie zwróciłam uwagi, że użył czasu przeszłego. Byłam zbyt pochłonięta tym, że jesteśmy razem.

Mam wrażenie, że na tę jedną chwilę zamieniam się w lekki obłoczek, tak mi dobrze w tym uścisku, bezpiecznie. Trwa to jakiś czas, nim wysuwam się z jego ramion i sięgam po kilka muszelek wyrzuconych na brzeg. W większości są drobne i połamane, ale udaje mi się znaleźć kilka całych, dość sporych.

– Zobacz, jakie ładne. Szkoda, że są tak kruche. – Tak kruche, jak życie, dodaję w myślach wpatrzona w mokry piach. A jednak nie potrafię przestać o tym myśleć, choć bardzo się staram. – Wczoraj był sztorm, może uda nam się znaleźć jakiś bursztyn? Pomożesz mi szukać? – Zadzieram głowę do góry.

Robert stoi nade mną zdezorientowany. Porusza bezgłośnie ustami i patrzy, jakby widział mnie pierwszy raz w życiu.

– Spójrz, tamci też szukają. – Wskazuję grupkę osób schylonych nieopodal przy brzegu.

– Hanka, nie zachowuj się tak – prosi ni to błagalnym tonem, ni to z wymówką.

– Jak? – Nie rozumiem, o co mu chodzi.

– Tak, jakby nic się nie stało. – Podciąga sztruksowe spodnie i kuca przy mnie. Jest przygnębiony. Patrzy w dół, ze smętnie zwieszoną głową. – Nie potrafię tak jak ty. Nie mogę przestać o tym myśleć.

– A ja próbuję właśnie o tym nie myśleć. – Wsympuję mu w dłoń nazbierane muszelki. Robert przesypuje je w rękach. – Nie myśleć tak długo, jak tylko się da. W zamian chcę zrobić to, czego nie zrobiłam wcześniej. Może to głupie, ale na przykład chcę mieć długie paznokcie z obłędym manikiurem, skoro już nie muszę sortować góry warzyw i przenosić skrzynek w sklepiku. Chcę zjeść homara, choć nie mam pojęcia, jak w ogóle się go je, chcę popłynąć tamtym statkiem. – Pokazuję wypływający z portu prom do Szwecji. – Chcę cię lepiej poznać, umawiać się z tobą na randki, chcę...

– Przecież mnie znasz – przerywa zdziwiony.

– Nie tak, jak bym chciała – mówię i piszę palcem na piachu „ROBERT”. Podpływająca fala rozmywa litery. – Jesteśmy razem, a tak naprawdę się nie znamy. Sam o tym dobrze wiesz. Chciałabym to zmienić i... zakochać się. – Wyciągam do niego rękę.

– Zakochać? – Robert pomaga mi wstać.

– W tobie – odpowiadam i znów się do niego przytulam.

Nie wiem, skąd we mnie ta nagła potrzeba ciepłych gestów, ale wyraźnie tego pragnę. Albo to rak zaczyna zmieniać moją osobowość, o czym też przeczytałam, albo wypełzły ze mnie wszystkie niezaspokojone wcześniej tęsknoty.

– Jesteś szalona. – Mój mąż cmoka mnie w czoło, a ja jego w czubek nosa.

Tak, jestem szalona, bo dopiero teraz nazywam po imieniu rzeczy, których pragnę. Dopiero kiedy wszystko już się kończy, czuję determinację, by coś zacząć. Gdzie byłam wcześniej?

– Myślałam, że miłość nie jest mi potrzebna, skoro obywałam się bez niej całe życie. Teraz jednak chcę jej doświadczyć. Próbuję wierzyć, że zdążę, a rak da mi wystarczająco dużo czasu. W końcu nawet skazani na śmierć mają prawo do ostatniego życzenia – wyznaję, gładząc policzek Roberta. Mąż przyciska moją rękę swoją i patrzy na mnie smutno.

– Trochę przeczytałam o tym glejaku i...

Nie pozwalam mu dokończyć, kładę palec na jego ustach. Robert zaciska mocno oczy. Pragnę, by podjął moje wyzwanie, a nie uparcie krążył wokół czegoś, co resztką sił próbuję z siebie wyprzeć.

– Będziemy udawać, że go nie ma, tak długo, jak się da – mówię stanowczo. – W zamian skupmy się na tym, co możemy jeszcze razem zrobić. Dlatego na razie nie chcę słyszeć o glejaku, lekarzach, szpitalach, chemii, o tym wszystkim, o czym czytałeś. To mój wybór i uszanuj go, bo tylko ja mam prawo o tym decydować.

Robert podnosi z piachu płaski kamień i ciska nim w morze. Przez chwilę nic nie mówi, tylko wierci podeszwą dziurę w piachu. Potem odpowiada z ciężkawym westchnieniem:

– Dobrze, skoro tak postanowiłaś. Co chcesz teraz robić?

– Teraz... – zastanawiam się, patrząc w białe, poszarpane chmurki. – Na przykład zjeść gdzieś w restauracji. Stać nas na takie szaleństwo? – pytam, marszcząc nos.

Robert uśmiecha się, ale mimo to widać jakiś mrok na jego twarzy. Niezbyt przystojnej, raczej pospolitej, ale i tak najbliższej mi na świecie.

– Stać – odpowiada. – Mamy trzydzieści tysięcy. Jesteśmy bogaczami.

– I chcesz wszystko wydać w restauracji? – żartuję.

– Jak szaleć, to szaleć. – Łapie mnie za rękę i biegniemy wzdłuż brzegu.

Jest dobrze. Tak, jak powinno być dużo wcześniej.

Ma rację. Jesteśmy bogaczami. I nie dzięki tym pieniądzom, które zaraz zostaną włożone w rybny biznes. Mamy coś, czego nie można kupić za żadne skarby świata. Siebie.

Ta najstarsza na świecie prawda dotarła jednak do mnie zbyt późno.

Poszliśmy do Kredensu. Nie pamiętam, kiedy ostatnio byliśmy razem w restauracji. I wcale nie dlatego, że nie mogliśmy sobie pozwolić na taką rozrzutność. Wspólne bywanie w takich miejscach nie było nam zwyczajnie potrzebne. Aż do teraz. Z początku Robert starał się żartować, gdy siedział pochylony nad kartą dań.

– Niestety, nie mają tu homarów – stwierdził z udawaną rezygnacją.

– Wobec tego mamy dwa wyjścia – podchwyciłam jego ton. – Albo zażądamy, aby nam go tu sprowadzono, albo zagrozimy, że zmienimy lokal. Powiemy, że jesteśmy milionerami i specjalnie przyszliśmy tu w przebraniu, żeby nikt nas nie rozpoznał – zakończyłam konspiracyjnym szeptem.

– Nie uwierzą – odszepnął. – Czasem brali od nas warzywa.

W końcu zamówiliśmy: ja placek po cygańsku, a Robert pierogi z mięsem. Znów dopadło go przygnębienie. Jadł niemrawo, rozmawiał niewiele, narzekał na zbyt głośną muzykę i ogólny hałas.

Mniej mi to wszystko przeszkadzało niż wycofanie Roberta. Wypytywał mnie, jak się czuję i czy nie chcę wracać do domu. Wredny intruz we mnie musiał to słyszeć i w najmniej spodziewanym momencie znów pokazał swoją przewagę. Rozkołysał mi obraz przed oczami, rozkręcił ból, sprawił, że zdrętwiały mi koniuszki palców, obudził ledwo uspiiony strach. Teraz i ja chciałam wracać do domu.

Szłam wsparta na ramieniu męża, stawiając nogę za nogą. W połowie drogi zemdliło mnie tak, że zwymiotowałam. Mimo szarówki na dworze zauważyłam w oczach Roberta przerażenie, gdy skrzywiony, z ledwo zauważalnym wstrętem patrzył, jak wycieram usta chusteczką.

A może to nie wstręt, tylko bezradność na chwilę zmieniła mu rysy, zastanawiałam się kwadrans później, gdy leżałam na wersalce przykryta kocem, a mąż poił mnie gorzką herbatą. Gładził przy tym moje ramię wyjątkowo czułym jak na niego gestem.

– Śpij – szepnął. – Posiedzę przy tobie.

– Dziękuję.

Było dość ciemno, kiedy przebudziłam się po krótkiej drzemce. Zdziwiłam się, że spałam godzinę, a czułam się naprawdę wypoczęta. Roberta nie było. Ze szczeliny w drzwiach łazienki sączyło się światło. Wstałam i na palcach przemknęłam w tamtą stronę. Zaintrygował mnie dziwny odgłos. Przyłożyłam oko do szpary. Robert siedział na wannie i płakał. Na ten widok ścisnęło mi się serce.

– Nie trzeba – szepnęłam, kładąc mu rękę na plecach. Popatrzył na mnie czerwonymi oczyma, lśniącymi od łez. – Jeszcze nie teraz.

– Lepiej się czujesz?

– Tak, dużo lepiej – odparłam zgodnie z prawdą. – Przewiało mnie nad morzem. Pokiwał głową na znak, że rozumie. A potem, wciąż siedząc na wannie, objął mnie w pół.

– Rozczarowuję cię.

– Nie mów tak. – Pogładziłam jego głowę, wciśniętą w mój brzuch. – Dla ciebie to też musi być trudne.

Potrzebujemy czasu, żeby się do tego... przyzwyczaić.

Milczeliśmy chwilę.

– Masz rację – przycisnął spód mojej dłoni do ust. – My tak naprawdę w ogóle się nie znamy. Nie przypuszczałem, że jesteś taka silna, odważna. Nie jestem nawet w połowie taki jak ty.

– Jestem zwyczajna. Gdybym naprawdę była odważna, dużo wcześniej zmieniłabym swoje, nasze – poprawiłam się – życie, a nie dopiero teraz. Na chwilę przed śmierć...

– Cicho.

Nie skończyłam, bo teraz Robert położył mi palec na ustach.

– Nie mów tego na głos.

Nie mówię, nawet późno w nocy, gdy leżymy w łóżku obok siebie. Tylko leżymy. Oboje na wznak, stykając się ramionami. Przez materiał piżamy męża czuję ciepło jego ciała. Słyszę równy oddech Roberta, z lekkim świstem przez nos. Jestem odważna? Nigdy tak o sobie nie myślałam. To coś nowego. A gdybym poszła w tej odwadze jeszcze dalej i... W mojej głowie pojawia się zupełnie niespodziewana myśl.

– Pojadę do domu – szepczę wpatrzona w sufit.

– Dasz radę? – pyta z lękiem. – To daleko, a ty chyba nie powinnaś się przemęczać.

– Dam. Zresztą kiedy, jak nie teraz? Przecież lepiej już ze mną nie będzie.

– Wiem, przepraszam. – Robert splata palce z moimi. – Powiesz im o raku?

– Nie, chyba nie.

– To dlaczego chcesz tam jechać? – Odwraca głowę w moją stronę. Robię to samo. Leżymy tak blisko siebie, że powietrze z jego nosa łaskocze mnie w twarz.

– Nie wiem. Wiem tylko, że chcę. Pojadę jutro.

– Nie będę mógł cię odwiedzić, jestem już poumawiany w urzędach.

– Pojadę sama.

Pojechałam. Dwa dni później, ponieważ wcześniej nie czułam się najlepiej. Nie mówiłam o tym Robertowi, bo wciąż chodził jak struty. Nie przypuszczałam, że aż tak się przejmie moją chorobą. Może to egoistyczne, ale w jakimś sensie przynosiło mi to ulgę, o ile można czuć ulgę w obliczu tego, co nas spotkało.

Zrobił mi kanapki na drogę, odwiózł mnie na dworzec z samego rana, uściśnął mocno i prosił, bym o siebie dbała. Pociąg już odjeżdżał ze stacji, a mój mąż wciąż stał na peronie i patrzył za mną. Tak smutno, że i mnie udzielił się jego nastrój.

Przypomniała mi się scena z filmu *Lalka*. Wokulski stał na peronie, a panna Izabella wyglądała przez otwarte okno. Tak jak ja w tym momencie. Pociąg odjeżdżał, a Wokulski pożegnał swoją miłość słowami: *Farewell, miss Iza, farewell*. Coś przykuło moją uwagę w tamtym kadrze. Jakaś ostateczność. Teraz przez ułamek sekundy odczułam dokładnie to samo. Robert jednak nic nie mówił, tylko uniósł rękę i zamachał nią powoli. Zrobiłam to samo.

Z Gdańska do mojej wioski było ponad trzysta kilometrów. Kilka godzin pociągiem pospiesznym, potem przesiadka do osobowego, aby po kolejnych dwóch godzinach znaleźć się na miejscu. Dla mnie jednak była to podróż dużo dłuższa, niż wynikało z odległości. Czytałam książkę, siedząc na miejscu przy

oknie, ale im bliżej miałam do celu, tym większe ogarniały mnie wątpliwości. Coraz trudniej przychodziło mi skoncentrowanie się na tym, co czytam. W głowie miałam istną galopadę myśli.

No bo co tak naprawdę chciałam osiągnąć? Na co mogłam liczyć? Że matka okaże mi czułość, gdy powiem jej o raku? Pocieszy, przytuli, może zapłacze? Nigdy przecież tego nie zrobiła. Może kiedyś, jak byłam tak mała, że nie umiałam chodzić i musiała nosić mnie na rękach. Nawet jeśli czasem chorowałam, matka też się nade mną nie rozczulała. Krzyczała, gdy nie chciałam pić mleka z miodem i czosnkiem albo łykać syropu z cebuli.

A ojciec? Niespodziewanie zmieni się z degenerata w troskliwego rodzica? Raczej nawet nie skojarzy, kim jestem.

A ja? Po czterech latach mam stanąć w drzwiach jak córka marnotrawna i robić z siebie ofiarę? Powiedzieć: „przyjechałam, bo umieram”? Bo chciałam się pożegnać? Spytać, dlaczego tacy dla mnie byli? Tylko co mi to wszystko da, myślałam gorączkowo, zbliżając się do stacji przesiadkowej.

Już byłam gotowa wrócić do Gdańska, ale też pchało mnie do Nieba. Dlatego wsiadłam do osobowego na Kętrzyn i kołysana turkotem kół jechałam dalej. Do domu. Jeśli można nazwać domem cztery ściany przykryte dachem i ludzi niedarzących siebie uczuciem.

Było nas tyle, a jednak tak naprawdę każdy żył sam w naszej rodzinie. Chłopcy trzymali się bardziej razem, tylko ja stałam obok. Tak samo obojętna im, jak oni mnie.

Braci nie widziałam od lat. Mniej więcej orientowałam się, co u nich, bo raz na jakiś czas pisaliśmy do siebie. Krótkie, zdawkowe informacje przy okazji świątecznych życzeń. Starsi, Romek i Leszek, nadal siedzieli w Anglii. Romek ożenił się i miał dziecko. Przemek mieszkał z rodzicami i żył z zasiłku, tylko o Irku wiedziałam niewiele. Jego też najbardziej się bałam jako dziecko. Ogolony na łyso i patrzący spode łba, był postrachem okolicy.

Skazali go na siedem lat. Kiedy poszedł do więzienia, byłam w zawodówce. Nigdy go nie odwiedziłam. Nie wiem nawet, czy matka to robiła. Pewnie bym go teraz nie poznała, gdybyśmy się minęli na ulicy.

Pociąg zatrzymał się przed piętrowym, starym budynkiem z czerwonej cegły. Skończyłam jeść bułkę z żywiecką, zarzuciłam lekką torbę na ramię i wysiadłam na swojej stacji w grupce kilku osób. Nikogo z tych ludzi nie znałam. Rozeszli się prędko każdy w swoją stronę, a ja zostałam sama na peronie. Prawie nic tu się nie zmieniło, stwierdziłam, przesuając wzrokiem dokoła.

Ten sam budynek, te same napisy, nawet zielony śmietnik przymocowany do latarni był ten sam. I ażurowy płot z betonu, odgradzający zarośla od ścieżki, która prowadziła do wioski. Tej większej, gdzie chodziłam do szkoły. Wciągnęłam głęboko powietrze z rodzinnych stron i ruszyłam wzdłuż torów.

Aby dojść ze stacji do mojej osady, musiałam minąć wieś i przejść jeszcze trzy kilometry pieszo. Podobno kiedyś, jak był jeszcze PGR, do Nieba dojeżdżał autobus, ale ja tego nie pamiętałam.

Pamiętałam za to tę zapyloną, szarą drogę między polami, którą latami przemierzałam. Kto wie, czy nie wydeptałam jej najbardziej. I ledwo do niej dotarłam, zostawiwszy za sobą wieś, ogarnęła mnie dziwna nostalgia. Droga zaczynała się płasko, a za zakrętem w lewo nieznacznie się wznosiła. Dalej znów była płaska, a potem znów biegła jeszcze wyżej, tym razem skręcając w prawą stronę.

Patrzyłam na najdalszy punkt tej serpentynki jak zahipnotyzowana. Dopiero gdy zobaczyłam ten krajobraz, dotarło do mnie, jak bardzo za nim tęskniłam. Nie za rodziną, domem, tylko za tym miejscem wśród pól.

Najpiękniej było tu wtedy, gdy złocił się rzepak. Pofałdowany, żółty dywan pól na tle błękitu nieba najtrwalej wrył się w moją pamięć. Rzepak rósł z jednej strony drogi. Po drugiej zawsze falowało zboże, a między nim przebijały maki i chabry.

W dzieciństwie wiałam z chabrów wianki i wplatałam w nie pojedyncze kwiaty maków. Oczami

wyobraźni widziałam siebie sprzed lat, gdy wędrowałam tędy z nosem w książce albo wymyślałam, idąc, niestworzone historie, które potem opowiadałam pani Róży.

Złapałam się na tym, że odpycham od siebie złe wspomnienia, związane z tym miejscem. Pijanego ojca leżącego w rowie, drwiny koleżanek, gdy biegly za mną i wołały: „Kłamczucha”, i momenty, gdy sama tutaj uciekałam przed niebezpieczeństwem. Chciałam pamiętać wyłącznie dobre zdarzenia. Nie tylko te z mojej wyobraźni, ale też całkiem realne. Przecież tą drogą szliśmy z Robertem na pierwszy spacer. To właśnie tu zapytałam, czy się ze mną ożeni.

Teraz, w marcu, pola były jeszcze bure, a niebo napęczniało deszczowymi chmurami. Podciągnęłam wyżej suwak kurtki, naciągnęłam kaptur na głowę, i krok za krokiem, omijając koleiny z błota, brnęłam w stronę domu.

Już rysowały się przede mną kontury dachów wystające z za ostatniego wzniesienia. Pokonałam go trochę zmęczona i doszłam do Nieba.

Całą osadę miałam jak na dłoni. Niektóre z domów były odmalowane i dostały nowe okna. Podwórka, które dostrzegałam, też wyglądały porządniej, niż kiedy widziałam je ostatni raz. Ktoś kręcił się po pierwszym obejściu z prawej strony, gdzieś szczekał pies, warczała jakaś maszyna. Na końcu osady zobaczyłam komin naszego domu.

Powinnam teraz pobiec tam jak najprędzej, ale nie mogłam wykonać najmniejszego kroku. Zupełnie jakby nagle otworzyła się przede mną przepaść. Zrobiło mi się trochę słabo, więc przytrzymałam się metalowego słupka z nazwą osady. Potrzebowałam chwili, by ochłonąć i ruszyć dalej.

Minęłam pierwsze obejście. Jacyś obcy ludzie piłowali drewniane bele. Przy następnym domu stara Goździkowa, w niebieskiej kufajce i czerwonej chustce na głowie, przerzucała szpadlem skiby ziemi w ogródku. Chciałam się z nią przywitać, ale stała tyłem do mnie. Poszłam przed siebie.

Z każdym krokiem moje napięcie wzrastało. Czułam niewielki ucisk w głowie. Glejak denerwował się razem ze mną. Od domu dzieliła mnie tylko jedna posesja. Gdzieś głęboko w podświadomości liczyłam, że tam na mnie czekają. Ucieszą się, jak mnie zobaczą. Może matka wzruszy się nawet, powie coś miłego, choćby później miała mi robić wymówki, że tak długo mnie nie było. Ja ją obejmę, ona mnie przytuli.

A może ojciec już tyle nie pije? Albo przynajmniej dziś będzie trzeźwy? Moja wyobraźnia posuwała się do granic absurdu. Jednak widok, który ujrzałam przed sobą, prędko przywrócił mnie do rzeczywistości.

O zbutwiałe sztachety płotu przy naszym domu opierał się mój ojciec. Trzymał się kurczowo omszałych, przyciętych na skos desek, ugięte nogi rozjechały mu się w obie strony.

Na spodniach, od tyłka aż do połowy nogawek, widniała wielka, mokra plama. Stałam za daleko, by poczuć smród, ale wiedziałam, że się zsiakł. Zbliżała się pierwsza po południu, a on był tak pijany, że nie mógł zrobić kroku. W spłowiałej kapocie, uwalanej błotem po łokcie, i brudnej czapce z pomponem osuwał się coraz niżej na ziemię.

– Ty skurwysynu!!! – Najpierw usłyszałam wrzask matki, a potem zobaczyłam ją samą, jak z trzaskiem otworzyła okno i darła się w stronę ojca, wygrażając pięścią. – Znowu żeś ryja zalał, chamie jeden!!! Zdychaj pod płotem!!! A jak wleziesz za próg, to ci łeb odrąbię!!!

– Stul pysk, kuuurrrwooo!!! – odwrzasnął pijackim bełkotem ojciec i zaczął kopać w sztachety.

Zrobiło mi się ciemno przed oczami. W jednej sekundzie pożałowałam swojej decyzji. Uciekłam stamtąd prędzej, niż zdążyłam się zastanowić, czy matka mnie dostrzegła. Policzki mi płonęły, gdy biegłam na stację, by wrócić do domu. Do Roberta. To on był moją rodziną, nie tamci, których zostawiłam. Z nimi nie chciałam mieć już nic wspólnego.

Uciekłam od tego wszystkiego przed czterema laty nie po to, by teraz próbować coś zmienić. Nie miałam na to ani czasu, ani ochoty. Niech się taplają we własnym bagnie, skoro tak chcą. Miałam przed

sobą poważniejsze wyzwanie: wykorzystać jak najpełniej resztkę życia. Chciałam jak najszybciej zobaczyć Roberta. Cieszyć się jego czułością, usłyszeć troskliwy głos, pójść z moim mężem nad morze.

Zdyszana dobiegłam do stacji i wysłałam mu wiadomość.

*Nie widziałam się z nimi. To nie ma sensu. Wszystko Ci opowiem. Wracam nocnym pociągiem.*

Odpowiedź od Roberta przyszła po dłuższej chwili.

*Nie będę mógł Cię odebrać z dworca, jestem poza Gdańskiem. Weź taksówkę. Przepraszam.*

Za co ty mnie przepraszasz, rozrzewniłam się na myśl o mężu. Kupiłam bilet i wsiadłam do pociągu, który na zawsze zabrał mnie z tego miejsca.

Było przed północą, kiedy wreszcie dotarłam na Zaspę. Namacałam ręką włącznik światła w przedpokoju, postawiłam torbę przy ścianie i z ulgą zsunęłam buty z obolałych nóg. Przeszłam do pokoju. Na stoliku, oparta o wazonik, stała niebieska koperta. Odczułam dziwny niepokój, gdy po nią sięgnęłam. W środku był gruby plik banknotów i list. Mrowiły mnie palce, kiedy rozkładałam na pół złożoną kartkę, pokrytą drobnym, pochyłym pismem.

*Hanka*

*Wiem, że możesz uznać mnie za sukinsyna, ale nie dam rady. Próbowałem, jednak to mnie przerasta, dlatego się wyprowadzam. Nie mogę się pozbierać po tym, co powiedziałaś. Czuję się tym wszystkim przytłoczony. Nie potrafię zrobić tego, czego ode mnie oczekujesz. Prawdę mówiąc, wystraszyłem się. Sama zresztą wiesz, że zawsze unikałem uczuć i problemów. Zostawiam Ci pieniądze ze sprzedaży warzywniaka i będę płacił za mieszkanie. Dla siebie zatrzymam nasze oszczędności i samochód. To chyba sprawiedliwy układ. Oczywiście w miarę możliwości będę Ci pomagał finansowo. I dalej będziesz na moim ubezpieczeniu, o to nie musisz się martwić. Wybacz, że wykorzystałem Twoją nieobecność, wiem, że jestem tchórzem. Gdyby to nie było głupie, życzylibym Ci szczęścia, ale w tej sytuacji mogę Cię tylko przeprosić.*

*Robert*

Nie wiem, jakim cudem udało mi się podejść do szafy. Półki Roberta były bezlitośnie ogołoczone z ubrań. Drugi raz miałam wrażenie, że umarłam. Przez chwilę nawet przestałam oddychać. Objęłam się rękoma i osunęłam na podłogę skulona, w żalosnej pozycji zwiniętego embriona, z głową na dywanie. Zaciskałam w pięści list od męża, aż zdrętwiały mi palce. Gdyby odszedł od razu, pierwszego dnia, jak tylko się dowiedział. Gdyby nie dał mi płonnych nadziei, nie odebrał marzeń, bolałoby mniej niż teraz. Ten nieoczekiwany koniec złudzeń uświadomił mi, że teraz zostaliśmy już tylko we dwoje. Ja i mój rak. Razem, aż do śmierci.

# Piotr

Tak już mam, że jak na coś bardzo czekam, to czas wyjątkowo mi się dłuży. Musiałem jakoś zapełnić cały czwartek, by wreszcie nadszedł piątkowy wieczór, kiedy pojedę po syna. Dlatego po porannym bieganiu zabrałem się, co do mnie raczej niepodobne, do gruntownych porządków. O pisaniu nawet nie pomyślałem.

Zacząłem od pokoju Michała, bo miał u mnie swój pokój. Ściślej, pokój został, a Michała zabrała Monika. Nie zmieniłem mieszkania po rozwodzie. Dla mnie samego wprawdzie było za duże, ale miałem do niego sentyment. No i nieźle musiałem się nagimnastykować, by spłacić wreszcie kredyt, który na nie wziąłem. Trochę pomogli mi rodzice, za co jestem im wdzięczny.

O, zabiorę Michała do dziadków do Sopotu, postanowiłem i z tą myślą zadzwoniłem do mamy.

– A już myślałam, że nekrologów mam szukać w gazecie. Co się stało, że przypomniałeś sobie o rodzicach, niewdzięczniku? – zażartowała.

– Cześć, mamó. Michał przyjeżdża na weekend. Może wpadniemy do was?

– Ależ tak! – wyraźnie się ucieszyła. – Jak ja się stęskniłam za naszym Michałkiem! Ugotuję coś dobrego. Zaczekaj, tylko ojcu powiem. Antoś! – krzyknęła w głąb domu. – Dzwoni Piotr, Michaś przyjeżdża do Gdańska i mają wpaść do nas!

– Oooo! To świetna wiadomość! – Usłyszałem donośny głos ojca. – Zobaczę ten jego kolczyk! Może sam sobie taki zrobię?!

– Jaki kolczyk? – spytałem zdezorientowany.

– Michaś ma przekłute ucho i taki rozporowy kolczyk, co powiększa dziurę w płątku. To chyba nazywa się tunel – wyjaśniła mi mama.

– Skąd to wiesz? Widziałaś Michała? Kiedy? – Byłem jeszcze bardziej zaskoczony, ale po moich szalonych rodzicach wszystkiego mogłem się spodziewać.

Mogli, nic mi nie mówiąc, pojechać na przykład do Wrocławia. Zawsze mieli zwariowane pomysły. Jak ten, gdy tuż po przejściu na emeryturę wybrali się na stopa do Hiszpanii. Kto wie, co im teraz strzeliło do głowy.

– Oczywiście, że widziałam. Na fejsbuku.

– Ty wiesz, co to fejsbuk?

– Nawet założyłam sobie profil – pochwaliła się. – Ojciec też. Ja mam trzystu dwudziestu znajomych, a tata o pięciu mniej. Głównie to nasi dawni uczniowie. Niektórych z nich z trudem udało nam się rozpoznać. Ty też powinieneś sobie założyć profil. Będiesz miał kontakt z czytelnikami, bo nie powinieneś tego zaniedbywać, a przy okazji podpatrzysz, co u Michała. Wysłałiśmy Michałkowi miesiąc temu zaproszenie do grona znajomych, ale jeszcze nie potwierdził. Wiesz, to chyba, jak się teraz mówi, „siara” mieć starych dziadków wśród swoich... jak to było – usłyszałem zastanowienie w głosie mamy – aha, już wiem, „ziomali”. Bardzo mi się podobają te slangowe określenia. Chyba zacznę je zapisywać – roześmiała się.

No tak. Mogłem się tego spodziewać. Moi rodzice, emerytowani nauczyciele, mieli profile na FB, a ja nie. Zawsze starali się być na bieżąco z tym, co aktualnie na czasie. Gdyby nie to, że byli naprawdę



równi, miałbym przechłapanie w moim liceum, jako że oboje w nim uczyli. Mama polskiego, ojciec matematyki.

– Co tam u ciebie, Piotrze?

Opowiedziałem pokrótce, co i jak w moich sprawach. Najbardziej skoncentrowałem się na Michale, trochę wspomniałem o pisaniu, tylko kwestię Elżbiety pomiąłem. Z mojego punktu widzenia nie było o czym mówić. Jednak moja mama potrafiła robić przeróżne niespodzianki. Teraz też niezłe mnie zagięła pytaniem, którego się nie spodziewałem.

– A twoja nowa dziewczyna? To coś poważnego?

– Mamo, czy ty jesteś czarownicą? – Nie wytrzymałem. – Skąd wiesz o Elżbiecie?

– Zwykła dedukcja, mój drogi. – Znów się zaśmiała. – Jako były policjant powinieneś o tym wiedzieć.

Po prostu, jeśli dzwonisz do nas przeciętnie raz na miesiąc i nie przyjeżdżasz na niedzielne obiady, to oczywiste, że masz nową dziewczynę. Proste jak drut. Odpowiesz na moje pytanie?

– Nic poważnego – odparłem trochę lekceważąco. – Przelotna znajomość.

– Nie mieszam się do twojego życia, jak wiesz, ale nie zapomnij, że nawet „przelotne znajomości”, jak to określasz, też mają uczucia, których nie wolno ranić. Idziesz błędną drogą, która donikąd cię nie zaprowadzi.

– Wpędzasz mnie w poczucie winy?

– Skąd. Mówię jedynie, żebyś miał na uwadze nie tylko własną przyjemność. Piotrze – mama zmieniła ton – wybac, mój drogi, ale muszę kończyć. Wychodzimy z tatą na kurs tanga, niedawno się zapisaliśmy. Zadzwoń, proszę, kiedy dokładnie będziecie. W sobotę idziemy do teatru. A w niedzielę mieliśmy wyskoczyć na nordiki albo na rowery, w zależności od pogody. Niedługo kwiecień, a wiosny jakoś nie widać.

– Skąd wy bierzecie energię na to wszystko? – jęknąłem, bo co tu dużo mówić, moi starzy rodzice zwyczajnie mi imponują.

Nie dość, że całe życie razem, w pracy i po pracy, to po ponad czterdziestu latach nie nudzą się ze sobą. I chce im się jeszcze chcieć na jakieś tanga chodzić. A przy tym oboje zarażają wszystkich optymizmem bardziej niż grypą.

– To się nazywa miłość, synu. Pa.

No tak, miłość. Tylko że, dziwnym trafem, mnie jakoś ona już nie dotyczy. Uczuciowo też się wypaliłem po mojej licealnej miłości, czyli Monice.

To był ten czas, gdy zacząłem za nią szaleć. Była najładniejszą laską w naszym liceum. Pobraliśmy się rok po jej maturze, bo Michał był w drodze. Wtedy bez wahania przenieśliśmy się ze studiów dziennych na zaoczne i wstąpiłem do policji, by utrzymać rodzinę. Szalałem ze szczęścia. Chciałem się opiekować nią i dzieckiem, dbać o nich. W swojej naiwności liczyłem, że uda nam się stworzyć taki związek, jaki zbudowali moi rodzice, ale się przeliczyłem. Jedno, co teraz mogłem zrobić, to odbudować relacje z synem. Michał był dla mnie najważniejszy.

Dlatego, choć dotąd się przed tym wzbraniałem, założyłem jednak konto na fejsbuku. Chociaż nigdy nie znosiłem popularności i tego całego szaleństwa wokół portali społecznościowych, teraz miałem swój profil jako Piotr Mróz z liczbą znajomych „zero”.

Takie rozwiązanie zapewniało mi prywatność, gdyż jako Max Nieznany miałbym zalew zaproszeń od całkiem obcych ludzi, a tego nie potrzebowałem. Chciałem tylko prześledzić wpisy Michała. Trochę żałowałem, że sam wcześniej nie wpadłem na ten pomysł.

Do późnej nocy przeglądałem profil syna i jego zdjęcia. Rzeczywiście w dziurę od kolczyka niedługo można będzie włożyć palec. Trochę mną to wzdrygnęło, ale obiecałem sobie, że ani słowem nie skrytykuję tej decyzji. Poza tym mój syn wyraźnie zmeźniał i wyglądał prawie tak samo jak ja, kiedy

miałem siedemnaście lat. To samo łobuzerskie spojrzenie, te same niebieskie oczy i nieuporządkowane gęste włosy. Mój syn. Teraz daleki, obcy, ale mój. Chyba się starzeję, bo wzruszyłem się, patrząc na młodszą kopię samego siebie.

Piątek, prócz biegania, szedł mi na pracach domowych. Jako tako do końca odgruzowałem mieszkanie, zrobiłem większe zakupy, zapchałem lodówkę coca-colą, którą Michał wypijał hektolitrami, i czekałem. Właściwie to wynajdywałem sobie zajęcia, aby czymś wypełnić czas, nim będę mógł jechać na dworzec. Trochę wypełniła go Elżbieta, gdy wpadła przed imprezą u Baśki, choć prosiłem, żeby nie przychodziła, bo będę zajęty.

W jednej ręce trzymała bukiet kwiatów, w drugiej ozdobną torbę z prezentem. Wziąłem od niej obie te rzeczy, by mogła zdjąć płaszcz. Była ubrana, jak na mój gust, trochę zbyt zdzirowato. Opięta czerwona sukienka z cekinami, tak krótka, że ledwo tyłek zasłaniała. Dekolt aż do rowka między piersiami. Do tego czarne szpilki i chyba cała tubka tuszu na doczepionych rzęsach. Włosy miała tak sklezione lakierem, że nie drgnął żaden lok, gdy potrząsnęła głową.

– Namysliłeś się? – zapytała i cmoknęła mnie w policzek.

– Na co?

– Pójdiesz ze mną do Basi? – Zrobiła minę skrzywdzonej dziewczynki.

Nie lubię tych jej infantylnych zachowań. Grymasów, przewracania oczami, trzepotania rzęsami i tego całego naburmuszenia. Głos też zmieniła na taki cieniutki, dziecięcy. Uwiesiła mi się na szyi i uśmiechała słodko.

– Nie pójdę. Już powiedziałem. Zresztą zacząłem pisać, więc sama rozumiesz, że potrzebuję spokoju.

– Proszę, proszę, prooooooszę – szczebiotała, przechylając głowę na bok.

W ogóle mnie to jednak nie brało.

– Nie przekonuj mnie, i tak nic z tego nie będzie. – Zdjąłem z karku jej ręce o niesamowicie długich paznokciach.

Elżbieta przestała udawać rozkapryszoną dziewczynkę i przeszła do klasycznego focha. Poprawiła ręką włosy, obciągnęła sukienkę i w miarę normalnym tonem stwierdziła:

– Jesteś okropny – po czym pomaszzerowała do kuchni, stukając obcasami.

Od razu zabrała się do ustawiania w szafkach talerzy, które ociekały na suszarce. Brzękowi naczyń towarzyszył zmasowany atak nieprzerwanego ciągu zdań, które wyrzucała z siebie z prędkością światła. Stałem oparty o ścianę, z rękoma zaplecionymi na piersi, czekając, aż minie huragan.

– Wszystkie dziewczyny przyjdą ze swoimi facetami, tylko ja będę sama jak ten palec. A tak ładnie się ubrałam. Wiesz, ile dałam za kieckę? Trzy stówy! Ale nie żałuję. Jedna klientka przyniosła do zakładu. Ze Stanów od siostry dostała, a na nią za ciasna, dlatego chciała opylić. No więc wszystkie się rzuciłyśmy do mierzenia, Baśka, Anita i Jasia. I wyobraź sobie, że tylko na mnie pasowała, bo mam najlepszą figurę. Jaśka ma dupę jak sklep, a Anita jest płaska jak deska, zupełnie piersi nie ma. Mówiła mi, że zbiera na implanty, dlatego dodatkowo po domach jeździ czesać i strzyc. W sumie dobrze jej życzę, ale jest taka głupia jak but, że nie wiem, czy te implanty wystarczą, by kogoś sensownego podłapała. Żebyś tylko widział, jak im gul skoczył, kiedy mnie w tej sukience zobaczyły. To dla ciebie ją kupiłam. Myślałam, że się ucieszysz, a ty jak zwykle wolisz to swoje pisanie. Pisanie, pisanie i pisanie. Jak nie czytasz, to piszesz albo biegasz. Mógłbyś chociaż dziś pójść ze mną, zamiast się znowu wykręcać. Proszę, przebierz się. Włóż tę czarną koszulę w paseczki, wiesz, tę co kupiłeś w Sopocie. Fajnie podkreśla twoje mięśnie. Będziemy najładniejszą parą u Baśki. Mogę ci uczesać włosy. Tak na żel ci wystylizuję, wiesz, do góry.

– Elżbieta, stop, stop. – Unoszę ręce i hamuję wodospad słów, od którego już rwie mnie w głowie, od

czubka aż po kark. Dosłownie jakby Niagara spadała mi na łeb. – Daj już z tym spokój.

– Co znowu? – Odwraca się do mnie zaskoczona. – Tylko układam talerze. Naprawdę mógłbyś pamiętać, że dużych nie stawia się na małych. Zrobiłam ci piramidki, zobacz. Tu są głębokie, tu miseczki... – Otwiera po kolei każdą szafkę.

– Nie o naczynia mi chodzi – przerywam jej, teraz nieco bardziej zniecierpliwiony, bo albo udaje, że nie rozumie, albo rzeczywiście jest aż tak mało pojęta. – Miałem na myśli to, że nie jestem twoim facetem. Przynajmniej nie w takim sensie, w jakim chciałabyś to widzieć. Przecież niedawno o tym rozmawialiśmy.

– Widzę, że cię nie przekonam. No trudno – wzdycha.

Jestem zaskoczony. Elżbieta zachowuje się tak, jakby tylko moja odmowa wyjścia na imprezę do niej dotarła, nie reszta. Gdybym był kobietą i usłyszał coś takiego, chyba bym mnie to jakoś obeszło, dało mi do myślenia? Po Elżbiecie najwyraźniej moje słowa spływają jak po kaczce. Muszę jak najszybciej zakończyć ten układ mimo dobrego seksu, bo zwyczajnie nie zdzierzę dłużej. Mógłbym to zrobić od razu, ale chcę w miarę spokojnie dokończyć przygotowania do przyjazdu Michała.

– Mamusia zaprasza nas w sobotę na obiad. Może przynajmniej wtedy znajdziesz trochę czasu? – pyta Elżbieta i robi krok w moim kierunku.

– Przykro mi, ale odmawiam. Przyjeżdża mój syn i jemu poświęcę cały weekend.

– Dobra wymówka – ironizuje.

– Wymówki potrzebne są temu, kto musi się tłumaczyć – mówię powoli, by dobrze mnie pojęła. – Ja tłumaczyć się przed tobą nie muszę. Przepraszam, muszę cię teraz pożegnać. Jestem trochę zajęty.

Wychodzi obrażona. Może wreszcie coś do niej dotrze. W każdym razie nie zamierzam się tym przejmować. Dziś liczy się tylko Michał.

Raz i drugi próbowałem dodzwonić się do niego, ale miał wyłączony telefon. Im było bliżej do naszego spotkania, tym większe zaczęły mnie ogarniać wątpliwości, czy przyjedzie. Wolałem wierzyć, że jednak tak. Dlatego ledwo minęła dwudziesta pierwsza, pojechałem na dworzec. Coraz bardziej niespokojny, wyglądałem pociągu z Wrocławia. Stałem w najdalszym punkcie peronu, aby znaleźć się jak najbliżej pierwszego wagonu. Było już ciemno i nie chciałem przegapić momentu, kiedy Michał wysiądzie.

Pociąg w końcu przyjechał i wysypał się z niego tłumek pasażerów. Potrącany walizkami, ocierając się ramionami o podróżnych, szukałem w mroku Michała. Szybkim krokiem przeszedłem cały skład tam i z powrotem, lecz nie dostrzegłem swojego syna. Naiwnie wmawiałem sobie, że wysiądzie na końcu, tłumek zdążył się już przerzedzić, a Michała nie było.

Poczułem zawód, wściekłość, żal, wszystko naraz. Komórka zapiknęła, sygnalizując nadejście wiadomości. Wyszarpnąłem telefon z kieszeni.

*Sorki ojciec, ale coś mi wypadło. Wbiję do Ciebie na Wielkanoc. Słowo.*

Zamiast nawymyślać dzieciakowi, że mnie tak bezczelnie wystawił, odpisałem jedynie:

*Dopiero? To jeszcze miesiąc.*

On:

*Szkołę mam przecież.*

Ja:

*OK. Będę czekać, ale mogłeś mnie uprzedzić wcześniej, że nie przyjedziesz.*

Znowu przyszedł esemes od Michała.

*Nie dało rady. Nie włącz więcej na mój profil i niczego przypadkiem nie lajkuj! Siarę mi robisz!*

Ja:

*Załatwione. Nie będę lajkować. Fajny kolczyk.*

On:

*Luz, ojciec. Narka.*

Moja złość trochę osłabła. Najważniejsze, że przyjedzie. Dał przecież słowo. A jeśli nie, to ja pojedę do niego, choćby Monika miała mnie zrzucić ze schodów.

Pociąg z Wrocławia już odjechał. Ludzie gdzieś się rozeszli. Jakoś nie chciało mi się jeszcze wracać do domu, więc ruszyłem na drugi koniec peronu, oświetlonego mdłym światłem latarni. Ale nawet w tej rachitycznej poświacie dostrzegłem w oddali szczupłą postać, przecinającą biegiem torowisko.

Patrzyłem zaintrygowany w tamtą stronę, maksymalnie wyęzając wzrok. Jakiś zakapturzony gówniarz najwyraźniej igrał ze śmiercią. Pędził między szynami, wprost pod widoczne z daleka światła nadjeżdżającego pociągu. Nie wiem, co mnie do tego skłoniło, chyba zawodowy impuls, ale skoczyłem na tory i puściłem się w pogoń za chłopakiem. Dzieliło nas dobrych kilkadziesiąt metrów. Skurkowaniec potrafił szybko biegać.

– Stój!!! – wrzasnąłem za nim, a szczeniak gnał wprost pod pociąg!

– Zatrzymaj się!!! – teraz już ryknąłem, wypluwając z siebie płuca. Ja też szybko biegam, ale tamten miał chyba silnik w dupie. Nie mogłem dopaść gnojka, bo jeszcze przyśpieszył.

Odległość między nim a nadjeżdżającym pociągiem zastraszająco prędko malała. Pobiłem własny rekord życiowy, pędząc za chłopakiem. Prawie wisiałem mu na plecach, a i tak nie mogłem go złapać. Jeszcze te śliskie kamienie z podsypki utrudniały mi bieg.

– Stój, bo będę strzelać!!! – wykrzyczałem dawno nieużywane wezwanie, ale nic innego nie wpadło mi do głowy.

Nagle tamten potknął się o szynę i to dało mi ułamki sekund przewagi. Prawie w ostatnim momencie rzuciłem się na chłopaka i zepchnąłem go z torów. Zarył twarzą w kamienie, a ja wylądowałem mu na plecach w chwili, gdy poczułem na nogach powiew pędzącego pociągu. Serce mało nie wyskoczyło mi z piersi, łoskot kół prawie mnie ogłuszył.

Przyciskałem sobą niedoszęłego samobójcę tak długo, aż pociąg przemknął przez stację, nawet się na niej nie zatrzymując.

– Co ty... chciałeś... zrobić, idioto? – Ledwo wyduszam z siebie, z trudem łapiąc powietrze.

Zatyka mnie, bardziej ze strachu niż ze zmęczenia. Dawno nikt nie podniósł mi tak adrenaliny. Podnoszę się na klęczki, łapię smarkacza mocno za ramiona i odwracam do siebie tak, by usiadł. Jest mały, drobny, ma chyba z piętnaście lat, oceniam pobieźnie.

– Życie ci niemiłe, gówniarzu?! – Trzęsę nim jak gałązką.

Chudziutkie ramiona dzieciaka nikną w moich rękach. Głowę ma zwieszoną, co nie pozwala mi dostrzec jego twarzy. Milczy jak zaklęty, a mnie krew zalewa. Uratowałem mu życie, a ten się nie odzywa! Najchętniej bym mu porządnie wpieprzył za to, co chciał zrobić!

– Mów, do kurwy nędzy! – Potrząsam nim mocniej. – Niemowa jesteś?!

– Niech mnie pan zostawi – słyszę cichy kobiecy głos spod kaptura.

Zrywam go czym prędzej z głowy niedoszęłego samobójcy. Przede mną siedzi dziewczyna znad morza. Poznaje ją od razu, mimo że jest ciemno.

– To... pani??? – Moje zdumienie nie ma granic.

# Hanka

Wustach mam lepki, słodkawy smak, w głowie nadmuchany balon i nie mogę ruszyć stopą. Ocieram usta wierzchem dłoni, na której zostaje mokry ślad. Facet wyjmuję z kieszeni chusteczkę i chce ją przyłożyć do mojej spuchniętej, jak czuję, wargi. Odsuwam głowę. Nie potrzebuję jego pomocy.

– Musimy stąd prędko zniknąć, zanim ktoś nas zobaczy albo nadjedzie kolejny pociąg. Pomogę pani. – Mężczyzna wykonuje ruch, jakby chciał mnie wziąć na ręce, ale powstrzymuję go ruchem dłoni.

– Poradzę sobie – rzucam gniewnie, powstrzymując stęknienie.

– Oczywiście. – Nachyla się ku mnie. – Znowu się spotykamy.

– Niestety – odburkuję niezadowolona.

Dokucza mi ból nogi w kostce, jednak nie daję tego po sobie poznać. Łapię równowagę, otrzepuję ubranie i ruszam w stronę budynku dworca. Chcę jak najszybciej zostawić za sobą tego anioła stróża, który zjawiał się akurat wtedy, gdy najmniej go potrzebowałam. Specjalnie wybrałam to miejsce i czas, żeby nikt mnie nie widział. Wszystko mi popsuł ten upierdliwy typ. Kuśtykam przez tory, a on wciąż idzie za mną.

– Powinien panią obejrzeć lekarz – proponuje przejęty.

– A pan powinien zostawić mnie w spokoju. – Kładę nacisk na drugie słowo i opędzam się od jego rąk, które jak macki wysuwa w moją stronę.

– Jestem samochodem, to może...

– A ja kobietą – przerywam mu złośliwie.

– Ups! – Słyszę zmieszane cmoknięcie.

Piecze mnie dolna warga, szczypie broda, a moja lewa stopa robi się większa i cięższa od prawej. Przez tego głupka chyba skręciłam kostkę! Glejak, porzucenie, skręcona kostka – to chyba wystarczy jak na jedną kobietę?! No bez przesady, ile można znieść?! Jeszcze potrzebny mi do tego namolny anioł stróż!?

– Wyrwałem panią śmierci – ciągnie niezrażony moim milczeniem. – Chyba przeszkodziłem pani drugi raz. Mam rację?

Nie odpowiadam.

Mijam ostatni tor i dochodzę do peronu. Podnoszę zdrową nogę na betonową platformę, podciągam skręconą. Facet chce mnie podsadzić, ale odtrącam jego ręce.

Nie potrzebuję, żeby się nade mną litował. Nie potrzebuję, żeby ktokolwiek się nade mną litował! Odkąd Robert mnie zostawił, przestałam się łudzić. Nawet specjalnie nie rozpaczałam, że odszedł. Może tylko przez chwilę. I to nie dlatego, że mnie zostawił, tylko że wraz z nim odeszły moje marzenia, które beznadziejnie snułam. Potem żałowałam tamtej chwili, gdy dałam się owładnąć przygnębieniu i tkwiłam jak skamielina z głową przyciśniętą do dywanu. Mam za mało tych chwil przed sobą, by marnować je na puste łzy. Jestem przecież silną, odważną, dzielną kobietą, a nie żadnym cholernym porzuconym Kopciuszkiem, który będzie rozpaczał po księciu od ryb! Byłam taka naiwna, że chciałam go zmusić do miłości. Rozczarowanie przyszło szybciej, niż mogłam przypuszczać.

– Dlaczego chciała się pani zabić? – Ten facet zaczyna doprowadzać mnie do szału swoimi pytaniami.

– Człowieku, wyszłam pobiegać – warczę, bo jego natarczywość zaczyna mnie irytować.

– Prosto pod pociąg? – pyta podejrzliwie. Na dodatek zachodzi mi drogę.

– Lubię wyzwania ekstremalne. – Omijam go bokiem i odchodzę tak prędko, jak tylko pozwala na to moja kostka. Czyli wlokę się, utykając, przez dworcowy hol. Muszę wyglądać paskudnie, bo ludzie się za mną oglądają. Prawda, moja warga. Naciągam kaptur na głowę, by nie ściągać na siebie ciekawskich spojrzeń.

Co ten głupek może wiedzieć? I dlaczego wciąż wlecze się za mną?

– Jak pani na imię? – dopytuje się z uporem.

– Anna Karenina – rzucam na odczepnego. Może uzna, że jestem nienormalna i w końcu zostawi mnie w spokoju!

– Pani pozwoli, że się przedstawię, Aleksy Wroński. – Wyciąga do mnie rękę.

Erudyta, będzie się teraz znajomością literatury popisował, psioczę w myślach, ale podaję mu swoją, byle mieć go już z głowy.

– Miło panią poznać. – Nachyla się do mojej dłoni. – Jestem pani wybawcą, Anno. – Prostuje się i patrzy mi prosto w oczy.

Są gdzieś pół metra ponad moimi. Dziwne ma te oczy, zupełnie inne niż Robert. Takie jastrzębie, niebieskostalowe, lekko zwięzłe, przenikliwe. Nad nimi mocne brwi o łagodnych łukach. Gdy tak na mnie patrzy, mam wrażenie, że w tej chwili tylko ja się dla niego liczę. Robert nigdy tak na mnie nie patrzył, jak ten obcy mężczyzna. Mogłabym zapytać, czy będzie mnie pamiętał, ale to nie ma sensu. I tak nie zrozumie.

– Proszę pozwolić mi odejść. – Wysuwam rękę z mocnego uścisku.

– Odwiozę panią do domu. Naprawdę nie powinna pani forsować tej nogi. – Patrzy na moją wygiętą stopę w wyświechtanej tenisówce.

Opieram nogę na samych palcach. Dopiero w świetle dworcowej hali widzę, jaka cała jestem wyświechtana. Na bluzie i dresowych spodniach mam czarne smugi. O swojej twarzy wolę nie myśleć. Jeszcze czuję krew na ustach.

– Dziękuję, wrócę sama. – Wsuwam ręce w kieszenie bluzy i... sztywnieję.

Nie mam kluczy. Tego jeszcze brakowało, bym została na dodatek bezdomna!

– Przez pana zgubiłam klucze od mieszkania! – Krzyczę mu prosto w twarz. – Musiały mi wypaść, jak pan się na mnie rzucił!

– Przecież panią ratowałem. – Unosi w górę brwi.

– A czy ja pana o to prosiłam?! – Ujmuję się pod boki. Muszę wyglądać na wyjątkowo rozjuszoną, bo ludzie znów na nas patrzą, ale mam to gdzieś. – Wybawca się znalazł! Jest pan na etacie anioła stróża? Ochroniarza PKP? Policjanta? Przez pana potrzebę bohaterstwa teraz mam kłopot!

– To trzecie, a z kłopotu też panią wybawię. – Wydaje się w ogóle niewzruszony moim atakiem i jeszcze się uśmiecha, ten namolny typ.

– Co, to trzecie? – pytam z wyraźnym zniecierpliwieniem.

– Jestem, a raczej byłem na etacie policjanta. Komisarz Piotr Mróz z Komendy Wojewódzkiej Policji w Gdańsku. – Strzela piętami w białych adidasach. – Klucze pewnie leżą na torach, ale teraz po ciemku ich nie znajdziemy.

– My nie. Ja tak. – Robię w tył zwrot.

Nie zamierzam spędzić zimnej nocy pod mostem. A do Roberta po drugi komplet na pewno nie zadzwonię. W ogóle do niego nie zadzwonię! Do niczego nie jest mi już potrzebny ten mój niby mąż! Nie obchodzi mnie, gdzie się podziewa, z kim jest. Dla mnie przestał istnieć.

– Anno Karenina, czy jak tam się pani naprawdę nazywa. – Aleksy Wroński kładzie mi dłonie na

ramionach. – Proponuję inne rozwiązanie. Zapraszam panią do mnie.

– Zdecydowanie za daleko się pan posuwa! – Strącam jego rękę. – Nie jestem aż taką desperatką, by spędzać noc u człowieka, który straszy mnie bronią i przez którego jestem kontuzjowana! Mam gdzie spać. Żegnaj pana! – rzucam gniewnie, odwracam się i maszeruję w stronę toalet.

Próbuję jak najmniej utykać, choć skręcam się z bólu. Nie słyszę za plecami kroków Piotra Mroza. Skłamałam, że mam gdzie spać. Tak naprawdę czekała mnie noc na dworcu. Nie znałam w Gdańsku nikogo, kto mógłby mnie przygarnąć. A za dychę, którą mam przy sobie, mogę najwyżej kupić kanapkę i opłacić toaletę, do której ledwo udaje mi się dojść.

Patrzę w lustro nad umywalkami. Nie dość, że moja twarz zawsze odbiegała od przyjętego kanonu piękna, to teraz wyglądam jak Gołota po walce. Zakrwawiona, opuchnięta warga, podłużne rozcięcie prawie centralnie i starta broda od upadku, ze śladami brudu na naskórku, nie dodają mi urody.

Umyłam się pospiesznie, dziękując Bogu w duchu, że jestem w toalecie sama, nienarażona na ciekawskie spojrzenia. Zmoczyłam pod wodą grubą warstwę papierowych ręczników, wepchnęłam je pod skarpetkę na skręconej kostce, nagarnęłam włosy na połowę twarzy, żeby przykryć nimi rozcięcie, i jako tako oporzędzona wyszłam do holu, by poszukać w miarę bezpiecznego miejsca na przeczekanie nocy. Nie była to najciekawsza perspektywa, ale innej nie miałam. Nacisnęłam na głowę kaptur czerwonej bluzy i usiadłam na wolnym miejscu przy kiosku z gazetami.

– Czekałam na panią, Anno Karenina vel Czerwony Kapturku. – Słyszę nad sobą głos mojego prześladowcy. – Jaki ma pani zamek?

– Obronny – odpowiadam złośliwie. – Z wysokim murem i głęboką fosą. A przed nią wielkie działa.

– Jest pani dowcipna – stwierdza, po czym kuca na wprost mnie. – Drugi raz mnie pani zagięła.

– A pan natrętny – rzucam przez zaciśnięte zęby.

– Pytałem o zamek w drzwiach – wyjaśnia z półuśmiechem. – Jeśli niezbyt skomplikowany, to mógłbym spróbować go otworzyć.

– No proszę – krzywię się ironicznie. – I jeszcze na dodatek włamywacz.

– Nigdy nie byłem włamywaczem, słowo – uniósł w górę dwa palce – ale znam parę tajnych sposobów, by wejść do mieszkania, do którego trzeba się dostać. Wiem, że lubi pani wyzwania ekstremalne, jednak noc na dworcu to nie jest najszcześniejszy pomysł.

– Nie mogę się dodzwonić do przyjaciółki – kłamię bez namysłu.

Nie mam żadnej przyjaciółki, najwyżej mniej lub bardziej życzliwe sąsiadki, ale nie chcę, by pomyślał, że jestem biedną, samotną sierotką, która zginie bez jego pomocy.

– Tym bardziej nalegam, by przyjęła pani moją propozycję. To w końcu przeze mnie ma pani kłopot. Chciałbym się choć trochę zrehabilitować. Idziemy? – Wyciąga ku mnie ramię, zgięte w łokciu.

Mój rak widać zmienił nagle lokalizację i teraz usadowił się w tej części mózgu, która jest odpowiedzialna za podejmowanie decyzji. Bo choć jeszcze przed chwilą byłam gotowa posłać Pana Namolnego do wszystkich diabłów, to teraz niespodziewanie przyjmuję tę propozycję i wsparta na jego ramieniu kuśtykam do samochodu.

– Gdzie pani mieszka? – pyta Piotr Mróz, gdy sadowię się na przednim siedzeniu.

– Na Zaspie. Przy Startowej.

– Oooo! Jesteśmy sąsiadami, bo ja na Dywizjonu 303! – Odwraca się gwałtownie w moją stronę. Sprawia wrażenie, że ucieszyła go ta wiadomość. – Jak pani naprawdę na imię?

– Dla pana – Anna Karenina.

– Bardzo pani tajemnicza.

– Jestem wdzięczna za okazaną mi pomoc, ale proszę nie wciągać mnie w rozmowę. Otworzy pan drzwi i każde z nas pójdzie w swoją stronę.

– Jak pani sobie życzy – kwituje ugodowo.

Jedziemy prawie w ciszy, nie licząc odgłosu silnika i jazzu z płyty. Nie znam się na muzyce, ale ta, którą słyszę, jest relaksująca. Podobnie działa na mnie styl jego jazdy. Zupełnie inny niż Roberta. Nie waha się przy wyprzedzaniu, płynnie zmienia pasy, jedzie dość szybko. Jeśli sposób prowadzenia samochodu może określać człowieka, to ten mężczyzna ma zdecydowany charakter, stwierdzam w duchu, choć drażni mnie jego pewność siebie. I głupawy uśmiezek, który wciąż ma pod nosem.

Przyglądam się ukradkiem komisarzowi Mrozowi. Jest przystojny. Ma wyraźny profil, prawie kąt prosty pod brodą, do której sięga zapięty na suwak golf kremowego swetra. Robert nie nosił golfów. Narzekał, że duszą go w gardło. Włosy też ma inne niż Robert. Ciemniejsze, gęstsze, trochę potargane u góry, bez żadnego przedziałka. Robert cesał się z przedziałkiem z boku. Jest też sporo wyższy od Roberta i starszy... Odwracam głowę w stronę okna, zła na siebie za te podświadome porównania.

Chwilę później, kiedy wjechaliśmy windą na dziesiąte piętro, Piotr Mróz zgiętym drucikiem pogmerał w zamku mojego mieszkania. Wcześniej kazał mi się odwrócić. Nie miałam najmniejszego zamiaru go posłuchać i z całą premedytacją patrzyłam mu na rękę, gdy schylony próbował otworzyć drzwi.

– Gotowe – zakomunikował, a jego słowom towarzyszyło zgrzytnięcie mechanizmu. – Jest pani uratowana.

– Dziękuję. – Błyskawicznie przemknęłam do mieszkania, by nie zdążył wejść za mną. Sprawiał wrażenie, że chętnie wszedłby do środka. Oparł rękę o drzwi z drugiej strony, jakby chciał je otworzyć szerzej. – Proszę już iść. Wypełnił pan swoje zadanie. Dobranoc.

– Dobranoc, Anno Karenina. – Puścił do mnie oko.

Głupek. Bezczelny, pewny siebie głupek.

Minęła północ, a ja nie mogłam zasnąć. Siedziałam przed telewizorem, z nogą obandażowaną na sztywno i lodem przyciśniętym do wargi, ale żaden program nie przykuł mojej uwagi. Próbowiałam czytać, lecz nie mogłam się skupić. Wypiłam ciepłe mleko i przewracałam się na łóżku, by wreszcie pospać, wszystko to bezskutecznie. Nic specjalnie mnie nie bolało, trochę głowa, więcej kostka – a jednak coś jeszcze, oprócz wcześniejszych problemów, zaprzętało mi głowę w sposób, którego nie potrafiłam określić. Ni to intrygujący, ni irytujący. Myślałam o tym policjancie, który tak gwałtownie wtargnął w moje życie.

Nigdy wcześniej nie rozmawiałam w ten sposób z żadnym mężczyzną. Zupełnie jak nie ja, albo inna ja. Nigdy wcześniej żaden obcy mężczyzna nie poświęcił mi tyle uwagi, co ten facet. Nieważne, z jakich powodów to robił, dla mnie było to coś nowego. Jednak mniej zaskakiwała mnie jego chęć pomocy niż ta niespodziewana pewność siebie, którą okazałam w rozmowie z nim.

Może dlatego obudziłam się rankiem w całkiem niezłym nastroju. Noga bolała mnie mniej, opuchlizna na wardze nie była już tak znaczna. Włączyłam radio, zdążyłam trochę posprzątać, umyć się i ubrać, by pojechać szukać kluczy, gdy ktoś zapukał. Poszłam otworzyć. W drzwiach stał nie kto inny jak Piotr Mróz. Machał przede mną moimi kluczami.

– Znalazłem! – Uśmiechnął się z tryumfem. – Pomyślałem, że lepiej będzie, jak zrobię to sam, by nie nadwerężyła pani nogi.

– Prawdziwy z pana altruista, niemniej dziękuję. – Wyciągnęłam rękę po klucze, ale nie odsunęłam się, by mógł wejść.

– Powinienem panią przeprosić, że tak na panią wczoraj nakrzyczałem na torach, ale byłem bardzo zdenerwowany. – Zrobił skruszoną minę i pokornie pochylił głowę.

– Zupełnie niepotrzebnie, choć rzeczywiście uprzejmy pan nie był – odpowiedziałam, wciąż trzymając go na progu.



Pozornie starałam się być niewrażliwa na jego zaangażowanie, choć w gruncie rzeczy ujęło mnie, że przed siódmą rano pojechał szukać moich kluczy, które teraz zaciskałam w dłoni.

– Przyjmie to pani na przeprosiny? – Wyciągnął zza pleców siatkę z bułkami. – Przydadzą się na śniadanie. Jeszcze ciepłe. Możemy zjeść je razem? Wyświadczy mi pani zaszczyt.

– Nigdy pan nie odpuszcza? – spytałam trochę rozbrojona tymi bułkami.

Nie mam w tym względzie doświadczenia, ale facet, który przynosi na przeprosiny pieczywo zamiast kwiatów, musi być nietuzinkowy.

– Jak mi na czymś zależy, to nie odpuszczam – roześmiał się. – To jak, mogę wejść? Jestem pioruńsko głodny.

– Proszę. – Dopiero teraz go wpuściłam.

Wypełnił sobą prawie całą szerokość wąskiego korytarzyka. Razem z nim wszedł zapach dobrej wody, zmieszany z powiewem chłodnego powietrza. Rękę też miał chłodną, co poczułam, gdy niechcący dotknęłam jej, biorąc siatkę.

Powiesił w przedpokoju skórzaną kurtkę w odcieniu ciemnego miodu i schylił się, by zdjąć buty, ale go powstrzymałam. Wszedł głębiej do środka, rozglądając się ciekawie dookoła.

– Niestety, nie jest to pałac – odezwałam się skrepowana brzydotą mieszkania.

Co dziwne, obecność tego mężczyzny krępowała mnie znacznie mniej. Ścisłej, prawie wcale się nią nie przejmowałam. Byłam tak samo swobodna jak wczoraj wieczorem.

– Mieszkam tu głównie dla tego widoku. Taki kaprys. – Machnęłam niedbale ręką.

– Widok rzeczywiście imponujący. Zazdroszczę, bo z mojego mieszkania widzę tylko paskudny pas startowy, bloki i kościół. – Spoglądał chwilę przez okno, a potem podszedł do półki z książkami. Przechylił głowę, by przeczytać tytuły. Trochę klasyki, kilka podróźniczych, parę obyczajówek. Wszystkiego razem ze trzydzieści sztuk. Chciałabym mieć więcej, ale Robert krzywił się na każdy książkowy wydatek.

– Lubi pani czytać?

– Lubię, ale chyba nie będziemy teraz rozmawiać o moich upodobaniach. Chciał pan zjeść śniadanie.

Weszłam z siatką wypchaną bułkami do kuchni. Pod nimi były jeszcze dwa opakowania serka wiejskiego i szczypior. Wyłożyłam wszystko na stół i nagle sama też poczułam się głodna. Wstawiłam wodę na herbatę, umyłam szczypior, wzięłam nóż, ale mój gość wyjął mi go z ręki.

– Pozwoli pani, że się tym zajmę. – Przysunął sobie deskę do krojenia. Usiadł obok mnie i jak gdyby nigdy nic zaczął siekać szczypior. – Nóż w rękach kobiety może być niebezpieczny – zażartował.

– Tak samo jak pistolet w rękach mężczyzny – odpowiedziałam, robiąc wszystko, co tylko mogłam, by nie okazać, jak wielką zaczyna sprawiać mi przyjemność jego obecność w tym miejscu. Gdyby ktoś powiedział mi o tym wczoraj, pewnie bym nie uwierzyła. Jednak teraz to wszystko działa się naprawdę. Patrzyłam, jak rozkrajają bułki, smaruje je masłem, miesza szczypior z twarogiem i kładzie na talerzykach gotowe kanapki.

– Nie mam broni, odkąd odszedłem z policji, czyli od dwóch lat. Musiałem jakoś panią zatrzymać. Cholernie szybko pani biega – stwierdził z niekłamanym uznaniem, a moja przyjemność jeszcze wzrosła.

Dawno nikt mnie nie pochwalił za to, co potrafię. W sumie to nikt mnie nie chwalił prócz pani Róży i czasem nauczycieli w szkole. Chyba się nawet zarumieniłam, bo poczułam ciepło na policzkach. Zagwizdał czajnik, miałam dobry pretekst, by skupić się na parzeniu herbaty, zanim ten facet zauważy, jak zaczyna na mnie działać.

W mojej maleńkiej kuchence z szafkami w brzoźowej okleinie mógłby jeszcze usłyszeć, jak głośno wali mi serce. Co się z tobą dzieje, strofowałam się w myślach.

– Nie biegam tak szybko, żebym mogła uciec przed tym, przed czym chcę – odpowiadam pozornie

obojętnym tonem i umykam w bok oczami, by nie wpatrywać się w wysokiego szatyna w niebieskiej koszuli.

– Ma pani na myśli mnie? – Przygląda mi się badawczo.

– Rozumiem, że jest pan altruistą i potrzebuje sprawdzać się jako bohater, ale nie jest pan pępkiem świata, wokół którego wszystko się musi kręcić, a zwłaszcza moje myśli. Cukier, cytryna? – Wskazuję na parujące kubki.

– Piję gorzką.

To tak jak ja, chcę powiedzieć, ale gryzę się w język. Ostatecznie nie musi o mnie za dużo wiedzieć. Jeszcze pomyśli, że specjalnie chcę mu się przypodobać, znów ganię sama siebie. Uciekam pod bezpieczny płaszczek obojętności. Za nic w świecie nie dam po sobie niczego poznać. Przenoszę kubki na stół i siadam z syknięciem.

– Boli panią? – pyta przejęty. – Może jednak należałoby to przeświecić? Mam samochód na dole i mogę panią podwieźć do przychodni. Jak pani zauważyła, użyłem już poprawnej formy „mam samochód”.

– Brawo, ale dziękuję za propozycję. To drobiazg, krzywo stąpnęłam – odpowiadam beztróskim tonem.

Teraz nie mam zamiaru przejmować się moim bólem. Nie mam zamiaru przejmować się niczym, tak podoba mi się ta chwila, która właśnie trwa. Nawet mój rak musiał to wyczuć, bo jeszcze nie daje o sobie znać.

– To może, jak pani wydobrzeje, pobiegamy razem? – proponuje mój gość, odgryzając spory kawałek bułki. Na ustach zostaje mu kawałek twarogu. Wyciera go pospiesznie opuszką palca.

– To nie jest dobry pomysł. – Widzę zawód na jego twarzy, ledwo wypowiedziałam te słowa. – Nie biegam z pępkiem świata, nie lubię orbitować wokół egocentrycznego obiektu.

– Ciekawe porównanie, ale wobec mnie absolutnie nieprawdziwe. Nigdy się nie uważałem za pępek świata. Zresztą nikt nie wie, gdzie on naprawdę jest. Według obliczeń Szymona Sobierajskiego sprzed dwustu lat pępek świata, a ściślej środek Europy, leży koło Białegostoku, w Suchowoli – popisuje się znajomością geografii. Chce mi zaimponować?

– Myślę jednak, że jest on zdecydowanie bliżej. – Wdaję się w polemikę. Nie wiem, do czego ona prowadzi, ale jest intrygująca. – W nas. Przynajmniej w niektórych z nas.

– To znaczy że prezentuje pani taki sam pogląd jak król Francji, zwany Król Słońce, który uważał, że „centrum świata to ja”. Jednak, proszę mi wierzyć, ja jestem daleki od tego stwierdzenia i nie wiem, na jakiej podstawie wyciągnęła pani takie wnioski – mówi podchwytliwie.

– Choćby na tej, że przyszedł pan tutaj. – Przełykam kawałek pieczywa. Biorę do ust mniejsze kawałki niż mój towarzysz, jednak zraniona warga nieprzyjemnie szczypie. – Pana pewność siebie raczej nie dopuszczała możliwości, że nie zostanie pan wpuszczony. Klucze i przeprosiny były tylko pretekstem. Tak naprawdę za tą wizytą kryje się coś innego.

Komisarz Mróz potakująco kiwa głową. Kończy kanapkę, poprawia się na taborecie i sięga po następną bułkę. Odnoszę wrażenie, że próbuje zyskać na czasie.

– Przyszedłem, bo policzyłem, że spotkaliśmy się, nie licząc dziś, trzy razy. Dwa nad morzem i wczoraj na dworcu. To raczej nie przypadek.

– A co? Przeznaczenie? – pytam uszczypliwie.

– Przedstawiła się pani jako Anna Karenina – zauważa z satysfakcją. – U Tołstoja Anna spotyka Wrońskiego właśnie na dworcu. Skoro zna pani tę powieść, to wie, jak potoczyły się losy Anny. Stąd wnioskuje, że...

– Proszę, aby nie wyciągał pan żadnych pochopnych wniosków z naszego zupełnie przypadkowego spotkania – przerywam mu dalszy wywód. Staram się zachować obojętność, choć mogą mnie zdradzić te

przekłęte zarumienione policzki.

– Nie zamierzam. – Kręci głową. – Ale też jestem oficerem i może na przykład lubię kogoś bronić albo komuś pomagać? Sama pani powiedziała, że jestem altruistą – przypomina mi zaczepnym tonem, lecz widać wyraźnie, że i jemu podoba się ta rozmowa. – A mnie zainteresowała pani skręcona kostka. W końcu to ja się do tego przyczyniłem, dlatego tu przyszedłem.

– Nie wiem tylko, co powie pana żona na tę troskę, okazywaną obcej kobiecie?

– Jaka żona? – pyta zaskoczony, zatrzymując bułkę w połowie drogi do ust. Robię to samo ze swoją.

– Monika. Sam pan mi o niej powiedział. – Widzę, że zabiłam mu ćwieka, bo mruga gwałtownie.

– Ja??? – Wskazuje palcem na swoją pierś.

Na jego ubraniu zostaje drobny ślad twarogu. Piotr Mróz nie zwraca na to uwagi, tylko zastanawia się przez chwilę w skupieniu i chyba sobie przypomina, gdyż na jego pociągłej twarzy widać ulgę.

– Dopiero teraz skojarzyłem. To pani siedziała wtedy na ławce, kiedy rozmawiałem przez telefon z Moniką! To było chyba przed niespełna miesiącem. Tak, pod koniec lutego.

– Zgadł pan.

– Z Moniką od lat jesteśmy rozwiedzeni. Mieszka we Wrocławiu z naszym synem. To na niego czekałem wczoraj na dworcu, ale nie przyjechał. – Nagle zaczyna się śmiać, gdy schylam się po łyżeczkę, która spadła pod stół.

– Pięć! – woła.

– Nie rozumiem? – Tym razem ja jestem zaskoczona.

– Spotkaliśmy się pięć razy! – Powtarza nieco ciszej, jednak z taką samą ekscytacją. – Dopiero jak się pani pochylała, i te włosy tak się rozsypały, przypomniałem sobie, że tego samego dnia obrzygała mi pani buty w szpitalu. – Parska śmiechem.

Chwytam oburącz kubek i przysuwam do ust, by ukryć zmieszanie.

– Bardzo pana przepraszam – bąkam w herbatę.

– Niech się pani nie przejmuj – mówi rozbawiony. – Buty dały się łatwo wyczyścić, ale... – zastanawia się chwilę – skoro wpadliśmy na siebie pięć razy i jemy razem śniadanie, to może skończmy już z tym „pan” i „pani”. Piotr. – Wyciąga do mnie rękę.

– Hanka. – Oddaję uścisk i zupełnie nieświadomie się uśmiecham.

– Masz ładny uśmiech, Haniu – zauważa, przykładając palce do policzków. – Takie fajne dołeczki ci się robią. Boli cię ta warga? – Wskazuje na rozcięcie. – Jest jeszcze spuchnięta.

Zaprzeczam ruchem głowy.

Ujmuje mnie coś zupełnie innego niż troska, z jaką zadaje to pytanie. „Haniu”, powtarzam w myślach. Powiedział do mnie „Haniu”... Wreszcie ktoś powiedział do mnie „Haniu”! Jak to miło zabrzmiało w jego ustach.

Dokończyliśmy śniadanie, rozmawiając o tym i owym. Więcej mówił Piotr, ja mniej, bo wolałam słuchać. Głos miał niski, ładnie brzmiący, wyraźny. Opowiadał o książkach, trochę o pasji biegania. Niespieszno mu było wyjść, a ja nie chciałam, by wychodził, bo tak ulotne wydało mi się to wszystko, co właśnie trwało. Miałam obok siebie człowieka, jeszcze wczoraj obcego, a dziś syciłam z nim głód samotności. Piotr pozbierał naczynia, wstawił je do zlewu i ponownie usiadł przy stole.

– Haniu, będę z tobą szczery – odezwał się poważnym tonem, a wtedy poczułam niepokój. – Rzeczywiście, rozszyfrowałaś mnie.

– Czyżby? – Uniosłam brwi. – Rozszyfrować policjanta, nawet byłego, to nie byle co.

– Kolejny punkt dla ciebie.

– To my w coś gramy?

– Oceń sama – zabębnił palcami w stół. – Wprosiłem się do ciebie na śniadanie, gdyż pewna rzecz nie

daje mi spokoju. Wybacz, że jestem wścibski, ale widać zostało mi takie skrzywienie zawodowe. Przyszedłem, ponieważ niepokoi mnie, dlaczego taka młoda dziewczyna chciała się zabić.

Patrzył na mnie przenikliwie, ale wytrzymałam jego spojrzenie. Tylko beztraska chwila prysła jak bańka mydlana i coś we mnie zaczęło się usztywniać.

– Wysłałam pobiegać – odparłam z pewnością w głosie, która jednak nie przekonała mojego anioła stróża, bo pokręcił głową.

– Wybacz, ale nie kupuję tej bajeczki o wyzwaniach ekstremalnych. Za długo byłem policjantem, by dać się na to nabrać. Widziałem sporo niedoszących samobójców. Jestem też dobrym obserwatorem, mam wyobraźnię, akurat tak się składa, że piszę kryminały, dlatego...

– Piszesz kryminały? – Bardzo mnie zaintrygował tą wiadomością, lecz moja reakcja nie zrobiła na nim większego wrażenia.

– Dlatego – wrócił do poprzedniej kwestii – obawiam się, że znów może ci wpaść do głowy coś niedorzecznego. Chyba nie chcesz, bym do końca życia miał wyrzuty sumienia, że cię przed tym nie powstrzymałem?

– Naprawdę nie wiem, o czym mówisz – zbagatelizowałam sprawę.

Nie zamierzałam się wywnętrzać przed dopiero co poznanym mężczyzną. Pomimo wszystko. Przed jednym już się obnażyłam i uciekłam. Wystarczy. Drugi raz nie dam się tak upokorzyć. Dlatego zrobiłam obojętną minę.

– Jakoś ci nie wierzę – stwierdził sceptycznie.

– To już twój problem – odparłam twardo.

– Zrozum – Piotr położył rękę na moim ramieniu – jesteś niewiele starsza od mojego syna. Może to niedorzeczne, ale w jakimś sensie czuję się za ciebie odpowiedzialny. Chciałbym ci pomóc, jeśli tylko potrafię – mówił, nie spuszczać ze mnie wzroku. Zrzuciłam jego rękę, poruszając ramieniem.

– Naprawdę nie jest to konieczne – oświadczyłam zdecydowanie. – Nie ma powodu, żebyś mi pomagał ani tym bardziej czuł się za mnie odpowiedzialny. Coś sobie uroiłeś. Mieszkam na dziesiątym piętrze, gdybym chciała się zabić, jak twierdzisz, nie musiałabym biec aż na dworzec. Wystarczyłoby wejść na parapet. A teraz bardzo przepraszam, ale muszę cię pożegnać, jestem umówiona. – Popatrzyłam na zegarek, po czym wstałam z taboretu.

Już dawno minęła ósma rano. Z nikim nie byłam umówiona, ale on nie musi o tym wiedzieć. Zaraz stąd wyjdzie, a ja o nim zapomnę, jak tylko zamknie za sobą drzwi. Tak jak on o mnie. Jest miły, uprzejmy, ale to jeszcze nie powód, bym wtajemniczyła go w moje sprawy. Nie jest w stanie zaoferować mi tego, czego w głębi duszy pragnę.

Piotr wstaje od stołu i rusza w stronę wyjścia.

– Może choć zakupy będę ci robił przez kilka dni, powinnaś oszczędzać nogę, a nie zapytałem, czy mieszkasz tu sama? – Odwraca się w drzwiach pokoju.

– Mieszkam z mężem – kłamię bez zastanowienia. – Wyjechał na kilka dni. Niedługo wraca.

– Ach, tak.

Słyszę w jego głosie cień rozczarowania. Waha się przez chwilę, a potem podchodzi do sterty gazet na parapecie. Odrywa skrawek papieru i ołówkiem wyjętym z dzbanka notuje numer.

– To jest mój telefon – mówi pochylony nad stołem. – Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebowała, do czasu, aż wróci twój mąż.

Nie odpowiadam.

– Dasz mi w rewanżu swój? – pyta Piotr.

– Nie. Idź już.

Zdejmuje z wieszaka kurtkę i wychodzi.

# Piotr

Nie mogłem przestać myśleć o tej dziewczynie. Było w niej coś, co mnie zarówno intrygowało, jak i niepokoiło. Mógłbym przysiąc, że Hanka nie powiedziała mi prawdy, choć próbowałem ją podejść z różnych stron. To ona wyciągnęła ze mnie więcej niż ja z niej. Jakie „wyciągnęła”? Dopiero kiedy od niej wyszedłem, połapałem się, że to ja zamieniłem się przy niej w gadającą katarynkę, a ona tylko słuchała. Umiała wyjątkowo zachęcająco słuchać. Całą sobą. Widziałem, że jest naprawdę zainteresowana tym, co mówię. Wyspowiadałem się przed nią tak dokładnie, że sam siebie o to nie podejrzewałem. Przyznałem się nawet do pisania kryminałów.

A co ja wiedziałem o niej? Tyle, co zaobserwowałem. Na przykład, że jest trochę nieufna, może dlatego ani razu do mnie nie zadzwoniła, choć nie rozstawałem się z komórką.

Od kilku dni właściwie nie robiłem nic innego, tylko polowałem na Hanię. Chciałem choć z daleka mieć na nią oko, bo naprawdę martwiłem się o tę dziewczynę. Raptem mniej zaczęła mnie obchodzić jako prototyp. Teraz skupiłem się na tym, co ukrywa. I naprawdę czułem obawę.

Trochę też ucierpiała moja dawna ambicja śledczego, że nie wyciągnąłem z dziewczyny tego, co zamierzałem. Nie chciałem jednak spłoszyć Hanki, dlatego z początku zdałem się na przypadek. Biegałem po plaży tam, gdzie się spotkaliśmy, pod jej blokiem, przy najbliższym sklepie, licząc, że na nią wpadnę, ale się przeliczyłem. Z bolącą nogą nie mogła przecież robić długich spacerów.

W związku z tym posunąłem się krok do przodu i wczoraj postanowiłem ją odwiedzić. Ostatecznie miałem prawo sprawdzić, co się dzieje z osobą, która przeze mnie skrzyła nogę, tłumaczyłem sam sobie, jadąc windą na dziesiąte piętro. Nawet jeśli wrócił jej mąż, to łatwo wszystko wyjaśnię. Na myśl o nim ogarnęło mnie lekkie rozdrażnienie. To pewnie jakiś ślepy palant, skoro nie widzi, co się dzieje z jego żoną. Bo że coś się działo, tego byłem pewien.

Zapukałem do drzwi, jednak nikt mi nie otworzył, choć słyszałem, że ktoś chodzi po mieszkaniu. Jak niepyszny wróciłem do domu, zły, że znów się nie udało.

Za to przynajmniej od Elżbiety miałem spokój. Wyjechała do Warszawy na szkolenie fryzjerskie. Ustawiłem się więc z Wojtkiem na kolejny wieczór.

Ledwo rozpoznałem przyjaciela po pół roku. Nie dość, że był mocno ogorzały od wiatru i słońca, co przy bladych twarzach na gdańskich ulicach czyniło z niego południowca, to pozbył się wieloletniego zarostu. Ja nigdy go nie nosiłem. Nawet tych podobno seksownych trzydniówek, na co usilnie namawiała mnie Elżbieta. Może bym sobie i zapuścił, gdyby tak nie należała.

Siedzieliśmy od godziny w zatłoczonym klubie nad Motławą, opanowanym przez podpitą, hałaśliwą młodzież. Cała grupa okupowała stoliki oraz stołki przy podświetlonym na niebiesko barze. Raz po raz towarzystwo wybuchało chóralnym śmiechem, od którego dudniło mi w uszach, bardziej niż od muzycznej sieczki z głośników. W tym hałasie nawet nie usłyszałbym sygnału komórki, gdyby Hania zadzwoniła.

Wyjąłem telefon z kieszeni kurtki i położyłem na stoliku, tak by widzieć wyświetlacz. Wojtek akurat opowiadał, jak uciekali statkiem przed somalijskimi piratami.

– ...no więc jesteśmy na Oceanie Indyjskim, pełen załadunek kontenerowy, a półtorej mili za nami

śledzą nas dwie łodzie z uzbrojonymi po zęby Somalijszczykami. Mam dwudziestu ludzi załogi na pokładzie i ani jednej sztuki broni, przepisy zabraniają, tylko sikawki do obrony, którymi najwyżej mogę komuś przysznic zafundować, a nie obronić się przed bandytami.

– I co zrobiłeś? – spytałem, bawiąc się telefonem.

– Jak to co? – Kapitan Has wzruszył ramionami. – Zwiększyłem na maksa obroty, ryzykując zarżnięcie silników, wywołałem fale, żeby draństwo w tych krypach potopiło się w cholere, i uciekłem. A potem do końca rejsu podwójne wachty w nocy, bo te parszywce lubią czasem wracać, ale jakoś był spokój. Czekasz na telefon? – rzucił zniecierpliwiony.

– Nie, choć właściwie tak – przyznałem, popijając drugie piwo. – Straszny szczoch, chyba chrzczone wodą – wykrzywiłem się z obrzydzeniem.

– Jaka ona jest? – Wojtek nie zwracał uwagi na moją opinię o browarze.

– Kto?

– No ta laska, na której telefon czekasz. – Wskazał na komórkę, po czym wychylił swój kufel do dna. – Eeee, całkiem niezłe.

– Skąd wiesz, że czekam na telefon od laski? Może na przykład od Michała?

– A jak długo cię znam, Piter? – Roześmiał się.

Tylko Wojtek pamiętał moje dawne przezwisko z liceum. Ja, tak jak wszyscy, mówiłem do niego „Rudy”, ze względu na kolor włosów. – Ponad dwadzieścia lat, jakbyś zapomniał. Wyczuwam cię jak sonar.

– No dobra, poznałem kogoś – powiedziałem trochę ciszej, bo podpite towarzystwo wyszło i w klubie zrobiło się mniej hałaśliwie. Mogliśmy normalnie pogadać.

– Ładna? – Uniósł brwi, spoglądając na mnie z jednoznacznym uśmiechem. Zdecydowanie lubieżnym.

– To znajomość nie w tym sensie. – Przeciąłem ręką powietrze.

– A w jakim? Odkąd się rozwiodeś, nie zawierasz znajomości w innym sensie.

– Ale ta jest inna niż wszystkie, w sensie dziewczyna, nie znajomość.

– Dziewczyna? To ile ona ma lat?

– Nie wiem, nie pytałem, ale chyba nie więcej niż dwadzieścia. Może nawet mniej.

– Zwariowałeś? Mogłaby być twoją córką. Daj sobie z nią spokój, to jakaś siusmajtka. – Rudy skinął na kelnera, zamawiając kolejne piwo.

– Powtarzam – odrzekłem, wychylając swój kufel – nie jestem nią zainteresowany w ten sposób, o jakim myślisz.

– Coraz bardziej mnie zaciekawiasz. Jak nie do wyrka, to do czego ci potrzebna smarkata panienka? Do realizacji ojcowskich uczuć? – Zarechotał paskudnie, a mnie mało szlag nie trafił.

– Rudy, uważaj, bo się doigrasz! – Gwałtownie przechyliłem się ku niemu przez stół, w momencie kiedy podszedł kelner z piwem na tacy.

– Jakiś problem, panowie? – Zerkał na nas podejrzliwie.

– Wszystko w porządku – odpowiedział Wojtek, a ja potwierdziłem skinieniem głowy.

Kelner postawił na stoliku pełne kufle i odszedł, oglądając się na nas.

– Sorry – bąknąłem pod nosem – ale trochę mnie wkurzyłeś.

– Dobra, ja też przegiąłem. Mów o tej dziewczynie. Jak ma na imię? – zapytał już normalnie.

– Hania. – Chyba musiałem się uśmiechnąć albo westchnąć idiotycznie, bo Wojtek przygryzł usta.

– Czego? – burknąłem, widząc jego błazeńską minę.

– Nic, nic. Hania – powtórzył. W jego głosie usłyszałem własny ton. Zdecydowanie za bardzo maślany.

– Seksowna chociaż?

– Wojtek, słowo. – Przyłożyłem rękę do piersi. – Ja w ogóle nie myślę o niej takimi kategoriami. Po

prostu wydaje mi się, że ma jakiś problem. Ona temu zaprzecza, jednak mój dawny policyjny nos podpowiada mi co innego. Próbowałem z niej cokolwiek wyciągnąć, ale to twarda sztuka.

– A ty masz zamiar pobawić się w prywatnego detektywa czy też jej psychoanalityka. Tylko po co?

– Choćby po to, że chcę. Bo na przykład zaimponowała mi, jak szybko potrafi biegać. Niedawno ścigaliśmy się na torach, ledwo ją dogoniłem, i to podstępem, ale fakt faktem, że niepokoję się o nią. A poza tym naprawdę bardzo fajna z niej dziewczyna. Taka inna niż wszystkie. Delikatna, naturalna. A jak się uśmiechnie, to kurczę, nie wiem, jak to określić, ale cała się rozjaśnia. I spojrzenie ma takie, jakby chciała cię przygwoździć wzrokiem albo wwiercić ci się w mózg. Myślałem nawet, żeby zrobić z niej pierwowzór bohaterki, ze względu na jej oczy. Żebyś widział, jakie są zielone. Sam nie wiem, lazur, turkus, jakby soczewki w nich miała. Jest też inteligentna, bystra, dowcipna, sprawia wrażenie odcytanej, do tego trochę nieufna, raczej nieprzystępna... – wyliczałem swoje spostrzeżenia, ale Wojtek mi przerwał.

– A może ty się w niej zadurzyłeś?! – Trzasnął ręką w blat.

– Chyba cię pogięło. – Popukałem palcem w czoło. Nie mógł wymyślić większej bzdury, która zaskoczyła mnie samego.

– Szkoda, że nie widzisz siebie, jak o niej opowiadasz. Wyglądasz podobnie jak wtedy, kiedy swiergotałeś mi o Monice. I oczka ci się błyszczą jak ta lala – śmiał mi się bezczelnie w twarz.

– Nic mi się nie błyszczy, bo ciemno tu jak w dupie, więc nie wciskaj mi dziecka w brzuch! „Zadurzyłeś” – przedrzeźniam – absolutne pudło, Rudy. To dla mnie dzieciak, po prostu martwię się o nią. A poza tym jest mężatką.

– I tu cię mam! – Wojtek z dziką satysfakcją dziabnął mnie palcem. – Chwycił cię wkurw, bo jest mężatką!

– Nic mnie nie chwyciło, ale przyznaję, że trochę mnie zaskoczyła tym, że ma męża. Wydaje się na to za młoda i zbyt... – zastanowiłem się chwilę – samotna. Spotkaliśmy się przypadkiem kilka razy i za każdym była sama. Nawet jak do niej wpadłem kilka dni temu rano, to też była sama.

– Wpadłeś do niej rano? – Przyjaciel aż przechylił się na stołem.

– No tak, bo znalazłem jej klucze od mieszkania. – Opowiedziałem szczerze, co i jak. – Nie rozglądałem się za bardzo, ale nie zauważyłem śladów obecności tego jej męża. Żadnych męskich kapci, marynarek w przedpokoju, butów, zupełnie nic. Nawet obrączki nie miała.

– A zajrzałeś do łazienki? Pędzle, golarka, dwie szczoteczki do zębów i takie tam.

– Nie, jakoś głupio było.

– Frajer z ciebie – stwierdził bez ogródek, pocierając krótko ostrzyżone włosy. – Trzeba było pójść, żeby się wysikać, a przy okazji rozejrzałbyś się dokładnie. Może ściemnia z tym mężem? Wzięłaś choć od niej telefon?

– Chciałem, ale nie dała. Ma za to mój, tylko że ani razu nie zadzwoniła.

– To i nie zadzwoni – stwierdził kategorycznie. – Zapomnij o niej, stary. Im szybciej, tym lepiej.

– Wczoraj – ciągnąłem uparcie – poszedłem do niej wieczorem, ale nikt mi nie otworzył. Przysięgłbym, że ktoś był w środku, bo słyszałem muzykę i jakieś szuranie.

– Piter, daj sobie z nią spokój. – Wojtek się zniecierpliwiał. – Laska wyraźnie cię olewa i nie ma ochoty na kontakty. Może jest szczęśliwa z mężem? Poza tym naprawdę jest dla ciebie za młoda. Masz cztery dychy na karku. Zapomnij o niej od razu i skup się na swojej Elżbiecie.

– Daj mi spokój z Elżbietą – fuknąłem szorstko. – Nie jest żadna „moja”. Tyle razy dawałem do zrozumienia, że mam jej dość, niestety, to do niej nie dociera.

– Więc nie dawaj do zrozumienia, tylko powiedz wprost, jak jest, i poszukaj innej. O, zobacz, tamte dwie są całkiem, całkiem. – Wskazał na wyzywająco ubrane dziewczyny przy barze. Obie ładne

blondynki, w krótkich spódniczkach i na niebotycznych szpilkach.

Wojtek wyprostował się, naprężył, wciągnął brzuch. Wyglądało to z pozoru niewymuszenie, ale znałem te jego zagrywki, na które podrywał dziewczyny. Czasem sam tak robiłem. Uśmiechnął się do nich szeroko, błyskając białymi zębami, pomachał niedbale palcami, a one odmachwały rozchichotane. Wojtek nawet się rozochocił, lecz mnie jakoś nie brały ich wdzięki, choć zapewne wcześniej zwróciłbym na którąś uwagę.

– Michał kiedy przyjeżdża? – Z zamyślenia wyrwało mnie pytanie kumpla.

– Mam nadzieję, że na Wielkanoc. Rudy, zmieniamy lokal, bo tyłek mi drętwieje od tych desek i lać mi się chce.

– Zostawisz taki gorący towar? – Puścił do mnie oko i znów wskazał na tamte dwie, które zezowały na nas z wyraźnym zainteresowaniem.

– Jakoś nie mam nastroju. – Wstałem i z ulgą rozprostowałem nogi.

– A ja mam. – On również wstał. Też był wysoki, choć nie tak, jak ja. W szkole zawsze o to rywalizowaliśmy, który jest wyższy. Tak samo jak o dziewczyny. Wyjąłem z portfela setkę, by zapłacić, ale Wojtek mnie powstrzymał.

– Czuj się zaproszony. Pisarzom podobno marnie płacą.

– Ja nie narzekam.

– No to gra, ale i tak ci stawiam. A teraz znikaj, jak chcesz, a ja zagadam z tymi panienkami. Zdzwonimy się.

– Dobra.

Poklepaliliśmy się krótko po plecach. Zaszedłem do kibelka i zamówiłem taksówkę, bo po trzech piwach nie chciało mi się wlec pieszo na Zaspę, choć nie było jeszcze tak późno. Dochodziła dopiero dziewiąta wieczorem, gdy czekałem przed klubem na jej przyjazd. Podałem kierowcy adres na Startowej. Chciałem jeszcze raz zobaczyć, czy u Hani wszystko w porządku.

Zadurzyłem się w niej? Nonsens. Martwiłem się o nią i tyle. Owszem, intrygowała mnie, nawet fascynowała w jakimś sensie, ale żeby zaraz się zakochać? Niiieeee, to nie w moim stylu. Zresztą i tak przestałem wierzyć w miłość.

Wysiadłem pod wieżowcem Hani. Przeszedłem pod balkony, gdyż jej mieszkanie wychodziło na tę stronę, i zadarłem głowę. W oknach świeciło się światło. Ucieszył mnie ten widok. Raźniejszym krokiem wróciłem do klatki schodowej.

– Zepsuł się. Od wczoraj nie działa – powiedziała starsza kobieta, gdy naciskałem guzik domofonu.

– Wpuści mnie pani? – Przywołałem na twarz budzący zaufanie uśmiech.

– Tak, proszę.

Kobieta skręciła do pierwszego mieszkania na parterze. Wjechałem windą na dziesiąte piętro. Zanim zapukałem do drzwi, przyłożyłem ucho do szarej pilśniowej płyty. Grał telewizor, ktoś chodził, jednak nie dolatywała do mnie żadna rozmowa. Chyba jest sama, pomyślałem i nacisnąłem dzwonek.

Odsunąłem się o krok, by mogła mnie dojrzeć w wizjerze. Słyszałem, jak podchodzi do drzwi po drugiej stronie, a raczej skrada się na palcach. Mógłbym przysiąc, że przysuwa oko do wizjera, ale nie otworzyła. Zapukałem ponownie. Bez skutku.

Postałem jeszcze parę minut, czując się jak persona non grata, po czym poszedłem do domu.

Trudno, skoro nie chce ze mną gadać, nie będę robił z siebie pajaca i się narzucał. Może Hania wcale nie potrzebuje pomocy, tylko mnie coś się ubrdało. Cholera wie, czy ten jej mąż nie jest jakimś oszołomem, który jeszcze pomyśli, że nachodzę jego żonę.

Wojtek ma rację, muszę dać sobie spokój z tą dziewczyną. Jak chce się ścigać z pociągami, to jej prywatna sprawa. W końcu ma męża, niech sam pilnuje tej wariatki. Ja nie muszę. Jestem dojrzałym



facetem, z czterdziecią na karku, i nie mam zamiaru uganiać się za dziewczuchą, która rzeczywiście mogłaby być moją córką.

Przekąsiłem kolację, wskoczyłem pod prysznic, a nawet usiadłem do komputera, by do pierwszego zdania nowego kryminału dopisać następne, tylko że ta mała wkurzająca pchła wciąż siedziała w moim łbie. Zwariowałem, do jasnej cholery, naprawdę zwariowałem, że tak się dałem omotać. I to czym? Jedną rozmową? Paroma przypadkowymi spotkaniami? Co się ze mną, do diabła, dzieje?

Zasypiałem już gdzieś koło północy, po absolutnie jałowym wysiłku intelektualnym, bo nie napisałem nic, gdy zapikła moja komórka. Zerwałem się z łóżka tak gwałtownie, że gwizdnąłem łokciem w kant nocnej szafki. Przeszedł mnie prąd z bólu, ale olałem to zupełnie i pognałem do kuchni, gdzie zostawiłem telefon.

*Już wróciłam, Piotruś. Będę u Ciebie jutro o 10:00. Twoja Elżbieta.*

Zawód to mało, co poczułem w tej chwili! Bo nie na ten esemes w głębi duszy czekałem. Za mocno szurnałem komórką po blacie. Spadła na podłogę i rozsypała się w drobny mak. Dosyć! Koniec z tym! Z Elką też się jutro ostatecznie rozprawię! Skupię się na Michale, dokończę książkę, bo w końcu zostanę bez kasy, a moja gówniana emerytura po odliczeniu opłat wystarczy mi na chleb z masłem, i będę spokojnie żył!

Z takim postanowieniem wróciłem do wyra.

Wcześniej wygrzebałem z szuflady starą nokię, przełożyłem do niej kartę SIM i podłączyłem ładowarkę, tak na wszelki wypadek.

Zerwałem się przed szóstą, przebiegłem stałą trasę, potem szybki prysznic, jakieś śniadanie i sam pojechałem na Przymorze do Elżbiety. Wolałem, żeby nasza rozmowa odbyła się u niej w domu. Będę mógł wyjść w każdej chwili, jeśli sprawy zaczną przybierać nieciekawy obrót. Co do tego nie miałem wątpliwości, nasze rozstanie nie przebiegnie w pokojowej atmosferze. Trudno, dłużej nie zniosę obecności tej kobiety w moim życiu. Wplątałem się w układ, który do pewnego momentu sprawiał mi przyjemność, ale już najwyższy czas go przerwać. Nawet jeśli poleją się łzy. Nawet jeśli rzeczywiście ją zranię. Ostatecznie wiedziała, w co się pakuje, nie moja wina, że źle ulokowała uczucia.

Układałem w głowie plan, jak jej to powiem, żebym mimo wszystko nie wyszedł na zimnego drania, a ona nie wpadła w histerię. Nie byłem zbyt odporny na damskie łzy. Przez moment zawahałem się, czy nie kupić kwiatów, jednak zrezygnowałem z tego pomysłu i punkt dziewiąta zapukałem do różowego królestwa Elżbiety.

Nie znosiłem jej mieszkania. Wszystko było przebrzydłe landrynkowe – ściany, dywan, pościel, zasłony, telefon. Mdlilo mnie za każdym razem, gdy spotykaliśmy się u niej. Teraz też wzdrygnąłem się nieznacznie na samo wspomnienie morza różu, gdy tkwiłem przed drzwiami, trochę podminowany tym, co za chwilę się wydarzy.

Otworzył mi wygolony, krępy mięśniak w samych gaciach i ze złotym łańcuchem na szyi. Zdębiałem.

– Do kogo? – spytał krótko, patrząc spode łba.

– Do Elżbiety, ale... – nie dokończyłem, że to już nieaktualne, bo napompowany sterydami niski macho o wyglądzie goryla zawołał w głąb mieszkania:

– Cipcia, jakiś koleś do ciebie!

Usłyszałem szelest i pojawiła się Elżbieta, naciągając różowy szlafrok na półnagie ciało.

– Piotrek??? – Zrobiła wielkie oczy. – Co ty tu robisz? Miałeś... przyjechać pojutrze.

– Ty, co to za gość? – Goryl szarpnął Elżbietę za ramię i wskazał łysym łbem w moją stronę.

– To? – spytała lękliwie. – Mój... kuzyn z Tczewa.

Taaaak, kuzyn z Tczewa, zachichotałem w myślach.

– Rzeczywiście przyjechałem nie w porę i w dodatku bez zapowiedzi. Nie będę wam przeszkadzał.

Mam parę spraw do załatwienia w Gdańsku – oświadczyłem, pilnując się, by nie wybuchnąć śmiechem, który omal mnie nie zadławił. Zawinałem się na pięcie i zbiegłem w dół, przeskakując po dwa stopnie, szczęśliwy jak skowronek. Otwierałem samochód, gdy wyskoczyła za mną Elżbieta.

– Zaczekaj, wszystko ci wyjaśnię... – zaczęła zdenerwowanym głosem, próbując zastąpić mi drogę.

– Nie musisz, wszystko jasne. – Odsunąłem ją i wsiałem do auta.

– Adrian to nic poważnego... – Złapała rękoma za półotwartą szybę samochodu.

– Przecież o nic cię nie pytam. Baw się dobrze i nie dzwoń do mnie więcej.

– Piotruś... – jęknęła żałośnie.

Posłałem jej szeroki uśmiech, podniosłem szybę i odjechałem.

We wstecznym lusterku widziałem, jak stoi na chodniku i przykłada ręce do twarzy. W słonecznym świetle różowy szlafrok wydawał się jeszcze bardziej różowy. Gdyby nawet padła na te krzywe płytki albo zrobiła cokolwiek innego, mnie już to nie dotyczyło.

Byłem wolny!

Nawet podśpiewywałem sobie na głos: *O, Ela, straciłaś przyjaciela*, śmiejąc się w duchu z własnej naiwności. Ciekawiło mnie jednak, jak długo sypiała jednocześnie ze mną i tamtym gorylem, wciskając mi kit o małżeństwie. Nie byłem zazdrosny ani krzywny, ale moja męska duma odrobinę ucierpiała. Ja nawet w luźnych układach byłem wierny. Jak spotykałem się z jedną laską, nie szukałem innej. Tymczasem Elżbietka okazała się wyrachowaną spryciarą, grającą na dwa fronty. Mogły sobie z Monią podać rączki, mruknąłem sam do siebie.

W drodze do domu zajechałem na pocztę i kupiłem karton, do którego zapakowałem drobiazgi Elżbiety, porozkładane w moim mieszkaniu. Lekkim krokiem poszedłem wysłać paczkę na domowy adres tej, która definitywnie przeszła do historii, i zamknąłem ów etap życia.

Zamierzałem trochę odpocząć od kobiet. Chciałem się skupić na tym, co najważniejsze. Na synu i pracy.

Ta zaś szła mi teraz nie najgorzej, przez dwa kolejne dni posunąłem się o trzy strony do przodu. Po długim zastoju twórczym i tak był to sukces, choć nie przekonywało mnie to, co napisałem. Dotąd pisanie mnie roznosiło. Klepałem w klawiaturę dniami i nocami prawie bez wytchnienia. A teraz ledwo wyciskałem z siebie kolejne zdania. Za to przyjąłem zaproszenie na rodzinny obiad. Nie, jak dotąd, w niedzielę, tylko we wtorek.

Nie miałem specjalnej ochoty na nasiadówki przy stole, lecz jak mógłbym wymagać od syna, żeby do mnie przyjeżdżał z daleka, skoro sam ledwo znajdowałem czas, by odwiedzić rodziców, których praktycznie mam pod nosem. Dlatego kupiłem mamie storczyk, ojcu wytrawne wino i pojechałem do Sopotu.

– To mówisz, Piotrze, że Michaś przyjedzie na Wielkanoc – upewniała się mama, nalewając czerwony barszcz do talerzy. – Bardzo się za nim stęskniliśmy.

– Tak powiedział, więc trzymam go za słowo – potwierdziłem. – Też za nim tęsknię, ale on chyba mniej.

– To taki zbuntowany wiek. – Ojciec uśmiechnął się wyrozumiale. – Trzeba przeczekać, aż minie, ale trzymać rękę na pulsie. Pamiętasz, Celinko, ilu mieliśmy takich buntowników przez te wszystkie lata w szkole?

– Kto by ich zapomniał! – Mama się roześmiała. – Kochane urwisy, ale wszyscy w końcu dojrzeli. Michaś też swoje zrozumie, tylko trzeba czasu.

– Obyś miała rację – mruknąłem, podnosząc pierwszą łyżkę barszczu do ust, co nie przeszkodziło mi zauważyć irytujących min na twarzach rodziców.

– Dziś mamy wyjątkowy dzień i nie chodzi mi o prima aprilis. – Ojciec porozumiewawczo mrugnął do mamy.

– A tak, skoro Piotr przyjechał na obiad, i to we wtorek, to oznacza... – Mama mówiła konspiracyjnym tonem.

– To nic nie oznacza – przerwałem, by moi dowcipni rodzice przypadkiem nie zaczęli się bawić moim kosztem, czyli dopytywać o sprawy osobiste.

No bo skoro zjawiłem się u nich, to oznacza, że jestem sam. A ja właśnie się cieszyłem z tego, że jestem sam, bez damskiego towarzystwa.

Trochę mnie zaskoczyła Elżbieta. Przypuszczałem, że zadzwoni, będzie próbowała się tłumaczyć, wyjaśniać, a tu kompletna cisza. Z tego akurat byłem zadowolony. Tylko z tego, ponieważ wciąż podświadomie czekałem na inny telefon. Tymczasem moja komórka leżała na wykrochmalonym obrusie, milcząc uparcie. Wpatrywałem się w nią tępym wzrokiem.

Nawet za bardzo nie docierały do mnie polityczne komentarze ojca, o jakimś europośle, co na lotnisku we Frankfurcie nawymyślał celnikowi od Hitlera i nazistów. Ojciec próbował i mnie wciągnąć w dyskusję, ale tylko potakiwałem głową dla świętego spokoju. Tak miał, że jak wsiadł na swojego ulubionego konika, to zamęczał każdego. Mnie polityka interesowała umiarkowanie. Teraz, szczerze mówiąc, nic mnie tak nie interesowało, jak to, by ten przeklęty telefon wreszcie zadzwonił. Ponieważ moje twarde postanowienie, że zapomnę o Hani, rozmyło się szybciej, niż przypuszczałem.

– Kochani, niech nam polityka nie psuje tego obiadu – odezwała się mama. – Mówmy o czymś przyjemniejszym. Piotrze, jesteś dziwnie zamyślony.

– Ja? Skąd? – zbagatelizowałem tę uwagę i badawcze spojrzenie mamy spod okularów w złocistych oprawkach. – Ale masz rację, polityka przy stole odbiera apetyt. Zwłaszcza w naszym polskim wydaniu.

– Oczywiście, Celinko, jak zwykle masz rację. – Ojciec przechylił się i pocałował mamę w rękę.

A ja po raz kolejny stwierdziłem w duchu, że moi rodzice są niedzisiejsi. Uprzejmi, kulturalni, odnoszą się do siebie z szacunkiem.

– Piotr, utniemy sobie partyjkę szachów po obiedzie?

– I znowu mnie ograsz – westchnąłem.

Jeszcze nigdy nie wygrałem z ojcem w szachy. Jego matematyczny mózg wyprzedzał każdy mój ruch o dwa kroki, choć też nie byłem najgorszy.

Kończyłem lekko przestygłą zupę, gdy zadzwonił telefon. Spojrzałem na wyświetlacz. Nie znałem tego numeru.

– Halo? – Odebrałem już po pierwszym sygnale.

– To ja. – Ledwo usłyszałem jej głos, wstałem od stołu i przeszedłem do drugiego pokoju.

– Dzień dobry, Haniu – przywitałem się. Przymknąłem drzwi, ponieważ moi rodzice nadstawili uszu, co widziałem przez ozdobną szybkę, i jak dwa siwe gołąbki wychyliłi się w krzesłach. – Cieszę się, że dzwonicz, czekałem na twój telefon.

– Czyyyy... – zająknęła się nieznacznie – możemy się spotkać?

– Tak, oczywiście! – Entuzjazm zdecydowanie wzmocnił mój głos. – Kiedy? Gdzie?

– Nie wiem, jak ci wygodnie. Dostosuję się.

– To może... – Zerknąłem na zegarek. Było wpół do drugiej. Jak się pospieszę, za pół godziny mogę być już w domu. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to wpadnij do mnie o czternastej. Chyba że wolisz gdzieś w mieście.

– Wolę u ciebie. Tylko gdzie?

Podałem jej adres i gdyby to nie było śmieszne, chyba bym podskoczył. Ochłonałem w mig i wróciłem do stołu. Przy moim nakryciu widniała szpetna plama po barszczu. Drobne, czerwone kropelki rozprysnęły się też na mojej błękitnej koszuli. Widocznie niechcący potrąciłem talerz.

– Przepraszam was, ale muszę wracać – powiedziałem, wkładając kurtkę. – Wypadła mi pilna sprawa.

– Pozdrów ją od nas – rzuciła mama, która niby nic nie wie, a i tak jest ze wszystkim na bieżąco.

– Sprawę? – spytałem idiotycznie.

– Tę damę, do której tak pędzisz, że muszę sam ze sobą zagrać w szachy – dodał ojciec, mrugając do mnie.

– Trzymajcie się. – Kiwnąłem ręką, wychodząc. – Przepraszam za obrus. Odkupię, jak się nie spierze.

W dziesięć sekund pokonałem odległość z willi przy Parkowej na parking. Odpaliłem silnik i z piskiem opon ruszyłem do Gdańska.

# Hanka

Zupełnie nie wiedziałam, czego mogę się spodziewać po wizycie u Piotra. Jak zareaguje na moją propozycję. Tylko jego mogłam brać pod uwagę, by zrealizować swój plan. Pierwszy raz pomyślałam o tym, gdy ode mnie wyszedł, wtedy, w sobotę. Wówczas plan był tylko załącznikiem pomysłu w mojej głowie. Jednak z dnia na dzień, gdy próbowałam poukładać swoją codzienność, zmagając się w samotności z giejakiem i narastającym z jego powodu bólem, mój zamiar urósł do rangi ostatecznej decyzji. Świadomego wyboru, do którego miałam prawo. Potrzebowałam tylko Piotra.

Widać los nie bez powodu skrzyżował nasze drogi pięć razy. Ten człowiek był moją ostatnią szansą.

Może gdyby do mnie nie przychodził, nie biegał pod blokiem, co widziałam, zerkając ukradkiem, gdyby nie pokazywał, że w jakimś sensie nie jestem mu obojętna, nigdy nie zdobyłabym się na ten telefon. A teraz pewnym krokiem podchodziłam pod blok Piotra, ze świadomością, że nie mam nic do stracenia, a wszystko do zyskania. Mogłam nawet mu zapłacić. Dysponowałam sumą, z której mogłam sporo uszczknąć, by zrealizować swój plan. Za resztę przeżyję ładnych parę miesięcy. Dłużej i tak nie będzie mi dane.

Przez ponad tydzień, gdy prawie nie wychodziłam z domu, gdyż jeszcze dokuczała mi noga, a poza tym nie chciałam wpaść na Piotra, zanim wszystko dobrze przemyślę, zrobiłam szczegółową kalkulację. Teraz pozostało mi tylko negocjować jego udział w moim przedsięwzięciu.

Postanowiłam, że aby okazać profesjonalizm i nabrać pewności siebie, ubiorę się bardziej oficjalnie. Tak naprawdę do wyboru miałam niewiele ciuchów. Jedyna rzecz, która była jako tako elegancka, to pudrowa sukienka do kolan w komplecie z blezerem w tym samym odcieniu, w której brałam cywilny ślub. Wyglądała na zwyczajną wiosenną kieckę, idealną na dzisiejsze słoneczne popołudnie. Do tego niezbyt wysokie pantofle. Włosy chciałam zebrać w kitkę, ale ostatecznie rozpuściłam je jak zwykle i byłam gotowa do najważniejszych negocjacji w moim życiu. Nie czułam stresu; tylko ćmiący ból głowy uświadamiał mi, o co toczy się ta rozgrywka. Zaklinałam wszystkie myśli, byle tylko Piotr nie odmówił.

Czekał na mnie w otwartych drzwiach mieszkania. Minę miał uradowaną.

– Widziałem cię z okna – odezwał się, ledwo weszłam na pierwsze piętro. – Cieszę się, że przyszaś. Jak ładnie wyglądasz!

Ostatnie zdanie wypowiedział entuzjastycznym tonem. Zawahał się, czy przywitać mnie cmoknięciem w policzek, czy tylko uściskiem dłoni. Podałam mu rękę, którą przytrzymał kilka sekund dłużej, niż wymagała tego sytuacja. On też ubrał się oficjalnie. Dotychczas widywałam go w sportowym bądź codziennym stroju, a teraz miał na sobie ciemną marynarkę i koszulę z krawatem. Też ładnie wyglądał, stwierdziłam w duchu, zachowując wszakże tę uwagę dla siebie.

– Dziękuję, że znalazłeś dla mnie czas – powiedziałam głośno.

– Mówiłem przecież, że czekałem na twój telefon. Nawet obawiałem się przez chwilę, że to spotkanie to taki primaaprilisowy psikus, ale przyszaś. Proszę, rozgość się. – Zrobił zapraszający ruch ręką.

Minęłam przestronny korytarz, weszłam dalej i... zaniemówiłam.

Wszystkiego mogłam się spodziewać, ale to, co zobaczyłam, przeszło moje najśmielsze oczekiwania.

Oto znalazłam się w dużym, nowoczesnym pokoju z dominującą bielą i drewnem. Na środku stała

wygodna szara kanapa. Przed nią stolik i dwa fotele, pasujące do kompletu. Z jednej strony zobaczyłam stylowe ciężkie biurko, a za nim ścianę pełną książek. Wypełniały ją na całej długości, od podłogi po sufit. Na pozostałych ścianach też były zamontowane półki z książkami. Właśnie to zachwyciło mnie najbardziej.

Przez chwilę miałam wrażenie, że wróciłam do czasów pani Róży. Czułam prawie ten sam zapach i spokój. Z tym że u pani Róży nic nie grało, a Piotr miał włączoną muzykę jazzową. Chyba nawet tę samą, której słuchaliśmy wtedy w samochodzie.

Stałam pośrodku pokoju, spoglądając dokoła oczarowana. Przez moment zapomniałam, po co tu przyszedłam. Ogrzewało mnie słońce wpadające przez okna. Było mi tak dobrze w tym pokoju. Tak błogo. Uśmiechnęłam się do tej lekkości w duszy.

– Wyglądasz jak Bell, która pierwszy raz zobaczyła bibliotekę Bestii – stwierdził Piotr; przyglądał mi się z rękoma zaplecionymi przed sobą.

– Oglądasz kreskówki? – zapytałam zdziwiona. Jego styl pasował bardziej do filmów typu „zabili go i uciekł” niż do animowanych bajek.

– Dawno temu byłem na tym w kinie z synem, kiedy jeszcze chciał ze mną chodzić do kina. Widzę, że spodobała ci się moja kolekcja – podsumował zadowolony.

– Bardzo – przyznałam zgodnie z prawdą i podeszłam do pierwszego regału. Piotr stanął obok mnie. – Nie spodziewałam się i szczerze zazdroszczę. Mój zbiór przy twoim jest wyjątkowo ubogi. Mówiłeś, że piszesz kryminały – bardziej stwierdziłam, niż zapytałam.

– Tak, ten na przykład. – Przeszedł do sąsiedniego regału, wyciągnął ze środkowej półki książkę w czarno-szarej okładce z pociągami w tle. Wzięłam ją do rąk. Max Nieznany, *Morderca z pociągu*.

– A więc to jesteś tyyy... – powiedziałam, nie kryjąc zaskoczenia. Czytałam jedną z jego książek, choć nie przepadam za kryminałami. Nie przypuszczałam, że pisze pod pseudonimem. To dlatego nie znalazłam w sieci żadnej z książek Piotra Mroza, choć chciałam je poznać przed wizytą tutaj. Teraz wszystko stało się jasne. Nie skojarzyłam, że Max Nieznany i Piotr Mróz to ta sama osoba.

– Do usług. – Zabawnie pochylił przede mną głowę.

Tak, właśnie po twoją usługę tu przyszedłam, pomyślałam. Głośno zaś powiedziałam:

– Czytałam *Rzeźbiarza*.

– I jak wrażenia?

– Całkiem niezłe, choć gdzieś w połowie domyśliłam się, że to ta kobieta jest morderczynią. Za bardzo odwracałeś od niej uwagę, a poza tym miała motyw.

– A myślałem, że jestem sprytny i dobrze wprowadzam w błąd. – Roześmiał się. – Lubisz kryminały?

– Niespecjalnie – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – Uraziłam cię?

– W żaden sposób, ale jestem ciekaw, dlaczego nie przepadasz za literaturą, która ostatnio sprzedaje się najlepiej. Po latach spychania kryminałów na margines pisarstwa teraz ten gatunek jest w rozkwicie.

– Zapewne masz rację, ale i bez kryminałów życie jest brutalne, nie ma powodu, by jeszcze opisywać to w książkach. Zresztą i tak z góry wiadomo, że przestępcą najczęściej bywa postać najmniej rzucająca się w oczy. Nie rozumiem potrzeby epatowania w książkach krwią, brutalnością, przemocą. To mamy przecież na co dzień – wygłosiłam przygotowaną z góry kwestię. To też należało do mojego planu, którego strategię dokładnie opracowałam.

– I tak, i nie. – Piotr złączył opuszki palców. Wyglądał jak nauczyciel, wyjaśniający uczniom dyskusyjny problem. Nawet nieznacznie unosił się i opadał na stopach w wyczyszczonych do połysku czarnych pantoflach. – Rzeczywiście, opisywanie samej zbrodni i epatowanie krwią co parę stron jest dość tandetne, a także mało interesujące. Ale sama walka ze zbrodnią, rozwiązanie zagadki dzięki logicznemu rozumowaniu, przeniknięcie do tajemnic psychiki mordercy, szukanie śladów albo błędzenie

po manowcach – to fascynująca gra intelektualna – mówił z przekonaniem.

– Nie myślałam o tym w ten sposób – przyznałam, zadowolona z kierunku, w którym zmierza nasza rozmowa. – Jeśli tak to ująć, rzeczywiście masz rację. Jednym słowem, kryminał to prawie powieść psychologiczna.

– Zdecydowanie. Haniu, jeśli sobie życzysz, to zaraz będziemy kontynuować rozmowę, ale najpierw zaproponuję ci coś do picia. Na co masz ochotę? Kawa, herbata, coś mocniejszego?

– Nie piję alkoholu – oświadczyłam, odkładając kryminał na poprzednie miejsce.

– W ogóle? – Zdziwił się.

– W ogóle – odparłam krótko.

Mam zakodowany do niego wstręt, za dużo przelało się go w moim życiu. Sama nie musiałam pić, by wybrać dożywotnią abstynencję.

– Może być herbata.

– Już robię, a ty czuj się swobodnie. – Piotr poszedł do kuchni.

Była zupełnie inna niż moja. Większa, nowoczesna, cała w szarościach i połączona półotwartą ścianą z pokojem. Mogłam, siedząc w fotelu, obserwować bez przeszkód Piotra. Ustawił na tacy białe filiżanki, zaparzył herbatę w imbryku, wyłożył na ozdobny kwadratowy talerz minipączki.

– Zapewniali w cukierni, że są świeże! – zawołał. – Tylko tam zdążyłem zajechać, nie chciałem się spóźnić na spotkanie z tobą. Kierowałem się własnym smakiem, bo nie wiedziałem, czy lubisz pączki. Te są z dżemem różanym. – Gdy szedł w moją stronę z zastawioną tacą, deski podłogi skrzypiały cicho.

– Lubię. – Przesunęłam gazety ze stolika, by zrobić miejsce. Piotr ustawił filiżanki, słodczyce, odłożył tacę na podłogę i usiadł w fotelu naprzeciw mnie.

– Częstuj się. – Podsunął talerz z pączkami. Wzięłam jeden, on drugi. – Widzę, że wargę już ci się zagoiła. – Wskazał na moje usta. – A kostka?

– Też dobrze. – Zatapiam zęby w miękkim cieście, które dosłownie rozpływa się w ustach. – Rzeczywiście świeże.

– Fakt – potwierdza. – Poszedłbym do nich z reklamacją, gdyby były niedobre, bo bym się przed tobą skompromitował. Chcesz jeszcze?

Zaprzeczam ruchem głowy.

– Jesteś tak szczuplutka, nie musisz się przejmować żadną dietą.

– Nigdy się nie przejmowałam.

Widzę jednak, że Piotr chce mnie zapytać o coś innego. Ja też chcę mu powiedzieć coś innego, teraz tylko obijamy się o tematy poboczne, zanim oboje wpadniemy w główny nurt.

– Musisz być mądry, skoro piszesz książki – mówię, jeszcze trochę klucząc, nim przejdę do sedna. Do tego, po co tu jestem.

– Mądry? – powtarza zdziwiony. Rozsiada się wygodniej w fotelu i ociera palce z lukru w chusteczkę higieniczną. Mnie podaje drugą.

– Nigdy nie myślałem, że do tego potrzebna jest mądrość. Raczej wyobraźnia, może trochę talentu, jakieś doświadczenie, intuicja. I pomysł na stworzenie prawdopodobnej historii, ponieważ różnica między prawdą a fikcją polega na tym, że ta druga musi być logiczna.

– Chyba też pomysł na zbrodnię doskonałą – dopowiadam.

– Nie istnieje nic takiego jak zbrodnia doskonała – mówi sceptycznie, subtelnie gestykulując. – Przynajmniej moim zdaniem. Są tylko źle poprowadzone śledztwa, niedokładnie zebrane dowody i wiele innych błędów popełnionych w czasie dochodzenia. Jednak rozwój techniki w kryminalistyce pozwala na odkrycie dowodów praktycznie w mikroskopijnych śladach. Nawet po latach, na przykład z kawałeczka włosa, strzępu włókna tkaniny, ze spalonego telefonu albo z jednej odręcznie napisanej literki.

W Krakowie jest Instytut Ekspertyz Sądowych, w którym zbrodnia z pozoru wyglądająca na doskonałą zostaje wyjaśniona.

– Jest jeszcze motyw – podsuwam coraz bardziej spięta.

– Motyw to kluczowa sprawa. – Piotr kiwa głową.

– Może być na przykład motyw... – Szukam właściwego słowa, ale nie mogę sobie przypomnieć, co chciałam powiedzieć. W głowie mam czarną dziurę. Glejak znów daje o sobie znać coraz mocniejszym bólem. Potrzebuję kilku sekund, by przypomnieć sobie ten wyraz. – ...humanitarny, który usprawiedliwia ewentualnego zabójcę, jeśli ten komuś pomaga.

– Zbrodnia jest zawsze zbrodnią i nie ma w tym żadnego humanitaryzmu – stwierdza kategorycznie Piotr. – Tylko w kiepskich kryminałach albo w lichych filmach zabicie człowieka przychodzi z taką łatwością. W rzeczywistości wygląda to zupełnie inaczej. Przecież ofiara się broni, walczy, wyzwala się w niej instynkt przetrwania, czasem tak samo silny jak atak zabójcy. Interesuje cię ten temat? Mówiłaś, że nie lubisz kryminałów – pyta ni to podejrzliwie, ni ze zdumieniem. Biorę do ręki filiżankę z herbatą.

– To prawda – przyznaję. – Nigdy jednak nie rozmawiałam z autorem kryminałów, a ty w dodatku byłeś policjantem. Dlatego ten temat mnie interesuje. Jest to nawet pasjonujące. W ogóle po raz pierwszy w życiu rozmawiam z kimś, kto pisze książki i ma tak bujną fantazję, że kreuje zbrodnie i miesza szyki śledczym.

Opieram się wygodniej o fotel i zakładam nogę na nogę. Jestem już blisko tego, po co tu przyszłam. Nie wiem tylko, od czego mam zacząć, by wszystko dobrze rozegrać. Żeby go nie spłoszyć. By przestał tak wnikliwie na mnie patrzeć, jakby chciał odczytać moje myśli. Dopada mnie lęk, że Piotr może jednak odmówić. Instynkt podpowiada mi, żeby działać roztropnie, bez pośpiechu.

– Dlaczego do mnie przychodziłeś? – pytam, odsłaniając tym samym niewielki kawałek kurtyny.

– Zanim odpowiem, mogę zdjąć marynarkę?

– Tak, oczywiście.

– Wolę czuć się swobodnie, ponieważ coraz bardziej wciąga mnie ta rozmowa, a nie jestem przyzwyczajony do oficjalnego stroju – wyjaśnia, zdejmując z ramion grafitową marynarkę.

Przerzuca ją przez oparcie tapicerowanego fotela. Rozluźnia szary krawat w delikatny deseń, odpina guzik przy kołnierzyku ciemnoszarej koszuli. Potem przygląda się mi przez chwilę i dodaje:

– Nie wiem jeszcze, do czego ona zmierza, ale robi się intrygująca. Sama twoja wizyta jest intrygująca. Wybacz, że o to zapytam, ale czy twój mąż nie będzie miał pretensji, że do mnie przyszłaś?

– Nie będzie.

– Prawdę mówiąc – Piotr cmoka z zakłopotaniem – to sądziłem, że tego męża sobie wymyśliłaś, by mnie zmylić. Tak samo jak próbowałaś mnie zmylić z tymi wyzwaniem ekstremalnymi. Intuicja mi podpowiada, że nie powiedziałaś wtedy prawdy. – Podpiera policzek palcem i siedzi z nogą założoną na nogę, patrząc na mnie z wyraźnym wyczekiwaniem.

Nieco sztywniej z emocji. Może też z zakłopotania, że nie potrafię się przed nim maskować tak, jak bym chciała. Jest na to zbyt spostrzegawczy albo ja jestem za słaba.

– Nie powiedziałaś – przyznaję i czuję, jak moje serce przyspiesza. – Ale mężatką jestem naprawdę. Od czterech lat. Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Przychodziłem, ponieważ martwiłem się o ciebie, chciałem sprawdzić, czy wszystko z tobą w porządku. Niestety, ty lub twój mąż nie otwieraliście drzwi, choć słyszałem, że ktoś był w domu.

– Byłam sama. Nie otwierałam, bo nie wiedziałam, czy mogę ci zaufać.

– A teraz ufasz?

– To się dopiero okaże, ale chcę spróbować, dlatego tu przyszłam. – Zaciskam mocniej rękę na oparciu mebla.



– Haniu, dopóki nie powiesz, o co chodzi, a czuję, że jednak o coś chodzi, będziemy obracać się w próżni. Wyrzuć to z siebie. Jeśli tylko dam radę, z chęcią ci pomogę. Tylko przedtem muszę wiedzieć, w czym rzecz – przekonuje łagodnie.

Ból zaczyna narastać. Muszę go stłumić, nim odbierze mi możliwość powiedzenia wszystkiego, co sobie zaplanowałam. Wyjmuję z torebki tabletkę i łykam, popijając ją herbatą. Widzę pytające spojrzenie Piotra, gdy zażywam lekarstwo. Czuję, jak po plecach spływa mi kropla potu, w uszach słyszę szum, mam mdłości.

Podchodzę do okna. Słońce oświetla rozległy skwerek przed blokiem. Pierwszy dzień kwietnia jest wyjątkowo ciepły. Nieśmiało zieleni się już trawa, choć nagie konary borych drzew dopiero czekają na liście. Dzieci bujają się na huśtawkach. Ktoś wyprowadza psa. Jakaś kobieta popycha przed sobą wózek. Jakaś parka całuje się objęta na ławce. Toczy się zwyczajne, leniwe popołudnie, a razem z nim toczą się moje negocjacje. Jeszcze przeze mnie niewyartykułowane.

Ten cholerny gęjak wszystko mi utrudnia. Słyszę, jak Piotr wstaje i do mnie podchodzi. Kładzie ręce na moich ramionach, odwracając mnie delikatnie ku sobie. Patrzy na mnie podobnie jak wtedy na dworcu. Znów mam to samo wrażenie, że w tym momencie liczę się dla niego tylko ja.

– Naprawdę chciałbym ci jakoś pomóc – mówi tak miękko, że już czas, by wyjawić, po co tu przyszedłam.

Oddycham głębiej wpatrzona w wyczekujące oczy nade mną. Teraz wydają mi się bardziej szare; a może to ta ciemna koszula, którą Piotr ma na sobie, zmieniła kolor jego tęczy? Nieważne, grunt, że widzę w nich szczerą życzliwość. Tak, on może mi pomóc, jeszcze bardziej utwierdzam się w swoim przekonaniu, które teraz, gdy on jest tak blisko mnie, urasta do rangi pewności.

– Pomóż mi odejść – proszę po chwili ciszy.

Mój głos brzmi pewnie i zdecydowanie; czuję ulgę, jakby ktoś zdjął ze mnie ogromny gład. Nawet przestało mnie mdlić i puls zaczął się uspokajać.

– Nie rozumiem. – Piotr wygląda na zdezorientowanego. Podnosi ręce i rozkłada je przed sobą.

Znów oddycham głębiej, wentylując się własnym powietrzem.

– Mam nieoperacyjny guz mózgu. Niedługo umrę. – Oświadczam to tak spokojnie, jak wtedy Robertowi. Zupełnie jakbym mówiła o kimś innym, nie o sobie. Piotr też reaguje podobnie jak wówczas mój mąż. Po prostu zastyga w szoku, porusza półotwartymi ustami, nim wydobywa się z nich stłumiony szep:

– Boże... Hania... – może jedynie powiedzieć, po czym wykonuje taki ruch, jakby chciał mnie objąć, ale cofam się o krok. Za plecami mam parapet.

– Zaczekaj. – Unoszę rękę. – Nie przyszedłam tu prosić o litość, tylko o przysługę, za którą ci zapłacę.

– Zapłacisz? Przysługę? – powtarza zdezorientowany, jeszcze niczego nie rozumiejąc. – O czym ty mówisz?

– Usiądźmy. – Przełykam ślinę, gdyż nagle zaschło mi w gardle. Czeka mnie drugi etap tej rozgrywki, dużo trudniejszy.

Siadamy z powrotem. Dopijam resztkę chłodnej herbaty, Piotr wyłącza muzykę. Robi się tak cicho, że słyszczyć nasze oddechy i tykanie zegara w kuchni. Nawet szum z podwórka raptem ustaje.

– Wszystko ci powiem, tylko proszę, nie przerywaj, nim skończę. – Przybieram chłodny, negocjacyjny ton.

Nawet nie przypuszczałam, że potrafię tak mówić. Paradoksalnie, teraz odkrywam w sobie coraz więcej rzeczy, których wcześniej nie znałam.

– O tym, że mam nieoperacyjny nowotwór pnia mózgu, dowiedziałam się tego dnia, kiedy wpadłam na ciebie w szpitalu. Nie będę tłumaczyć, czym dla mnie była diagnoza, bo efekt sam miałeś na butach.

Zawsze myślałam, że powiedzenie o niebie, które zważyło się komuś na głowę, to przesada, ale tamtego dnia przekonałam się, jak bardzo jest ono prawdziwe. Mój glejak nie daje szans na wyleczenie, najwyżej można trochę odsunąć w czasie śmierć naświetlaniami czy chemią. Tak czy inaczej będzie to powolne odchodzenie w mniejszym bądź większym ośpieniu lekami, w bólu, a tego nie chcę. Skoro mam umrzeć, to na swoich warunkach. Dlatego do ciebie przyszedłam.

Piotr tylko na mnie patrzy i milczy. Wciąż milczy.

– Obawiam się, że jednak nie rozumiem – odzywa się wreszcie, pocierając palcami kąciki oczu.

– Liczę, że mi w tym pomożesz – mówię, czując, jak znów przyspiesza mi puls.

– Sssłuuu...chaaam??? – pyta totalnie oszołomiony. Pobladł tak, jakby cała krew odpłynęła mu z głowy.

– Proszę, byś wymyślił sposób, a potem go zrealizował, żebym mogła umrzeć tak, jakby to była naturalna, niespodziewana śmierć – wyjaśniam, wbijając w niego wzrok, by zobaczył w moich oczach zdecydowanie.

– Popraw mnie, jeśli się mylę, ale czy ty właśnie prosisz mnie, żebym cię... zabił??? – Patrzy na mnie błędnym wzrokiem, wychylony w moją stronę.

– To niewłaściwe słowo. Raczej pomógł mi odejść, sama chyba nie dam rady tego zrobić. Dlatego wtedy biegłam na pociąg, żeby sprawdzić. Zapłacę ci za tę przysługę – kończę.

Serce podchodzi mi do gardła z obawy, czy on się zgodzi.

Piotr mruga kilka razy, po czym wstaje gwałtownie, z trudem powstrzymując się, by nie wybuchnąć. Tylko po purpurowej twarzy i zduszonym głosie poznaję, jak ciężko mu nad sobą zapanować.

– Ty jesteś nienormalna. Wariatka, stuknięta, niebezpieczna wariatka! – wyrzuca z siebie głuchym szeptem, chodząc bez celu po pokoju. Ręce zaplótł na głowie.

– Piotr, uspokój się – próbuję łagodzić jego narastające wzburzenie. Siedzę w fotelu wyprostowana jak struna.

– Jak mam się uspokoić? – pyta, gotując się wprost ze złości. – Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, do czego mnie namawiasz?

– Wszystko dokładnie przemyślałam – zaczynam mu tłumaczyć. Mój puls wręcz szaleje z emocji. Głos mi się łamie, choć resztką sił próbuję go opanować. – Gdybym mogła oficjalnie prosić o eutanazję, nie byłoby problemu. Zrozum, nie chcę umierać na raty, w cierpieniu. Nie chcę czekać, aż ból rozsadzi mnie na kawałki. Nie chcę z powodu glejaka tracić kontaktu z rzeczywistością, wegetować, a tak będzie. Mam prawo do takiej decyzji. Chociaż do tego. Napiszę oświadczenie, że sama prosiłam cię o pomoc. O humanitarną, ludzką pomoc. Zresztą przeczytałam, że istnieją zabójstwa na żądanie, pod wpływem współczucia, to się nazywa...

– Przepięknie skutkowe! – przerywa mi rozeźlony.

– No właśnie. – Chwytam się tego argumentu mocniej niż tonący brzytwy. – Nawet jeśli sprawa się wyda, to w takich wypadkach sąd może...

– Gównu mnie obchodzi, co może sąd! – Teraz już krzyczy, nie pozwalając mi dokończyć, że może odstąpić od wymierzenia kary. – Moja odpowiedź brzmi NIE!

Przymknęłam oczy, by nie widzieć swojej klęski. Piotr, nachylony nade mną, dyszał ciężko.

– W takim razie, nic tu po mnie. – Powoli wstałam z fotela. Chciałam szybciej, ale osłabły mi kolana na skutek przegranej. Spodziewałam się gwałtownej reakcji Piotra, ale nie aż tak zdecydowanej odmowy.

– Jeśli myślisz, że pozwolę ci teraz wyjść, to jesteś w grubym błędzie – powiedział, wysuwając palec w moją stronę.

Wcisnął mnie na powrót w fotel, przygwoździwszy głosem i wzrokiem.

– Zaraz wracam – rzucił gniewnie i poszedł do łazienki.

Po chwili zza półotwartych drzwi usłyszałam szum mocnego strumienia odkręconej wody. Nie upłynęła

minuta, jak Piotr wrócił, wycierając ręcznikiem mokre włosy. Rzucił go niedbale w kąt, po czym wyjął z lodówki mineralną, napełnił dwie szklanki. Podał mi jedną, drugą sam opróżnił duszkiem.

– Przepraszam za ten wybuch – odezwał się w miarę spokojnie, siadając w fotelu. – Ale masz niebываły talent do podnoszenia mi adrenaliny. Nawet mój syn to przy tobie pikuś.

– Piotr – zaczęłam, upiwszy łyk wody – rozumiem, że mogłam cię zaskoczyć tą prośbą...

– Zaskoczyć? – Patrzył na mnie jak na osobę niezrównoważoną psychicznie. – Mam czterdzieści lat, niejedno widziałem, niejedno przeżyłem, ale coś takiego spotyka mnie po raz pierwszy w życiu. Nawet w snach nie mógłbym sobie tego wyobrazić. Ba, nie wymyśliłbym tego w książce. Mogę się dowiedzieć, kiedy wpadłaś na ten genialny pomysł – zamachał w powietrzu złączonymi palcami – by posłużyć się moją osobą?

– Wtedy, kiedy byłeś u mnie i powiedziałaś, że piszesz kryminały, a może jeszcze wcześniej, jak się dowiedziałam, że byłeś policjantem – wyznałam zgodnie z prawdą. – To był pierwszy impuls. Wydałeś mi się zdecydowany, odważny, chętny do pomocy. Dlatego pomyślałam, że się zgodzisz. Może gdybyś potem nie przychodził, nie krążył pod moim blokiem, nie okazywał, że nie jestem ci obojętna, nie byłoby mnie dziś tutaj. Gdybyś nie biegł wtedy za mną po torach...

– Wtedy prawdopodobnie już by cię nie było – przerwał ze złością. – I nie próbuj zaprzeczać.

– Nie rozmawiaj ze mną tak, jakby to było przesłuchanie – jęknęłam, bo zaczynałam tracić resztki kontroli nad negocjacjami, które brały w łeb.

– Jesteś na przesłuchaniu – pstryknął energicznie palcami. – Doskonale to ujęłaś. Od samego początku manipulowałaś mną, oszukiwałaś, by mnie zmylić, a potem wykorzystać. Muszę przyznać, że rozegrałaś to po mistrzowsku. Te sugestie o doznaniach ekstremalnych, zbrodni doskonałej, motywach, wszystko z góry zaplanowałaś, by osiągnąć cel. Idealnie przygotowałaś grunt. A ja idiota myślałem, że przyszałaś do mnie, bo... – przerwał. Zaplótł ręce na karku, oparł głowę o górę fotela i patrzył w sufit.

– Bo co? – spytałam prowokacyjnie, odrzucając do tyłu włosy. – Bo myślałaś, że to randka?

– Chociażby – burknął. – Choć za smarkata jesteś, żebyś umawiał się z tobą na randki. Ile ty masz w ogóle lat?

– Dwadzieścia pięć – odpowiedziałam automatycznie, czując się rzeczywiście jak na przesłuchaniu, pod wpływem tych jego oskarżeń i szorstkiego tonu. – Proszę, nie rozmawiajmy w ten sposób.

– A jak mamy rozmawiać po tym, co mi zaproponowałaś? – Rozeźlony klepnął dłonią w oparcie fotela.

– Przecież ty mnie zwyczajnie podżegasz do przestępstwa...

– Nie – tym razem ja wchodzę mu w słowo – proszę tylko, abyś spełnił dobry uczynek.

– Aż takim altruistą nie jestem – warknął z zaciętą miną. – Mogę wiedzieć, dlaczego akurat mnie spotkał ten zaszczyt?

– Bo nikogo innego nie mogę poprosić. – Mimowolnie spuściłam oczy.

– Tak? – spytał złośliwie. – Masz męża. Jego poproś, dlaczego ja mam trafić do mamra, a nie on?

– Robert... – Nie miałam teraz innego wyjścia, jak grać do końca w otwarte karty mimo upokorzenia, które zaczynałam odczuwać. Nie chciałam go jednak okazać. Dlatego uniosłam głowę i dokończyłam: – Zostawił mnie, jak się dowiedział o mojej chorobie.

Piotr się zmieszał.

– A to gnój. – Skrzywił się z odrazą. – Przepraszam, nie wiedziałem.

– Nie mogłaś wiedzieć – odrzekłam i zrobiłam to, co podyktował mi nagły impuls. Wyciągnęłam rękę i położyłam mu na dłoni. – Wiem, że to, o co cię proszę, może się wydawać szalone, irracjonalne, ale spróbuj mnie zrozumieć. Przez całe życie nie udało mi się spełnić swoich marzeń. Nie wiem, ile z nich zdążę jeszcze zrealizować. Prawdopodobnie już żadnego. Jednak teraz moim największym pragnieniem jest, żebyś pomógł mi odejść tak, jak tego chcę. Chociaż w ten sposób pokonam raka, zanim on pokona

mnie. Ucieknę mu, tak jak zawsze uciekałam przed niebezpieczeństwem. Proszę, pomóż mi to zrobić. Piotr... – Zawarłam w tym całą głębię mojej prośby. I czekałam.

Trwało to tylko sekundy, ale miałam wrażenie, że minęła wieczność, zanim się odezwał.

– Haniu – powiedział poważnym głosem, już bez wcześniejszych emocji. Trzymał oburącz moją dłoń jak w ciepłym gniazdku. – Bardzo mi przykro, że jesteś tak ciężko chora. To niesprawiedliwe, że padło akurat na ciebie. Nie jestem w stanie opisać, jak to mną wstrząsnęło. Naprawdę ci współczuję, ale nie mogę zrobić tego, o co mnie prosisz – zakończył ostatecznie tę sprawę.

Przegrałam. Nic więcej nie osiągnę. Wysunęłam rękę z jego uścisku i wstałam z fotela. Piotr też się podniósł.

– Dokąd idziesz? – spytał, gdy ruszyłam w stronę korytarza.

– Do domu.

– Zostań.

Próbuje mnie objąć, ale nie pozwalam na żadne współczujące gesty, choć ten odruch i troska w oczach Piotra wydają się prawdziwe. Wybieram jednak reakcję obronną i znów uciekam.

– Nie chcę twojej litości ani pocieszenia, tego bym nie zniosła, potrzebuję tylko pomocy w tym, z czym do ciebie przyszedłam.

– Nie mogę.

Popołudniowy wiatr rozwiął nadzieje, jakie miałam, przychodząc do Piotra. Kolejny raz okazały się płonne. Wtedy, gdy odszedł Robert, i teraz, gdy opuściłam mieszkanie Piotra. Nie oglądałam się za siebie, a mimo to przez całą drogę czułam na plecach jego spojrzenie. Byłam niemal pewna, że stoi w oknie i za mną patrzy. Przecinałam powolnym krokiem pas startowy, gdzie jeszcze niedawno sprzedawałam warzywa, i wciąż miałam wrażenie, że Piotr odprowadza mnie wzrokiem. Takim samym jak wtedy, gdy prosił, żebym została. I choćbym nie wiem jak zaprzeczała, rozczarowana odmową, to podświadomie dotarło do mnie, że pomimo wszystko wydarzyło się coś, czego się nie spodziewałam.

Z jego domu pełnego książek wyniosłam zawiedzione nadzieje, ale zostawiłam tam część swojego serca. A może Piotr zabrał ją już wtedy, gdy przyszedł do mnie z bułkami; uśmiechnęłam się do tej myśli. Po raz pierwszy w życiu wyraźnie poczułam muśnięcie uczucia, za którym tęskniłam. Było to tak nieoczekiwane, że przystanęłam przed alejką, skracającą w moją uliczkę.

Ktoś z sąsiadów mnie pozdrawiał, ktoś o coś zagadywał. Odpowiadałam zdawkowo, skupiona na odkryciu, że komisarz Piotr Mróz nie jest mi obojętny. Przeciwnie, stawał się ważny, kto wie, czy nie najważniejszy. I wcale nie chodziło o mój plan, tylko zdecydowanie o coś więcej. A więc tak się wtedy człowiek czuje... Przyłożyłam rękę do piersi, by powstrzymać nieśmiały trzepot pierwszego uczucia, które pozostanie żałością niespełnione.

I choć nigdy więcej nie pójde do Piotra, nie poproszę ponownie o przysługę, to doznanie pozostanie we mnie na zawsze. Aż dziwne, że mieszkaliśmy tak blisko siebie, przedzieleni tylko paskudnym betonowym placem, a nie spotkaliśmy się wcześniej. A może i spotkaliśmy? Może nawet sprzedałam mu kiedyś warzywa? Przecież codziennie tu pracowałam, byłam prawie tuż pod jego blokiem. Tylko czy taki mężczyzna jak on mógł zwrócić uwagę na taką nijaką dziewczynę jak ja? Nie jak na handlarke ze straganu czy chorą, porzuconą żonę, która wzbudza wyłącznie litość, tylko jak na kobietę.

Musiałam aż obrzygać mu buty, żeby mnie zapamiętał. Wiedziałam za to, że ja go nie zapomnę. Zwłaszcza brzmienia jego głosu, kiedy wypowiadał moje imię. Dotyku, gdy trzymał mnie za rękę. Nie przegrałam jednak do końca.

# Piotr

Nigdy nie doświadczyłem podobnej schizofrenii uczuciowej jak po wizycie tej dziewczyny. Byłem jednocześnie wściekły i bezradny. Chodziłem z kąta w kąt, całkowicie rozwalony tym, co usłyszałem. Co ona sobie myśli, że jestem mordercą do wynajęcia? Jak mogła mi coś takiego zaproponować? Nie dam się wciągnąć w żadne takie popieprzone układy! Ona mi zapłaci! Zaciskałem zęby ze złości, dawno nikt aż tak nie podniósł mi ciśnienia. Nie mogłem sobie znaleźć miejsca we własnym domu. Owszem, jest paskudnie chora i szczerze mi jej żal, ale żeby w ten sposób mnie potraktować? I jeszcze, zamiast zostać, jak prosiłem, to po prostu sobie poszła! Cholera wie, co jej znowu odbije?

Stałem przy oknie i patrzyłem za Hanią. A ona nawet się nie odwróciła, co też mnie rozeźliło. Chciałem biec, zatrzymać ją, sprowadzić z powrotem, a jednak wciąż tkwiłem jak kołek w tym samym miejscu. Bo choć byłem na nią zdrowo wkurzony, to musiałem przyznać, że kolejny raz mi zaimponowała. Właśnie tym zdecydowaniem, którego mi zabrakło, by oderwać się od okna i popędzić za nią.

Chciałem jej pomóc, lecz za żadne skarby świata nie zrobiłbym tego, o co mnie prosiła.

Dzień przeszedł w noc, noc w dzień, a ja wciąż miałem tak kolosalny mętlik w głowie, że całą frustrację wyładowałem na Monice, która do mnie zadzwoniła.

– Jak to, nie przyjedzie?! – krzyknąłem w słuchawkę, gdy moja eks zakomunikowała, że spędzą z Edziem Wielkanoc na Majorce i zabierają Michała.

– Zwyczajnie i nie drzyj się tak – prychnęła. – Chyba Majorka jest ciekawsza niż obskurny Gdańsk.

– W dupie mam Majorkę! – Nie dbałem o dobre wychowanie, bo dosłownie chodził we mnie każdy nerw. – Monika, robisz to specjalnie. Jak Michała nie będzie u mnie w pierwszy dzień świąt, to podaję cię do sądu za utrudnianie kontaktów z synem!

– Ty cierpisz na manię prześladowczą, kretynie! – zapiszczała falsetem. – Niczego ci nie utrudniam, tylko dbam, by Michał miał ciekawsze możliwości spędzenia wolnego czasu niż to, co ty możesz mu zaoferować! Może święcić jajeczka pójdziecie razem, co? – fuknęła wrednie. Zignorowałem jej złośliwość.

– Powtarzam, albo Michał zjawi się u mnie, albo spotkamy się w sądzie! Dostyc tych twoich gierek!

– A przyszło ci do tej twojej zakutej głowy, że może Michał nie ma ochoty widzieć się z tobą? Nagle przypomniałeś sobie, że masz syna? A gdzie byłeś przez poprzednich dziesięć lat?!

– Nigdy nie zapomniałem, że mam syna. Daj mi go do telefonu.

– Nie ma go, gdzieś poszedł.

– Gdzie?

– A skąd mam to wiedzieć?! Nie będę kontrolować dorosłego chłopaka! Może mam go jeszcze przesłuchiwać, rewidować, śledzić? A słyszałeś o czymś takim jak zaufanie?

– Kiedyś komuś ślepo ufałem i czym to się skończyło? – wypomniałem jej Edzia.

– Gdybyś sprawdzał się lepiej jako facet, nie skończyłoby się – dźgnęła mnie boleśnie. Wiedziała, gdzie uderzyć, żeby wywołać spodziewany efekt. – A Edward zapewnia Michałowi i mnie to, czego ty nie byłeś w stanie.

– Orgazmy też ci zapewnia? – palnąłem bez zastanowienia. I od razu pożałowałem, że dałem się tak

sprowokować.

– Prymityw! – prychnęła z pogardą.

– Przepraszam, to było niepotrzebne – przyznałem niezwłocznie. – Monika, nie kłóćmy się. Przecież tu chodzi o nasze dziecko. Czasy są teraz takie niebezpieczne. Używki, dopalacze, szemrane towarzystwo. Dlatego wolałbym, żebyś wiedziała, co robi Michał, jak nie ma go w domu. Poza tym nie jest dorosły, ma dopiero siedemnaście lat.

– Piotrek, ty idź się leczyć, naprawdę – rzuciła lekceważąco. – Najlepiej prywatnie. Możemy ci zasponsorować parę wizyt. Przyszedł mój masażysta, muszę kończyć. A jeśli chodzi o orgazmy, to bledziutko wypadasz na tle Edwarda. Cześć.

Wyłączyła się. Michał też nie odbierał. Szlag by to, zakląłem pod nosem. Mój poziom adrenaliny przekroczył poziom krytyczny. Od wczoraj trzymało mnie paskudne napięcie. Musiałem je rozładować w najlepszy dla siebie sposób. Przebierałem się w dres, by pójść pobiegać, gdy ktoś zapukał do drzwi. Od razu pomyślałem, że to Hania, i rzuciłem się, by otworzyć, jeszcze niekompletnie ubrany. Tymczasem w progu stał Wojtek z chińskim żarciem w rękach.

– Sajgonki, kurczak? – zapytał, tarabaniąc się do kuchni. – Dawaj jakąś wódeczkę. Wychodzisz?

– Teraz już nie wychodzę – odparłem, wkładając bluzę przez głowę. – A poza tym, jak wypiję wódeczkę, to ciśnienie mi tętnice rozerwie – mruknąłem z nosem w sajgonkach.

Od samego zapachu zassało mnie w żołądku. Usiedliśmy na barowych stołkach przy blacie i jedliśmy prosto z kartonowych opakowań. Ja sajgonki, Wojtek kurczaka w pięciu smakach.

– Piter, coś ty taki nie w sosie? – spytał z gębą wypchaną ryżem. Pochłaniał wielkie kęsy, plotąc przy okazji o jakichś nowych panienkach, które poderwał.

– Daj spokój. – Machnąłem widelcem z sajgonką nadzianą na sztorc. – Chcesz tej wódki? Weź sobie z lodówki.

– A ty?

– Nie mam ochoty.

– Sam nie będę pił. – Wojtek odsunął puste pudełko po chińszczyźnie. W moim była jeszcze połowa. – Niech zgadnę. Jakaś babka krwi ci napsuła.

– Bingo.

– Elżbieta? – Porozumiewawczo uniósł brwi.

– To już nieaktualne – odparłem lekceważąco. – Przed chwilą Monika, a wczoraj... zresztą nieważne. – Znów machnąłem ręką.

– Czekaaj, czekaaj. – Pociągnął nosem. – Czuję tu kobietę. Jak nie Elżbieta, to... Hania? Tak, była tu Hania! – Trzasnęła wielką łapą w dębowy blat.

– Jakbyś zgadł – mruknąłem.

– I co? Nie udało ci się jej przelecieć, żeś taki nabuzowany? – spytał z tak kpiącym uśmiechem, że mnie poniosło.

– Kurwa, Rudy, czy ty możesz myśleć tylko jedną częścią ciała?! – rzuciłem ostro, szurnąwszy pudełkiem. Wojtek popisał się refleksem i złapał je, nim plasnęło o podłogę.

– Na urlopie tak – przyznał jak gdyby nigdy nic. – No to gadaj, co wam nie wyszło?

– Sorry, stary, ale nie mogę ci powiedzieć – odparłem zdecydowanie.

Nikommu nie zamierzałem tego wyjawiać. Nawet najbliższemu przyjacielowi. Pod tym względem Wojtek mnie znał. Wiedział, że nic więcej ze mnie nie wydusi.

– Bardzo sprytnie mnie podeszła i rozłożyła na łopatki. Jestem zakleszczony. – Złapałem się rękoma za gardło.

– Rozumiem, że pary z gęby nie puścisz? – Wojtek spowaźniał.

– Dobrze rozumiesz.

– Zależy ci na niej?

– W jakimś sensie tak – przyznałem szczerze. Bo w jakimś sensie, którego nie potrafiłem jeszcze określić, zależało mi na Hani. Nawet bardzo.

– Nie wiem, o co w tym chodzi, ale moim zdaniem, masz tylko jedno wyjście. – Podwinął rękawy nieśmiertelnego czarnego golfa i zabębnił palcami w blat.

– Jakie?

– Bądź sprytniejszy od niej. Załatw ją tą samą bronią, co ona ciebie.

W jednej sekundzie moje chaotyczne dotąd myśli wskoczyły do właściwej szufladki. Było to tak nieoczekiwane, że niemal krzyknąłem.

– Rudy, jesteś genialny! – Zerwałem się, złapałem oburącz jego upstrzoną piegami poczciwą gębę i ucałowałem w sam środek czoła.

– Fuuujjj, świnió – wytarł się ze wstrętem. – Zjeżdżaj z tymi zalotami. Spadam stąd, boś seksualnie niebezpieczny.

– Dzięki stary, jesteś wielki. – Walnąłem go z rozmachem w plecy na pożegnanie i siadłem do komputera.

Wojtek podsunął mi rozwiązanie, na które sam nie wpadłem! Tak, potrafię być od niej sprytniejszy i pokonam ją jej własną bronią. Tylko że Hania nie będzie o tym wiedzieć. Nawet się nie domyśli, że to ja zrealizuję swój plan, nie ona, zacierałem ręce z zadowolenia. Najpierw zdobędę jej zaufanie, zrobię, co trzeba, a dopiero potem wszystko wyjawię. Być może ostatecznie z mojego planu nic nie wyjdzie, ale muszę przynajmniej spróbować. Tak czy inaczej, poczułem przeogromną wolę zmierzenia się z zadaniem, które ku swojemu zaskoczeniu właśnie przed sobą postawiłem.

W godzinę sporządziłem stosowną umowę, jaką zamierzałem zawrzeć z Hanią. Aż sam do siebie się śmiałem, gdy wypełniałem dokument masą paragrafów, ustępów, punktów. Do tego sporządziłem jednostronicowy aneks i ledwo drukarka wypluła jeszcze ciepłe kartki, włożyłem dwa egzemplarze kilkustronicowej umowy do teczki, przebrałem się z dresów w dżinsy, koszulę, marynarkę i poszedłem na Startową.

Dochodziła dwudziesta, gdy z teczką pod pachą zapukałem do Hani.

Odpowiedziała mi cisza. Spróbowałem jeszcze raz. Znowu nic. Przyłożyłem ucho do drzwi, ale ze środka nie dochodził najmniejszy dźwięk. Zacząłem się niepokoić. Przez chwilę zaświtała mi myśl, że mogła zrobić coś głupiego, i struchlałem ze strachu.

Spokój, tylko spokój, tłumaczyłem sam sobie. Namacałem w kieszeni klucze. Miałem przy nich przypięty wytrych, którym ponownie mogłem się posłużyć. Z tym jeszcze zdążę, postanowiłem, zjeżdżając windą na parter.

Podszedłem do bloku od strony balkonów. W oknach Hani nie świeciły się światła. Chciałem do niej zadzwonić, ale z pośpiechu nie zabrałem komórki. Byłem z powrotem pod klatką, gotów włamać się do mieszkania, gdy zobaczyłem Hanię, idącą od parkingu, w tym samym ubraniu, w którym spotkałem ją na torach.

– Piotr? – zdziwiła się, gdy do niej podszedłem. – Co tu robisz?

– Czekam na ciebie.

– Byłam nad morzem.

– Nie boisz się chodzić tam sama o tej porze? To może być niebezpieczne.

– Naprawdę? – W jej głosie usłyszałem ironię. – W sensie, że ktoś mógłby mi wyświadczyć mimochodem przysługę, mordując mnie? Wyobraź sobie, że się nie boję. Dziwne, prawda?

– Fakt, przepraszam, wyszło niezręcznie – przyznałem nieco skonfundowany. – Zaprosisz mnie na górę?

Musimy pogadać.

– Skoro musimy – stwierdziła niby obojętnie, ale nawet w świetle latarni dostrzegłem błysk zainteresowania w jej oczach.

Przepuściłem ją w drzwiach najpierw wejściowych, potem w tych od windy. Hania stanęła bokiem do mnie. Przyglądałem się jej, nawet tego nie ukrywając. Wydała mi się tak drobna i krucha, że skojarzyłem ją z laleczką z chińskiej porcelany, którą kiedyś stłukłem mamie.

Patrzyłem na jej mleczone policzki, ledwo muśnięte rumieńcem, i twarz bez makijażu. Na delikatne długie włosy, skręcone na końcach od wilgoci, lekko skośne oczy, jakby kocie, mały, zadarty nos, eteryczną sylwetkę i tę zadumę, sprawiającą, że Hania wyglądała, jakby przebywała gdzieś daleko stąd. Wszystko to razem powodowało, że miałem szczerą ochotę przytulić tę dziewczynę sięgającą mi ledwo do ramienia. Nie chciałem jednak, by pomyślała, że się nad nią lituję, dlatego nie pokazałem niczego po sobie.

– Słucham – zapytała chwilę później, gdy weszliśmy do mieszkania.

Usiadła mizerniutka w fotelu, podwijając nogi pod siebie. Byłem zły, że tak na nią naskoczyłem, gdy rozmawialiśmy u mnie. Muszę bardziej nad sobą panować. Teraz jednak mogłem wszystko zmienić, bo to ja rozdaję karty w tej grze.

– Zgadzam się – oświadczyłem, wyjmując z teczki dokumenty.

– Proszę? – Jeszcze nie zrozumiała. Dostrzegłem wyraźne zdziwienie w jej zielonych oczach. W sztucznym świetle wydawały się lekko złociste.

– Zgadzam się na twoją prośbę – powtórzyłem, siadając po drugiej stronie podłużnej ławy, jak przy stole negocjacyjnym.

Hania ożywiła się od razu.

– Zgadzasz? – powtórzyła z niedowierzaniem. A po chwili zobaczyłem te dwa dołeczki w jej policzkach, gdy uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Tak. Proponuję ci układ. Tu jest wszystko zapisane. – Położyłem na stole umowy. – Przeczytaj dokładnie i podpisz. Moja deklaracja jest aktualna przez godzinę.

– Dlaczego tylko przez godzinę? – Zawiesiła na mnie zaskoczone spojrzenie.

– To i tak za długo, zważywszy na twoją, nazwijmy to, nieoczekiwaną, propozycję – odpowiedziałem głośno, jednak myślałem zupełnie coś innego. Masz tylko godzinę, żebyś bez szemrania przyjęła wszystkie moje warunki i nie miała za wiele czasu na zastanowienie się nad nimi.

– Mogę choć wiedzieć, dlaczego zmieniłeś zdanie? – spytała, trzymając w rękach ułożone równo papiery.

– Powiedzmy, że jesteś mi potrzebna. Może bardziej ty mnie niż ja tobie. Wszystkiego dowiesz się z porozumienia, które oboje podpiszemy, jeśli je zaakceptujesz.

– Piotr – jęknęła, kartkując umowę. – Ona ma trzy strony.

– Dlatego dokładnie przeczytaj, zaczekam. Mogę w tym czasie zrobić coś do picia albo kolację, jak wolisz. Jeśli pozwolisz, żebym porządził się w twojej kuchni.

– Kolację już jadłam, chyba że ty chcesz, to sobie zrób – odrzekła schylona nad kartkami.

– Też już jadłem! – zawołałem z kuchni. – W takim razie herbata lub kawa.

– Kawa. Jest w szafce nad zlewem, a mleko w lodówce.

Otwieram szafki, wyjmuję kubeczki w kwiatki, kawę, mleko i kątem oka zezuję w stronę pokoju. Hania trze ręką czoło, zmienia pozycję, przekłada nogi, nie odrywając oczu od dokumentów. Jeszcze nic nie mówi, ale po chwili pyta:

– Chcesz napisać o mnie książkę?!

– Tak – odpowiadam swobodnie, wchodząc do pokoju z gotową kawą. Stawiam kubki na stole i siadam



na poprzednim miejscu. – Nie chcę twoich pieniędzy za „przysługę” – robię w powietrzu znak cudzysłowu – w zamian jednak będziesz bohaterką mojej książki. Mam czas do końca sierpnia, żeby ją napisać, taki termin dostałem od wydawcy. Ta książka stanie się hitem. Dlatego jesteś mi potrzebna. Pierwotnie miałem pisać o czymś innym, ale temat, z którym do mnie przysłałaś, jest tysiąc razy lepszy – stwierdzam trywialnie i sam widzę, że mimo wszystko brzmi to cynicznie. Na szczęście Hania nie zwraca na to uwagi.

– I będziesz pisał o raku? – dopytuje się, nawet nie podnosząc głowy, tylko wciąż czyta.

– Rak jest już niemodny – stwierdzam obojętnie. – Przejadł się. Choć o raku też będzie, ale bardziej o zabójstwie skutkowym. O tym, w jaki sposób do niego dojdzie i kiedy. No i oczywiście o motywie.

Hania słucha jednym uchem. Oczy wciąż jej biegają po papierze od lewej strony do prawej.

– Zwariowałaś!?! – krzyczy nagle, przekładając kartkę, a ja wiem doskonale, o co chodzi. – Mam się do ciebie... przeprowadzić???

– Tak, za... – zerkam na zegarek – czterdzieści pięć minut, tyle czasu ci zostało na zaakceptowanie umowy. Punkt o przeprowadzce nie podlega dyskusji.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? – Patrzy na mnie ogromnymi w tym momencie oczami.

– Zwyczajnie. – Rozkładam ręce. – Moja zgoda, moje warunki. Upłynęły jeszcze dwie minuty.

– Zaraz, zaraz. – Podnosi rękę. – To jakiś szantaż.

– A skąd! – Bagatelizuję jej zarzut. – Żaden szantaż, tylko twarde negocjacje.

– Nie zgadzam się na ten punkt o przeprowadzce.

– W takim razie ja nie zgadzam się na cały plan – mówię z najszerszym uśmiechem, jaki mogę z siebie wycisnąć. Za to Hania zaciska usta w wąską sznurówkę.

– Wie pan, kogo pan mi przypomina, panie dominatorze? – syczy.

– Pani nie wygląda mi na uległą – stwierdzam ze śmiechem. – Czytałaś *Greya*?

– Co w tym dziwnego? – Wzrusza obojętnie ramionami. – To światowy bestseller.

– I co, podobało ci się?

– Stylistyka kiepska – mówi z pozoru obojętnie, ale widzę, że czerwienieją jej policzki. – Piotrze, wyjaśnij mi uczciwie, dlaczego mam się do ciebie przeprowadzić?

– Dlatego – wyjaśniam, upijając łyk kawy – że muszę cię cały czas obserwować. Twoje gesty, zwyczaje, mimikę, powiedzonka. A ty będziesz mi wszystko o sobie opowiadać.

– Jak to, wszystko? – Patrzy na mnie podejrzliwie.

– Żebyś była wiarygodną bohaterką. To taki rodzaj researchu. Inaczej postać, którą opiszę, będzie niewiarygodna. A w przypadku tej książki, bo o takiej jeszcze nie słyszałem, wszystko musi być jak najbardziej prawdziwe, choć oczywiście personalia zostaną zmienione, żeby nie było możliwości identyfikacji. Masz to zaznaczone w umowie pod paragrafem dziewiątym.

– Przy swoich poprzednich kryminałach też sprowadzałaś do siebie pierwowzory przestępców? – pyta podchwytliwie.

Jest bystra, stwierdzam w myślach. Muszę być bystrzejszy od niej, by osiągnąć cel.

– Nie, ale znałem ich pośrednio, a niekiedy też bezpośrednio, z czasów, gdy byłem jeszcze policjantem. Haniu, masz coraz mniej czasu, a jeszcze nie doczytałaś do końca.

– Dlaczego węższą podstęp z tą przeprowadzką? – mówi, mrużąc oczy. A ja czuję się doprowadzony pod ścianę. Na gwałt szukam wiarygodnego kontrargumentu. Jest dobra, cholernie dobra, przyznaję w duchu i dla zyskania na czasie piję kolejny łyk kawy.

– W porządku – mówię w końcu. – Będę z tobą absolutnie szczerzy. Od kilku miesięcy jestem twórczo wyjałowiony. Teraz znów poczułem, że mogę pisać, tak jak kiedyś. Z początku rzeczywiście twoja propozycja mnie zszokowała. Ochłonąłem jednak i przemyślałem sprawę. Potrzebuję cię jako tematu do

kryminału. Nie ma w tym żadnego podstępu, tylko czyste wyrachowanie z mojej strony, ponieważ zamierzam napisać prawdziwy bestseller. Wszystko, o czym przed chwilą rozmawialiśmy, jest do tego niezbędne, na przykład obserwowanie ciebie prawie non stop. Zauważ też, że niedogodność w postaci przeprowadzki jest niczym w porównaniu z tym, o co ty mnie prosisz – kończę.

Wyszedłem na wyjątkowo wyrachowanego sobka. Trudno, dla dobra sprawy mogę się poświęcić.

Hania podchodzi do okna. Nic nie mówi, tylko rysuje palcem wzory na szybie. Nie popędzam jej, mam nadzieję, że połknie haczyk. Trwa to jakiś czas, nim na powrót siada naprzeciw mnie.

– I miałybyśmy mieszkać u ciebie do sierpnia, jak wynika z umowy? – Puka palcem w dokument na stoliku.

– Tak – potwierdzam – ponieważ do sierpnia muszę skończyć książkę.

– A... potem? – Znów wbija we mnie to swoje hipnotyczne spojrzenie. Wiem, o co chce mnie zapytać.

– Wiesz, co będzie potem – odpowiadam krótko, a na samo wspomnienie owego „potem” przebiega mnie dreszcz. Ledwo udaje mi się powstrzymać wzdrygnięcie na myśl, w czym oboje uczestniczymy. Opanowuję się w sekundę.

Hania przygryza usta, wyłamuje palce u rąk. Skulona w fotelu wygląda tak bezbrinnie, przygnieciona swoim dramatem, że budzą się we mnie wszystkie dawno uśpione uczucia opiekuńcze. Wieszam w myślach psy na tym gnojku, jej mężu.

– Piotr – mówi w końcu, wpatrzona w kartki – przyjmuję wszystkie twoje warunki, prócz tego jednego. Nie przeprowadzę się do ciebie. Nie mogę – oświadcza i podnosi na mnie wzrok. W jej oczach błyszczą łzy. Mruga szybko, by nie dać im wypłynąć.

– Dlaczego? – pytam i sam nagle zaczynam tracić rezon. – Dostaniesz osobny pokój...

Przerywa mi, unosząc rękę. Milknę od razu.

– Mam nowotwór mózgu, nie anginę – mówi, nabrawszy głośno powietrza. – Nie wiem, jak będę się czuła za tydzień, dwa, miesiąc. Nie wiem, jak to się rozwinie. Ale wiem jedno, nie chcę, by ktoś oglądał mnie wtedy, kiedy już choroba zacznie odbierać mi godność – oświadcza tak stanowczo, że wytrąca mi z ręki wszystkie argumenty.

Na chwilę przestaję oddychać. Czuję wielki podziw dla tej kobiety i obrzydzenie do siebie, że nawet o tym nie pomyślałem, proponując jej przeprowadzkę. Liczył się tylko mój plan, moje zwycięstwo w tej grze. Chciałem się popisać sprytem, a wyszedłem na niewrażliwego ignoranta. Nie pozostaje mi nic innego, jak oddać jej tę część pojedynku.

– Twarda z ciebie negocjatorka – stwierdzam, sięgając po długopis. – Przekonałaś mnie. Punkt o przeprowadzce uznaję za nieaktualny, lecz pomimo to biorę we władanie prawie cały twój czas w ciągu dnia i zakładam pełną otwartość. O wszystkim mi mówisz, bym mógł w pełni cię poznać.

– Zgoda, ale mam jeszcze jeden warunek. – Znów patrzy na mnie z powagą. Czuję niepokój. – O raku mówię tyle, ile sama uznam za stosowne. Nie będziesz się o niego dopytywał, wchodził w szczegóły, a zwłaszcza próbował ingerować w moją decyzję. Tego ci nie wolno. Przyjmujesz?

Akurat ten warunek szczególnie koliduje z moim planem. Jednak nie mam innego wyjścia, jak przyjąć go bez protestu. Potem będę się tłumaczył i kajał, oby tylko było z czego.

– Przyjmuję. – Kiwam głową. – Jeśli nie masz dalszych zastrzeżeń, to podpisz umowę, tylko najpierw wpisz swoje dane, żeby wszystko było formalnie.

– Dobrze, choć nie rozumiem, w jakim celu, skoro i tak wszystko zostanie między nami.

– Taki już jestem – stwierdzam z pozoru obojętnie. Ta dziewczyna rozgryza mnie szybciej, niż mógłbym się spodziewać. Dobra byłaby z niej policjantka. – Lubię mieć wszystko czarno na białym, żeby potem nie było niejasności, że moje pytania są zbyt daleko posunięte. Poza tym, to takie moje zabezpieczenie, na wypadek gdyby sprawa się wydała – kończę spocony pod pachami jak mysz.

– To akurat jest logiczne – przyznaje zgodnie.

Bierze ode mnie długopis i uzupełnia rubryczki. Odczytuję do góry nogami, co pisze. Już wiem, że nazywa się Masłowicz i... Aż wykrzykuję, gdy wpisuje datę urodzenia.

– Jesteś dzieckiem przemian! Co za historyczna data.

– Data, jak data. – Hania wzrusza ramionami, kończąc wypełniać puste linijki. – Nie mamy na to wpływu, kiedy, gdzie i czy w ogóle przychodzimy na świat, a szkoda.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wydaję złożoną na cztery kartkę i podaję dziewczynie. Rozkłada ją powoli i patrzy zdziwiona. Nie mam na niej nic, prócz wytłuszczonego nagłówka z napisem ANEKS.

– Co to jest?

– A to... – mówię, stawiając swoją parafkę w rogu kartki – twoja lista marzeń. Ze względu na późną porę możesz wypełnić ten dokument jutro bądź pojutrze.

– Lista marzeń? – Patrzy niedowierzająco w pustą kartkę.

– Wpiszesz tu swoje trzy życzenia do złotej rybki – wyjaśniam. – Czyli to, co najbardziej chciałabyś w życiu zrobić, tak jak mi wcześniej mówiłaś.

– Dlaczego tylko trzy?

– Żebyś nie rozmięniała się na drobne i wybrała te najistotniejsze. A poza tym, jak pamiętam z bajki, złota rybka spełniła tylko trzy życzenia.

– I ty będziesz tą złotą rybką? – Podnosi na mnie zielone oczy.

– Tak – przyznaję otwarcie. – To taki bonus za to, że jesteś moim tematem. Ale nie wykluczam, że coś z nich opiszę. Nawet w kryminałach powinny być momenty oddechu, coś bardziej romantycznego na przykład. Przynajmniej w moim będzie.

Nie słucha mnie, tylko uśmiecha się nostalgicznie, wpatrzona w pustą kartkę. Gładzi ręką biały papier. Znów wygląda na nieobecna.

– Podpisz umowę, współniczko – wyrywam ją z zamyślenia.

– Dobrze, współniku.

Podpisała, równymi, starannymi literami, dwie kopie dokumentów. Zrobiłem to samo. Pierwszą bitwę wygrałem, jeśli nie liczyć odrzuconego zapisu o przeprowadzce i ograniczenia rozmów o raku. Przede mną cała batalia, bo właśnie wyruszam na wojnę. I wierzę, że mimo wszystko będę zwycięzcą.

# Hanka

A więc jestem dla niego tematem na książkę, myślałam o umowie, którą zawarliśmy z Piotrem. To drugi układ w moim życiu. Widać mój los opiera się na układach, nie na uczuciach. Nie pozostaje mi nic innego, jak się z tym pogodzić. Nasza umowa obowiązuje już od ponad tygodnia. Prawie cały ten czas spędzamy razem. Po porannym bieganiu Piotr przychodzi do mnie. Jemy razem śniadanie, potem gdzieś wychodzimy, wracamy do niego lub znów do mnie na obiad i aż do kolacji jesteśmy razem. Dużo rozmawiamy.

Piotr jest wszystkiego ciekaw. Czasem się dziwi, gdy opowiadam o swoim życiu. Staram się nie wkładać w te opowieści żadnych emocji, ale dostrzegam je u niego, jak dochodzę do trudnych momentów. Zaciska wtedy szczęki, marszczy brwi albo kręci głową. Zwłaszcza wtedy, gdy mówię o ojcu.

Piotr robi z naszych rozmów zapiski w notatniku lub od razu w komputerze, czasem włącza dyktafon. Jest profesjonalistą. Ani razu nie daje mi odczuć, że traktuje mnie inaczej niż materiał do książki. Ja też niczego po sobie nie pokazuję. A jednak, mimo to, ten mężczyzna staje mi się bliski. Jak przyjaciel, którego nigdy nie miałam.

Nie wiem, czy to przez tę zmianę pogody, bo idzie niż, czy z powodu choroby, ale nie czuję się najlepiej. Na razie pomagają mi tabletki, które kupiłam bez recepty. Łykam dwie i ból się zmniejsza. Nie okazuję Piotrowi złego samopoczucia. Całą energię skupiam na tym, co jest teraz.

A teraz siedzimy razem na moło w Brzeźnie zapatrzeni na zachód słońca. Wielka pomarańczowa kula wisi nad horyzontem i barwi niebo na czerwono. Powietrze mięknie od ciepła kolorów. Nawet na burej, pofałdowanej wiatrem wodzie ściele się mgiełką tonacja płomiennych odcieni. Zupełnie tak, jakby ktoś na morzu i niebie rozmazał akwarele.

– Jest pięknie – prawie szepczę, by nie spłoszyć otaczającego nas cudu natury. – Szkoda, że przegapiłam tyle zachodów słońca.

– Jeśli chcesz, to od dziś możemy oglądać wszystkie – proponuje, patrząc tam, gdzie ja.

– Chcę – potwierdzam, śledząc pod słońce lot rybitwy.

Widzę same ciemne kontury, przez ułamki sekund mam zamazany obraz. Mrugam dwukrotnie, by go wyostrzyć. Pomaga. Ten glejak jest jednak bezwzględny, nawet oczy chce mi zabrać. Mam chyba mniej czasu, niż mówił tamten profesor. Znowu zaczynam się bać. Nie jest zimno, pomimo to trzęsę się cała. Piotr zauważa od razu, że coś się ze mną dzieje.

– Drżysz. – Pospiesznie ściąga z siebie kurtkę i narzuca na mój trenczowy płaszczyk. – Zmarzaś, wracajmy do domu.

– Nie, zostanmy jeszcze chwilę. – Otulam się jego czerwoną kurtką, podbitą polarem. Pachnie Piotrem. Odurza mnie ten zapach.

– Dobrze, ale naprawdę tylko chwilę. – Zasuwa zamek beżowego swetra pod brodą.

– Piotr...

– Słucham?

– Gdybyś miał się urodzić pod inną postacią, to kim chciałbyś być? – Pytam zupełnie bez sensu, ale ta unosząca się w powietrzu rybitwa wyjątkowo zaprzęta moje myśli.

– Lwem – odpowiada bez chwili wahania i nawet warczy żartobliwie. – A ty?

– Ptakiem. – Ja też odpowiadam bez zastanowienia. – Chciałabym zasnąć i obudzić się w innym życiu.

Właśnie jako ptak, żeby poczuć tę nieskrępowaną wolność. Móc prawie wszystko. Pływać, chodzić, ukryć się w liściach drzew, a potem odfrunąć. Jakże drzewa muszą zazdrościć ptakom. One, choć są monumentalne i mogą żyć setki lat, ciągle tkwią w tym samym miejscu i umierają, stojąc.

– Haniu – odzywa się miękko Piotr. – Wybacz, że zapytam ponownie, ale ty naprawdę masz skończoną tylko zawodówkę?

– A ciebie wciąż to szokuje – mówię z westchnieniem. Przed oczami znowu staje mi jego zdumiona mina, gdy przedwczoraj się o tym dowiedział. – Myślisz, że jak nie mam matury, to jestem głupsza czy gorsza?

– Skąd! – protestuje gwałtownie. – Nigdy nie pomyślałem o tobie w ten sposób, wręcz przeciwnie. Jesteś mądrą kobietą, dlatego nie mogę się nadziwić, że porzuciłaś tylko na zawodówce.

– Marzyłam o studiach, jednak moja matka zdecydowała inaczej. A potem wszystko samo się rozmyło. Dom, praca, dom, codzienny kołowrotek.

– Pozwolisz, że zostawię to bez komentarza. A tak na marginesie, jeszcze nie wypełniłaś aneksu. Kartka wciąż jest pusta. Opóźniasz się, współpracowniczko. – Przechyliła się lekko w moją stronę.

Tak, jeszcze nie wypełniłam aneksu, nie potrafię wybrać ze wszystkich marzeń, które miałam, tych trzech najważniejszych. I tak prawie niczego nie zdążę zrealizować. Nie zrobię matury, nie pójdę na studia, nie zobaczę Chin, nie przeżyję bezkresnej miłości.

– Wiesz – mówię po chwili. – Dotąd moje pragnienia były jak gdyby w poczekalni. Dopiero teraz wyszły na peron, kiedy mój pociąg dojeżdża już do końcowej stacji. Za bardzo bałam się przeszkód, by wcześniej je uwolnić. Teraz raptem wszystko się przewartościowało. Przekonałam się, że nie wolno stawiać granic swoim marzeniom. Powinny zawsze je przekraczać. Gdyby to ode mnie zależało, do siedmiu grzechów głównych dopisałabym ósmy, grzech zaniechania. Jest dużo bardziej niewybaczalny niż cała reszta. Gdyby życie było spowiednikiem, nie dostałabym rozgrzeszenia. Za dużo przepuściłam między palcami i prawie wszystko mi umknęło. Nie notujesz? – spytałam, odwracając się w stronę Piotra. Zadumany, pokręcił przecząco głową.

– Zapamiętam. Każde słowo. Pięknie to powiedziałaś.

Milczymy. Słońce opada coraz niżej. Robi się chłodniej. Piotr wstaje z ławki.

– Idziemy, Haniu. Ty do pisania życzeń, ja do garów. Obiecałem ci spaghetti w rewanżu za twoje wczorajsze placki. Były boskie. Zrobisz mi je znowu?

– Yhmm.

Idziemy obok siebie spowici półmrokiem. Nie miałabym nic przeciwko temu, by Piotr wziął mnie za rękę. Jednak nie robię nic, aby go do tego zachęcić. Przecież łączy nas tylko umowa. Jesteśmy współnikami, tłumaczę sama sobie, a za ręce prowadzą się zakochani, nie ludzie związani kontraktem. Może to i lepiej? Mamy czysty układ. Potrzebujemy siebie nawzajem do własnych celów. I być może właśnie stąd bierze się owa niespodziewana otwartość, która panuje w naszych relacjach.

Czasem odnoszę wrażenie, że znam Piotra od lat, nie od tygodni. On też opowiada trochę o sobie. Już wiem, że jest jedynakiem i skończył historię. Miał dom, o jakim ja tylko mogłam marzyć. Lubię słuchać, z jakim szacunkiem mówi o rodzicach. Ja swoich wciąż wypieram ze świadomości lub nawet podświadomości. Najbardziej jednak skupia się na synu. Michał musi być dla niego ważny, skoro Piotr tak ciepło i z taką tęsknotą o nim mówi. Ciekawe, czy mój ojciec lub matka albo bracia opowiadali tak komuś o mnie, zastanawiam się, stukając długopisem w pustą kartkę.

Od kwadransa siedzę przykryta kocem na mięsistej sofie w mieszkaniu Piotra i nie wiem, co napisać.

On, w luźnej białej koszulce i spranych dżinsach, podsmaża mięso do spaghetti. Skwierczy tłuszcz na patelni, pachnie gotowany makaron, szumi czajnik. Na parapetach w oknach dużego pokoju palą się waniliowe świece na mlecznych szklanych podstawkach. Bursztynowe światło lampki na stoliku sływa miękko na moje, nieubrane jeszcze w słowa, marzenia.

Jest miło, nawet intymnie. Z pozoru wygląda to na sielski obrazek z bajki pod tytułem „wieczór we dwoje”. Tylko że to zupełnie inna bajka, ten nasz układ.

– Haniu – Piotr wchodzi do pokoju z kubkiem w dłoni – wypij ciepły sok z malin. Moja mama sama go robiła. Rozgrzewa jak nic, żebyś się nie przeziębila.

– Już mi ciepło – mówię, ale biorę kubek. Maliny pachną tak intensywnie, że zanurzam ostrożnie usta we wrzątku.

– Uważaj, oparzysz się – ostrzega mnie, siadając obok. Zerka na pustą kartkę. – Jak widzę, nie masz dziś natchnienia do marzeń.

– Bo patrzysz mi na ręce.

– W takim razie nie będę patrzył. – Wstaje od razu i zerka na zegarek. – Wskoczę na chwilę do sklepu, nie mam oregano do spaghetti, a bez tego to zupełnie inny smak. Wracam na jednej nodze, a ty w tym czasie spróbuj zapełnić aneks. Rybka się niecierpliwi. Coś ci kupić?

– Nie, dziękuję, przecież wczoraj wszystko kupiliśmy.

– Tylko nie wpuszczaj do domu złego wilka, bo cię zje. – Grozi mi żartobliwie.

– Przykazała mama koza swoim kozłátkom – dopowiadam w podobnym tonie. – Bajki się panu pomieszały, panie komisarzu.

– Skąd – zaprzecza. – Ja tylko naginam je do własnych potrzeb. Niedługo będę. Czuj się jak u siebie.

Ledwo zamknęły się za nim drzwi, doznałam natchnienia. Już wiedziałam, czym zapełnić aneks. Napisałam w punktach swoje życzenia.

1. *Chcę się poczuć jak Rose z „Titanica”.*

2. *Chcę przeżyć coś wyjątkowego.*

3. *Chcę...*

Za bardzo się rozpędziłam. W trzecim punkcie zawarłam swoje największe marzenie. Szybko się jednak opamiętałam. Tego nie spełni nawet najlepsza złota rybka. Zamazałam je czym prędzej, tak by nie można było niczego odczytać. Najchętniej wzięłabym nowy arkusz papieru, ale na tym była parafka Piotra. Dlatego pod przekreślonym życzeniem wpisałam inne, które akurat wpadło mi do głowy.

3. *Nie chcę przegapić żadnego wschodu i zachodu słońca.*

Teraz nasza umowa była już formalnie dopełniona.

Zostawiłam na stoliku złożoną na pół kartkę, dopiłam maliny i poszłam do łazienki. Spojrzałam w duże lustro nad umywalką. W kamiennej łazience na tle szarych ścian wydałam się sobie jeszcze bardziej mysia. Zresztą, kogo to obchodzi, jak wyglądam, wzruszyłam ramionami do własnego odbicia. Nawet mnie samą już dawno przestało.

Ktoś zadzwonił do drzwi. W pierwszej chwili zawahałam się, czy otworzyć. Ostatecznie nie byłam u siebie. Zakręciłam wodę i nasłuchiwałam. Dzwonek zabrzmiał ponownie. Otworzyłam.

– Przyszłam do Piotra – odezwała się piękna brunetka na tak wysokich obcasach, że przewyższała mnie o ponad głowę.

Nie tylko wzrostem dominowała nade mną, ale całą resztą. Od czerwonych szpilek, przez zgrabne nogi, idealną figurę pod dopasowanym czarnym płaszczem, twarz modelki, aż po gęste, krucz włosy. W moich starych dżinsach, bez makijażu, w skarpetkach i niebieskim prostym sweterku wyglądałam przy niej jak sierotka. Tamta wydała się zaskoczona moją obecnością, może nawet zirytowana.

– Nie ma go, ale zaraz wróci – powiedziałam, nie za bardzo wiedząc, czy ją wpuścić, czy zamknąć

drzwi. Otworzyła je szerzej sama i weszła, szturchając mnie ramieniem. A ja od razu pomyślałam, że właśnie wpuściłam wilka, bo ta piękna kobieta miała w sobie coś wilczego.

– Zaczekam – oświadczyła wyniośle.

Powiesiła na chromowanym wieszaku płaszcz i stukając obcasami o błyszczące płytki w przedpokoju, swobodnie przeszła do kuchni. Wstawiła czajnik, otworzyła szafki, wyjęła filiżankę, kawę. Dokładnie wiedziała, co gdzie stoi, czuła się jak u siebie. Nie zauważała mnie. Dla niej byłam przezroczysta.

– Sprzątasz u Piotra? – Rzuciła mi lekceważące pytanie i takie samo spojrzenie spod długich, gęstych rzęs.

– Nie – bąknęłam niewyraźnie. Obecność tej kobiety działała na mnie paralizująco. Znów trochę mnie zemdlilo i nieznacznie zawirowało mi w głowie. Spięłam się w sobie, skuliłam, prawie skarłałam w nijakości.

– Neeeeee? – Podeszła krok ku mnie. – To co tu w takim razie robisz? – spytała wojowniczym tonem.

– Pracujemy razem – chrząknęłam i mimowolnie zaczęłam wyłamywać palce u rąk. Schowałam dłonie za plecami.

– Pracujecie razem – powtórzyła tamta, obciągając brzeg opiętej, krótkiej sukienki w kolorze burgunda.

– W sypialni czy tu, na tym blacie? – spytała kpiąco i poklepała ręką dębową deskę w kuchni.

– Nie wiem, o czym pani mówi – odparłam maksymalnie spięta.

Znów stałam się zahukaną dziewczyną z popegeerowskiej wioski. I choć czułam złość, że zachowuję się tak, a nie inaczej, nie potrafiłam tego przemóc.

– Posłuchaj, mała. – Brunetka zmieniła ton i ujęła się pod boki. Patrzyła na mnie ni to z wyższością, ni to ze wzdrganiem. – Piotr to mój facet i lepiej zapamiętaj to sobie dokładnie, jeśli w twojej biednej główce coś zaczęło się roić. Chyba nie jesteś tak głupia, na jaką wyglądasz, jeśli choć przez chwilę pomyślałaś, że mogłabyś zająć moje miejsce? Zresztą, myśl sobie, co chcesz, to i tak nie ma już znaczenia. Noszę jego dziecko. – Uśmiechnęła się z tryumfem, kładąc rękę na brzuchu. – Właśnie przyszedł mi powiedzieć, że zostanie tatusiem.

Wilczyca pokazała ostre kły. Czułam, jak jej śnieżnobiałe zębiska podgryzają mi gardło. I nie wiem, co było w tym momencie gorsze. Duszności, tętent w głowie czy wymioty w gardle. Gdybym tylko otworzyła usta, kremowa podłoga powitałaby przetrawione maliny.

Zdjęłam z wieszaka torebkę, wzięłam swój szary płaszcz na podpince, który wypatrywałam przed rokiem na ciuchach, włożyłam buty i wyszłam.

W sumie nie powinna mnie obchodzić ani ta kobieta, ani ich dziecko, ale w jakiś sposób mnie to dotknęło. Poczułam się jak intruz między nimi – teraz już jest ich trójka. Taki mały, nieznaczący nikt, którego można zignorować. Dlatego uciekłam stamtąd czym prędzej. Jak zwykle uciekłam. Widać nie potrafię inaczej rozwiązywać problemów.

Zwymiotowałam w krzaki i spiesznie poszłam w stronę stacji kolejki, by nie natknąć się na Piotra.

Wieczorny ziąb przenikał mnie do szpiku kości, ale też przynosił orzeźwienie. Nie chciałam wracać do domu. Po raz pierwszy od dawna pragnęłam wmieszać się w tłum. Zgubić w nim swoje myśli i siebie. Dlatego wsiadłam do pociągu podmiejskiego, kupiłam bilet do końcowej stacji u mrukliwego konduktora i przeszłam do ostatniego wagonu.

Jechało tam kilkoro młodych ludzi, jakaś para z dzieckiem, gruba kobieta z wypchaną siatką na kolanach i zakonnica w czarnym habicie, z krzyżem zawieszonym na piersi. Usiadłam obok niej i oparłam głowę o ciemną, zimną szybę.

Chłód szkła łagodził gorączkę moich myśli. Tylko ten przeklęty ból głowy nie chciał ustąpić. Pulsował rytmem pociągu. Powieki miałam ołowiane, nie dawałam rady utrzymać nad nimi kontroli. Opadły

ciężko, a ja odpłynęłam. Nagle poczułam, że odrywam nogi od ziemi i lecę. Uniosłam się nad fotelami, a po chwili poszybowałam nad wagonem. Widziałam z dołu jadący pociąg, oświetlone ulice, domy, poczułam zapach piwonii, a potem delikatny dotyk na ramieniu.

– Obudź się – dociera do mnie czyjś głos jak zza ściany.

Otwieram oczy. Pochyla się nade mną zakonnica z zakrwawioną chusteczką w ręku. Nikogo nie ma, tylko my. Pociąg stoi na stacji.

– Gdzie ja jestem?

– W Wejherowie. Wreszcie się ocknęłaś, dziecinko. Krwawisz. – Zakonnica przykłada zaplamioną chusteczkę do mojego nosa.

Ocieram wierzchem dłoni skórę nad górną wargą. Na ręce pozostaje czerwony ślad.

– Wsiądźmy. – Zakonnica ujmuje mnie pod ramię i wyprowadza na peron.

Prowadzi mnie do najbliższej ławki. Siadamy na niej obie. Wnętrznosci znów podchodzą mi do gardła. Nie mam siły wstać. Wymiotuję wprost pod nogi.

– O mój Boże! – Słyszę jej zatroskany głos.

Widzę krępą postać w czerni, chaotycznie grzebiącą w dużej torbie, zsunięte na nos okulary, pomarszczoną twarz, opiętą ciasno sztywnym, białym czepkiem.

– Już dzwonię po karetkę.

– Nie trzeba – mówię cicho, lecz stanowczo. – Wiem, co mi jest. Niech siostra nie dzwoni.

Waha się, próbuje coś powiedzieć, ale kręcąc przecząco głową. W końcu chowa telefon do torby.

– Ja ci na imię? – pyta, odgarniając mi włosy z czoła.

– Hanka.

– Jestem siostra Bernadetta z zakonu albertynek. Mieszkasz tu, w Wejherowie?

– Nie, nie tu.

– Jesteś bardzo bledziutka. – Gładzi mnie po twarzy.

Przytykam policzek do jej ciepłej dłoni. W tym geście obcej kobiety jest coś matczynego. Coś, czego potrzebuję. Jeszcze mocniej wtulam się w jej rękę. Nadstawiam się do głaskania jak bezdomny kot. Mogłaby nawet wyźłobić mi bruzdy w policzku, tak bardzo pragnę tego ciepłego dotyku.

– Może pójdziesz ze mną? – pyta. – Nasz dom jest niedaleko.

Zupełnie nieoczekiwanie dla samej siebie kiwam potakująco głową. Nie mogę pojąć, co mnie do tego skłoniło, ale czuję wyraźną potrzebę, by iść z tą zakonnice. Może właśnie po to wsiadłam do tego pociągu, by ją spotkać? Zakonnica dzwoni gdzieś, z kimś rozmawia spokojnym głosem, a potem znów bierze mnie pod rękę i idziemy.

Mija minuta, dwie, pięć. Pod stację podjeżdża biały busik. Za kierownicą siedzi inna zakonnica. Wsiadamy do ciepłego auta. Siostry rozmawiają przyciszonymi głosami. Ta druga jest młodsza, mniej więcej w moim wieku. Uderza mnie spokój, który mają w sobie, a który spływa też na mnie. Opieram głowę o szybę. Ledwo przymknęłam oczy, słyszę melodyjny głos siostry Bernadetty.

– Jesteśmy na miejscu. Poprosiłam siostrę Marię, żeby po nas przyjechała, bo wyglądasz na bardzo wycieńczoną i chyba głodną.

– Troszkę – przyznaję i czuję ssanie w żołądku.

Wchodzimy do sieni niewysokiego budynku. Siostry przyklękają przed wielkim drewnianym krzyżem na ścianie. Ja stoję. Nawet odwracam głowę. Urzeka mnie cisza tego miejsca, jest taka kojąca. Zupełnie jakbym znalazła się w innym wymiarze. To samo czuję w maleńkim, białym pokoiku. Wąskie łóżko, nad nim krzyż, krzesło, mała szafka, a na niej talerz z kromkami chleba z miodem i kubek.

– Jedz, Haniu.

Chleb jest ciemny, razowo-żytni, pieczony na zakwasie. Zjadam go chciwie, ma smak, który pamiętam



z dzieciństwa. Matka piekła podobny chleb. Gryczany miód drapie mnie w gardle, popijam go zbożową kawą. Siedzimy we dwie na łóżku z białą wykrochmaloną pościelą. Siostra Bernadetta przebiera palcami po drewnianych koralikach różańca. Ogarnia mnie przeogromne znużenie. Zdejmuję płaszcz, rzucam go na krzesło i kładę głowę na kolanach zakonnicy. Podkulam pod siebie nogi na sztywnej pościeli. Wyglądam jak dziecko zasypiające na kolanach matki.

– Powierz Bogu swoje troski, Haniu – mówi cicho siostra Bernadetta.

– Nie wierzę w Boga.

– Może on wierzy w ciebie?

– Gdyby wierzył, nie zapomniałby o mnie, kiedy się urodziłam.

– Gdyby zapomniał, nie byłoby cię tutaj. Nie wszystko jest takie, jak się na początku wydaje – słyszę jeszcze jej głos, nim zupełnie poddaję się nirwanie. – Śpij, Haniu.

Okrywa mnie kołdrą i delikatnie głaszcząc po głowie. Ledwo ją muska. Czuję ciepło jej ręki na czole, skroni, na włosach. To ciepło rozlewa się w środku i uśmierza ból. Jest mi tak dobrze w tym miejscu, na jej kolanach, pod jej dłonią. Nic mnie nie boli, niczego się nie boję. Czarny habit pachnie płynem do płukania. Wyczuwam w nim nutkę piwonii, a może to fiołki? Nie wiem, zanurzam się w tym błogostanie. Chcę, by trwał wiecznie. Zasnąć i nie obudzić się więcej.

– Halo, proszę pani – mówi chrypiący, męski głos.

Ktoś energicznie potrząsa moim ramieniem. Otwieram oczy. Świadomość wraca powoli. Stoi nade mną konduktor, leżę na ławeczce w wagonie, z głową na torebce. Podnoszę się ociężale i patrzę wokół nieprzytomnie. Za oknami jest ciemno, a raczej szarawo.

– Gdzie jesteśmy? – pytam, odruchowo poprawiając włosy.

– W Gdańsku, stacja Zaspą. Nie widziałem pani wcześniej, choć przeszedłem cały skład. Skąd się pani tu wzięła?

– Nie wiem – odpowiadam zdziwiona.

Konduktor zsuwa czapkę na tył głowy i patrzy na mnie niezdecydowany, drapiąc palcem siwe wąsy.

– Dobra. – Macha ręką. – Powinienem panią spisać, ale niech pani już idzie.

– Która godzina?

– Minęła piąta rano.

Zdążę, jeszcze zdążę, myślę, wychodząc w rześką szarość budzącego się dnia.

# Piotr

Grzech zaniechania, naprawdę ładnie to powiedziała. Przez całą drogę towarzyszyły mi słowa Hani. W sumie ja też mam na koncie sporo tych zaniechań. Największe dotyczy Michała. Ściskam w rękę doniczkę z oregano i przeskakuję po dwa stopnie, biegnąc po schodach. Miało mnie nie być najwyżej kwadrans, a zeszło pół godziny dłużej na poszukiwaniu świeżych ziół. Ten pokruszony szajs z torebek nie nadawał się do spaghetti, którym chciałem zaimponować Hani. Mój popisowy numer kulinarny miał być idealny.

– Już jestem! – Wpadam do mieszkania. – Przepraszam, że tak długo, ale szukałem świeżych ziół – tłumaczę się z korytarza. Ściągam kurtkę i...

– Co ty tu robisz? – pytam totalnie zaskoczony, widząc najpierw płaszcz Elżbiety, a sekundę później ją samą. Siedzi w kuchni na blacie, z nogą założoną na nogę i je spaghetti, trzymając talerz pod brodą.

– Czekałam na ciebie – odpowiada jak gdyby nigdy nic. Zostawiam w korytarzu doniczkę i wchodzę do pokoju, jednego, drugiego, nawet trzeciego, zaglądam do łazienki.

– Gdzie ta dziewczyna, która tutaj była? – Wracam do Elżbiety, która robi zaskoczoną minę.

– Nikogo nie było.

– To jak tu weszłaś? – Staram się mówić jeszcze spokojnie, choć obecność Elżbiety zaczyna mnie nieprzyjemnie spinać. Mniej jednak niż nieobecność Hani.

– Było otwarte – łże jak z nut. Od razu widzę fałsz w jej oczach.

– Kłamiesz – stwierdzam krótko.

Elżbieta odstawia talerz, zeskakuje z blatu i podnosi rękę, jakby chciała objąć mnie za szyję.

– Musimy porozmawiać – mówi przymilnie – i przywitać się.

– Po pierwsze, nie musimy o niczym rozmawiać. – Przytrzymuję jej ramiona. Chyba mimowolnie ścisnąłem je za mocno, bo aż syknęła. Puszczam ją od razu. – Po drugie, pytam jeszcze raz. Gdzie ta dziewczyna?

– To ją zapytaj – prycha.

– Tak zrobię. – Wyjmuję z tylnej kieszeni dzinsów komórkę. – A ty, bądź uprzejma, dokończ makaron, jeśli masz ochotę, i zostaw mnie samego.

– Nie tak prędko, mój drogi. – Elżbieta zmienia ton na zadziorny. – Nie jesteś ciekaw, z czym do ciebie przyszedłam?

– Zupełnie mnie to nie interesuje.

– Jestem w ciąży.

– Gratuluję – odpowiadam obojętnie, wybierając jednocześnie numer Hani. – Adrianowi, czy jak mu tam, też przekaż gratulacje od kuzyna z Tczewa.

Przykładam komórkę do ucha. Pierwszy sygnał, drugi...

– Z tobą jestem w ciąży. – Elżbieta stawia kropkę nad i.

Czwarty, piąty, potem skrzyńka, że abonent nie odpowiada, a ja stoję jak manekin z uniesionym telefonem i próbuję skojarzyć, co usłyszałem przed sekundą.

– Możesz powtórzyć? – pytam dla pewności, bo mogłem jednak coś opacznie pojąć.

– Jestem w ciąży z tobą.

A jednak pojąłem prawidłowo. O żeż w mordę, klnę w myślach.

Elżbieta kładzie rękę na brzuchu gestem wszystkich kobiet świata, które informują facetów, że ich materiał genetyczny nie poszedł na marne. Monika też tak trzymała rękę, kiedy powiedziała mi o dziecku. Wtedy cieszyłem się od pierwszego momentu. Teraz jednak dosłownie mnie zamurowuje.

Musiałem wyglądać głupkowato, bo nagle straciłem czucie nad ustami, które samoistnie się otworzyły. Przewalały się we mnie różne uczucia, ale wszystkie były odległe od radości o lata świetlne. Nalałem szklankę wody i opróżniłem duszkiem. Przytomność umysłu częściowo wróciła. Usiadłem w fotelu i odetchnąłem kilka razy. Elżbieta przycupnęła na poręczy, oplatając ręką moją szyję.

– Cieszysz się? – pyta słodkim głosem. – Bo ja bardzo. Piotruś, będziemy mieli dzidziusia, pobierzemy się. – Korzystając z mojego oszołomienia tą wiadomością, mości się na moich kolanach. Wsuwa mi rękę we włosy, całuje w usta. Odwracam głowę i wstaję. Nie mam najmniejszej ochoty na te czułości.

– Elżbieta – mówię twardo, ignorując „Piotrusia”, jej ton i słodką minę – nie dam się wmanewrować w żadne takie numery. Nie złapiesz mnie na dziecko. Jestem na to za stary.

W sekundę zmienia się na twarzy.

– Zrobienie mi dziecka nazywasz numerem?! – Zrywa się na równe nogi.

– Umawialiśmy się tylko na seks, nie na dziecko. Od samego początku jasno stawiałem sprawę i nie mam sobie nic do zarzucenia. Ponadto oboje się zabezpieczaliśmy. Twierdziłaś, że bierzesz pigułki. Ja też zawsze używałem prezerwatywy. – Rozczapierzam rękę i wyliczam na palcach kolejne argumenty.

– Widocznie nie zadziałało. Gumka też mogła pęknąć.

– Nie pękła, to raz. A dwa, jaką ja mam pewność, że to moje dziecko, a nie Adriana, Mariana czy tego, z kim akurat sypiałaś, jak spotykałaś się ze mną? Tak polowałaś na męża, że...

Nie dokończyłem, jej ręka jak torpeda wylądowała z głośnym plaśnięciem na mojej twarzy.

– Jak śmiesz! Dziecko jest twoje i nie wyprzesz się go! Nie dam się wykiwać! Mów, co zamierzasz teraz zrobić?!

– Nic – odpowiadam spokojnie, pocierając piekący policzek.

– Jak to, nic?! – Z wściekłych oczu Elżbiety sypią się iskry. – Mam zostać sama z bękartem? Nie czujesz żadnej odpowiedzialności? Jesteś aż takim zimnym skurwysynem?

– Hola, hola! – hamuję jej atak. – Nie próbuj mnie wpędzić w poczucie winy. Jeśli się okaże, że to rzeczywiście moje dziecko, które tak ładnie określasz mianem bękarta, to nie mam zamiaru uchylać się od odpowiedzialności.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To, że jeśli badania genetyczne potwierdzą moje ojcostwo, w takim wypadku uznam dziecko. Jak zobaczę czarno na białym, że jest moje. Wtedy będę na nie płacił, odwiedzał je, wychowywał, innymi słowy, będę robił to, co wszyscy normalni ojcowie, ale między nami niczego to nie zmieni.

– Nie rozumiem? – Elżbieta szeroko otwiera oczy.

– A co tu jest do rozumienia?! – pytam z irytacją. – Nie weźmiemy żadnego ślubu, jeśli do tego zmierzasz. Nigdy. Nawet nie będziemy razem mieszkać, bo...

– Bo wolisz tamto pomiotło niż mnie?! – przerywa mi z furją. Ostatnim wysiłkiem woli hamuję swój wybuch.

– Ani słowa – cedzę przez zęby. Moja cierpliwość wisi na włosku.

– Zamienię ci życie w piekło, jeśli mnie tak zostawisz – syczy mi w twarz. – Pożalujesz! Ty i ta mała pinda.

– Wyjdź! Natychmiast! – Nie wytrzymuję już dłużej. – Na mnie możesz pluć jadem, ile chcesz, nic mnie

to nie obchodzi. Ale jeśli choć zbliżysz się do tej dziewczyny albo powiesz jej coś przykrego, to pożałujesz.

– Straszysz mnie?!

– Tylko uprzedzam. A teraz bądź uprzejma opuścić mój dom. – Wskazuję ręką drzwi.

Z Elżbiety każdym porem skóry wylewała się wściekłość. Twarz miała purpurową, pełną nienawiści. Dyszała ciężko, ale nic więcej nie powiedziała. Szybkim krokiem pomaszerowała do korytarza, szarpnęła płaszcz i trzasnęła drzwiami, aż zadrżały ściany.

No, może zachowałem się jak świnia i prostak, ale zdrowo krwi mi napsuła. I najmniej chodziło w całej tej sprawie o dziecko.

Ostatecznie jeśli Elżbieta rzeczywiście jest w ciąży i jeśli rzeczywiście ja się do tego przyczyniłem, tragedii nie będzie. Wezmę to po męsku, choć do momentu, kiedy rzecz definitywnie się wyjaśni, nie miałem zamiaru myśleć, że ponownie mogę zostać ojcem. Ale pogardy, z jaką mówiła o Hani, zdzierżyć nie zdołałem.

Jeszcze raz spróbowałem zadzwonić i znowu nic. Tylko wolny sygnał, a potem poczta. Dochodziła dziesiąta wieczorem. Zacząłem się niepokoić.

Dopiero teraz zauważyłem na stoliku złożoną kartkę. Przebiegłem wzrokiem po wypisanych życzeniach.

Nie były wygórowane, choć sama myśl, że musiałbym ewentualnie wsiąść na jakąś krypę, przypawiła mi o zawrót głowy. Westchnąłem z rezygnacją; znałem ten film i jeśli Hania chce się poczuć jak Rose, to bez pływania raczej się nie obejdzie.

Jednak najbardziej zastanawiało mnie to zamazane życzenie. Przyłożyłem kartkę pod światło, by dojrzeć cokolwiek pod grubą warstwą bazgrołów, jednak bez skutku. Chciałem dojsć po odciskach liter, co tam napisała, ale też nic. To ukryte marzenie wciąż mnie intrygowało. Jeszcze raz zadzwoniłem do Hani. Znowu nie odebrała. Mój niepokój wzrósł.

W ciągu godziny na przemian dzwoniłem do niej i buszowałem w internecie, czytając o glejakach. Już najwyższy czas, żebym zaczął intensywniej realizować swój plan. Tylko niech najpierw odbierze; enty raz przykładam komórkę do ucha. Nie było na co czekać. Wsiadłem w samochód i pojechałem do Hani.

Zapukałem do drzwi, ale odpowiedziała mi cisza. Znowu wybrałem jej numer i usłyszałem dzwoniący w mieszkaniu telefon. Zapukałem energiczniej, nie na tyle jednak głośno, aby obudzić sąsiadów. Coraz bardziej niepokoiła mnie ta cisza za drzwiami. Musiałem tam zajrzeć i sprawdzić.

Rad nie rad, wyjąłem drucik i zacząłem gmerać przy zamku. Chyba w końcu poproszę ją o zapasowe klucze, bo rzeczywiście zachowuję się jak włamywacz, stwierdziłem w duchu. Wszedłem do środka. Wszystko było tak samo, jak widziałem rano przy śniadaniu. Komórka leżała na stole w pokoju. Poczuję gwałtowny lęk o dziewczynę.

Oczami wyobraźni widziałem ją pod kołami pociągu, tonącą w morzu, nieprzytomną w szpitalu. Moja rozgorączkowana wyobraźnia posuwała się do granic absurdu. Spokój, tylko spokój, tłumaczyłem sam sobie.

Zadzwoniłem do kumpla, którego odwiedzałem w szpitalu, gdy po raz pierwszy wpadłem na Hanię.

– Cześć, Bartek, masz służbę? – spytałem bez zbędnych ceregieli.

– Nie, wieczorem zszedłem z dyżuru. Co tak późno dzwonisz? Już po zerowej. Stało się coś?

– Potrzebuję twojej pomocy.

– A co, znalazłeś fajnego trupa i glina się w tobie odezwał? – zażartował.

Wzdrygnąłem się na samo słowo „trup”.

– Nie, ale muszę kogoś odszukać i liczę na ciebie po starej znajomości.

– No to zadzwoń do dyżurnych chłopaków i zgłoś zaginięcie. Chodzi o twojego dzieciaka?

– Nie, o młodą kobietę. Formalnie to jeszcze za krótko, by zgłaszać zaginięcie, ale niepokoję się o nią.

Trzeba dać znać patrolom, żeby się porozglądały po okolicy. Zresztą wiesz, do czego zmierzam.

– Wiem. To ktoś z rodziny?

– Nie. Znajoma, trochę się nią opiekuję – wyjaśniłem zdawkowo.

– Dobra. Zaczekaj, wezmę coś do pisania.

Trwało to chwilę, nim odezwał się ponownie.

– No to mów, jak się nazywa, jak wygląda, kiedy zniknęła?

– Hanna Masłowicz, dwadzieścia pięć lat, szczupła, drobna blondynka, włosy długie, proste, bez grzywki, zielone oczy...

– Czekaj, nie nadążam – chwila przerwy – mów dalej.

– Ubrana prawdopodobnie w szary płaszcz, niebieski sweter, jasne dżinsy i sznurowane buty za kostkę.

Miała czerwoną torebkę na szerokim pasku – wyliczyłem pospiesznie.

– Od kiedy jej nie ma?

– Od ponad czterech godzin.

– Zwariowałaś? – odparł Bartek. – Dziewczyny nie ma dopiero od czterech godzin, a ty taką aferę robisz? Może poszła do dyskoteki, zasiedziała się u koleżanki albo w kinie...

– Nic z tych rzeczy, to nie ten typ i daję ci słowo, że wiem, co robię – przerwałem mu. – To wyjątkowa sytuacja.

Widocznie mój ton go przekonał, ponieważ kumpel wypytał mnie jeszcze o dodatkowe szczegóły, a potem powiedział:

– W porządku. Zaraz dam znać naszym, żeby pilniej rozglądali się po okolicy. Do tych z Sopotu i Gdyni też zadzwonimy.

– Dzięki, stary. – Poczujęm nieznaczną ulgę. – Spenetruję dworzec i obdzwonię wszystkie szpitale. Jak twój wyrostek?

– Już nie pamiętam, że miałem operację. Jesteśmy w kontakcie, ale za przysługę liczę na skrzynkę piwa.

– Załatwione. Cześć.

W ciągu godziny obdzwoniłem wszystkie trójmiejskie SOR-y i dowiedziałem się, że nigdzie nie ma pacjentki o takim nazwisku. Nigdzie nie przywieziono nieprzytomnej dziewczyny bez dokumentów, nie było też nikogo z zanikiem pamięci. Dla spokoju sumienia objechałem okoliczne kluby i dyskoteki, ale też nic.

Później włączyłem się po dworcu i peronach, w nadziei, że może Hania gdzieś tam siedzi. Z każdą upływającą godziną miałem więcej obaw i mniej pomysłów, gdzie mogę jeszcze jej szukać. Raz i drugi wysłałem wiadomość Bartkowi, czy coś wiedzą, ale nikogo o takim rysopisie nie namierzono.

Krażyłem samochodem po mieście, rozglądając się bacznie. Miasto było jeszcze uspione, tylko gdzieś tam przemykały jakieś samochody. To pozwalało mi wlec się ulicami czterdziestką, by przypadkiem niczego nie przeoczyć. Minęła piąta rano, gdy zamigła kontrolka paliwa. Zajechałem na Statoil, zatankowałem, kupiłem kawę, by wyostrzyć myślenie.

Rozsadzał mnie strach; dawno o nikogo tak się nie bałem. Gotów byłem nawet jechać do Elżbiety i wycisnąć z niej cokolwiek, co naprowadziłoby mnie na ślad Hani. Tego, że Elżbieta ją wypłoszyła, byłem niemal pewien. Oregano mi się zachciało, psia mać, strzeliłem ze złością w kierownicę.

W radiu zaczął się poranny program. Siedziałem w samochodzie, nie wiedząc, co robić.

– Słońce wszędzie dziś za dwadzieścia minut. Zajdzie o osiemnastej czterdzieści siedem... – powiedział miły damski głos z radia i nagle mnie olśniło.

„Nie chcę przegapić żadnego wschodu ani zachodu słońca”, powtórzyłem w myślach trzecie życzenie Hani.

Raczej intuicyjnie wyczułem, niż wiedziałem, gdzie mogę ją znaleźć. Ruszyłem do Brzeźna, w to samo

miejsce, w którym byliśmy wczoraj. Dojechałem w piętnaście minut na parking przy parku prowadzącym na plażę i dalej pognałem zadrzewioną aleją, wprost ku molo, w nadziei, że Hania tam jest.

I była.

Dostrzegłem ją od razu, jakby mój mózg sfokusował się tylko na niej. Nie na grupce poławiaczy świtu, którzy rozstawili się z aparatami fotograficznymi, nie na kilku porannych wyprowadzaczach psów, tylko na niej.

Pędzę na koniec mola, gdzie stoi Hania. Właściwie nie stoi, tylko... tańczy. Kołysze się delikatnie na boki zwrócona twarzą do słońca. Musiała usłyszeć dudnienie desek, bo odwraca się do mnie, gdy jestem prawie za jej plecami.

– Piotr, zobacz, jak pięknie słońce wstaje z wody – mówi i uśmiecha się tak, że zatrzymuję się natychmiast.

Sam akurat mam absolutnie gdzieś słońce, wodę i całe to romantyczne cudo natury. Dopiero teraz puszcza napięcie, które trzymało mnie od wieczora. Mam ochotę trochę objechać Hanię, że przez nią najadłem się strachu. Już otwieram usta, ale mnie ubiega.

– Tak wcześnie zaczęłaś biegać? – pyta niewinnie.

– Yhmm – mruczę skołowany.

To ja szukam jej całą noc, nie śpię, po znajomości stawiam na nogi policję, włamuję się do mieszkania, a ona rozbraja mnie takim pytaniem. Podchodzę o krok bliżej.

– Haniu, gdzie byłaś całą noc? – Mój głos brzmi jak nie mój. Za miękko i zbyt subtelnie.

– W krainie czarów – odpowiada dziwnie rozmarzona.

Niby patrzy na mnie, choć chyba nie do końca mnie widzi. Głupieję na moment.

– Aha. – Znów mamrocę jak nienormalny, gdyż rozkłada mnie tą odpowiedzią dokumentnie.

Zziajany padam na wilgotną ławkę. Hania siada obok mnie.

Nic nie mówi, tylko patrzy w słońce. Jest taka rozjaśniona, niezwykła w tych promieniach. Mój gniew przechodzi w łagodność baranka, gdy na nią patrzę. Wygląda w tej chwili wręcz zjawiskowo. Gdybym był impresjonistą, namalowałbym jej portret i nazwał „Dziewczyna i świt”.

Przechyla głowę i wyciąga przed siebie rękę z rozłożonymi palcami, przez które przechodzi światło. Eos, różanopalca bogini jutrzeńki, przychodzi mi na myśl.

*Zanim pojawi się na niebie wóz słońca, znad brzegów oceanu wyjeżdża na lekkim rydwanie Eos, różanopalca bogini jutrzeńki. Piękne oblicze młodej bogini jaśnieje rumieńcem zorzy porannej, a wśród szarych świtów zakwita jej szata barwy szafranu – nieoczekiwanie przypomina mi się fragment Mitologii Parandowskiego.*

Jakże pasuje ten opis do Hani. Nie mogę oderwać oczu od prześlicznego zjawiska, którym teraz się stała. Nawet włosy ma złociste w tym słońcu.

– Dobrze się z tobą milczy – mówię szeptem.

– Więc milczmy – odszeptuje.

Wyciągam ukradkiem komórki i wysyłam Bartkowi wiadomość.

*Alarm odwołany. Znalazłem ją.*

Odpowiada natychmiast:

*Wiedziałem, że znajdziesz, ale i tak stawiasz. Cześć.*

Nad morzem rozkrzyczało się stado mew. Hania śledzi wzrokiem ich lot i mówi zamyślona:

– Podobno mewy to dusze zmarłych marynarzy. Jak myślisz, w kim zamieszka moja dusza?

– Nie do końca wierzę w coś takiego jak dusza – odpowiadam idiotycznie. Zaskakuje mnie tym pytaniem. Może nie samym pytaniem, tylko tym, że jej myśli nieustannie krążą wokół śmierci. – Nie ma żadnych dowodów na jej istnienie.

– Na tym właśnie polega wiara. Gdyby były dowody, wtedy byłaby pewność, a to zupełnie co innego. Piotr...

– Słucham?

– A czy wierzysz, że jak człowiek sobie coś wmówi, to tak się stanie naprawdę?

– Nie jestem filozofem, ale siła autosugestii jest potężna – odpowiadam, choć ten poranek najmniej skłania mnie do filozoficznych rozważań.

Hania zdaje się nie czuć chłodu ani wilgotnego wiatru. Siedzi zapatrzona w morze, a ja znów mam wrażenie, że myślami jest bardzo daleko stąd. Kicha. Zdejmuję kurtkę i narzucam jej na ramiona. Chyba nawet tego nie czuje, zatopiona w niedostępnym dla mnie świecie.

– Choćbym nie wiem jak sobie wmawiała, że jestem zdrowa, to guz i tak nie zniknie, prawda?

– Słyszałem tylko o jednym człowieku, który mówił chorym: „Wstań i idź”. I tamci podobno wstawali, jak twierdzą ewangeliści.

– Naruszasz świętość.

– Wybacz, jeśli uraziłem twoje uczucia.

– Nie uraziłeś. – Zaprzecza ruchem głowy. – Chciałabym tylko zrozumieć, jaki w tym jest sens. Po co to wszystko?

– Co, nie rozumiem? – pytam zdezorientowany, gdyż nie nadążam za jej myślami.

– To wszystko, przecież mówię – odpowiada zniecierpliwiona.

– Haniu – mówię najłagodniej, jak potrafię. – Jesteś zmęczona, zmarznięta. Powinnaś pospać. Później dokończymy tę rozmowę, jak wypoczniesz. Odwiozę cię do domu, dobrze?

– Tak, chcę zasnąć. – Patrzy na mnie niewidzącym wzrokiem. Widać w nim jakiś obłąd pomieszany z uduchowieniem. Jestem wstrząśnięty tym, co bije z jej oczu.

– „Ujął ją sen żelazny, nieprzespany, twardy...”, gdzieś to słyszałam, tylko nie pamiętam gdzie... – mówi nie do końca przytomnie. Powieki zaczynają jej opadać. Ledwo je unosi.

– Kochanowski, w *Trenach* – odpowiadam, ale nie jestem pewien, czy słyszy. Naciąga na głowę kaptur.

– Odejść... śpiąc – szepcze jeszcze, nim jej głowa osuwa się na moje ramię.

Zasypia w mgnieniu oka.

Siedziałem jeszcze chwilę prawie nieruchomo. Nie miałem serca jej budzić. Dlatego, nie zastanawiając się dłużej, wziąłem ją jak piórko na ręce i zaniósłem do samochodu. Spała mocno, nie przebudziła się ani podczas jazdy, ani w windzie, ani nawet w mieszkaniu, gdy ściągałem z niej ostrożnie kurtkę, płaszcz i buty, a potem okrywałem kocem na wersalce.

Nie jestem lekarzem, ale nawet ja, medyczny laik, wiedziałem, że nie był to zdrowy sen. Tylko taki, w który będzie zapadała coraz częściej, balansując na granicy świadomości – przeczytałem, jak może się rozwijać jej choroba. I po raz pierwszy tak naprawdę rozumiałem, dlaczego Hania dokonała takiego, a nie innego wyboru. Też chyba bym nie chciał odchodzić etapami.

Usiadłem w fotelu i przyglądałem się jej, gdy spała. Już nie wyglądała tak ładnie, jak nad morzem. Miała bladą, zapadniętą twarz, oczy podkrążone. Krzywiła się i pojękiwała przez sen, jakby dręczył ją ból. Moje współczucie dla niej zdawało się nie mieć granic.

# Hanka

Minęło kilka dni, a ja wciąż nie mogłam sobie uświadomić do końca, co mi się przydarzyło. Czy naprawdę byłam w tym klasztorze w Wejherowie, czy wszystko rozegrało się tylko w mojej głowie? Przecież czułam dotyk rąk siostry Bernadetty, zapach i smak chleba, miodu. To niemożliwe, że to tylko sen, był zbyt prawdziwy, wręcz namacalny. Miałam nieodparte wrażenie, że w jakimś sensie nadal w nim tkwię. Czułam się prawie tak samo dobrze jak wtedy. Może głąk na chwilę zasnął albo prawie stała obecność Piotra przynosiła mi ukojenie?

Zyskałam przy nim nieznane dotąd poczucie bezpieczeństwa. Ujął mnie tą swoją troskliwością.

Od tamtej nocy, kiedy mnie szukał, nawet spotęgował starania. Teraz jeszcze więcej czasu spędzaliśmy we dwoje. Nawet jak wychodził z domu albo odprowadzał mnie do mieszkania, to i tak jeszcze dzwonił z pytaniem, czy wszystko w porządku.

Czy nie o tym właśnie marzyłam przez całe życie? Pewnie powiedziałabym, że tak, gdyby choć raz dał mi do zrozumienia, że widzi we mnie kobietę. Tymczasem Piotr traktował mnie nie tylko jak temat do książki, ale też jak dziecko. Chorego pisklaka, którego trzeba chronić przed niebezpieczeństwem. Był dla mnie jak ojciec, którego tak naprawdę nigdy nie miałam, choć żyłam z nim pod jednym dachem przez dwadzieścia lat.

– Haniu – z zamyślenia wyrwał mnie jego głos – nie odpowiedziałas na moje pytanie.

Drgnęłam. Nawet nie usłyszałam, o co zapytał znad klawiatury komputera.

Jest wczesne, pochmurne popołudnie. Przez kiepską pogodę ominęło nas kilka wschodów i zachodów słońca.

Piotr stuka w klawisze, siedząc przy biurku. Odrzucam koc, odkładam książkę i podchodzę. Mogę tylko zauważyć, że pisze jakiś mejl, ale szybko przymyka laptop, żebym niczego nie zobaczyła. Taką mamy umowę, że nie podglądam efektów jego pracy.

– Przepraszam, nie usłyszałam, o co pytałeś.

Wodzę palcem po grzbietach książek na regale. W większości jest to literatura faktu, biografie, dużo historycznych, o niektórych autorach nigdy nie słyszałam. Sporo kryminałów, fantastyki i jedna półka zapchana książeczkami dla dzieci. Pan Samochodzik, seria z Tomkiem, Muminki, Miś Uszatek i cała masa innych. Piotr staje za moimi plecami.

– Przeczytać ci bajkę? – Nachyla się do mojego ucha.

– A gdybym chciała? – Mimowolnie odzywa się we mnie stęsknione dziecko.

– Mówisz i masz – cytuję ze śmiechem. – Tylko najpierw odpowiedz na moje pytanie, a pytałem, czy jesteś głodna. Liczę, że tak, bo mnie już zasysa. – Klepie się po brzuchu.

– Jestem.

– No to chodź, zjemy naszą wspólną zupę.

Przepuszcza mnie przed sobą w stronę kuchni.

– Przecież sam ją ugotowałaś. Ja tylko leżałam na kanapie.

– Ale mnie instruowałaś, więc to nasza wspólna ogórkowa.

Odsuwa krzesło, żebym mogła usiąść, nakrywa do stołu, nalewa zupę, życzy mi smacznego. Ogórkowa



wyszła całkiem niezła, jemy z apetytem. Z głośników sący się muzyka, jest tak miło, spokojnie, prawie rodzinie. Kiedyś pragnęłam, by tak wyglądał mój dom.

– Czytałeś te książki synowi? – pytam mniej z ciekawości, a bardziej, by przytulić się do ciepłych wspomnień, choćby nie należały do mnie.

Piotr uśmiecha się nostalgicznie. Myśli chwilę, nim zaczyna mówić.

– To był nasz wieczorny rytuał, jak tylko nie miałem służby, co, niestety, zdarzało się zbyt rzadko. Nie wiem, jak inne dzieci, ale Michał potrafił katować jedną bajkę tygodniami. Dziesiątki razy czytałem mu tę samą historyjkę z Muminków, *Podróż do latarni morskiej*. Uwielbiał mnie poprawiać, jak przekreśliłem jakiś wyraz. Nie tylko bajki lubił, ale też zabawy przy jedzeniu. Jak marudził, to każda łyżeczka była „za mamusię”, „za tatusia”, a potem za całą rodzinę, kolegów i znajomych wymieniałem, aż kaszka zniknęła z miseczki. Na „leci samolocik” też dawał się nabierać i otwierał buzię. To był naprawdę fajny czas – wzdycha ze wzrokiem utkwionym gdzieś w przestrzeń. – Rozgadałem się trochę – dodaje po chwili.

Zjada prędko i odsuwa pusty talerz. W moim jest jeszcze połowa. Nagle przestaję mieć apetyt. Moje dzieciństwo wróciło do mnie prędzej, niż zdążyłam dokończyć zupę.

– Nie smakuje ci? – spytał zawiedziony. – A może cię zanudziłem tymi wspomnieniami?

– Skąd – zaprzeczyłam od razu. – To piękne wspomnienia. Widać, że bardzo kochasz syna. A ogórkowa pyszna, tylko już się najadłam – odpowiedziałam trochę wymijająco.

Nie chcę się niepotrzebnie rozkleić, a mam wrażenie, że jeszcze chwila, a wybuchnę z żalu, że sama nie mam takich wspomnień.

– To jeszcze jedną łyżeczkę za marzenia. – Puścił do mnie zabawnie oko. Coś było takiego w jego głosie i zachowaniu, że poczułam się raźniej.

– Jak za marzenia, to proszę bardzo. – I opróżniłam talerz do czysta.

Piotr pozmywał, zaparzył kawę, sobie czarną, dla mnie rozpuszczalną z mlekiem, i wróciliśmy do pokoju. Wsunęłam się pod puszysty, szary koc, który w krótkim czasie stał się moim ulubionym, podobnie jak miękki kącik w narożniku kanapy. Piotr usiadł na wprost mnie.

Przyglądałam mu się dyskretnie zza kubka. Jest gładko wygolony, włosy ma lekko potargane, ale do twarzy mu z tym nieładem. Stójkowy kołnierzyk białego polo wystaje nonszalancko spod czarnego pulowera, podobnie dół koszulki spod swetra, co daje efekt sportowej elegancji. Całość stanowi obraz, który zaczyna mnie coraz bardziej fascynować.

– Haniu, wybacz moją dociekliwość, zostało mi takie skrzywienie zawodowe. – Upił łyk kawy. – Naprawdę nie pamiętasz, gdzie byłaś przez całą noc? Nie daje mi to spokoju.

– Przecież już o tym rozmawialiśmy – jęknęłam. Kolejny raz delikatnie próbował wyciągnąć ze mnie wyjaśnienia. – Pamiętam wybiórczo ten czas. Wszystko ci opowiedziałam. Może śniłam, a może nie. Nie wiem, a też bym chciała się dowiedzieć. A może mój mózg zaczyna już mnie wodzić na manowce? Dlaczego pytasz znowu?

– Bo się o ciebie martwiłem.

O tym też wiem. Szczegółowo wszystko mi opowiedział.

– Zupełnie niepotrzebnie – zbagatelizowałam. – Według umowy należy do ciebie mój czas w ciągu dnia. Noce są moje i mogę nimi swobodnie dysponować.

– Oczywiście – odrzekł bez wahania – ale to nie zmienia faktu, że się niepokoiłem. Nie byłoby sprawy, gdybyś odebrała od razu telefon. A tak, zniknęłaś niespodziewanie, choć miałaś poczekać na spaghetti. Tymczasem zjadł je kto inny.

– To piękna kobieta – przyznałam szczerze.

– Tylko „zrobiona” i to zdecydowanie za mocno, ale... – wahał się chwilę – powiedz, czy Elżbieta

sprawiła ci jakąś przykrość, że tak nagle wyszłaś? Tego się jeszcze nie dowiedziałem.

Tak, zrobiła mi przykrość, odparłam w myślach. Zazdroszczę jej wszystkiego. Urody, tupetu, nawet tego dziecka, a zwłaszcza życia, które będzie nadal trwało. I tego, że w niej, nie we mnie, widzisz kobietę. Jestem przy niej jak wybrakowany gatunek, który może sobie tylko pomarzyć, i to nie za długo. Jednak wbrew temu, co czułam, powiedziałam zupełnie coś innego.

– Czy naprawdę uważasz, że w mojej sytuacji mogę się przejmować jakimiś przykrościami? Nie jestem taka małostkowa. Nie czekałam, aż wrócisz, bo źle się poczułam. A jeśli chodzi o Elżbietę, to nie. Nie zrobiła mi żadnej przykrości. Powiedziała tylko tyle, że urodzi twoje dziecko – zakończyłam lekko.

Przez twarz Piotra przemknął cień gniewu. Ledwo dostrzegalny, jednak od razu go wyłapałam. Trwało to nie dłużej niż sekundy, nim powrócił wyraz obojętności.

– Nie ma żadnej pewności, że to dziecko jest moje, i masz rację, nie roztrząsajmy więcej tego tematu – stwierdził jedynie, po czym podszedł do biurka. Wziął kartkę leżącą na wierzchu sterty papierów. Aneks z moimi marzeniami.

– Co było pod tym zamazanym punktem? – spytał swobodnie.

– Nic. – Wzruszyłam ramionami dla zachowania pozorów, choć wszystko we mnie krzyczało, że właśnie to wykreślone życzenie nigdy się nie spełni. – Zrobiłam błąd ortograficzny, dlatego zamazałam, żeby nie wyjść na nieuka.

– Nie jesteś nieukiem – zaprzeczył zdecydowanie. – A kolejność tamtych dwóch jest dowolna?

– Dowolna.

– To zaraz po świętach złota rybka bierze się do pracy, a teraz...

Nie dokończył, bo ktoś zadzwonił do drzwi. Przyszła wilczyca, przemknęło mi przez głowę, w której nagle coś zaczęło mnie uciskać. Najwidoczniej glejak nie lubił takich niespodzianek. Piotr też się skrzywił.

– Nie wstawaj – poprosił, gdy pospiesznie podniosłam się z kanapy. – Zobaczę, kto to.

Poszedł do korytarza, skąd po chwili usłyszałam dwa obce głosy.

– Nie chciała góra do Mahometa... – mówi kobiecy.

– Jakby co, synu, to był pomysł mamy, ten niezapowiedziany nalot. Nie wiem, Celinko, czy te rogaliki wystarczą na przeprosiny – dołącza się męski.

– Antosiu, najwyżej Piotr nas wyrzuci – stwierdza ze śmiechem ten kobiecy.

– Nie wyrzuci, nie wyrzuci. – Teraz słyszę Piotra. – Wejdźcie dalej, poznacie kogoś.

Zrywam się czym prędzej z kanapy, zwijam koc, przyklepuję poduszki, gdy do pokoju wchodzi goście: postarzała wersja Piotra, czyli dość wysoki mężczyzna w okularach, o lekko pochylonych plecach i hiszpańskiej siwej bródce, a obok niego korpulentna kobieta, też w okularach, z prostymi, białymi włosami do ramion i asymetryczną grzywką. Mają na sobie swetry tego samego koloru, coś między szarością a błękitem. Z obojga bije wyjątkowo pozytywna energia. Mam wrażenie, że w pokoju od razu pojaśniało.

– Pozwól, Haniu, to moi rodzice. – Piotr dokonuje prezentacji.

– Hanna Masłowicz – przedstawiam się i odruchowo dygam przed nimi.

– Antoni Mróz. – Ojciec Piotra szarmancko całuje mnie w rękę. – Miło mi panią poznać.

– Mnie też bardzo miło, Haniu, Celina Mróz. – Nim się zorientowałam, mama Piotra obejmuje mnie serdecznie. – Mogę ci mówić po imieniu? Jesteś taka młodziutka.

– Tak, bardzo proszę. – Z trudem wysuwam się z jej ramion. Są jak magnes, który niespodziewanie mnie przyciąga.

– Ja też mogę tak bezpośrednio? – pyta pan Antoni.

– Jeśli pan sobie życzy, będzie mi bardzo miło – odpowiadam jak grzeczna panienska z dobrego domu.

I modłę się w duchu, żeby tylko nie dostrzegli, że to wszystko wyłącznie pozory. Jestem z innej planety niż oni. Ze świata patologii, w którym zamiast „Antosiu” czy „Celinko” wrzeszczano do siebie „chamie” i „szmato”. Od biedy, na przykład w święta albo w kościele, trafiało się „Stasiek” i „Zocha”.

Nie pamiętam, by kiedykolwiek moi rodzice zwracali się do siebie albo do nas zdrobnieniami imion. Dlatego tak uwielbiam ciepły głos Piotra, mówiącego do mnie „Haniu”. Mógłby zdrabniać moje imię na tysiąc sposobów i ciągle czułabym niedosyt.

Choć jedna część mnie pragnie zostać tu z nimi, to druga chce natychmiast uciekać, nim się zorientują, kim jestem. Nim zaczną patrzeć na mnie z politowaniem, gdy odkryją tę nijakość, którą mam wypisaną na twarzy. Nim zobaczą we mnie godne współczucia biedactwo z pijackiej rodziny. Niewykształconą dziewczynę z pegeeru, niepasującą do ich świata. Spaliłabym się ze wstydu. Tylko przed Piotrem potrafię się jako tako otworzyć. Przed innymi wciąż tonę we własnych kompleksach i wolę się wycofać.

Szukam dobrego pretekstu, by zabrać stąd czym prędzej siebie i swoje mankamenty, gdy pretekst trafia się sam, w postaci telefonu.

Dzwoni mój jeszcze mąż, prosząc o rozmowę. Czeka pod naszą klatką. Zgadzam się od razu, choć nie mam najmniejszej ochoty go widzieć. Słyszę zawód w głosach państwa Mrozów, gdy żegnam się w przedpokoju, biorę płaszcz i znikam. Piotr rusza za mną, wkładając w biegu miodową kurtkę, którą miał na sobie, gdy zobaczyłam go pierwszy raz.

– Odprowadzę cię! – woła, zeskakując po dwa stopnie.

– Przecież to parę kroków. – Zatrzymuję się na schodach. – Wracaj do rodziców.

– Ostatnio, jak zostałaś sama, to potem całą noc musiałem cię szukać, dlatego teraz dla własnej wygody przejdę się na Startową. Chyba że masz coś przeciwko temu, to już mnie nie ma. – Zabawnie marszczy nos, choć ostatnia kwestia nie brzmi zbyt przekonująco.

– Możesz mnie odprowadzić, skoro aż tak ci na tym zależy.

– A zależy, zależy – potwierdza ochoczo.

Idziemy obok siebie przez popękany betonowy plac dawnego lotniska. Stoją na nim paskudne stragany ze starej płyty pilśniowej i przeżartej rdzą blachy. W pochmurny dzień są jeszcze szkaradniejsze. Piotr też się krzywi na ten widok.

– Powinni wreszcie zrobić z tym porządek. Tylko szpecą okolicę te, pożał się Boże, kramiki. Jak to w ogóle wygląda, co? – narzeka, z niechęcią patrząc na targowisko i sąsiadujące z nim zaśmiecone chaszczki przed stacją kolejki. Między budkami siedzi kilkoro pijaczków; nad ich głowami łopocze poprzipinana do sznurków ekspozycja handlowa; kolorowe majtki, biustonosze, skarpety, nocne koszule, wszystko „made in China”.

To mój świat, moja rzeczywistość, jakże odmienna od świata Piotra. Choć nigdy nie dał mi tego odczuć, jednak ogarnia mnie przygnębienie, że do niego też nie pasuję. Zresztą jakie to ma znaczenie, skoro i tak nie ma dla nas przyszłości. Łączy nas tylko krótki układ wzajemnych korzyści. Dlatego niczego nie daję po sobie poznać i mówię jak gdyby nigdy nic:

– Pracowałam tu. Jeszcze niedawno sprzedawałam warzywa pod tym daszkiem z brezentu, o tam. – Wskazuję najdalszy kąt targowiska.

Piotr jest zakłopotany. Wygląda, jakby chciał się tłumaczyć, ale macham ręką.

– Daj spokój. Brzydota jest brzydota i nie ma co udawać, że jest inaczej. Niczym mnie nie uraziłeś, jeśli o to cho...dzi. – Zająknęłam się, patrząc przed siebie. Nawet trochę spowalniam krok. Piotr zrównuje się ze mną.

Przy zielonym skwerku pod moim blokiem spaceruje Robert z bukietem kwiatów w rękę. Oczekuje mnie z przeciwnej strony. Dochodzi do końca chodnika i wraca. Zauważa nas.

– Czy to ten, o kim myślę? – Piotr przystaje.

– Nie wiem, o kim myślisz, ale to Robert.

– Yhymm... – chrząka. – No, to... pójdę już.

Cmoka mnie w policzek, rzuca krótkie „cześć” i energicznym krokiem rusza w stronę swojego domu.

Robert najpierw odprowadził wzrokiem odchodzącego Piotra, a potem powoli skierował się ku mnie.

Trzymał w ręku, łądkami do góry, pięć czerwonych róż, przystrojonych gipsówką i purpurową wstążką. Skrępowany, w oliwkowej marynarce ze sztruksu i kraciastej koszuli, pod krawatem. Zazwyczaj ubierał się na luzie, nawet w Boże Narodzenie stronił od krawata, a teraz raptem tak oficjalnie się wystroił.

– Czekałem na ciebie – oznajmił tak samo niepewnie, jak wyglądał. Ubyło mu z pięć kilogramów, brzuch pod paskiem spodni zrobił się płaski. – Proszę.

Wyciągnął ku mnie bukiet. Chyba po raz pierwszy dostałam od niego kwiaty bez okazji. Nie było mi spieszo ich przyjąć. Patrzyłam na wciąż jeszcze mojego męża, zdziwiona, że nie żywię do niego najmniejszych uczuć. Ani dobrych, ani złych. On za to uciekał na boki oczami, gdy tak stał na wprost mnie, zgniatając sreberko owijające łądki.

– Mogę je wyrzucić, jeśli ich nie chcesz – odezwał się nieśmiało, jakby zawstydzony.

– Daj, szkoda kwiatów. – Wzięłam bukiet. Na twarzy Roberta dostrzegłam cień ulgi. – O czym chciałeś rozmawiać?

– Może chodźmy na kawę albo na spacer? – Ni to zapytał, ni zaproponował, przestępując z nogi na nogę.

– Usiądźmy tam. – Wskazałam najbliższą ławkę na skwerku.

Robert idzie krok za mną. Żadne z nas nie mówi ani słowa. Nie zamierzam mu niczego ułatwiać. Nie zamierzam go długo słuchać, już nie mamy sobie nic do powiedzenia. Przecież wszystko zostało powiedziane, a właściwie napisane, tamtej nocy. Siadam na ławce i czekam, patrząc gdzieś na wprost.

– Jak się czujesz? – zaczyna pierwszy. – I tak w ogóle, jak sobie radzisz?

– Jeszcze żyję – odpowiadam, sama słysząc we własnym głosie szyderstwo. – Jeśli przyszedłeś w sprawie mieszkania, to pozwól mi w nim jeszcze pomieszkać.

– Tak, oczywiście – potwierdza gorliwie. – Mieszkaj w nim tak długo...

– To już nie potrwa długo – przerywam mu. Robert czerwienieje speszony.

– Przepraszam, źle to ująłem. – Przysłania ręką oczy. Na jego serdecznym palcu złoci się obrączka. Ja swoją zdjęłam tamtej nocy, gdy odszedł. Nawet pościel zmieniłam od razu, żeby pozbyć się jego zapachu.

– Chciałem powiedzieć, że nie mam żadnych roszczeń do tego mieszkania. Zapłaciłem czynsz za trzy miesiące do przodu. Za prąd też. Sam mieszkam u kumpla na Żabiance. Odnajął mi pokój.

– W takim razie, jak nie o mieszkaniu, to o czym chciałeś ze mną rozmawiać?

– Może potrzebujesz pieniędzy? – odpowiada pytaniem, zapewne tylko by odwlec to, z czym przyszedł.

– Jeszcze nie wydałam tamtych i zapewne nie zdążę ich wydać, ale dziękuję, że pytasz.

– Zawsze byłaś oszczędna, ale teraz nie oszczędzaj kosztem zdrowia. Kasy ci nie zabraknie, słowo. – Przykłada rękę do piersi. – Haniu...

– Haniu... – powtarzam za nim. – Nigdy tak do mnie nie mówiłeś.

– Nie wiedziałem, że to dla ciebie ważne. – Dostrzegam w jego oczach zdziwienie.

– Wtedy było ważne – odpowiadam cicho, a właściwie szepczę, by zakończyć głośniej: – ale teraz już nie.

Przez jakiś czas nic nie mówi, tylko wierci piętą dziurę w piachu, a po chwili rzuca lekko:

– Wiesz, mam nową pracę. – Wciąż krąży wokół banałów. – W firmie budowlanej, prywatny biznes mnie wymęczył. Zaczynam pierwszego maja, już podpisałem umowę. Zamknąłem też naszą działalność, ale nie martw się o ubezpieczenie, będziesz nadal na moim. Zaproponowali mi trzymiesięczny wyjazd za granicę, na kontrakt do Norwegii. Miałbym jechać trzeciego maja, jeszcze się waham.

– Dziękuję, że aż tak o mnie dbasz, ale wybacź, średnio interesują mnie twoje osobiste plany. Sprawę mieszkania i całej reszty wyjaśniliśmy, więc pójdę już. – Chcę wstać z ławki, a wtedy Robert łapie mnie za rękę.

– Dobrze, powiem wprost, z czym przyszedłem.

– Tak będzie lepiej – potwierdzam.

Znów się zawiesza na moment, a potem mówi:

– Tylko od ciebie zależy, czy wyjadę, czy zostanę w Gdańsku.

– Ode mnie? Chyba nie przyszedłeś prosić mnie o zgodę?

– W jakimś sensie tak, ponieważ... chciałbym do ciebie wrócić – wyznaje, a potem przyciska moją dłoń do ust. – Jeśli tylko się zgodzisz, to zrezygnuję z tego wyjazdu, choć proponuję świetne warunki. Mają terminowy biurowiec do oddania, dlatego potrzebują dyspozycyjnych ludzi. Jednak ty jesteś dla mnie najważniejsza.

Jestem dla niego najważniejsza? Nie spodziewałam się takiej deklaracji. Wręcz zaniemówiłam z wrażenia. Przez cztery lata małżeństwa nigdy niczego takiego od Roberta nie usłyszałam.

– Wybacź, że tak cię zostawiłem, ale potrzebowałem czasu, żeby zrozumieć, kim dla mnie jesteś. Wiem, zachowałem się jak świnia, ale z początku naprawdę się wystraszyłem. Wtedy nie byłem gotów na to wszystko. Nie miałem nawet dość odwagi, by powiedzieć ci to w oczy. A teraz mam wyrzuty sumienia.

– To znak, że masz sumienie. – Nie mogłam powstrzymać się od ironii.

Znów się zmieszał, nawet poczerwieniał bardziej.

– Chcę przeżyć z tobą to, o czym rozmawialiśmy. Naprawić, co było między nami. – Patrzył na mnie w napięciu, wyczekująco.

Może gdyby powiedział to wcześniej, dużo wcześniej, odebrałabym jego słowa mniej obojętnie niż teraz. Skrzywiłam się mimo woli. Robert opacznie pojął mój grymas niechęci.

– Pobladaś. Gorzej się czujesz? Chodź, odprowadzę cię do domu. – Próbuje mnie objąć, ale nie pozwalałam.

– Daruj sobie. – Niepotrzebne mi opiekuńcze skrzydła, które nade mną rozpościera. – Niczego nie naprawimy...

– Naprawimy, jeśli się postaramy. – Wchodzi mi w słowo z taką gorliwością, jakiej dawno albo nigdy u niego nie słyszałam.

– Niczego nie naprawimy – kończę swoją myśl – bo niczego między nami nie było.

– Było nam przecież dobrze, a ty nie możesz zostać teraz sama.

– Nawet z tobą byłam sama. Powinniśmy dużo wcześniej skończyć z tym udawaniem. Sam doskonale wiesz, że nie było nam dobrze razem. Chciałam cię zmusić do miłości, a tak się nie da.

– Do niczego nie musisz mnie zmuszać, chcę być z tobą – zapewnia skwapliwie.

– Nie oszukuj ani siebie, ani mnie. – Gładzę jego policzek wierzchem dłoni. – Chcesz tylko uspokoić sumienie. Musi cię strasznie dręczyć poczucie winy, ale niepotrzebnie. Nawet nie mam już do ciebie żalu. Przeciwnie, jestem ci wdzięczna, że dzięki tobie kiedyś spełniłam swoje marzenie i wyjechałam z Nieba. A także za to, że mogę mieszkać w twoim mieszkaniu, że zostawiłeś mi pieniądze, zadbałeś o ubezpieczenie, starałeś się. Jeśli potrzebujesz rozgrzeszenia, to czuj się rozgrzeszony, choćby z tych powodów. Jednak powrotu nie będzie. Nigdy – oświadczam zdecydowanie.

Wiem, że robię dobrze. Wolę potajemnie pielęgnować w sercu ów maleńki uszczerbek, którego przyczyną jest Piotr, nawet jeśli wszystko pozostanie w sferze wyłącznie moich marzeń, niż łątać dziurę w czymś, co nigdy nie istniało.

– Kim był ten facet, z którym przysłaś? – pyta nieoczekiwanie Robert.

W jego głosie słychać cię zawiści. Nawet wcześniejsza deklaracja powrotu nie zaskoczyła mnie tak,

jak fakt, że mój jeszcze mąż wydaje się o mnie zazdrosny. On? O mnie?

– A to, mój drogi – odpowiadam, nabrawszy głębiej powietrza – w ogóle nie powinno cię interesować.

– Wciąż jesteś moją żoną...

– Naprawdę? – Przerywam te groteskowe pretensje. – Przestałam nią być tamtej nocy, kiedy mnie zostawiłeś.

Otwiera usta, chcąc coś powiedzieć, ale rezygnuje. Smętnie zwiesza głowę i milczy. Zgarbiony, raz po raz stuka palcami o palce. Wydaje mi się tak żałośnie bezradny.

– Skoro przyszedłeś, to chodź na górę. – Wstaję z ławki. – Odbierzesz swoje listy. Sporo tego przyszło.

Robert idzie obok mnie z miną człowieka przegranego. Nie czuję z tego powodu żadnej satysfakcji. Przeciwnie, jest mi go zwyczajnie, po ludzku, szkoda. Zwłaszcza wtedy, gdy niepewnym krokiem przekracza próg swojego mieszkania. Rozgląda się tęsknie po znajomych kątach. Nawet nie siada, tylko czeka przy drzwiach, aż podam mu listy. Na półce regału piętrzy się stos korespondencji, przemieszanej z ulotkami reklamowymi sprzed kilku dni.

– Nie zdążyłam wszystkiego przejrzeć. Zobacz, co jest do ciebie. – Wskazuję pokaźny plik korespondencji i wchodzę do kuchni. – Wstawię kwiaty do wody.

– Bank, skarbówka, ZUS... – mruczy, przeglądając kolejne przesyłki.

Odkłada na bok pisemka reklamowe. Gazeta z promocjami Lidla spada na podłogę. Spomiędzy kartek wysuwa się pocztówka. Robert schyla się po kartkę z choinką i bombkami.

– Za kilka dni Wielkanoc, a ktoś już o Bożym Narodzeniu myśli, zobacz.

Odwracam kartkę, pokrytą krzywym, mało czytelnym pismem, z datą sprzed trzech dni.

*Ojciec nieżyje. Zapił się stary na śmierć. Pogrzeb w piątek o 12.00. Przyjedź jak chcesz. Chłopaki też mają przylecieć z Angli. Przemek.*

*p.s. Nie było innej kartki w chacie, tylko taką w bąbki znalazłem.*

Ojciec nie żyje. Ta wiadomość miała dla mnie takie samo znaczenie, jak brak miejsc w gdańskich przedszkolach, udziwniona sukienka telewizyjnej pogodynki czy superpromocja last minute na wakacje w Egipcie, z wylotem jutro. Bardziej skupiałam się na masie błędów, których narobił Przemek. Robert patrzył na mnie pytającym wzrokiem. Pokazałam mu kartkę.

– Nie wiem, co powiedzieć – bąknął, przeczytawszy wiadomość.

– Nic.

– Pojedziesz?

– Nie. Zresztą, zastanowię się jeszcze.

– Chętnie cię tam zawiozę.

– Nie trzeba. Idź już, chcę się położyć. – Potarłam palcami pobolewającą głowę.

Wszedł ociężale, mówiąc na pożegnanie, że wpadnie przed wyjazdem po resztę rzeczy.

Przekręciłam zamek w drzwiach i myślałam o wszystkim, co mnie spotkało tego dnia. Jednak najmniej skupiałam się na śmierci ojca. Nie potrafiłam z siebie wykrzesać ani odrobiny smutku. Miałam dzień do namysłu, czy pojedę na pogrzeb. Jeśli już, to tylko po to, by zobaczyć się z braćmi. A może z matką? Może jednak będzie dla mnie jak wtedy, w Wejherowie, siostra Bernadetta?

Chciałam, żeby tamten sen powrócił. Dlatego do tabletek przeciwbólowych dołożyłam pigułkę relanium i w ubraniu wsunęłam się pod koc. Nie wiem, co mi się śniło, czy w ogóle miałam jakiś sen, gdy obudziło mnie delikatne pochrapywanie. Otworzyłam zaspane oczy i wyteżyłam wzrok w półciemnym pokoju. Na fotelu drzemał Piotr. Włączyłam lampkę na komódce przy wersalce.

– Dlaczego nie dziwi mnie, jak tu wszedłeś? – spytałam z przekąsem. Ocknął się od razu.

– Widocznie włamywanie się do ciebie weszło mi w krew. – Energicznie potarł dłonią twarz i z półleżącej pozycji podciągnął się do siadu. – Dlaczego dziwi mnie, że znowu nie odbierasz, jak dzwonię? Obiecywałaś co innego. – Usłyszałam cień pretensji w jego głosie. – Chyba przykleję ci telefon do policzka.

– Przepraszam, mocno spałam – zaczęłam się tłumaczyć, ale jego troska sprawiła mi przyjemność. – Stało się coś?

– Jak spotkanie z mężem? – zapytał, sięgnąwszy po rogalika. Leżały na talerzyku na stole, a obok nich półmisek sałatki z kurczakiem i warzywami. – Moja mama prosiła, żebym ci to przyniósł. Od niego te róże? – rzucił od niechcienia.

– Od niego. Podziękuj mamie, to miłe z jej strony, a spotkanie w porządku – odrzekłam swobodnie. Piotr przynosi z kuchni talerzyki, widelce, chleb. Nakłada sałatkę, parzy herbatę. Lubię, jak krząta się po mojej kuchni. Zachowuje się niby zwyczajnie, ale jego działaniu towarzyszy wyczuwalne napięcie. Jemy prawie w milczeniu, nie licząc uwag o sałatce.

– Tylko tyle? W porządku? – pyta w końcu. – Potrzebuję nieco więcej informacji, nie tylko zdawkowego „w porządku”. To nie jest dokładny research, współpraco. Mamy w umowie szczerść. Czego chciał?

– Piotr... – jęczę. Nie mam ochoty rozmawiać o Robertcie. – Odpuść już.

– Kochasz go?

– To też jest ci potrzebne do książki? – Jestem zaskoczona tak bezpośrednio postawionym pytaniem.

– Oczywiście – przyznaje pewnym głosem. – Interesuje mnie wszystko, co jest związane z tobą, ponieważ chciałbym cię lepiej zrozumieć. Na przykład to, dlaczego po pierwszym telefonie pobiegłaś bez zastanowienia do faceta, który cię zostawił i zwiął jak ostatni gnojek. Nie za łatwo mu ulegasz? – dodaje ironicznie. Nie podoba mi się to.

– Robert – wciążam głębiej powietrze – kiedyś mi pomógł i jestem mu za to wdzięczna. Był też dla mnie na swój sposób dobry i nadal jest. To jego mieszkanie, żyję z jego pieniędzy, nie muszę się martwić o pracę, ubezpieczenie. Po prostu nie jest wystarczająco odporny psychicznie, by podołać mojej chorobie, i nie mogę mieć o to pretensji. Nie oceniaj pochopnie kogoś, kogo w ogóle nie znasz.

Odruchowo biorę w obronę mojego jeszcze męża. Postępuję tak, jak wtedy, gdy przed koleżankami wybielałam ojca. Mnie samą zdumiewa własna reakcja. Piotra chyba też, bo od razu się mityguje.

– Przepraszam, nie powinienem aż tak ingerować w twoją prywatność.

Siada obok mnie. Jesteśmy tak blisko siebie, że mogę policzyć ledwo przebijające się przez skórę włoski zarostu na jego twarzy.

– Robię to tylko dlatego, że nie mogę znieść myśli, iż ktoś mógłby cię skrzywdzić. Nieważne kto. Robert, Elżbieta, ktokolwiek.

Przykłada rękę do mojego czoła. W jego geście i oczach jest coś ojcowskiego. Nie tego w głębi ducha pragnęłam. Rozczarowana, machinalnie odsuwam głowę i pełne gorczy słowa leją się ze mnie strumieniem.

– Czy ktoś lub coś może mnie bardziej skrzywdzić niż ten pieprzony glejak!? Staram się o nim nie myśleć, ale sama siebie oszukuję. O tym nie da się nie myśleć. Choćbym nie wiem jak sobie wmawiała, że guza nie ma, to on nie zniknie! Jest mądrzejszy od wszystkich lekarzy świata. Zagnieździł się w takim miejscu, skąd nie można go wyrwać, i skazał mnie na śmierć. Więc nie mów mi, że ktoś mógłby mnie jeszcze skrzywdzić, bo nie mógłby!

Ostatnie zdanie powiedziałam zdecydowanie głośniejszym, właściwie nawet wykrzyczałam.

Piotr otworzył szeroko oczy zaskoczony moim wybuchem, po czym objął mnie mocno. Piotr pocieszyciel, opiekun, autor książki o mnie, wreszcie przyjaciel, ale nie Piotr, który chciałby mnie jako

kobietę. Wszystkie te jego gesty, dotknięcia, czułości, nawet pocałunek w czoło i wcześniejszy w policzek były wyprane z wszelkiego pożądania. Mogłam liczyć wyłącznie na współczucie.

– Przepraszam, nie powinnam tak się rozklejać – powiedziałam, oprzytomniawszy.

– I tak z ciebie twardzielka. – Musnął palcem czubek mojego nosa. – Haniu, wiem, że sobie to zastrzegłaś, ale czy w drodze wyjątku wypożyczysz mi swoje wyniki badań? Potrzebuję dokładnych danych, żeby nie napisać głupot.

Na samą myśl, że miałabym dotknąć białej koperty, stres paraliżuje mi mięśnie.

– Nie – odparłam od razu. – I nie próbuj nalegać.

Przemknęłam do łazienki, by jako tako doprowadzić się do porządku. Umyłam twarz, zęby, przeczesałam włosy, jednak efekt był mizerny. Nawet gdybym położyła sobie najgrubszy makijaż, to tylko pokryję nim nierówności cery, może wymodeluję rysy, lecz nie zatuszuję tym potwornego braku miłości. Ta pustka hula we mnie jak huraganowy wiatr. Najwyraźniej mam ją wypisaną na twarzy, teraz wykrzywionej w grymasie strachu. A jednak, pomimo to – albo właśnie dlatego – rozciągam usta w niemrawym, sztucznym uśmiechu. Taka kropla miodu w łyżce dziegciu.

– Już ci lepiej? – pyta z troską Piotr, gdy wracam do pokoju. Nawet zdążył posprzątać ze stołu i czyta którąś z moich książek.

– Lepiej. – Chcę, żeby mój głos brzmiał pewnie, choć jest mi nieswojo, że upokorzyłam się tą chwilą słabości. Siadam na podwiniętych nogach w drugim fotelu, popijając chłodną herbatę. – Co tam masz?

– *Nakarmić wilki*. – Kładzie książkę Nurowskiej okładką do góry. – Też czytałem. Nawet interesująca, choć długi kalendarz obserwacji wilków trochę mnie znużył. Haniu, chcę ci coś zaproponować.

– Tak?

– Właściwie to wszyscy tego chcemy, ja jestem tylko emisariuszem. Czy wyświadczysz nam tę uprzejmość i przyjmiesz zaproszenie na wielkanocne śniadanie u moich rodziców? Poznasz też Michała, przyjeżdża w piątek. Rodziców już widziałas, więc nikogo nie będzie.

– Podziękuj rodzicom, ale muszę odmówić – rezygnuję od razu.

Nie mogłabym znieść obcowania z ludźmi tak skrajnie innymi niż ja. To tak, jakbym przez szybę dotykała upragnionego cukierka. Jestem na to za słaba albo zbyt zapiękała w swoim wyobcowaniu.

– Dlaczego? – pyta zawiedziony. – Nie powinnaś być sama w święta.

– Nie będę sama.

– Nie? – dziwi się. – Jeśli wolisz spędzić je z mężem, to oczywiście rozumiem.

– Niczego nie rozumiesz. Zmarł mój ojciec, w piątek jadę na pogrzeb i chyba zostanę w domu przez święta.

W jednej chwili podejmuję decyzję. Decyzję pretekst. Zwykłą wymówkę, która pozwala mi na dyplomatyczną odmowę.

– Nie wiedziałem o twoim ojcu. – Piotr kładzie rękę na mojej dłoni. – Przykro mi.

– Zupełnie niepotrzebnie – mówię obojętnie. – Dziś się dowiedziałam i nie jest mi przykro. Jeśli uważnie słuchałeś tego, co opowiadałam, nie powinno cię to dziwić. Chcę tylko zobaczyć braci i matkę. Piotr, już bardzo późno...

– Tak, oczywiście. – Wstaje od razu. – Przyjdę rano po bieganii. Chyba że się roz pogodzi, to załapiemy się na wschód słońca. – Rusza do korytarza. Włożył już kurtkę, gdy zatrzymuję go przed drzwiami.

– Zaczekaj.

– Tak? – Odwraca się do mnie.

Nabieram powietrza, by powstrzymać wymioty, które we mnie wzbierają.

– Napisz w swojej książce, żeby ludzie mówili dzieciom, że je kochają. To bardzo ważne. Są słowa, które ranią, ale są też takie, których brak boli najbardziej. Ja nigdy nie usłyszałam tego ani od matki, ani



od ojca. Nie było ich na to stać. Na to jedno, jedyne słowo. Przez to jestem kaleką. Nigdy nie kochałam Roberta, bo ja tego nie potrafię.

– Nie mów tak, to nieprawda. Nie jesteś kaleką.

Nie zdążyłam odpowiedzieć. Z ręką przy ustach wpadłam do łazienki. Torsje wypełniły mi gardło, wylewały się nosem, gdy wisiałam z głową nad sedesem. Zimny pot zrosił czoło.

– Hania, mogę zostać? – Piotr pukał do łazienki.

– Idź już! – krzyknęłam niemal z płaczem, upokorzona do granic tym, że słyszał, jak chlusta ze mnie ogórkowa, rogaliki, sałatka.

Teraz tym bardziej nie mógł we mnie dostrzec kobiety. Najwyżej żalosny ludzki strzęp, któremu trzeba okazać miłosierdzie. I on to właśnie robił.

Skrzypnęły cicho drzwi w przedpokoju. Wyszedł. Tylko przed północą, gdy zasypiałam zmęczona całym dniem, zapikowała moja komórka.

*Wszystko ok.?*

Ja:

*Tak, już lepiej. Śpij.*

On:

*Teraz już mogę, a o tym, co powiedziałaś, na pewno napiszę. Mnie też jest trochę niedobrze po tej sałatce. Chyba majonez był nieświeży, mama złapała z lodówki otwarty słoik. Miłych snów, Haniu. Do jutra.*

# Piotr

Miałem tak mało czasu, a wszystkie moje wysiłki były jak para w gwizdek. Choć wysłałem tyle mejli, odbyłem tyle rozmów telefonicznych, to nic, absolutnie nic nie napawało mnie optymizmem. Odkąd wyjechała Hania, właściwie nie odchodziłem od komputera.

Nie było jej od wczoraj, a ja nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Nawet nie przypuszczałem, jak bardzo wypełniła moją codzienność. Wręcz stała się jej integralną częścią. Bez tej dziewczyny czułem się zwyczajnie osamotniony.

Ona kaleką? Jak mogła w ogóle tak o sobie myśleć? Dawno albo nawet nigdy nie spotkałem kobiety, w której byłaby taka głębia, ona sama zaś zupełnie tego nie dostrzegała. Kobiety, która aż tak by mnie zafascynowała jak ona. Nie miała w sobie nic z kokietki czy uwodzicielki, wprost urzekła naturalnością. Byłem gotów do największych poświęceń, żeby tylko jej pomóc lub przynajmniej sprawić radość.

Nawet jeśli przyjdzie mi wsiąść na coś, co pływa. Jeszcze nie do końca wiedziałem, co miała konkretnie na myśli, pisząc, że chciałyby się poczuć jak Rose, ale kolejny raz obejrzałem w komputerze *Titanica* i miałem pewność że, niestety, bez łajby się nie obejdzie. W tej sprawie mogłem liczyć tylko na Wojtka. Nie przejmując się świętami, zadzwoniłem do niego w sobotę rano. Chyba spał, bo odebrał, ziewając potężnie.

– Coooo? Jacht? Jaki jacht? – pytał nieprzytomnie, gdy wyjaśniłem mu pokrótce, o co chodzi.

– Potrzebuję jachtu, na który zabiorę kogoś w krótki rejs po Zatoce. Rudy, obudź się i rusz głową. Kapitana też potrzebuję.

– Zaraz, zaraz. – Wojtek od razu otrzeźwiał. – Ty? Na jachcie? Nie wierzę. Dosłownie nie wierzę.

– A jednak – mruknąłem.

– Muszę koniecznie zobaczyć, jak rzygasz koncertowo. Będzie niezłe kino – chichotał złośliwie.

– Zejdz ze mnie – warknąłem, bo kpił w żywe oczy z mojej słabości. – Mogę na ciebie liczyć czy nie?

– To się wie. Kapitan załatwiony, ale z jachtem będzie gorzej. Skąd mam ci go wytrzasnąć? I w ogóle skąd ten gwałt w Wielką Sobotę? Nie masz innych zajęć? Jajka maluj.

– Michał pomaluje, jak wstanie – tłumaczyłem pospiesznie. – Słuchaj, to naprawdę bardzo ważne i trochę czas mnie goni. Musimy to załatwić przed twoim wylotem.

– Stary, ja galernikiem jestem. Za dwa tygodnie będę miał pływania po kokardki, a ty chcesz mnie jeszcze wygonić w morze na świętym urlopie? I co mi z tego przyjdzie?

– Moja dozgonna wdzięczność. Dobra, Wojtek, żarty na bok. Naprawdę muszę zdobyć ten jacht. Obiecałem komuś.

– Hani?

– Tak – przyznałem bez ogródek. – Chcę spełnić jej marzenie, bo jest tego warta. Więcej nic ze mnie nie wyciągniesz.

– No to trzeba było od razu tak gadać. Popytam wśród kumpli, może wiedzą, kto zechce coś fajnego wycarterować. Ze szmatami czy motorowy wystarczy?

– Jakimi szmatami?

– Z żaglami, matole – wyjaśnił pobłaźliwie.

Niby skąd miałem wiedzieć, że w ich durnowatym slangu żagle to szmaty. I zamiast odgryźć się za te kpiny, spytałem niepewnie:

– A co mniej buja?

– Taaaaa... – Usłyszałem przeciągły jęk. – Nie mam więcej pytań. Tylko wiesz, taki czarter raczej będzie kosztował.

– Wiem, dam radę. Zresztą chodzi o dobę, nie dłużej. Musimy wypłynąć w dobrą pogodę, żeby nie było sztormu, nie wiem, jak Hania zniesie kołysanie. Sprawdź po swojej linii, co się będzie działo w pogodzie. Idealnie by było załapać się na zachód słońca, dlatego zobacz, kiedy będzie bezchmurnie i bezwietrznie, ale tak na sto procent.

– Ty naprawdę jesteś zdrowo pierdolnięty – skwitował. – I co jeszcze? Może stolik z szampanem, kandelabry i kwartet smyczkowy mam do tego załatwić?

– A wiesz – podchwyciłem od razu, gdyż zaświtał mi nagły pomysł. – Szampan niekoniecznie, Hania nie pije, ale kandelabry i muzyka, doskonale. Najlepiej Céline Dion, ten kawałek z *Titanica*.

– Kretyn – mruknął. – Dobra, popytam, ale nie wydzwaniam do mnie co pięć minut. Sam się odezwę, jak coś załatwię. Wesołych. Uściskaj Michała od wujka i na test niech nasika.

– Co?

– Małpa w zoo, pajacu. Na test, mówię. Maryśka, amfa i takie tam. Nie wiesz, co się teraz wyrabia? Małolaty biorą, aż miło.

– Wiem, że biorą, ale oczka już mu sprawdziłem wczoraj, jak przyjechał. Moim zdaniem czyściutki jak łąza. Wpadniesz do nas?

– Nie da rady. Jadę do rodzinke na Kaszuby. Odezwę się.

Wszedłem na palcach do pokoju syna.

Michał spał jak zabity, rozwalony w poprzek łóżka. W samych gaciach, na skotłowanej pościeli. Wyrośnięty, z ładnie zarysowaną muskulaturą. Śmiesznie wyglądał ten prawie dorosły mężczyzna w kolorowej pościeli w samochodziki. Po rozmowie z Hanią specjalnie właśnie taką wybrałem z szafy. Pochodziła jeszcze z czasów, gdy mój syn chciał być moim synem. Kiedy mieliśmy o czym ze sobą rozmawiać. Paliło nas w głowach od wymyślania nowych zabaw, wypraw, wygłupów. A teraz wszystko minęło. Odkąd przyjechał, na wszystkie moje pytania odpowiadał monosylabami „co” i „no”, jakbyśmy już nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia.

Tkwiałem nad jego łóżkiem i zastanawiałem się, jak to możliwe, że stałem się dla Michała kimś zupełnie obcym. Starłem się zobaczyć w tym wyrośniętym dryblasie, choć jeszcze nie tak wysokim jak ja, tego samego chłopczyka, który włąził mi na plecy, rysował dla mnie pistolety i czołgi, przybiegał w przerwach między budowaniem domów z klocków, żeby się przytulić, pocałować mnie zaślinioną buzią, powiedzieć, że mnie kocha...

Kocha, złapałem się na ostatniej myśli. A kiedy ja mu powiedziałem, że go kocham? Nie mogłem sobie tego przypomnieć. Chyba jak chodził do przedszkola. Zresztą uważałem, że uczucie wyraża się w czynach, nie w słowach. Wydawało mi się mało męskie mówienie: „kocham cię, synku”, choć dla Michała w ogień bym skoczył. Może gdybym zamiast syna miał córkę, przyszłoby mi łatwiej wyrażanie uczuć słowami?

Sam nie znosiłem, jak moja mama nieustannie mówiła mi: „kocham cię, syneczku”. Zwłaszcza gdy dorastałem, drażniło mnie to strasznie. Nie widziałem więc potrzeby, aby ogłaszać swoje uczucia do syna.

Przecież wciąż trzymałem jego książeczki, laurki i samochodziki na półkach w pokoju, nawet plakatów Zidane’a, Boruca, Beckhama nie zdjąłem ze ścian. Wisiały w tym samym miejscu, w którym powiesił je przed laty Michał, kiedy fascynował się piłką nożną.

Powiodłem wzrokiem dookoła. Zadziwiająco, jak w ciągu kilkunastu godzin, odkąd przyjechał mój syn, idealnie wylizany pokój mógł zmienić się w pobjawisko. Porozwalane ciuchy na podłodze, wybebeszony plecak, każdy but w innym miejscu, skarpety centralnie na podłodze między pustymi puszkami po coli, papierkami po batonikach i pudełkami po chińskim żarciu. Też nie byłem pedantem, ale syf w pokoju Michała mną wstrząsnął.

Dam mu pospać do dziesiątej, z tym postanowieniem przekazałem coś na śniadanie i wróciłem do komputera wysyłać następne mejle.

Moja poczta z wiadomościami przychodzącymi była żałośnie pusta, prócz życzeń świątecznych od znajomych. Zawahałem się, czy wysłać je też Hani. Nie chciałem wyświechtanych sformułowań o zdrowiu, szczęściu, bo na razie ani jednego, ani drugiego nie mogłem jej zapewnić. Dlatego ograniczyłem się do krótkiego esemesa.

*Co u Ciebie?*

Odpowiedź przyszła po chwili.

*W miarę, ale bez szału.*

Ja:

*Kiedy wracasz? Nudno bez Ciebie, współpracko.*

Ona:

*Chyba we wtorek. Zresztą nie wiem. Usiłujemy nadrobić czas, ale to nie takie proste.*

Ja:

*Mam podobnie z synem.*

Dawno minęła dziesiąta i nawet zaczęło się rozpogadzać, gdy Michał wreszcie zwlókł się z łóżka. Przyczłapał do kuchni w samych gaciach, ze słuchawkami w uszach i wypasioną, cieniutką jak papier komórką. Jakiś rockowy kawałek leciał tak głośno, że słyszałem go przez słuchawki. Syn zupełnie zignorował moją obecność. Wyjął z lodówki coca-cole, wypił z butelki, oczywiście nie odstawił jej na miejsce, bo po co. Lodówki też nie raczył zamknąć i powędrował do łazienki. Słyszałem, jak sika, ale splukiwanej wody już nie usłyszałem.

Czyściłem koszyk do święconki i zastanawiałem się, czy mój syn wyrósł aż na takiego lenia i abnegata, czy tylko mnie prowokuje. Przyznam się, że zaczął mnie irytować tym swoim lekceważeniem. Obsikana naokoło deska sedesowa przelała czarę.

– Michał, sprzątnij po sobie. – Wszedłem do jego pokoju. Leżał rozwalony i nawet nie zdjął słuchawek z uszu. Zdjąłem mu je sam.

– No co jest? – obruszył się. – O co ci biega?

– Powiedziałem, żebyś po sobie sprzątnął kibel. Nie mam zamiaru oglądać twoich szczochów.

– Sprzątaczkę zatrudnij – odparł pogardliwie – albo kup taki samospłukujący się sracz.

– Do łazienki, ale już! – Choć obiecywałem sobie, że zrobię wszystko, by poprawić relacje między nami, teraz mnie poniosło i trochę huknąłem na dziecko, akcentując słowa zamaszystym ruchem ręki w stronę drzwi.

– Wiedziałem, że tak będzie. Po cholere tu przyjeżdżałem, żebyś się na mnie darł? – Łaskawie wstał z łóżka.

– Nie drę się, tylko nie lubię, jak mnie lekceważysz – wyjaśniłem spokojniej. – Ale jeśli wyczyszczenie po sobie deski to ujma dla twojego honoru, to oczywiście, syneczku, tatuś to za ciebie robi. – Wykrzesalem z siebie najbardziej jadowity ton, na jaki mogłem się zdobyć.

Wszedłem z pokoju, bo jeszcze chwila, a gwizdnąłbym dzieciaka w ucho. Rad nie rad, wyjąłem

z szafki domestos i gąbkę.

– Dobra, daj, ja to zrobię. – Michał zjawił się w ślad za mną.

Poczułem drobniutką satysfakcję z tego pierwszego zwycięstwa. Podkusiło mnie do następnego kroku. Tak zupełnie bezwiednie zapytałem wprost:

– Nasikasz na test?

– Co? – Michał spojrział na mnie jak na dziwoląga.

– Chcę się upewnić, czy niczego nie bierzesz, teraz to...

Jakże złudne bywają zwycięstwa. Przekonałem się o tym w sekundę później, kiedy mój syn trzepnął butelką domestosa o podłogę i wydarł się rozwścieczony.

– Za kogo ty mnie, kurwa, masz?! Za jakiegoś pierdolonego ćpuna?! – bluzgnął soczyście, aż mnie zamurowało. – Jak chcesz, to sobie patyczkiem kropelki pozbieraj ze sracza! Wracam do matki, ona przynajmniej dupy mi nie truje takimi podejrzeniami! – Potrącił mnie w przejściu i już chciał biec do pokoju, ale byłem szybszy. Ująłem go mocno za ramiona i stojąc twarzą w twarz, powiedziałem spokojnie:

– Wybacz, jeśli cię niechcący uraziłem, ale bardzo cię kocham, synku, i chcę tylko wiedzieć, czy nic ci nie grozi, bo jesteś dla mnie najważniejszy na świecie.

Nie planowałem tego. Jakoś samo wyleciało ze mnie to wyznanie. Może rzeczywiście Hania, zupełnie bezwiednie, dała mi do myślenia tym, co powiedziała? Michał popatrzył na mnie kompletnie zdezorientowany, a ja, niewiele myśląc, przytuliłem go, jakby był małym chłopcem. Z początku się szamotał, ale po chwili przestał.

– Dobra, ojciec, luz – odezwał się nawet miło.

– To zacznijmy jeszcze raz – zaproponowałem, odsuwając go na długość ramion. – Witaj w domu, synu.

– Ty coś brałeś, żeś taki dziwny? – spytał podejrzliwie i tak samo na mnie popatrzył.

– Uważaj, do ojca mówisz! – Zmarszczyłem, niby groźnie, brwi. – Więcej szacunku. A teraz grzecznie dokończ sprzątać, umyj się, ubierz i zapraszam na śniadanie. A potem koszyczek do kościoła zaniemiemy.

– Ty i kościół? A może jeszcze pisanki mam robić? – Prychnął ironicznie. – Matka nie przejmuje się takimi pierdołami. Mówi, że do onanistów w sutannach nie zamierza żarcia nosić.

– Babcia prosiła nas o święconkę, więc choćby dlatego pójdziemy do kościoła, niezależnie od moich zapatrywań. Światopogląd mamy też jest w tym przypadku bez znaczenia. Co zjesz?

– Zamówimy coś z cateringu – zaproponował od razu, a mnie aż skreśliło.

Nie wiem, jakim musiałbym być krezusem, żebym zamawiał śniadania do domu. Tymczasem dla mojego syna stanowiło to normę.

– Mam kasę, mogę ci postawić.

– Zrobię ci grzanki z serem i jajkiem – powiedziałem na wydechu. – Kiedyś za nimi przepadałeś.

Mój syn uśmiechnął się pod nosem – po raz pierwszy, odkąd przyjechał.

– W sumie... czemu nie – odrzekł po chwili.

Jedliśmy potem te grzanki, rozmawiając o tym i owym. Z początku mówił lakonicznie, gdy pytałem o szkołę i inne codzienne sprawy, ale zauważyłem, że zaczyna się nieznacznie rozkręcać. Nawet, choć z początku się wzbraniał, narysował flamastrem, tak dla żartu, samochodzik na ugotowanym jajku. Drugie sam ozdobiłem samolocikiem.

– Babcia chyba uklęknie, jak to zobaczy – zaśmiał się.

Może się myliłem, ale odsłonił cząstkę tamtego chłopca, którym kiedyś był.

– Pamiętasz, jak kiedyś stukaliśmy się przy stole jajkami? Zawsze potłukłem twoje.

– Bo trafiałem na te z cieńszą skorupką – odparłem zadowolony, że rozmawia ze mną już bez tej wrogości, co poprzednio.

– Myślę, że dawałeś mi wygrać. Dlaczego ich nie zdjąłeś? – spytał nieoczekiwanie.

– Czego?

– No tych plakatów z piłkarzami. Laurki ode mnie też wciąż masz. Zauważyłem w szufladzie, jak brałem flamastry. Starzejesz się i robisz sentymentalny czy jak?

– Jasne, że się starzeję, a laurki mam, bo dostałem je od ciebie. – Potarosiłem mu czuprynę.

– Dobra, ojciec, bez takich. – Michał szarpnął głową na bok. – Idziemy z tymi jajkami, skoro babcia prosiła, ale ja stoję z tyłu. Ty stawiasz koszyk, dla mnie to siara.

Z miną cierpiętника, którego skazali na tortury, powlókł się do kościoła. Szedł parę kroków za mną, ze słuchawkami na uszach. Pisał esemesy z prędkością błyskawicy, przebierając kciukiem po ekranie dotykowym, co widziałem kątem oka. Nie naciskałem natrętnie na rozmowę, z obawy, by znów nie zaczął mnie ignorować. Grunt, że miałem go obok. Nie do końca jeszcze wiedziałem, czym go bardziej otworzyć. Jak sprawić, by przez resztę popołudnia nie leżał znudzony z nosem w tablecie. Akurat rozpogodziło się pysznie. Zapowiadał się wyjątkowy zachód słońca. Nie mogłem go podziwiać z Hanią, ale mogłem z synem.

– Masz jakieś dresy? – zapytałem znad komputera.

– A bo co? – burknął, wyciągnięty leniwie na sofie. Wcześniej drzemał po obiedzie.

– A bo pójdziemy się rozruszać. Dziś nie biegałem i czuję, jak moje stare kości śniedzieją. Wstawaj. Za pięć minut jesteś gotów.

– Ciebie chyba do reszty pogrzało! – zawołał. – Co to ma być? Jajeczka! Bieganie! Może jeszcze domek z klocków pobudujemy?

– Skoro chcesz – roześmiałem się. – Poszukam klocków w piwnicy. Cztery minuty do wyjścia. Zobaczmy, czy tym razem mnie pokonasz. Uprzedzam, dobrze biegam i za nic nie dam ci wygrać.

– Nie dasz? – rzucił prowokacyjnie. – To ty będziesz błagać o litość. Weź walerianę, żeby ci pompka nie stanęła po drodze.

Zerwał się piorunem z kanapy, w mgnieniu oka włożył dres i był gotów. Dam ja ci popalić, młokosie, chichotałem w myślach. Zobaczmy, komu pompka stanie.

Z początku truchtałem spokojnie, za to Michał wyrwał do przodu jak rakietą. Biegliśmy do mola w Brzeźnie, do którego od domu było ledwie parę kilometrów. Codzienny dystans nie robił już na mnie żadnego wrażenia. Wiedziałem, jak rozkładać siły. Dlatego przyspieszyłem dopiero w połowie trasy i bez najmniejszego trudu wyprzedziłem syna.

– Dawaj, dawaj, młody! – rzuciłem żartobliwie, gnając przed siebie z bardzo dużym zapasem energii.

Michał został daleko w tyle, ale wciąż biegł. W konsekwencji pierwszy dopadłem do mola i trochę czekałem, nim doczłapał się do niego mój ledwo żywy synek. Czerwony jak pomidor, ekstremalnie spocony i sapiący jak parowóz.

– Maaasz... coś do... picia? – wydyszał z rękoma opartymi o kolana i ciężko zwieszoną głową.

– Nie piję na tak krótkich dystansach. – Z satysfakcją się nad nim pastwiłem. – Mogłeś wziąć z domu wodę, skoro potrzebujesz. Służący nie będzie za tobą biegał. Przełknij ślinę.

– Śliny chwilowo brak. – Mój jedynek runął zmaltretowany na deski. Trwało to jakiś czas, nim złapał normalny oddech. Usiadł i przybił ze mną piątkę.

– Szacun, ojciec – stwierdził z uznaniem, co sprawiło mi niebotyczną przyjemność. – Nie znałem cię od tej strony.

– Czas, żebyśmy się poznali na nowo. – Objąłem go ramieniem. – Też ci nieźle szło, tylko musisz więcej trenować. Jak chcesz, to możemy pobiegać jutro przed wizytą u dziadków.

– Jutro to ja się nie zwlokę z wyra. Zakwasy mnie sparaliżują.

– Znajdziemy sposób i na to. Spójrz. – Wskazałem na pomarańczowe słońce wiszące na horyzoncie.

Przyroda jakby na zamówienie urządziła nam wspaniały spektakl. Wszystko wyglądało tak samo jak pierwszego wieczoru, gdy razem z Hanią patrzyliśmy na odchodzący dzień. Jakże żałowałem, że teraz jej tu nie ma! Ciekawe, czy tam, w tym Niebie, też ogląda zachód słońca? A jak ja będę na niego patrzył, jeśli mój plan jednak się nie powiedzie i Hania odejdzie? Na samą myśl zrobiło mi się czarno przed oczami. Nie byłem przecież ślepy. Widziałem, że słabnie z dnia na dzień. Serce mi się ścisnęło z bezradności, gdy wymiotowała po tej sałatce. I zasypiała częściej, i bardziej ją bolało, choć się do tego nie przyznawała. Cholera, mimowolnie zacisnąłem usta ze złości, że wciąż nie posuwam się naprzód.

– Ojciec, co nic nie gadasz? – Głos Michała wyrwał mnie z zamyślenia.

– Zapatrzyłem się. – Wskazałem głową przed siebie.

– No, w sumie obleci ten widoczek – stwierdził luzacko.

– Michał, przeżyłeś ze mną coś niezwykłego? – zapytałem, a w głowie zaświtał mi pewien pomysł.

– O co ci znowu biega? – rzucił zdezorientowany.

– Chodzi mi o to, co najbardziej wbiło ci się w pamięć z tego, co robiliśmy razem. Skup się, to ważne.

Pomyślał chwilę i zaczął mówić.

– Dwie rzeczy. Pamiętasz, jak kiedyś w Wigilię później wróciłeś z pracy?

– Nie raz później wracałem z pracy.

– Tak, ale chodzi mi o ten raz, jak nie zdążyłeś kupić choinki. Miałem chyba z pięć lat. Matka strasznie się wtedy na ciebie wydierała. Powiedziała, że jak nie ma choinki, to i prezentów nie będzie. Kłóciliście się, a ja płakałem. Wyszedłeś z domu. Na drugi dzień zabrałeś mnie do lasu. A tam była ubrana w bombki choinka, a pod nią leżał mój prezent. Ta fajna kolejka, pamiętasz?

– Pamiętam.

– Powiedziałaś mi wtedy, że choinka specjalnie czekała na mnie w lesie, bo Mikołaj był zmęczony i po ciemku zabłądził, szukając naszego domu. Potem ulepiliśmy przy niej wielkiego bałwana. Z rybą też było fajne.

– Z rybą? – Nie mogłem tego skojarzyć.

Nie mogłem też powiedzieć nic więcej. Głos uwiązał mi w gardle, gdy słuchałem wspomnień syna. A jednak byłem dla niego ważny, skoro tak ciepło o tym opowiadał.

– Latem zrobiliśmy grilla na plaży. Padało, wiało, ale uparłeś się, że go rozpalisz, bo obiecałeś mi, że upieczemy nad morzem pierwszą rybę, którą złowię. Powiedziałaś wtedy, że prawdziwi mężczyźni zawsze dotrzymują słowa, a ty dałeś mi słowo. To była najlepsza ryba, jaką jadłem, i do tej pory nie wiem, jak udało ci się rozpalić to ognisko.

– Prawdziwi mężczyźni zawsze dotrzymują słowa. – Poklepałem go po plecach. – Michał, pomożesz mi w czymś?

– Spoko, jeśli nie wymyśliłeś czegoś, żebym musiał marnować się fizycznie – wyjęczał, rozcierając nogi.

– Tylko intelektualnie, przy komputerze.

– Kiedy? – zaciekawiał się od razu. No tak, komputer, westchnąłem.

– Choćby zaraz.

– No to grzejemy na chatę. – Poderwał się z miejsca. – Do wodopoju. I pierwszy zajmuję łazienkę.

– Którą po sobie wysprzątasz. – Szturchnąłem go łokciem w bok. – Kąpielowym nie jestem.

– Rany, a już było tak fajnie.

Późnym wieczorem, kiedy odświeżeni i najedzeni siedzieliśmy obaj przed moim komputerem, wtajemniczyłem syna o tyle, o ile mogłem, w swój plan. Też ogarniałem rzeczywistość wirtualną, ale nie miałem wątpliwości, że Michał zna się na tym lepiej. Pokazałem mu treść mejla, na razie bezowocnie wysyłanego.

– Musimy znaleźć neurochirurga, który podejmie się zoperowania beznadziejnego guza mózgu. Nie wierzę, że nie ma takiego specjalisty gdzieś na świecie, tylko trzeba intensywniej szukać. U nas i za granicą. Czasu jest niewiele, a właściwie to zaczyna go brakować. Z tego, co sprawdziłem, w Polsce jest około czterystu lekarzy tej specjalności. Napisałem do kilkudziesięciu, niestety, na razie cisza albo odpowiedzi odmowne. Z telefonami to samo. Dlatego podzielmy się pracą i szukajmy w sieci następnych. We wszystkich szpitalach i klinikach, jakie tylko są. Zaczniemy od krajowych. Możemy działać systemem wzdłuż albo wszerz mapy. Wybieraj, jak wolisz? Ty północ, ja południe czy zachód i wschód? W końcu, do licha, ktoś musi odpowiedzieć coś pozytywnego. Mamy dwudziesty pierwszy wiek i megatechnologie w medycynie. Guz mózgu to już chyba nie wyrok śmierci. Michał, co z tobą? – Przejąłem się nie na żarty.

Mój syn nagle pobladł i głośno przełknął ślinę. Wystraszyłem się, że zaraz zemdleje.

– Ten guz... to... rak? – wyjąkał biały jak kreda.

– Niestety, i to bardzo wredny. Przyniosę ci wody. – Zrobiłem w tył zwrot i ruszyłem do kuchni.

– Tato...

Tato? Z wrażenia zatrzymałem stopę nad podłogą. Kiedy ostatnio tak mnie nazwał? Ojciec, stary, ale „tato”? To była niespodzianka.

– Tak? – Odwróciłem się.

– Ale to nie ty masz tego... raka?

W oczach mojego syna pojawił się strach. Wielki, nieudawany strach.

– Nie ja, ale więcej nie mogę powiedzieć. – Położyłem rękę na jego ramieniu i uściśnąłem.

– Dżizas! – Wypuścił gwałtownie powietrze z ust, na jego twarzy zobaczyłem ulgę. – Wiesz, jak człowieka wnerwić. Dobra, biorę na siebie południe. Skopiuję tego mejla na mojego tableta. Ale takie mejle mogą trafiać do spamu, dlatego nie wszyscy odpisują, jeśli mają tak ustawioną pocztę.

– Co w takim razie proponujesz?

– Podziałać równolegle innymi kanałami. – W Michale odezwał się profesjonalista. – Na przykład przez fejsa. Mam megadużo znajomych, oni mają swoich znajomych i tak dalej. Z rachunku prawdopodobieństwa wynika, że wśród tej grupy powinien być ktoś, kto zna jakiegoś neurochirurga albo o jakimś dobrym słyszał. Warto uruchomić też babcię i dziadka, żeby udostępnił wpis u siebie. Poza tym wygooglujemy wszystkie fora rakowe, jakie są.

– Już to robiłem.

– Zrobimy jeszcze raz. Ludziska codziennie piszą tam posty. Zalogujesz się pod jakimś nickiem i ktoś ci na pewno coś dobrego odpowie. Starsza mojej Asi też była chora na jakieś babskie sprawy i Asia szukała porad właśnie na tych forach. Wiesz, ile ludzi jej odpisało? Normalnie masakra. I jeszcze... co tak patrzysz? – Michał przerwał.

– Nic. – Otrząsnąłem się z chwilowego szoku. – Jestem dumny, że mam takiego syna.

– Luz, ojciec.

– A ta Asia to coś poważnego?

– To się dopiero okaże. – Poczzerwieniał nieznacznie. A oczy tak mu się rozmaśliły, że nie musiał mówić więcej. Mój syn się zakochał. – Bierzemy się do roboty. Aha, i daruj sobie tego Piotra Mroza na fejsbuku. Powinieneś się zarejestrować jako Max Nieznany. Od razu wpadną ci setki znajomych, a to rozszerzy naszą sieć.

– Znasz mój pseudonim? – spytałem jeszcze bardziej zaskoczony.

– Znam twoje książki. – Michał uśmiechnął się półgębkiem. – Nawet dajesz radę.

Czy to aby na pewno mój syn? – zastanawiałem się zdumiony jego zaangażowaniem. Nie mogłem wprost uwierzyć, że ten chłopak z dziurą w uchu, w koszulce narodowców, ciamkający gumą, w spodniach zwieszonych do połowy tyłka, zmanierowany kasą, jest aż tak wrażliwym i skłonny do



pomocy człowiekiem. Jak mało o nim wiem; raz po raz zerkałem rozczulony znad swojego laptopa na pochylone plecy Michała. Mojego syna. Moją dumę. Gdzieś po północy Michał zawołał:

– A niech mnie!

– Co jest?

– Ale ktoś ci dup... – poprawił się od razu – tyłek obrabia. Teraz to znalazłem przypadkiem. Zobacz.

Pokazał mi na portalu społecznościowym paskudny wpis, który nie tylko mieszał mnie z błotem jako autora kryminałów, ale przede wszystkim jako faceta. Że niby jestem dziwkarz, gwałciciel i takie tam. Czarująca autorka, posługująca się nickiem „Skrzywdzona”, nie zostawiała na mnie suchej nitki. Nawet nie musiałem się zastanawiać, kim jest owa „Skrzywdzona”. Michał prędko przebierał palcami po klawiaturze. Przyznam, że szybciej niż ja. Podobne wpisy, pod zmienionym nickami, znalazł też na innych portalach, zwłaszcza książkowych, pod moimi kryminałami.

– Masz hejtera. Jak chcesz, to mogę zgłosić do administratora strony, żeby go zablokował.

– Daj spokój. – Lekceważąco machnąłem ręką. – Znam tego hejtera, a raczej hejterkę.

– Jakaś twoja była? – Mrugnął znacząco.

– Nie twój interes. – Pstryknąłem młodego w ucho. Niech sobie za dużo nie pozwala mimo wszystko. – Zamierzam zupełnie ignorować te wpisy. Jak ci poza tym idzie?

– Spoko. Fejsa załatwiłem i mam sporo adresów z neta do tych lekarzy. Możemy dokończyć jutro? Po tym bieganiu padam na twarz.

– Jasne, idź spać, ale mam prośbę.

– No?

– Jutro, a właściwie dziś... – Zerknąłem na zegarek. Dochodziła pierwsza. – U dziadków zachowuj się jakoś, dobra? Oni bardzo za tobą tęsknią.

– Nie doceniasz mnie. – Trochę się nabzdyczył, a ja pożałowałem tej uwagi.

– Tak tylko powiedziałem. Bez urazy, synek. Szoruj w bety i dzięki za pomoc.

Rzeczywiście, podczas świątecznego śniadania Michał zachowywał się bez zarzutu, jak dobrze wychowany młodzieniec. Nie potrafiłem ocenić, czy aż tak się starał, czy sprawili to moi rodzice, którzy dogadzali wnukowi na cztery ręce. Obsiedli go z obu stron, zasypując pytaniami, potrawami i zachwytnymi. Okazało się bowiem, że mój syn, czego najmniej się po nim spodziewałem, ma całkiem przyzwoite oceny w szkole.

Tylko ja mniej się włączałem w ożywioną rozmowę. Mojej myśli były przy Hani. Nawet wstałem przed świtem i sam pobiegłem na plażę polować na wschód słońca. Próbowałem wyciągnąć Michała, który tylko przewrócił się na drugi bok i zakopał w kołdrze. Ciekawe, jak spędza Wielkanoc moja współpracownica, zastanawiałem się pochylony nad mazurkiem. Przy oknie w salonie mój ojciec ogrywał Michała w szachy.

– Martwisz się o Hanię, mam rację? – Mama przyglądała mi się badawczo.

– Ano masz – przyznałem.

– Rozumiem, że nie mogła przyjąć naszego zaproszenia, skoro wypadł ten pogrzeb, ale chciałabym wiedzieć jedno. Czy to ona ma ten guz?

– Skąd o tym wiesz? – spytałem, nie kryjąc zdumienia. Nawet widelczyk z mazurkiem zawisł w powietrzu.

– Piotr, przecież mamy z ojcem fejsbuka. Michaś w nocy rozesłał posty. Dziś, z samego rana, zajrzałam na profil i od razu się domyśliłam, że chodzi o tę dziewczuszkę. Wystarczył jeden rzut oka na to biedactwo, żeby zauważyć, że coś jest nie tak. Bledziuteńka strasznie, słaba i oczy ma takie smutne.

– Skoro już wszystko wiesz... – westchnąłem.

– Nie wiem wszystkiego. – Mama ściszyła głos. – Na przykład tego, kim ona jest dla ciebie, że aż tak się angażujesz. Chyba tylko wobec Moniki zachowywałeś się w ten sposób. A potem długo nic.

– Przyjaźnimy się – wyjaśniłem ogólnikowo. – To wyjątkowa dziewczyna. Dlatego chcę jej pomóc.

– I bardzo ujmująca, już na pierwszy rzut oka! – zawołał spod okna mój ojciec który, choć dawno przekroczył siedemdziesiątkę, słuch ma doskonały. – Michaś, szach!

– Dziadek, jak ty to robisz? Przecież tu stoi mój goniec!

– Ale w złym miejscu – zaśmiał się. – Musisz przewidywać.

Nie słuchałem tej szachowej dyskusji, skupiony na pytaniu mamy.

Kim jest dla mnie Hania? Przyjaciółką? Dużo młodszą siostrą? Kobieta, która wciąż mnie zaskakuje? Śmiertelnie chorą dziewczyną, którą chciałem uratować za wszelką cenę, nawet jeśli miałyby mnie za to znienawidzić, gdy odkryje, że mój plan to tylko podstęp? Wszystkim naraz? Dawno nie byłem w takim stanie, że stawiałem pytania, na które nie umiałem znaleźć odpowiedzi, choć niemal czułem, że jestem tego bliski. Bardzo bliski.

– Piotrze – mama położyła dłoń na mojej ręce – jak wiesz, mamy wielu znajomych. Popytamy wszystkich o najlepszego neurochirurga, ale nie obiecuj sobie zbyt wiele. Czasem nie ma innego wyjścia, jak, niestety, pogodzić się z tym, co przynosi nam los. Zdążyłam trochę poczytać o głejkach, zwłaszcza w takim miejscu. Różnie może być. Zresztą sam wiesz.

– Wiem – rzuciłem krótko, prędko zmieniając temat. Nie chciałem nawet przez sekundę pomyśleć, że miałbym się pogodzić z odejściem Hani. – Słuchaj, widziałaś *Titanica*? To znaczy film.

– Domyślam się, że nie statek, tak stara nie jestem. Oczywiście, że widziałam, i to kilka razy.

– Twoim zdaniem – ciągnąłem, szukając potwierdzenia swoich domysłów – która scena jest najbardziej, nie wiem, jak to ująć... – pstryknąłem palcami – taka najważniejsza dla tej Rose?

– Do czego ci to potrzebne? – Mama się zdziwiła. – Zdawało mi się, że nie gustujesz w takich filmach.

– Mam taki wątek porównawczy w swojej książce i jestem ciekaw kobiecej opinii, czy dobrze dedukuję – tłumaczyłem dyplomatycznie. – To która? Ta w samochodzie? – Ściszyłem głos, żeby dzieciak nie słuchał.

– Ta, w której poszli na całość? – spytała głośniejszą matką, aż poczułem cień zażenowania tą otwartością.

– Czy mężczyźni zawsze muszą patrzeć na życie swoimi kategoriami?

– Dlatego jesteśmy mężczyznami, Celinko! – wtrącił się mój ojciec, odznaczający się wyjątkowo podzielną uwagą. – Myślenie Piotra nie odbiega od naszej, męskiej normy. Prawda, Michałku?

– Prawda, dziadku – zaśmiał się mój syn. – Scena w samochodzie wcale nie była taka mocna, tato. Jak chcesz, to ci podpowiem, gdzie znajdziesz dużo mocniejsze. Jest taki kanał w necie...

– Michał! – Musiałem trochę przywołać młodego do porządku, za bardzo się rozbisurmanił. Moi rodzice parsknęli śmiechem.

– Synku – mama pogładziła mnie po głowie – my z tatą wiemy, co to seks. Zapewniam, że w kapuście cię nie znaleźliśmy.

Musiałem się zarumienić, bo Michał tylko przygryzł usta i z trudem tłumził śmiech, jak na mnie patrzył. Tylko mój ostrzegawczy palec w górze powstrzymał go przed jawnym rechotem.

– A najmocniejsza scena, moim zdaniem – oświadczyła mama – najbardziej wzruszająca, to ta, w której Rose z rozłożonymi rękoma stoi na dziobie statku, a Jack ją podtrzymuje.

– Nooo – podłapał Michał. – Moja Asia też tak mówi.

– To ta ładna brunetka ze zdjęcia, z którą się całujesz? – spytał go dziadek.

– Ta sama. – Potwierdził bez najmniejszego skrępowania młody.

No tak. Rodzice widzieli dziewczynę mojego syna, a ja miałem w tym temacie zaległości. Zresztą nie tylko w tym. Dopiero teraz uzmysłowiłem sobie, że od ostatniego razu z Elżbietą w moim życiu nie było

żadnego seksu. Co więcej, nie odczuwałem specjalnego dyskomfortu z tego powodu. Zupełnie jakby cała moja energia skupiła się na obcowaniu z Hanią i znajdowała w tym ujście. Dziwne, bardzo dziwne.

Zostaliśmy w Sopocie do poniedziałku. Przy pożegnaniu mama nie chciała wypuścić Michała z objęć. Mnie też ciężko było rozstawać się z młodym. Te trzy dni, które spędziliśmy razem, minęły jak z bicza strzelił. Zauważyłem, że i Michał zmarkotniał, gdy wieczorem drugiego dnia świąt odwiozłem go na dworzec.

– W sumie było fajnie. Tak inaczej niż u nas.

– A jak jest u was? – zaniepokoiłem się. Wyczułem przygnębienie w głosie syna.

– Obleci. Jest kasa, ful wypas, tylko ludzi brak – zaśmiał się sarkastycznie. – Przeciąg hula na marmurach.

– Michał, wiesz, że zawsze, kiedy tylko chcesz, możesz do mnie przyjechać. Tu też jest twój dom. Może na długi majowy weekend wpadniesz? To już za dziesięć dni. Co ty na to? – spytałem z nadzieją.

– Lecimy z Asią na Majorkę, mamy już kupione bilety. Jeszcze nie była za granicą. Ale wbiję do ciebie najdalej za miesiąc. Zresztą będziemy w kontakcie w sprawie tego lekarza. Zainstalowałem ci Skype'a. Czasem możemy pogadać przez kompa.

– Super – ucieszyłem się.

– Przyjmij mnie do grona znajomych, pchnąłem ci zaproszenie, tylko nie lajkuj za dużo. Aha, mogę ci też założyć i administrować fanpejdza, powinieneś go mieć. W sumie nieźle ci te kryminały idą. Chcesz?

– Bardzo. Chodź do mnie. – Przyciągnąłem go i mocno uściskałem. Nawet się nie wzbraniał.

– Tato – już na stopniach wagonu odwrócił się do mnie – skoro ci tak zależy, mogę zrobić ten test, ale ja naprawdę nie biorę tego gówna. Mam w końcu twoje geny. Tylko raz zajaralem trawkę, ale rzygałem potem obleśnie. Nie kręci mnie to. Wierzysz mi?

– Wierzę. Uważaj na siebie i zadzwoń, jak będziesz na miejscu. – Uścisnęliśmy sobie po męsku dłonie.

Stałem i patrzyłem za odjeżdżającym pociągiem. Powiał mocniejszy wiatr, który drażniąco wciskał mi się w oczy. Zaczęły irytująco łzawić. A może to nie wiatr, tylko obudzona, diabli wiedzą, kiedy i przez kogo, wrażliwość tak mi rosła oczy?

Czyżby naprawdę wystarczyło to jedno słowo, by stopniały pierwsze lody? Słowo wytrych, które otworzyło nam drogę do nadrobienia straconego czasu? A może to mój upór sprawiał, że dotąd oceniałem syna tylko po pozorach, nim oświeciło mnie na tyle, bym dostrzegł, jaki naprawdę jest. Obojętne, co to było, wierzyłem, że teraz między mną a Michałem może być tylko lepiej.

Nie chciałem się poddać cklawie tęsknemu nastrojowi, dlatego zaraz po powrocie do domu rzuciłem się w wir pracy.

Nad ranem efekty były całkiem obiecujące. Prócz nowego profilu jako Max Nieznany, kilku nowych namiarów na neurochirurgów od ludzi z forów internetowych, masy wspierających wpisów, byśmy nie tracili wiary, a także wysłanych kolejnych mejli, miałem całkiem nieźle napisany cały rozdział książki. Praca znów zaczęła mnie uskrzydlać, jak kiedyś. Wstawał wtorek, gdy zasypiałem z myślą, że być może dziś przyjedzie Hania. Chciałem mieć do tego czasu jakiś konkret.

# Hanka

Czekanie. Tym jednym słowem mogłam scharakteryzować wszystkie dni, które spędziłam w Niebie. Niezauważona przez braci i matkę, spazmującą nad trumną nieboszczyka, czekałam w ostatniej ławce kościoła, aż skończy się to przedstawienie. Tymczasem bolejąca wdowa, obleczone w czerń, klęczała przed katafalkiem przygnieciona rozpaczą i zanosiła się łkaniem. A mnie dźwięczały w uszach owe „chamy”, „skurwysyny” i „szmaty”, słyszane ciągle przez te wszystkie lata.

Czekałam, aż sąsiedzi, którzy zjawili się licznie, by pożegnać „nieodżałowanego Stanisława”, „brata naszego, co staje przez obliczem Pana” (jak perorował ksiądz, ten sam, który niczego nie widział, gdy przychodził do nas po kolędzie), przestaną kiwać współczująco głowami nad tragedią zawodzącej wdowy, a zawodziła koncertowo. Nie trzeba było organów, vibrato matki odbijało się donośnym echem od ścian i barokowego sufitu kościoła.

Czekałam, aż przestaną mnie kłuć w oczy napisy na szarfach wieńców: „Najdroższemu ojcu, nieutuleni w żalu żona, synowie i córka”.

Ta nieutulona córka to niby ja? Nie mogłam tego pojąć. Byłam nieutulona we wszystkim, tylko nie w żalu po zmarłym. Człowiek, który leżał w trumnie, okadzony kadzidłem, otoczony płonącymi gromnicami, był mi przeraźliwie obojętny, absolutnie obcy. Ostatnie wspomnienie o nim, jakie zachowałam, to plama moczu na spodniach.

Wyszłam czym prędzej z kościoła, w swoim codziennym ubraniu zamiast przepisowej czerni, bez kwiatów, za to z turystyczną torbą w rękach, i zwymiotowałam za rogiem.

– Niezły cyrk, co? – Usłyszałam męski głos za plecami, ledwo zdążyłam przepłukać usta wodą z butelki.

Odwróciłam się. Stał przede mną dość wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna po trzydziestce. Krótko ostrzyżony ciemny blondyn o szarzielonych oczach, w dżinsowych spodniach i koszuli. Tylko marynarkę miał czarną. Wydał mi się znajomy.

– Irek? – spytałam niepewnie.

– Nie poznałaś mnie, siostra. – Uścisnął mnie krótko. – Trochę czasu minęło. Romek i Leszek też przylecieli. Są w pierwszym rzędzie. Wracamy patrzeć na tę szopkę czy czekamy?

– Czekamy.

Siedzieliśmy pod kościołem pogrążeni w rozmowie typu „co słytać?”. Wychylona zza węgła patrzyłam, jak moi najstarsi bracia wyprowadzają matkę, trzymając ją pod ramiona z dwóch stron. Za nimi szedł znudzony Przemek. Obok niego dreptał ubrany w garniturek rudy maluch, który dłubał w nosie. A matka, z rozłożonymi rękoma niczym ukrzyżowana, słaśniała się między Romkiem a Leszkiem, bez mała konająca, zalana łzami, demonstrując teatralną rozpacz.

– Taaaa... – mruknął Irek. – Oscara powinni jej dać.

– Popatrz, jak wszyscy kochali naszego ojca, spodziewałaś się takiego tłoku? – spytałam ironicznie, patrząc na tłumek sąsiadów wylewający się z kościoła.

– Takie przedstawienie za darmo? Kto by nie chciał popatrzeć, a potem dupę obrobić. Normalka. No i pochleją w niedzielę na stypie, bo w Wielki Piątek to nieprzepisowo.

No tak, przyznałam w duchu. Jakby Wszchemogącemu sprawiało to różnicę, czy człowiek upodli się w dzień ukrzyżowania czy zmartwychwstania. Zakręciło mi się w głowie i odruchowo wczepiłam się w rękaw brata.

– Hej, coś taka mizerna? – Przytrzymał mnie za ramiona. – Chcesz iść na cmentarz, na wieki zasypać ziemią kochanego ojczulka? Bo ja spadam stąd. – Splunął w bok.

– Niespecjalnie.

– To jedziemy do chaty. Mam samochód.

Czekałam potem na strychu, który Irek przerobił na niewielkie mieszkanie, aż wróci matka. Nie mogłam się nadziwić, że mój najgorszy brat, ten z kryminalną przeszłością, wyuczył się na stolarza, pracuje, zapisał się do szkoły wieczorowej i jako tako układa sobie życie. Tkwiłam między półsnem, bólem i kromką chleba z serem od Irka, myśląc, co robi matka, jak mnie zobaczy.

Serce waliło mi jak młot, gdy schodziłam, żeby się przywitać. Siedzieli wszyscy przy stole. Matka, moi bracia w białych koszulach, jakaś dziewczyna obok Przemka i ten rudy chłopczyk. Tylko Irek stał za mną.

– Dzień dobry, mam. – Nie poznałam własnego głosu.

Krok za krokiem przesuwałam się w jej stronę. Obraz ze zdenerwowania tak wirował mi przed oczami, że ledwo dostrzegałam zmiany, jakie zaszły w moim rodzinnym domu. Panele, nowy telewizor, tapeta, kuchenka gazowa, rejestrowałam, idąc.

Matka siedziała u szczytu stołu. Postarzała się przez te lata, przytyła, tylko jej twarz pozostała ta sama. Zacięta i zimna. Przynajmniej dla mnie. Żaden, nawet najdrobniejszy czuły grymas nie zmiękczył jej rysów.

– Patrzcie ją, zjawiła się – odezwała się chropowatym głosem – córka marnotrawna.

– Miło cię, was – poprawiłam się – widzieć. Wszystkich.

– Miło?! Tobie, miło?! – powtórzyła zgryźliwie, przed południem zrozpaczona wdowa, teraz inkwizytor. Jej surowe spojrzenie odbierało mi całą odwagę. – Wstydu nie masz! Nawet ojca, który życie ci dał, pochować nie raczyłaś! Chcesz, żeby ludzie na języki nas wzięli?! I tak nie wiem, gdzie oczy podziąć, jak gadają, żeś wyrodna i bezbożna! A ona się zjawia i mówi, że jej miło! Nawet na żalobę cię nie stać! – Grzmotnęła pięścią w stół, mierząc srogim wzrokiem moją białą bluzkę pod szarym żakietem i niebieskie spodnie.

Nagle straciłam zdolność mówienia. Bracia wstali od stołu i przywitali się ze mną. Tak zwyczajnie, bez wylewności, choć nie widzieliśmy się od dawna. Wszyscy byli do siebie podobni. Z niewielkimi różnicami każdy przypominał Irka.

– Kopę lat, siostra. Urosłaś. – Romek poklepał mnie po plecach. – To mój syn, Alan. Żonka została w Londynie, do roboty musi chodzić. Sprząta w szpitalu.

– Lichutkaś. Stary żreć ci nie daje? – Leszek zaśmiał się paskudnie, po czym cmoknął mnie w policzek. – Ale ci włosy wybijają, tylko cycków i dupy brak.

Pociągnął mnie delikatnie za pasmo włosów i uśmiechnął szeroko. Leszek dobiegał czterdziestki, był rok młodszy od Romka. Obu porobiły się zakola, a brzuchy zaczynały wystawać spod pasków. Pamiętałam ich jako chłopaków, a teraz to dojrzały mężczyźni.

– A my z Gabryską żenimy się na lato. – Przemek, najniższy i najszcuplejszy z braci, wskazał na tęgawą dziewczynę o tlenionych na biało włosach. – Siadaj, Hanka, co sterczysz? Bigosu zjesz? Gabryśka, nakładaj Hance. A ty, Romek, polej, bo wymarzał człowiek na cmentarzu.

– Jeszcze ojciec w grobie nie ostygł, a wy mi tu wódkę na stół?! – wrzasnęła matka.

Bracia, prócz Irka, roześmiali się chórem.

– Dobra, matka – odezwał się Romek. – Tu sami swoi, ludzie już nie patrzą. Wszyscy wiemy, jak było, nie? Stary pierwszy by flaszkę obalił i jeszcze drugiej szukał. Tylko Irkowi nie lejemy, bo dla niego

szkoda. Abstynent. – Popukał się dwoma palcami w szyję.

Nastąpił wzmożony ruch talerzy, kieliszków, rąk nad nimi, a ja wciąż stałam, trzymając się krawędzi stołu, wsparta plecami o Irka. Czekałam na jeden, choć najmniejszy zapraszający gest ze strony matki. Tymczasem nic takiego nie nastąpiło, prócz kąśliwej uwagi.

– I co, Hanka, jak ci tam, na kocią łapę żyć? – spytała. – Bładaś na gębie jak śmierć.

– Daj jej spokój, mammo. Nie widzisz, że ledwo stoi? Rzygała ze dwa razy. Siadaj, Hania, koło mnie. – Irek ujął się za mną, bo wciąż nie mogłam odzyskać głosu. Gdyby nie posadził mnie na krześle, to chyba bym upadła.

– Każdy ma to, na co zasłużył! Toć widać, że z brzuchem przyjechała. Który ksiądz takiego dzieciaka ochrzci, jak matka w grzechu żyje?! Ale jak chce rodzić poganina, to jej sprawa! Ona już dawno wyparła się Boga i rodziny. Jezusie Nazarejski, czemu żeś mnie taką córką pokarał? – Dramatycznym ruchem uniosła do góry ręce, po czym owinęła się czarną chustką i wyszła do drugiego pokoju.

Co ja tu robię? Co tu robię? Poczułam się dokładnie tak samo jak wtedy u lekarza. Chciałam stąd uciec czym prędzej, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Nie wiem, co jadłam, czy w ogóle jadłam, nie kojarzyłam pytań braci. Nie słyszałam prawie nic, prócz kołaczącej w głowie myśli, że jestem tu zbędna.

Nie pasowałam do nich tak samo jak do rodziny Piotra. Dwa skrajnie odmienne światy i w żadnym nie było dla mnie miejsca. W żadnym się nie czułam u siebie. A jednak wciąż tkwiłam przy stole, słuchając najpierw rozmów, a potem kłótni braci o schedę. Kto kogo spłaci i kiedy, okazało się bowiem, że nasz lichy domek od jakiegoś czasu jest już własnością rodziców, wraz z kawałkiem poletka, na którym matka uprawiała warzywa.

Do wieczora moi bracia, prócz Irka, zdążyli nieźle popić. We wszystkich naraz zobaczyłam obraz ojca. Zwłaszcza wtedy, gdy synek Romka potłukł talerz i zaczął marudzić, a mój brat zrobił dokładnie to samo, co kiedyś nasz ojciec. Złapał wierzgające dziecko wpół i strzelił mu serię mocnych klapsów w tyłek. Zacisnęłam oczy.

– Coś ci to przypomina? – Irek nachylił się do mojego ucha, a po chwili krzyknął do Romana: – Puść go, durniu! Może ze mną spróbujesz?

– Nie wpierdalaj się między wódkę i zagrychę! Nie będziesz mnie, obszczymurze, uczył, jak dziecko chować! – odkrzyknął Romek, bordowy ze złości na twarzy. Postawił zapłakanego synka na podłodze i pchnął go w stronę sąsiedniego pokoju. – Marsz do babci!

– Zabierz mnie stąd – zdołałam wydusić do Irka zagłuszana rykiem czterolatka. – I jego też.

Wróciliśmy z naszym bratankiem na poddasze. Zamroczony wódką Romek, w rozchełstanej koszuli, nawet nie zauważył, że zamiast do babci dziecko poszło z nami. Chłopczyk siedział przed telewizorem, pochlipując cichutko. Choć nigdy nie żywiłam wobec dzieci specjalnie ciepłych uczuć, to wyjątkowo wzruszył mnie ten rudy, pulchny malec, który zasypiał z główką wciśniętą w ramionka. Gładziłam jego miękkie włoski, a kiedy zasnął na dobre, Irek przeniósł go na łóżko, troskliwie otulił kołdrą i pocałował w czółko.

– Gówniany łańcuszek, co? – rzucił z goryczą. – Ojciec lał nas, my nasze dzieci i tak dalej. Posrane to wszystko – prychnął sarkastycznie.

Otworzył szerzej okno. Na poddasze wleciało pachnące mokrą ziemią powietrze. Irek stał tyłem do mnie, zapatrzony w ciemniejący wieczór.

– Zastanawiałaś się czasem, dlaczego tak nam się gównianie ułożyło, że dostaliśmy od życia tylko syf? – spytał rozgoryczony.

– Ciągle się nad tym zastanawiam.

– I co? Jakie wnioski? – Przymknął okno i odwrócił się do mnie.

– Nie wiem. Może na nic innego nie zasłużyliśmy? Słyszałeś, co powiedziała matka. Każdy ma to, na co zasłużył.

– Głupoty gadasz.

Nie miałam ochoty na rozdrapywanie przeszłości, choć mój brat ewidentnie do tego dążył. Ból głowy znów mi dokuczał. Ucisnęłam palcami skronie.

– Irek, mogę dziś u ciebie spać? Tamci będą pili do rana. Jutro wrócę do Gdańska.

– Śpij. W tamtym pokoju. – Wskazał za przepierzenie. – Ja tu przekimam z Alanem. Zrobię ci herbatę.

Dopiero teraz uważniej przyjrzałam się wnętrzu. Dwa niewielkie białe pokoiki ze skosami, w tym jeden połączony z otwartą kuchenką, wszystko w drewnie. Sosnowe meble, na nich sterty porzucanych papierów, chyba faktur, jakieś segregatory spiętrzone przy komodach. Mimo tego chaosu całość była ładna. Tylko łazienki brakowało.

– Może kiedyś uda się podłączyć kanalizację – tłumaczył mi Irek, parząc herbatę. – O ile ten, który tu zostanie, mnie nie wypędzi, bo spłacać kochanych braci za bardzo nie mam z czego. Przemek gadał, że chce się sprowadzić z Gabryską, chyba że do Londynu pojedzie, wczoraj się ugadywał z Romkiem i Leszkiem.

– Naprawdę masz tu ładnie. Sam to zrobiłeś? – spytałam, patrząc z uznaniem na harmonijnie zaprojektowane i wykonane na wymiar meble.

– Czegóż się tam człowiek nauczył. Poważnie, chcesz już jutro wracać? Przecież święta i w ogóle... – Brat popatrzył na mnie zawiedziony.

– Chyba nie powinnam tu w ogóle przyjeżdżać. Sam widziałeś. – Głos mi się załamał. Usiadłam na tapczanie, objęłam podkulone nogi i oparłam głowę na kolanach.

– A na co ty liczyłaś? – Irek usiadł obok mnie. – Chyba nie na czerwony dywan i powitalny chleb z solą. Tu nic się nie zmieniło i nigdy nie zmieni. Jak to mówią, constans. Hania, a gdybym cię poprosił, żebyś została? Dla mnie.

– Dla ciebie? – bąknęłam w kolana.

– Tu nie ma z kim pogadać, a ty zawsze byłaś inna. – Objął mnie ramieniem. Przytuliłam się do niego.

– Ty też byłeś inny. Jak byłam mała, to najbardziej bałam się ciebie. Zaraz po ojcu. Ale widzę, że się zmieniłeś.

– Miałem dużo czasu na myślenie przez te kilka lat odsiadki. – Zaśmiał się gorzko. – Jak człowiek trafi do gówna, to ma dwa wyjścia: albo w nim zginąć, albo spróbować się wydostać, ciągnąc za sobą smród. Miałem mądrego wychowawcę, dlatego wybrałem to drugie. Nawet umyśliło mi się na inżyniera kiedyś wykierować.

– To pięknie. Jak będziesz chciał, zostaniesz inżynierem.

– Poważnie tak myślisz? Nie jestem za stary? – spytał niepewnie. – W końcu mam już trzydziestkę z okładem.

– Poważnie. Nie poddawaj się. – Pogładziłam go po policzku.

Irek westchnął ciężko.

– Próbuję, czasem jednak takie mnie myśli nachodzą, że łatwiej wcisnąć z powrotem pastę do tubki, niż wyrwać się z szamba takiego jak nasze, bo tu – popukał się w pierś – dziura po nim wciąż jest.

– Skądś to znam – mruknęłam. Moja dziura była wielką wyrwą.

– Dla świata zawsze byliśmy i jesteśmy patolami, marginesem, wyrzutkami, społecznym szlamem...

– Przestań. – Nie mogłam znieść jego rozzalenia. Narastało z każdym wypowiedzianym głósniej słowem. – Obudzisz dziecko.

– Wiesz, jak ciężko zacząć normalne życie po kilku latach za kratkami? – spytał ciszej. – Pół roku jakiegokolwiek roboty szukałem, nim załapałem się do stolarza na czarno. Dopiero niedawno założyłem

działalność i na swoim jestem. Szafy wneńkowe, kuchnie, renowacja mebli. Nawet mam jakichś klientów, choć ci, co bardziej mnie znają, ciągle jak na bandytę patrzą. Ale tak to jest, jak się zasrało papiery w przeszłości. Wiem, sam jestem sobie winien, ale wiem też, że gdybyśmy rośli w innej rzeczywistości, wszystko mogło się potoczyć inaczej.

– Nawet nie odwiedziłam cię w więzieniu – szepnęłam zawstydzona. – Masz do mnie o to żal?

– To ty powinnaś mieć go do mnie. Nigdy cię nie broniłem jak starszy brat. Śmiałem się z ciebie, kiedy czytałaś przy piecu, dokuczałem, czasem szturchałem, za co bardzo cię teraz przepraszam. – Irek mocniej otoczył mnie ramieniem. – Gniewasz się?

– No coś ty. Przecież to było dawno.

– To jak, zostaniesz? Fajnie by było tak sobie zwyczajnie pogadać, lepiej się poznać. Możesz mieszkać u mnie. Tylko do wychodka będziesz musiała schodzić, ale wodę do mycia mogę ci nagrzewać. Ty naprawdę jesteś w ciąży? – Zajrzał mi w oczy.

Mogłam potwierdzić, zaprzeczyć, zignorować jego pytanie, ale zupełnie niespodziewanie powstała między nami szczerą więź. Bliskość, której nigdy nie zaznałam od nikogo z mojej rodziny, prócz Irka teraz. Dlatego powiedziałam prawdę.

– Mam raka.

– Uuuuu, to kiepsko. – Pokiwał smętnie głową. – Jakaś grubsza sprawa?

– Tak, ale nie chcę o tym teraz mówić, ty też nikomu się nie wygadaj. Nie chcę, żeby wiedzieli. Już nie.

– Nawet ci się nie dziwię. To jak, zostaniesz?

Zostałam w Niebie dla Irka. Zaskakiwał mnie wszystkim. Wrażliwością, planami, które sobie układał, nieoczekiwaną przemianą, jaka w nim zaszła. To z Irkiem chodziłam w pola patrzeć na słońce. Z nim przegadałam prawie cały ten czas. Z pozostałymi braćmi rozmowa się nie kleiła. Najczęściej pili, zwłaszcza w niedzielę na stypie, po mszy za duszę „nieodżałowanego Stanisława”. Nie poszłam do kościoła. Wystarczyło mi wcześniejsze przedstawienie. Matka, która i tak ledwo mnie tolerowała, przestała się do mnie odzywać. Ja też przestałam o to zabiegać. Pojęłam, że nie uda nam się nie tylko niczego naprawić, ale nawet wyjaśnić. Gdyby nie Irek, moja kolejna próba powrotu do rodziny byłaby totalną klęską. Wiedziałam, że następnej nie będzie.

Mój rak działał pracowicie. We wtorek pierwszy raz nie mogłam uśmierzyć bólu zwykłymi tabletkami. Nie dałam rady wrócić do Gdańska. Pół dnia przeleżałam na poddaszu z okładami wody i octu na czole, zmienianymi przez brata. Matka ani razu do mnie nie zajrzała. Nie wiem, skąd Irek wytrzasnął ketonal, ale dopiero po nim ból przeszedł.

Wciąż myślałam o Piotrze. Na spotkanie z nim czekałam najbardziej. Wiadomości od niego, choć krótkie, dodawały mi najwięcej otuchy.

*To kiedy będziesz? Wtorek już minął.*

Odczytałam ostatniego esemesa we wczesne środowe przedpołudnie. Siedziałam na tyłach domu, wygrzewając się w słońcu. Odpisałam:

*Dziś, a właściwie jutro. Wracam wieczornym pociągami.*

On:

*Wtorek nie wypalił? Nie mogłam się do Ciebie dodzwonić.*

Ja:

*Były problemy z siecią. Nie mogłam we wtorek. Będę jutro.*



On:

*Super, niedługo się zobaczymy. Pa.*

Byłam gotowa zabrać spakowaną torbę i od razu iść na stację, nawet nie żegnając się z matką. I może bym tak zrobiła, gdybym nie podsłuchiwała jej rozmowy z sąsiadkami. Stały przy płocie we trzy i gadały dość głośno. Nie widziały mnie, ukrytej za rogiem domu. Za to ja słyszałam je doskonale.

– Ciężko teraz Stachowej będzie – powiedziała jedna.

– A ciężko – sapnęła matka. – Chłop, jaki był, taki był, ale był, a tak człowiek sam na starość został.

– Dzieci przecież są – odezwała się druga. – Pewnie zabiorą do siebie. Na ludzi je wykierowała, to i o matce nie zapomną.

– A tak, dzieci mam udane – podchwyciła matka, a ja nadstawiłam uszu. – Najstarsi w Anglii siedzą. Bogato żyją, Romek rodzinę założył, za synem świata nie widzi. Dobry ojciec z niego. Leszek kursy na spawacza zrobił i brygadzystą w fabryce został. Funty zbiera, bo chałupę chce kupować. Irek na inżyniera planuje iść. Zręczny taki, firmę ma i meble piękne robi. A Przemek żenić się będzie i chyba na ojcowiznie zostanie. Dobre te moje chłopaki. Robotne, zaradne. Prawda, mój Stach ostry był, ale wszystkie dobrze wykierował i tak jak mówi sąsiadka, na ludzi dzieciaki wyszli.

– Tylko żeby więcej czasu mieli rodzinne strony odwiedzać – westchnęła pierwsza. – Moje tylko na święta wpadają. Córka częściej, w Elblągu w hotelu robi, a synowie rzadziej. Ale Hanki długo nie było. I taka bledziutka przyjechała.

– Jak ojca chowali, to jaka miała być? – zapięła matka. – Wiadomo, żałość ją taka chwyciła, a i zaharowane to dziewczuszyko moje. Nic, tylko praca i praca. Mówię jej, żeby się nie zabijała za groszem, na siebie patrzyła, boć w ciąży jest, ale kto teraz matki słucha? Sklep mają, to Hanka od rana do nocy w nim siedzi. Wiadomo, pańskie oko konia tuczy. Mieszkanie kupili z mężem nowe w Gdańsku, to i na bank zarobić trzeba. Dobrze się tej mojej córce wiedzie. Zgodnie żyją, po bożemu, bo i ksiądz koniec końców pobłogosławił. Mój zięć z Gdańska, to w tamtejszej parafii wszystko ugadali. A ja to chyba do Romka pojedę, przy dzieciach pomogę, bo moja synowa drugie pod sercem nosi...

Zbierało mi się na wymioty, gdy słuchałam tej przemowy mojej matki. Bez mrugnięcia okiem sprzedawała sąsiadkom wydmuszkę powleczoną złotą farbą. Zatrzęsło mnie od jej hipokryzji. Nie wiedziałam, czy iść wykrzyczeć prawdę, czy też pozwolić matce malować ten sielankowy obrazek rodziny? Zostałam na ławce.

Zdobyłam się tylko na jedno pytanie, gdy jakiś czas później zegnałam się przed wyjazdem. Matka siedziała sama w kuchni i obierała kartofle do obiadu.

– Mamo, czy ty mnie kochasz?

Nóż energiczniej zaczął pracować w jej pomarszczonych rękach. Milczała.

– Odpowiesz? – spytałam, stojąc w progu.

– Przyjechałaś tu matkę spowiadać? – warknęła. – Dwa dni cię w bólach rodziłam, przy cycku trzymałam i taka wdzięczność mnie za to spotkała od jedynej córki! – rzuciła ze złością, nawet na mnie nie spojrzawszy, tylko obierzyny szybciej spadały do wiadra. – Głodna chodziłaś? Chłodna? Pod mostem spałaś? Zarzynałam się, byle dom utrzymać, byście wszystko mieli, a ty tak mi odpłacasz? Pracy was nauczyłam, żebyście w świecie nie zginęli, a ty tak...

Matka cisnęła nóż do wiaderka i dopiero wtedy na mnie spojrzała.

– Brakowało ci czegoś?

Wbiła we mnie szare, przygaszone oczy, pełne niewypowiedzianych jeszcze pretensji. Siedziała z rozsuniętymi na boki, otłuszczonymi kolanami, w czarnej sukience i chustce zawiązanej na karku. Sześćdziesięcioparoletnia, odległa kobieta. Moja matka.

– Ciebie.

Nie powiedziałam nic więcej, po prostu zamknęłam za sobą drzwi. Już nie chciałam zdobywać szklanej góry nieporozumień. Ani niczego wyjaśniać, o nic więcej pytać. Może matka miała rację i to ja jestem wyrodną egoistką? Nieważne, teraz już nie. Intruz we mnie dla mojej matki pozostanie ciężką. Zabrałam siebie, raka, torbę i wsiadłam do starego dostawczaka Irka.

Wolałam spędzić na stacji w towarzystwie brata te kilka godzin, nim przyjedzie pociąg, niż zostać w domu pogrzebanych nadziei.

– Nic nie boli tak jak życie, prawda, siostra? – odezwał się filozoficznie, gdy czekaliśmy w holu stacyjki.

Żółtawa olejna farba łuszczyła się ze ścian. Zdeptane płytki na posadzce pokrywała warstwa wiosennego błota z butów. Wysokie okna dawno nie widziały płynu do czyszczenia szyb. Niebo w dali zaciągnęło się deszczowymi chmurami, wiatr łomotał w drzwi. Znużona kasjerka w okienku piłowała paznokcie. Siedzieliśmy na ławce pod ścianą, ramię przy ramieniu. W tej ponurej scenerii pytanie brata tylko zwiększyło moje przygnębienie. W odpowiedzi kiwnęłam jedynie głową.

– Weź, przyda ci się. – Wyjął z plecaka prawie pełne opakowanie ketonalu i zawinięte w folię kanapki.

– Skąd masz te tabletki? Są na receptę.

– Lekarz mi zapisał, jak miałem zapalenie zęba. Już ich nie potrzebuję. Kanapki zjedz. Powinnaś mieć teraz dużo siły.

– Dzięki, Iruś – szepnęłam, ujęta jego troskliwością. – Wracaj, idzie burza, jeszcze się zakopiesz w tych koleinach na drodze.

– Poradzę sobie. Hania – spojrzał na mnie – ale ty... nie umrzesz?

Ręka mi zadrżała, gdy przysunęłam ją do policzka brata.

– Każdy kiedyś umrze, tylko ja... trochę wcześniej. Jedź już, proszę. Tak będzie lepiej.

Wstał i prędko ruszył do wyjścia.

– Przyjadę do ciebie – rzucił przez ramię.

Głos miał tak zduszony, jakby na siłę wyciskał go z gardła. Irek też nie pasował do miejsca, w którym przyszedliśmy na świat. Musieliśmy tu trafić przez pomyłkę.

Rozszalała się burza z piorunami. Łoskot i błyskawice rozrywały ciemne niebo. Opóźniony pociąg z Kętrzyna wreszcie wtoczył się na stację. Ruszyłam ociężale na peron wraz z grupką kilku osób, gdy nagle ktoś złapał mnie za rękę. Odwróciłam się i nagle wszystko wokół pojaśniało. Wręcz zaświeciło słońce, choć burza się wzmogła.

– Już się bałam, że nie zdążę. Witaj, Haniu. – Piotr objął mnie serdecznie.

– Ale skąd ty tutaj... jak... nie rozumiem – zaczęłam się jąkać z wrażenia, przyciskając głowę do jego skórzanej kurtki.

Prędko wysunęłam się jednak z ramion Piotra, by nie wyczuł, jak łomocze moje oszalałe serce. Brakowało sekund, abym się odkryła ze swoimi uczuciami. Może bym i zaryzykowała, gdybym w jego uścisku nie dostrzegła wyłącznie zwykłego, powitalnego, przyjacielskiego gestu.

– Przyjechałem po ciebie. – Zarzucił na ramię moją torbę. – Całe szczęście, że pociąg miał opóźnienie, inaczej bym nie zdążył.

– Nie umawialiśmy się, że po mnie przyjedziesz – powiedziałam, ochłonawszy na tyle, by mój głos zabrzmiał pewnie.

– Wiem, ale nie mogłem ryzykować, że nie przyjedziesz do Gdańska na czas. Sprawdziłem połączenia i jestem. Mam dla ciebie niespodziankę. Chodź, wszystko ci opowiem.

W strugach ulewnego deszczu przemknęliśmy do samochodu, innego niż ten, którym zwykle jeździł Piotr. Tamten był czarny, a ten biały. Po ciemku nie rozróżniłam marki, tylko kolor. Piotr pomógł mi

zapiąć pasy, uregulował fotel, nawet pled narzucił na kolana.

– Dziękuję. – Rozłożyłam na sobie koc. Ten sam szary i puszysty, którym okrywałam się na sofie. Owinęłam się w niego bardziej z wewnętrznej potrzeby niż z chłodu. – To miłe, że przyjechałeś.

– Do usług, współpracuję.

Uruchomił silnik, włączył płytę w odtwarzaczu i ruszyliśmy. Znałam tę muzykę, ale nie mogłam sobie przypomnieć skąd. W mojej głowie pojawiła się wielka czarna dziura.

– Zmieniłeś samochód? – spytałam, pośpiesznie przeczesując pamięć. Co to za piosenka? Brzmi jak fleciki albo organki? Skądś ją znam.

– Pożyczyłem od kolegi, mój złapał karpia. Ścisłej, karpie w czterech kołach. Boli cię głowa? – zaniepokoił się Piotr.

– Nie, nie. Wszystko w porządku, usiłuję tylko coś sobie przypomnieć. Ta... piosenka.

– To część niespodzianki – stwierdził zadowolony. – Złota rybka wzięła się uczciwie do pracy. Za trzy dni wypływamy w rejs, droga Rose. Dlatego przyjechałem po ciebie. Bałem się, że znów coś ci wypadnie, jak we wtorek, i nie wrócisz na czas.

Już wiem. Céline Dion, przypominałam sobie tę piosenkę z *Titanica*. Odwróciłam głowę w drugą stronę, by Piotr nie widział moich łez.

– Haniu, śpisz?

– Nie – wykrztusiłam, przygryzając wargi.

– Chcę ci podziękować.

– Za co?

– Za to, że otworzyłaś mi oczy. Miałaś rację, jedno słowo czasem może działać cuda. A u ciebie?

– A u mnie cud nie nastąpił. Z małym wyjątkiem. Potem ci opowiem, teraz chciałabym posłuchać.

– Jeśli masz ochotę, to możesz jej słuchać non stop aż do Gdańska. Powiedz tylko, gdybyś chciała się zatrzymać na jedzenie albo coś innego.

– Yhmm.

– Już nie przeszkadzam. Słuchaj piosenki, Rose.

Ciekawe, czy ty okażesz się Jackiem, zastanawiałam się zatopiona w marzeniach równie mocno, co w melodii. Przecież właśnie po to wymyśliłam takie życzenie.

# Piotr

Jak można aż tak się cieszyć z małych rzeczy, jak robi to Hania? Nie mogłem tego pojąć. Wręcz promieniała szczęściem, gdy w ostatnią niedzielę kwietnia wchodziła na jacht.

Wkroczyła na pokład z gracją światowej damy, choć ubrana była zwyczajnie, żeby nie powiedzieć, skromnie. Czerwony polar, dzinsy, czapka z daszkiem, zamotane w węzeł włosy na karku, całość urzekająco naturalna. Miała tyle zachwyty w oczach, jakby rzeczywiście wypływała w długą podróż transatlantykiem, a nie w krótki rejs starym, wysłużonym jachtem motorowym, który Wojtek wypożyczył od kolegi.

Łajba, o wdzięcznej nazwie „Sasanka”, czekała na nas zacumowana w gdyńskiej marinie, pomiędzy całą masą mniej lub bardziej okazałych łodzi. Od samego widoku tej flotylli mogło się zakręcić w głowie.

Nie musiałem też za nic płacić, kolega Wojtka okazał się moim fanem i za komplet kryminałów z autografem zgodził się wynająć łódź. Po raz pierwszy naprawdę ucieszyłem się, że jestem pisarzem. I nie chodziło o zapłatę za czarter, tylko o to, że mogłem bez kłopotu i prawie od ręki sprawić radość Hani.

Dla niej wciąż chciało mi się chcieć, a nawet poświęcać, byle tylko móc spełnić jej pragnienia. Sam o podróży morskiej, nawet kilkugodzinnej, marzyłem najmniej. Wilgotniałem na samo wspomnienie wyprawy wodolotem na Hel, na którą kiedyś jeden jedyny raz zabrali mnie rodzice. Mało nie umarłem, tak mnie wymęczyła choroba morska.

Dlatego dziś przed wejściem na pokład łyknąłem ukradkiem dwa aviomariny. A po chwili namysłu dołożyłem trzeci. W końcu nie ułomek ze mnie, ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, a pigułki wydały mi się śmiesznie małe. Musiałem mieć absolutną pewność, że moja słabość nie popsuje przyjemności Hani. Ona jak nikt i nic napędzała mnie do działania, łągodziła napięcia.

Gdyby nie myśl o Hani, pognałbym pewnie do Elżbiety z awanturą o przebite opony. Nie miałem większych wątpliwości, kto za tym stoi. Zwyciężył jednak pomysł, by jechać do Nieba. Właściwie nie wahałem się wcale. Gdybym tylko miał dla Hani lepsze wieści, westchnąłem w duchu.

Przez minione dni odebrałem dość sporo odpowiedzi od neurochirurgów. Kilku napisało, że taka lokalizacja guza to beznadziejny przypadek. Trzech, że nie udzielają mejlowych konsultacji, zwłaszcza osobom, które nie są członkami rodziny. Kilku poprosiło o więcej szczegółów, których, niestety, nie znałem, a powinienem. Swoją drogą muszę jakoś wyciągnąć od Hani te wyniki. Tylko jeden lekarz wyraził chęć obejrzenia pacjentki. Problem w tym, że był na stypendium w Szwajcarii i wracał za trzy miesiące.

Trzy miesiące w przypadku Hani to cała wieczność. Po powrocie z Nieba była jeszcze bledsza, chudsza, choć wydawało się to już niemożliwe. I ona ma czekać jeszcze trzy miesiące? Krew mnie zalewała, że na razie nie mogłem działać nic więcej, niż tylko sprawiać jej maleńkie radości. Choćby tym krótkim rejssem i trochę kiczowatą oprawą, którą zaplanowałem. Wojtek podśmiewał się z moich pomysłów, ale zrobił wszystko tak, jak prosiłem, co oceniłem pobieżnie, ledwo moje stopy stanęły na chybottliwym pokładzie. Uczepiłem się ręką jakiegoś poprzecznego drąga i zajrzałem do małego

pomieszczenia pod pokładem, szumnie zwanego kokpitem.

Ładnie nakryty stół, w pudełkach zamówiony catering, rozstawione głośniki, płyta Céline Dion, tylko z pogodą słabo. Było pochmurno i wietrznie, a morze falowało za mocno jak na mój gust. Dopiero piętnasta, może potem się przejaśni, pomyślałem z nadzieją. Pocięczałem się jednak tym, że na razie mój żołądek nie reagował w zwyczajowy sposób.

– Będzie około piątki – zaczął wyjaśniać Wojtek po dokonaniu oficjalnych prezentacji. – To prawie cisza na morzu. Wieje z północy, więc z początku będzie nam dmuchało w dziób, a potem, jak weźmiemy kurs na zachód, w prawą burtę. Pływała pani kiedyś? – spytał, podtrzymując Hanię, gdy zachwiała się lekko.

– Nie, to będzie mój pierwszy raz – odparła z ekscytacją, bez cienia strachu na twarzy. Nawet nie była taka blada jak zwykle. Wiatr albo emocje zaróżowiły jej policzki. – Już się nie mogę doczekać.

– No to urządzimy pani chrzest morski – zdecydował kapitan Wojciech Has. – Bo my z Piotrkim mamy niejedną taką wyprawę za sobą. Prawdziwy wilk morski z niego. Coś taki żółty na gębie? Strułeś się czymś? – Obrzucił mnie pozornie zatroskanym spojrzeniem.

Zabiję drania, normalnie zabiję, jak tylko wrócimy, zazgrzytałem z wściekłości zębami, że mój serdeczny kumpel tak ze mnie pokpiwa i dobrze się przy tym bawi. Na razie jednak rzuciłem beztrosko:

– W tym kolorze mi nie do twarzy.

Wskazałem na swój żółtawy sztormiak. Wojtek miał podobny na sobie. Taki sam podał też Hani.

– Proszę to włożyć. Może nas trochę zalewać. Na to jeszcze kapoki. Bosman, ty też. – Kiwnął rozczochranym łbem w moją stronę.

Filigranowa postać Hani niemal utopiła się w wielkiej kurtce i masywnym kapoku, który Wojtek dokładnie jej dopasował. Potem wyjął z kieszeni opakowanie tabletek.

– To na wszelki wypadek – podsunął Hani, jak dostrzegłem, aviomarin. – Lepiej znieś pani kołysanie.

– A będę po tym senna? – spytała z wahaniem.

– Niewykluczone – odparł.

– W takim razie zrezygnuję. Wolę wszystko przeżyć na jawie, żeby niczego nie przegapić. Piotr, zobacz tylko, jak tu pięknie! – Rozpromieniona zatoczyła ręką półkole, a po chwili zaklaskała.

Starłem się dostrzec owo piękno w kilku majaczących żaglach w oddali, szkaradnym wielkim bunkrowcu „Sky Tower”, sterczącym nad obskurnym portem, mizernym połysku wody, szarości powietrza, tylko gdzieniegdzie muśniętej słonecznym prześwitem – i za bardzo go nie widziałem. Ale skoro ona widziała, to zgodziłem się potulnie.

– Prześlicznie, Haniu.

– Odplywamy – zakomenderował Wojtek i wręczył Hani krótkie wiosło. – Ma pani ochotę popracować pagajem?

– Z największą przyjemnością. – Ucieszyła się jak dziecko.

– To proszę tu usiąść. – Wskazał miejsce obok siebie. – Zrobię z pani swojego załoganta. Bosman, odczepiaj cumy!

Grabisz sobie, cholernie sobie grabisz, moje oczy ciskały w jego kierunku gromy i błyskawice. Wojtek tylko się uśmiechał; podszedł do mnie, gdy wciąż tkwiłem w tym samym miejscu pokładu i niby to sprawdzając mi kapok, spytał dyskretnie:

– Brałeś aviomarin?

– Yhmm.

Tabletki zadziały idealnie. Płynęliśmy od dobrych trzydziestu minut wzdłuż wybrzeża, jachtem trochę kołysało, a ja czułem się doskonale. Nie miałem żadnych mdłości, nawet żartowałem, gdy siedzieliśmy z Hanią wsparci o relingi, które dla mnie pozostaną barierkami. Owiewał nas wiatr, trochę ochlapywała

woda. Wojtek trzymał ster. A ja w myślach powtarzałem sobie scenę z *Titanica*, którą zamierzałem odtworzyć.

Hania stanie na dziobie, rozłoży ręce tak jak Rose, ja ją podtrzymam i zrobię wszystko, byśmy nie wpadli do morza, jednak co innego ogromny statek, a co innego jachcik, którym płynie. Na mój znak Wojtek włączy płytę Céline Dion i popłyniemy ku zachodzącemu słońcu.

Nawet zaczęło się rozpogadzać, więc nie traciłem nadziei, że jednak ujrzymy pomarańczowy zmierzch jak na filmie. Wcześniej zjemy zamówioną kolację.

Zeszliśmy oboje do skromniutkiego kokpitu, w którym nie mogłem się do końca wyprostować. Usiedliśmy przy stoliczku, wyłożyłem z opakowań zamówiony catering, a Hania aż krzyknęła z niedowierzania, gdy patrzyła na kolorowe potrawy z przewagą owoców morza. Nawet i mnie się zaostrzył apetyt. Zamierzam wręczyć Hani bukiet kwiatów i drobny prezent, aby zaakcentować scenę, którą odegramy. Długi, powiewny szal, który będzie furkotał na wietrze podobnie jak u Rose, skoro chciała poczuć się jak ona.

Hania opowiada coś z ożywieniem. Moje jest zdecydowanie mniejsze. Właściwie czuję totalny jego brak. Wszystko mi się rozmazuje przed oczyma, głos spowalnia. Nie mogę zapanować nad sennością.

Nie miałem pojęcia, jak długo spałem, gdy doleciał do mnie głośny okrzyk.

– Ahoj! – rozległ się mocny ryk Wojtka.

– Ahoj! – Teraz delikatniejszy, ale też wyraźny głos Hani.

Podniosłem się ociężale z wąskiej ławeczki pod pokładem i wygramoliłem na górę.

Patrzę i oczom nie wierzę.

Za sterem stoi Hania. Za nią Wojtek, z rękoma gotowymi do asekuracji tuż obok rąk Hani, która mocno trzyma masywne koło sterowe. Mój przyjaciel nachyla się do jej ucha, coś tłumaczy, a ona słucha z przejęciem, uśmiechając się szeroko. Wygląda tak cudnie, że znów nie mogę się na nią napatrzeć. Jej rozpuszczone włosy wiatr zwiewa na równie roześmianą twarz Wojtka. Wyglądają jak para zakochanych. Za nimi resztki najpiękniejszego słońca, jakie mogło się trafić na ten wymarzony rejs. I w tym ja, który wszystko przespałem. Nie było takiego przekleństwa, jakim sam siebie nie uraczyłem w duchu.

– Piotr, sama prowadzę statek! – krzyknęła podekscytowana. – Wojtek mnie nauczył!

– Nasza Hania to urodzony marynarz! – zaśmiał się mój przyjaciel, szczerząc zębiska.

Byłem wściekły na siebie, że przegapiłem wszystko, co miało być dla niej najważniejsze tego dnia.

Nie wiedziałem, gdzie mam podziąć oczy ze wstydu, że okazałem się aż takim fajłapą. Bąknąłem coś niemrawo na kształt przeprosin, w momencie gdy Wojtek cmoknął Hanię w oba policzki, jak odchodziła od steru. Ona cmoknęła też jego.

Wpływaliśmy akurat do mariny, gdy w jednej chwili stałem się swoim własnym Kolumbem. Nagle odkryłem Amerykę i dotarłem do swojego wnętrza jak do nieznanego lądu. Było to tak nieoczekiwane objawienie, że nie mogłem uwierzyć.

Nie wiem, jak Hania tłumaczyła sobie moje oszołomienie, które długo nie chciało minąć, ale nie przestawała mnie zapewniać, że nie ma mi za złe nieplanowanej drzemki. W zamian drobiazgowo dzieliła się wrażeniami, gdy późnym wieczorem siedzieliśmy w jej mieszkaniu.

– Przestań już się tak zamartwiać – prosiła kolejny raz. – Było naprawdę bardzo przyjemnie. Nigdy w życiu nie przeżyłam takiej przygody.

– Którą ja przegapiłem – stwierdziłem smętnie.

Zrezygnowany podparłem ręką czoło. Nie mogłem spojrzeć jej w oczy, choć były tuż przede mną, po drugiej stronie stołu. Stał na nim bukiet róż ode mnie. Okazalszy niż ten, który dostała od tego dupka, swojego męża.

– Wybacz, ale przeholowałem z tabletkami.

– Wiem, Wojtek mi mówił, że masz chorobę morską – powiedziała pocieszającym tonem. – Każdemu może się zdarzyć. To nawet dobrze, bo już myślałam, że jesteś idealny.

– Wcale nie jestem idealny. Raczej składałam się z wad, ale ten rejs miał być idealny, a ja nawaliłem. – Nie przestawałem bić się w piersi.

– I był – zapewniła mnie żarliwie. – Naprawdę czułam się jak Rose. Wojtek o wszystko zadbał. I takie piękne róże mi kupił.

– To ja miałem być twoją złotą rybką, nie Wojtek. – Westchnąłem. – Mam coś dla ciebie.

Wyjąłem z plecaka płytę Céline Dion i lazurowy szal. Najdłuższy, jaki znalazłem w Galerii Bałtyckiej.

– Przyjmij to na przeprosiny. – Podałem jej paczuszkę w ozdobnym papierze. – Miał być dodatkiem do rejsu.

Otwiera powoli pakuneczek, wyjmując przejrzystą tkaninę i mówi z niekłamanym zachwytem:

– Jaki śliczny. Dziękuję.

Zarumieniona, zarzuca długi muślin na ramiona. Wygląda uroczo w tym kolorze. Włączam płytę w odtwarzaczu i kłaniam się przed Hanią.

– Zatańczysz ze mną, Rose?

– Tak – szepcze.

Rozczuła mnie tą swoją eterycznością. Lekkością ruchów, delikatnym uściskiem małej dłoni, którą trzymam w swojej. Kołyszemy się powolutku na środku dywanu. Hania ma przymknięte oczy, na jej twarzy maluje się zachwyty. Przyciskam ją mocniej do siebie, zamykam w ramionach. Opiera głowę o moją pierś.

Po chwili poczułem, jak wzdrygnęła się raz i drugi. Skrzywiła się i odsunęła gwałtownie.

– Przepraszam. – Pobiegła do łazienki z ręką przyciśniętą do ust.

Przekłęty glejak, z bezradności zacisnąłem oczy. Podkręciłem głośniej muzykę, chcąc zagłuszyć dramat w łazience. Nie chciałem, żeby Hania poczuła się zakłopotana, że jestem świadkiem jej zmagania. Zdążyłem już poznać ją od tej strony. Nie toleruje litości i uzalania się nad swoim stanem. Jeszcze bardziej podziwiałem hart ducha tej młodej kobiety o wielu twarzach. Silnej i słabej, wojowniczej i łagodnej. Mógłbym mnożyć określenia i żadne nie oddałoby w pełni jej osobowości.

– Piotr. – Wychodzi po kwadransie biała jak kreda. Oddycha ciężko, patrzy, nie widząc, grymas cierpienia wyostreza jej rysy. Czuję bolesny skurcz serca na ten widok. – Będziesz musiał już iść.

– Pozwól mi zostać – próbuję nalegać. Podtrzymuję Hanię i pomagam jej ułożyć się na wersalce.

– Nie – odmawia zdecydowanie. – Nie chcę, żebyś mnie oglądał w takim stanie. Tak się umawialiśmy.

– Wiem, ale...

Unosi rękę na znak protestu. Nie naciskam dłużej. Niczym, ale to absolutnie niczym nie chcę jej zrazić. Zwłaszcza że wciąż nie mam żadnego konkretnego. Jedyne, co mogę zrobić, to zaparzyć miętę, rozpuścić saszetkę elektrolitów, podać Hani ketonal i wyjść.

– Piotr...

– Tak? – Kucam przy wersalce.

– Musimy wszystko... przyspieszyć. – Wbijają we mnie wzrok. W jej oczach jest tyle determinacji, że aż mnie wstrząsa. – Obiecuj.

– Obiecuję.

Pocałowałem ją w czoło i wyszedłem w pośpiechu.

Gdybym nie zrobił tego tak prędko, to zwyczajnie rozryczałbym się z żalu. Nie mogłem znieść, że na moich oczach glejak bez litości zabiera tę dziewczynę.

Obiecuję, przysięgam, że zrobię wszystko, by ci pomóc, Haniu, deklarowałem w myślach. Gdybym nawet osobiście miał się dobijać do drzwi wszystkich lekarzy, nie poddam się, dopóki nie znajdę kogoś,

kto wyrwie cię z pazurów tego potwora. Chciałem czym prędzej sprawdzić pocztę. Nie było dla mnie nic ważniejszego.

Ledwo zdążyłem uruchomić komputer, zadzwonił telefon.

– Pół dnia próbuję się z tobą skontaktować – usłyszałem pełen pretensji głos Michała.

– Byłem na morzu.

– Tyyyyy? – zdziwił się niepomiernie.

– No widzisz, czymś jednak mogę cię zaskoczyć. Z czym dzwonisz? – spytałem wprost.

Liczyłem na jedną odpowiedź i się nie pomyliłem.

– Mam dla ciebie od mamy Asi namiar do dobrego neurochirurga z Katowic. Podobno magik, jakich mało.

– Synek, jesteś wielki! – wykrzyknąłem z radości. Złapałem ołówek i zanotowałem adres mejlowy do Waldemara Terleckiego. – Zaraz do niego napiszę. Co u ciebie?

– Wszystko gra. I babcia też kogoś znalazła. Dzwoniła do mnie, bo z tobą nie mogła się skontaktować.

– Zaraz się z nią porozumiem – zerknąłem na zegarek. Minęła dopiero dziesiąta wieczorem.

– Daj od razu znać, jak coś ustalisz. Kończę, bo jesteśmy z Asią w multipleksie. Narka.

– Narka, synek – podłapałem slang Michała. – Pozdrów swoją Asię ode mnie.

– Pozdrowię.

Zanim zadzwoniłem do mamy, napisałem esemes do Hani.

*Lepiej się czujesz? Może jednak wrócę? Bardzo się martwię.*

Odpisała po chwili.

*Właśnie zasypiałam. Znacznie lepiej. Ty też już śpij i nie martw się. Dziękuję za dziś, najwspanialsza Złota Rybko na świecie.*

Odetchnąłem. Naprawdę poczułem ulgę, ale spać nie zamierzałem. Zadzwoniłem do mamy. I znów usłyszałem zdziwienie.

– Pływałaś jachtem? Tyyyyy?

– Tak, ja – potwierdziłem krótko, bez wdawania się w szczegóły. – Podobno masz coś dla mnie.

– A mam. Jeden z moich dawnych uczniów skończył medycynę i jest neurochirurgiem. Pracuje w szpitalu uniwersyteckim w Krakowie. Dowiedziałam się pośrednio, bo nie mam Darka na fejsbuku, dlatego nawet nie wiedziałam, że jest lekarzem. Ale Rafał, którego mam wśród znajomych, jest z nim w kontakcie, dlatego od razu zapytał go o mejla. – Mama wpadła w wyjaśniający, nauczycielski ton. Wolałem od razu konkrety.

– Podaś mi ten adres? – przerwałem jej, by ubiec ewentualne wspominki z dawnych lat.

– Naturalnie, tylko gdzieś zapodziałam karteczkę. Antoś! – zawołała. – Widziałeś tę różową karteczkę z namiarem na Darka?! Chyba położyłam ją pod telewizorem!

– Już szukam, Celinko! – odkrzyknął.

Oczami wyobraźni widziałem spokojne ruchy ojca, zbyt powolne jak na moją niecierpliwość.

– A ta druga sprawa? – spytałem, by nie tracić czasu.

– Prawie załatwiona – odparła mama. – Szykujcie się choćby na jutro. Tylko daj nam wcześniej znać, żebyśmy z ojcem ze wszystkim zdążyli.

– Jesteś nieoceniona, dzięki – ucieszyłem się.

– Cała przyjemność po naszej stronie, ale... – Zawahała się.

– Tak? – Poczujęm niepokój.

– Nic, chciałam tylko powiedzieć, że ostatnio bardzo się zmieniłeś, Piotrze. Mam już ten adres. Notuj.

Od razu wysłałem dwie wiadomości do ludzi, w których pokładałem największe nadzieje. Być może na wyrost. Być może odpiszą podobnie jak poprzednicy, że nic nie da się zrobić, ale wolałem uchwycić się



tej pajęczynki nadziei, że jednak będzie dobrze.

Zmieniłem się? Nonsens. Przecież kiedyś taki byłem. Teraz tylko ktoś albo coś obudziło mnie z bardzo długiego snu. Było to przyjemne przebudzenie, które jeszcze bardziej zmotywowało mnie do walki o Hanię. Postanowiłem jednak, że z niczym się przed nią nie zdradzę, dopóki nie będę miał dobrej wiadomości. Dopiero wtedy wyłożę karty na stół.

# Hanka

Ze wszystkich miesięcy najbardziej lubiłam maj. Pachnące kiście bzu, młodziutką zieleń na drzewach, cieplejsze dni. I nawet kiedyś ten miesiąc budził we mnie nieśmiałe nadzieje na przyszłość. Ale nie tym razem. Teraz, choć maj trwa dopiero od kilkunastu godzin, ogarnęło mnie przygnębienie.

Glejak jest jak sprytny lis. Raz chowa się w głębokiej norze, a raz z niej wyłazi i panoszy się we mnie jak uzurpator. Od dwóch dni siedzi jednak cichutko w ukryciu. Nie czuję mdłości, nic mnie specjalnie nie boli, nie mam żadnego drętwienia palców, zamazanych obrazów, dziur w pamięci. A jednak jestem przygaszona.

Może dlatego, że Piotr zachowuje się nieco inaczej? Niby wszystko jest po staremu, chodzimy nad morze, rozmawiamy, robimy zakupy, z tym że jak tylko ma możliwość, natychmiast dopada do komputera. Na ogół jest wtedy spięty, co zauważam od razu.

Obserwuje mnie też jakby wnikliwiej, wypytuje bardziej szczegółowo, zwłaszcza o wyniki badań. Odpowiadam półsłówkami. Drażnią mnie te rozmowy o glejaku. I tak wiem, że ta cisza w mojej głowie to tylko chwilowy spokój przed burzą, nim rak zaatakuje mocniej. Boję się, coraz bardziej się boję.

Tylko kilka dni temu, podczas rejsu, naprawdę zapomniałam o moim guzie. Za to ten przypomniał o sobie w najmniej właściwym momencie. Przez jedną, jedyną chwilę, gdy Piotr dawał mi ten szal i prosił mnie do tańca, miałam nadzieję, że coś się wydarzy, ale przeżyłam kolejne gorzkie rozczarowanie, gdy rak pokazał, kto tu rządzi.

– Dlaczego nic nie mówisz? – Z zamyślenia wyrывa mnie głos Piotra.

Jest dziś taki podekscytowany. Jedziemy trójmiejską obwodnicą w stronę Gdyni. Na budynkach, słupach, nawet na samochodach powiewają biało-czerwone flagi.

– Zapatrzyłam się – odpowiadam niemrawo, nie odrywając twarzy od widoków za szybą. Nie miałam specjalnej ochoty na tę wycieczkę, ale uległam namowom Piotra. Mimo wyjątkowo pięknej pogody rozpanoszył się we mnie mrok, którego nie mogę się pozbyć.

– Dokąd jedziemy? – pytam bez specjalnego zainteresowania.

– Zobaczysz. – Rzuca mi krótkie spojrzenie znad kierownicy. – Niespodzianka.

Po kwadransie jazdy prawie w milczeniu, nie licząc jakiejś wspomnieniowej audycji w radiu o pochodach pierwszomajowych, Piotr skręca w las. Jedziemy jeszcze chwilę i zatrzymuje się na parkingu. Wysyła komuś esemesa.

– Jesteśmy prawie na miejscu – oznajmia zadowolony, otwierając drzwi od mojej strony.

– Na grzyby za wcześnie – zauważam z dużo mniejszym entuzjazmem.

– Tym razem to zupełnie co innego. Czas na drugie życzenie. Nie wiem, czy będzie to niezwykle, ale mam nadzieję, że choć trochę ci się spodoba. Idziemy?

Obojętnie wsuwam rękę pod jego ramię.

Idziemy leśną ścieżką między rachitycznymi sosnami. Gdańskie lasy są zupełnie inne niż te w moich stronach. Uboższe, raczej liściaste i rzadsze. Nawet zapach jest inny, a może tylko tak mi się wydawało. Nie wiem, czy sprawiło to leśne powietrze, czy też świergot ptaków, ale mój humor odrobinę się poprawia. Po kilkuset metrach Piotr przystaje.

– Pozwolisz? – Wskazuje na mój lazurowy szal, z którym się nie rozstaję. Mam go teraz na szyi. Nawet ładnie się komponuje z moim granatowym sweterkiem i ciemną bluzą Piotra.

Zdjął przezroczystą tkaninę, złożył na kilka części, po czym zawiązał mi ją na oczach. Dziecko, traktuje mnie jak dziecko, zżymałam się w duchu. Miałam na końcu języka pytanie, czy będziemy się bawić w ciuciubabkę, ale nie chciałam psuć jawnej radości Piotra. Wziął mnie za rękę i poprowadził za sobą. Czulałam ciepło jego dłoni. Dużej i miękkiej. We mnie też rozlało się jakieś ciepło. Przez cienki materiał sporo widziałam, choć nie mogłam rozróżnić szczegółów. Weszliśmy głębiej w las. Piotr zostawił mnie na chwilę i dalej poszedł sam. Trwało to ułamek sekundy, nim zawołał.

– Już!

Zsunęłam opaskę.

Pomiędzy wysokimi drzewami stał mały świerczek ustrojony w kolorowe bombki i srebrzyste łańcuchy. Nawet złocisty czubek był zatknięty na szczycie, a zielone igiełki gdzieś tam pokrywały cieniutkie pasemka waty. Wyglądały jak śnieg. Między gałązkami migotały kolorowe lampki podłączone do akumulatora. Pod drzewkiem ktoś rozłożył koc, a na nim niewielki śnieżnobiały obrus. Stał tam też wiklinowy kosz, przykryty kraciastą serwetką.

– Opowiadałaś mi trochę o świętach w twoim domu, dlatego pomyślałem, że sprawię ci przyjemność i urządzimy sobie Boże Narodzenie, tak awansem, w maju. – Piotr otoczył mnie ramieniem.

Bo prawdziwego już nie doczekam, przemknęło mi przez głowę i nagły skurcz ścisnął mi serce.

– Trochę syn mnie natchnął tym pomysłem. Podoba ci się?

– Bardzo – przyznałam na wydechu. – Ale jak ty to wszystko sam...? Kiedy...? – dopytywałam się, wzruszona niespodzianką.

– Pomogły mi znajome krasnoludki – odpowiedział ze śmiechem – ale już pomknęły do innych zajęć. Zajrzyjmy do koszyka, co nam zostawiły.

Usiedliśmy na kocu. Piotr wyjmował po kolei plastikowe pojemniczki z przygotowanym jedzeniem, prawie w bożonarodzeniowym menu. Pierogi, ryby, makowiec, znajome mi rogaliki. Chyba znam te krasnoludki.

– Podziękuj mamie – wykrztusiłam ze ściśniętym gardłem.

– Skoro się domyśliłaś, to już nie będę ukrywał, kim są te dwa krasnoludki. Muszę przyznać, że spisali się oboje na medal – odparł z dumą. – Ojciec nawet lampki zorganizował domowym sposobem i przekonał leśniczego, że nie będzie z tego pożaru.

– To do rodziców wysłałeś wiadomość?

– Dałem im znać, że jesteśmy. Pilnowali wszystkiego i ulotnili się na czas, ale jak ich znam, to sami świetnie się przy tym bawili. Smacznego, Haniu.

Ponakładał potrawy na talerzyki, ale ja nagle straciłam apetyt. Nie mogłam niczym sobie wytłumaczyć tej niesprawiedliwości, która nas spotkała. Co tak podłego zrobiłam w tym czy innym życiu, że los skazał mnie, Irka, nas wszystkich, na taką, a nie inną rodzinę? Dlaczego obcy ludzie okazują mi więcej serca, nawet jeśli robią to z litości, niż rodzona matka i ojciec od jednego cukierka? Co warte było i jest takie życie jak moje? Niech już się wreszcie to wszystko skończy, dłużej nie wytrzymam.

– Dlaczego nie jesz? – spytał Piotr.

Dopiero teraz widzę, że mam na skrzyżowanych kolanach talerzyk z pierogami. Odstawiam go na koc. Nadchodzi czas, by porozmawiać o najważniejszym.

– Piotrze... – zacynam z bijącym sercem.

– Tak? – On też odstawia nietknięte jedzenie.

– Spełniłeś moje życzenia. Prawie wszystko o mnie wiesz, możesz już napisać tę książkę. Dlatego teraz pomóż mi zrobić to, co obiecałeś. Nie dam rady czekać do sierpnia – dodaję ciszej. Staram się

zapanować nad głosem, który mimowolnie się łamie. Ale nie spuszcza wzroku z twarzy Piotra.

Zmrużył lekko oczy, spoważniał, odetchnął głębiej i ujął mnie za rękę.

– Posłuchaj. – Ścisnął oburącz moje dłonie. – Miałem zaczekać, aż zjemy, jednak powiem teraz. Haniu, prosiłaś, bym pomógł ci odejść, ale ja chcę ci pomóc zostać.

– Jak to? Co przez to rozumiesz? – spytałam zdezorientowana.

Było coś takiego w jego głosie, oczach, widocznym napięciu, że poczułam lęk. Spróbowałam wyswobodzić rękę z uścisku, bez skutku.

– Zanim zaczniesz na mnie krzyczeć, proszę, wysłuchaj spokojnie tego, co mam do powiedzenia. – Potrząsnął moimi dłońmi. – Znalazłem w Krakowie neurochirurga, który chce cię zbadać. Wczoraj do mnie napisał. Niczego nie obiecuje, ale przyjmie cię do kliniki. Mamy tam być ósmego maja, na pierwszy wolny termin konsultacji. To dawny uczeń mojej mamy i podobno świetny fachowiec.

– Jakim... prawem? Dlaczego? – Płaczę się oszołomiona. Poczucie zawodu sprawia, że nie mogę zebrać myśli. – Jak mogłeś tak mnie oszukać? Ty? Właśnie ty? Nie tak się umawialiśmy.

Cudem udaje mi się wyrwać rękę z jego kurczowego uścisku. Gdy podnoszę się z koca, drżą mi nogi. Piotr również wstaje. Znowu wyciąga do mnie rękę, ale cofam się o krok, potem następny. Wszystko wiruje mi w głowie. Drzewa, choinka, Piotr, jego skupiona twarz, pociemniałe oczy zlewają się w jedną całość.

– Nie oszukałem cię...

– Oszukałeś.

– Nieprawda. Chciałem i nadal chcę ci pomóc najlepiej, jak potrafię. – Usiłuje mnie objąć, lecz nie pozwalam. Zasłaniam się rękoma.

– Nie dotykaj mnie – mówię zduszonym głosem. – Złamałeś umowę. Okłamałeś mnie. Wciągnąłeś w to swoją matkę...

– Nie tylko ją – przyznaje się. – Ojca, syna, ich wszystkich znajomych, innych chorych na raka. Czepiałem się każdego kontaktu, każdej możliwości.

Nagle błyska mi w głowie jakaś lampka i wszystko staje się jasne.

– Ta umowa to bluff, prawda? Bluff od samego początku.

– Tak – znów potwierdza bez wahania. – Przecież chyba nawet przez sekundę nie sądziłaś, że zgodziłbym się na twoją propozycję. To był wybieg, może nieuczciwy, ale nic innego nie wymyśliłem, żeby mieć cię na oku i jednocześnie szukać lekarza, który spróbuje ci pomóc.

– Jakim prawem decydujesz za mnie? Kto ci pozwolił robić ze mnie królika doświadczalnego? Kim ty jesteś? Panem życia i śmierci, który beztrząsco szafuje głupimi nadziejami? Jak mogłam być aż tak naiwna, żeby ci uwierzyć? – krzyczę rozgoryczona do granic.

Chyba nawet płaczę, bo mam mokre policzki. Serce mało ze mnie nie wyskoczy. Oszukał mnie, oszukał, huczy mi w głowie.

– To nie tak. – Piotr usiłuje się tłumaczyć, ale nie chcę już tego słuchać, nie chcę go nawet oglądać. Kolejny facet, który wystawił mnie do wiatru.

Jak w amoku ruszam przed siebie. Biegnę ścieżką między drzwiami, prawie na oślep. Łzy zamazują mi obraz. Prawie nic nie widzę, a mimo to jak ten bezgłowy kurzy korpus gnam na złamanie karku, potykając się o własne nogi.

Gwałtowne szarpnięcie za ramię zatrzymuje mnie w miejscu. Szamoczę się, wrywam, ale nie mam szans z silnym mężczyzną.

– To jest właśnie twoja metoda na życie? – pyta Piotr, sprawnie mnie unieruchamiając. Nie mogę zrobić ani kroku. – Ucieczka, ciągła ucieczka. Zmierz się wreszcie z problemem, zamiast od niego uciekać. Musisz walczyć, dziewczyno. Do ostatniej, nawet najmniejszej szansy. Tak, użyłem podstępu, ale

tylko po to, żeby cię przekonać. Nic ci nie mówiłem, bo chciałem, żebyś zaczęła mi naprawdę ufać. Widziałem, z jaką siłą zmierzasz ku śmierci, dlatego też chciałem, żebyś przeniosła się do mnie. I czy ci się to podoba czy nie, pojedziemy do Krakowa, choćbym miał cię związać i wrzucić do samochodu. – Potrząsa mną lekko.

Nic do mnie nie dociera. Teraz całe ciało mam jak z waty. Takie bezwolne i słabe, jakby już uszło ze mnie życie. Nawet mówić nie mam siły. Bez protestu pozwalam się zaprowadzić na koc pod choinką. Pozwalam, by Piotr mnie przekonywał. A on mówi, namawia, tłumaczy. Tylko że mnie wciąż wypełnia całkowita rezygnacja.

– Nie rozumiesz, że nie chcę żyć z wyrokiem śmierci – wyciskam z siebie słowo po słowie.

– Haniu – odpowiada łagodnie Piotr, gładząc moje włosy. – Każdy z nas żyje z takim wyrokiem, ale ty o nim wiesz. Zrób wszystko, co tylko możesz, aby jak najdalej odsunąć go w czasie. Nie poddawaj się, bo ty już się poddałaś. Od samego początku się poddałaś. Szukasz ucieczki w śmierć, a to nie jest wyjście. Musisz jej się wyrwać, chociaż spróbować.

– Przeżyję jeszcze miesiąc, dwa, może trzy? – pytam z oczami wbitymi w kraciasty koc. Desenie i kolory zamazują się bezkształtnie.

– Choćby jeden dzień. – Piotr obejmuje dłońmi moją twarz. – Każdy będziemy liczyć jak miesiąc. Nie zmarnujemy ani minuty, przysięgam.

– I może jeszcze będziesz mnie karmił, przewijał, mył, siedział przy łóżku, jak stanę się już tylko rośliną? – mówię, krztusząc się własnymi łzami. Zaciskam powieki.

– Będę – zapewnia gorliwie. – Będę, bo cię kocham. Jeszcze tego nie rozumiesz? Kocham cię, Haniu.

Serce mi stanęło. Dosłownie na chwilę przestało bić. Nie wiem, czy to znów podobny sen, jak wtedy u siostry Bernadetty, ale wyraźnie czuję na twarzy pocałunki. Pokrywają moje powieki, mokre policzki, usta. Wpadam w jakieś drzenie i chyba tracę oddech.

– Kochanie, wszystko w porządku? – Słyszę przestraszony głos Piotra.

Dopiero teraz mam odwagę, by otworzyć oczy. Wcześniej bałam się spłoszyć to złudzenie.

– Powiedziałaś tak, żeby namówić mnie na leczenie, chcesz dopiąć celu. – Odwracam głowę, przygryzam wargi, wciąż mu nie dowierzam. – Widziałam Elżbietę, jestem przy niej tak nijaka, że...

– Nigdy więcej nie mów, a nawet nie myśl o sobie, że jesteś nijaka.

Piotr nie daje mi dokończyć, przyciąga mnie do siebie. Kołysze mnie delikatnie. Słyszę, jak bije mu serce. A więc to nie sen. Boże, to naprawdę nie sen. Roztapiam się jak woskowa świeca, szczęśliwa, że tego dożyłam. Zanurzam się w słowach, o których całe życie marzyłam.

– Nikomu nie pozwolę obrażać kobiety, którą kocham. Nawet jej samej. Jesteś cudowna, wspaniała, fantastyczna i tak śliczna, jak lalczka z chińskiej porcelany.

– Ja???

– A nie? Chyba kupię ci porządne lustro, żebyś wreszcie zobaczyła, jaka jesteś piękna. Dla mnie najpiękniejsza na świecie. Najdroższa. A jak się uśmiechasz, to po prostu dech mi zapiera. I oczy masz takie niezwykłe. Od chwili, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem cię nad morzem, coś się ze mną stało. Było to tak niesamowite, że sam nie mogłem tego pojąć, nawet z początku uwierzyć w to czy przyznać się przed samym sobą. Sądziłem, że miłość i takie tam są już za mną. Dopiero na tym statku ostatecznie do mnie dotarło, że jednak nie. Dałaś mi dużo więcej, niż mogłem się spodziewać. Obudziłaś we mnie wszystko, co najlepsze, przy tobie odżyłem. Kocham cię, Haniu, jak nigdy nie kochałem żadnej kobiety.

Odrywam się od Piotra i patrzę mu w oczy. Są takie pełne miłości, dobre. Dlaczego nie zauważyłam tego wcześniej? Nawet jeśli wszystko ma trwać tylko chwilę, jak iluzja utkana z moich marzeń, zanim przerwie to rak, to teraz, w tym momencie, spełniają się moje pragnienia.

Wsuwam rękę w jego włosy. Są gęste, ale miękkie, z lekką, połyskliwą poświatą od promieni słońca

nad drzewami. Po raz pierwszy dotykam jego włosów. Właściwie muskam je ostrożnie. Wodzę palcem po czole Piotra, skroni z pojedynczym siwym pasmem, prostym nosie i ładnych ustach, brodzie.

– Co robisz? – pyta inaczej niż zwykle. Bardziej zmysłowo.

– Uczę się ciebie na pamięć – cytuję słowa zasłyszanej gdzieś piosenki. – Chcę zapamiętać, jak wyglądasz, zanim przestanę cię widzieć, poznawać.

– Kochanie, nie mów tak – oczy Piotra załśniły momentalnie – jeśli nie chcesz, bym zaczął tu ryczeć. Musimy myśleć tylko pozytywnie. Haniu, proszę, nie odrzucaj tej szansy, choćby była najmniejsza. Zrób to dla mnie. Dla siebie. Dla nas. Mam też kontakt do lekarza z Katowic, od mojego syna. Tylko pojawia się w mejlu automatyczny komunikat, że wyjechał na urlop. A jak nie oni, to znajdziemy kogoś za granicą. Tyłu ludzi do mnie napisało, którzy chorują na raka albo mają kogoś chorego. Każdy walczy, próbuje wszystkiego. Ty też musisz. Po prostu musisz. – Słowa wylewają się strumieniem z jego ust, jakby się lękał, że nie pozwolę mu skończyć.

We mnie zaś kiełkuje zupełnie inny lęk. W tej chwili zaczynam się bać, że nie ma już dla mnie szansy, gdyż nagle zapragnęłam choćby jej najmniejszego cienia.

– Dobrze – mówię ledwo słyszalnie.

– Dobrze, usłyszałem „dobrze”? – dopytuje się gorączkowo.

Siedzi przy mnie, cały przemieniony w jedno wielkie oczekiwanie.

– Zgadzam się na wszystko, bo jesteś najwspanialszą złotą rybką świata – deklaruję z głębi serca, w myślach zaś dodaję: i najważniejszym powodem, by żyć chociaż o jeden dzień dłużej.

Chyba zmieniła się siła ciężenia, gdyż raptem oderwałam się od ziemi. Nogi, głowa i całe ciało pofrunęło w górę i zaczęło wirować. Piotr unosi mnie w ramionach i kręci się ze mną w kółko. Nawet śmieje się w głos. Coś chrupnęło pod jego nogami, jakby plastik. Nie widzę, co to, ale chyba rozdeptał pojemnik z pierogami.

– Piotr! – zawołałam, uczepona jego szyi. – Kręci mi się w głowie.

– Przepraszam, zapomniałem się. – Od razu postawił mnie na kocu i przytrzymał, żeby nie zlapała równowagę. – Ale to z radości. Źle się czujesz?

– Wszystko dobrze, tylko nie przepadam za karuzelą. Chyba też nie mamy pierogów na tę Wigilię. – Wskazałam na miążgę przy jego butach.

– To nic – nie przejął się. – Mamy za to zupełnie co innego.

Pocałował mnie w usta.

Nie przypuszczałam, że pocałunek może tak smakować. Nigdy nie przeżyłam tak ekscytującego doznania, jak właśnie teraz z Piotrem. Intuicyjnie poddałam się tej zmysłowej pieszczocie. Raz delikatniejszej, wręcz subtelnej, a raz gwałtowniejszej. Jakkolwiek długo by trwała, moja rozbudzona namiętność domagała się więcej i więcej.

Jeśli miłość może mieć dar uzdrawiania, to mogłabym powiedzieć, że cudownie ozdrowiałam. Wręcz poczułam lekkość bytu. Prawie unosiłam się nad ziemią, gdy wracaliśmy do samochodu, trzymając się za ręce.

– Kochanie, chcesz jeszcze jechać nad morze obejrzeć zachód słońca? – spytał Piotr, pakując do bagażnika ozdoby choinkowe i wiklinowy kosz. – Dziś będzie piękny. Możemy zrobić zdjęcia. Nie mam żadnej twojej fotografii. Chyba że jesteś zmęczona, wtedy odłożymy to do jutra. Decyduj, skarbie. – Uśmiechnął się do mnie.

Jakże piękny ma ten uśmiech. Nie mogę się nim nazachwycać. Taki szczery, jasny, tylko dla mnie. I ręce, którymi cały czas mnie dotyka, obejmuje. Mój Piotr. Moje spełnione marzenie. Już nie chcę niczego odkładać do jutra. Pragnę żyć tylko tym, co jest dziś, teraz, wykorzystać każdą darowaną nam sekundę. Nawet gdyby nad morzem rozhulał się wiatr i nadciągnęła burza z piorunami, to we mnie i tak jaśniało

słońce.

To prawdziwe, zachodzące za horyzont plaży w Brzeźnie, okazało się wyjątkowo śliczne.

Siedzieliśmy na końcu mola zapatrzeni w ten spektakl natury. Wokół nas pełno ludzi, gwar, głosy dzieci, krzyki mew, a ja miałam wrażenie, że jesteśmy tylko my. Zamknęłam oczy. Pod powiekami widziałam pomarańczowy kolor, czułam ciepło na skórze. Słyszę pstrykanie aparatu, gdy Piotr robi mi zdjęcia.

– Otwórz oczy, kochanie, chcę uwiecznić tę zieloność, dla której zwariowałam.

Otwieram.

Stoi plecami do słońca. Nie widzę jego twarzy, tylko zarys sylwetki. Nie jestem w stanie zliczyć, ile razy w ciągu tego jednego dnia powiedział do mnie „kochanie”. Chłonę to cudowne słowo jak spragniona roślinka. Chłonę je tak bardzo, że nie chcę widzieć rozmazanego, nieostrego obrazu przed sobą. Nie dopuszczam do świadomości ćmiącego bólu w głowie. Znów wrócił. Rak podarował mi kilka godzin spokoju, a teraz zakłuł mnie boleśnie, zazdrosny o moje szczęście.

– Hania... – Piotr przygląda mi się badawczo. Odłożył aparat na ławkę i usiadł przy mnie. – Coś się dzieje. I nie próbuj udawać, wszystko widzę.

– Już przechodzi – odpowiadam lekko; rzeczywiście trwało to tylko mgnienie, żebym nie zapomniała, że we mnie jest. – Nie denerwuj się tak.

– Wiem, że jesteś dzielna – całuje mnie w czoło – ale nie musisz mnie chronić. Chcę wiedzieć wszystko. Znać każdy twój stan. Już chyba czas, żebyś przestała się mnie wstydzić. Bardziej stresujące jest to, że wszystko w sobie tłamsisz. Podziel się tym ze mną. Po to jestem.

– Dobrze, ale naprawdę już przeszło. Mogę cię o coś zapytać?

– Śmiało.

– Dlaczego... – zawahałam się – dlaczego wcześniej niczego po sobie nie pokazałaś? Dopiero dziś.

– Przecież byłaś niedostępna. – Spojrzał na mnie niepomiernie zdumiony. – Narzucałaś taki dystans, że mnie onieśmielałaś. Mówiłaś, że nie chcesz litości, współczucia, musiałem podchodzić do ciebie ostrożnie. A poza tym wydawało mi się, że wysyłałam w miarę czytelne sygnały, żebyś zobaczyła, jak jesteś dla mnie ważna. Tylko że ty w ogóle ich nie dostrzegałaś, a jeszcze ten twój mąż zaczął się pałętać koło ciebie, więc rozumiesz, że nie miałem lekko. – Objął mnie.

Tulę głowę do jego ramienia. Jednak słabo mnie rozszyfrował, skoro tak to wszystko widział. A może i lepiej? W końcu ktoś mnie zdobywał, choć otworzyłam na oścież drzwi do mojego serca.

Nagle dopada mnie strach. Gęstnieje mrokiem jak zmierzch dookoła. Dławi mnie lęk, że to także mój zmierzch.

– Boję się. – Wczepiam palce w dłoń Piotra. Łapię jej się jak koła ratunkowego. Już się nie waham mówić głośno o tym, co dotąd tłumiłam. – Tak bardzo się boję, że się nie uda, że...

– Cicho – przerywa mi Piotr. – Uda się. Jeśli tylko w czymś ci to pomoże, to jestem przy tobie.

– I będziesz?

– Zawsze. Obiecuję.

– A jeśli mój rak...

– Nie zawłaszczaj go. – Znów wchodzi mi w słowo. Obejmuje dłońmi moją twarz i patrzy w oczy. – Nazywając go „mój”, nadajesz mu osobowość, oswajasz, akceptujesz. A to twój wróg, chwast, który trzeba wyrwać. I wyrwiemy go. Ja w to wierzę.

– Dobre określenie, „wyrwać chwast”. – Pociągamy nosem.

Uspokajam się w ramionach Piotra. Zyskuję wiarę, siłę i chęć do tej nierównej walki. On jednak ma dużo więcej tej wiary niż ja.

Słońce chowa się za horyzont, molo zaczyna pustoszeć, a my wciąż siedzimy na ławce zasłuchani w szum fal. Nawet w snach nie mogłam marzyć, że pragnąc przeżyć coś niezwykłego, o czym napisałam

w aneksie, dostanę właśnie to. Chcę przedłużyć każdą minutę, nawet sekundę upływającego dnia. Zapamiętać każde wypowiedziane słowo, każdy dotyk, pocałunek, wszystko, co sprawiło, że poczułam się kochana.

Piotr nie przestaje troszczyć się o mnie. Widać to we wszystkim, co robi, nawet w tym, jak podaje mi kolację, wkłada poduszkę pod plecy, okrywa mnie kocem, gdy późnym wieczorem wróciliśmy do jego mieszkania.

– Haniu, lubisz mnie choć trochę? – pyta, kucnąwszy przy mnie.

– Głuptas. – Przesuwam palcem po jego czole, brwiach, policzku. – Powinnam już wracać do domu.

– Kochanie... – Kładzie się na skraju sofy. Całuje mnie w skroń i wsuwa rękę pod moją głowę, przytula mocno. – A gdybym poprosił, żebyś została. Nie chcę się z tobą rozstawać ani na chwilę.

– Nie mam przy sobie szczoteczki do zębów.

– Szczoteczka się znajdzie – zapewnia. – Zawsze kupuję po kilka, strasznie szybko je zużywam. Wszystko inne też się znajdzie. Zostań, kochanie. Chcę tylko obudzić się przy tobie, nic więcej.

Ale ja chyba chcę więcej. Do tej całodzienniej przygrywki do miłości pragnę dołożyć spełnienie. Modłę się potem w łazience Piotra, by choć na tę jedną noc rak nie pokrzyżował moich planów. Żebym chociaż ten jeden, jedyny raz przekonała się, jak to jest przeżyć to wszystko z Piotrem.

Ubrana w jego koszulkę, która sięga mi do połowy ud, wchodzę do sypialni. Prawie cała jest w bieli. Pośrodku stoi duże, białe łóżko o wysokim, pikowanym zagłówku. Tylko jedna ściana, właśnie ta przy zagłówku, została wyklejona tapetą w szaro-czarne wzory.

Piotr kończy zmieniać pościel. Potem idzie pod prysznic i wraca prędzej, niż zdążyłam poczuć rozkoszną miękkość grubego materaca pod sobą. Po mojej twardej wersalce szerokie łóżko Piotra wydaje się królewskim pościeleniem.

Wyciągnęłam się na gładkim prześcieradle, okryta po zęby kołdrą w biało-czarne wzory. Czekałam, aż zgaśnie światło. Wstydziłam się swojego wychudzonego ciała i płaskich piersi. Po raz pierwszy zobaczyłam Piotra w samych spodniach od piżamy. Przy jego wysportowanej sylwetce wydałam się sobie jeszcze bardziej żałosna. Podciągnęłam wyżej kołdrę. Znow część mnie chciała stąd uciec, a druga zostać. Nieznacznie zawirowało mi w głowie, ale nie czułam bólu. Piotr zgasił lampkę i wsunął się pod kołdrę.

– Dobranoc, kochanie. – Przytulił mnie, pocałował i zamknął oczy. Leżałam z głową na ramieniu mężczyzny, który dziś wyznał mi miłość, czułam jego zapach, ciepło ciała i nie o takim finale myślałam.

– Piotr... – szepnęłam, wodząc palcami po jego torsie.

– Tak?

– A gdybym... gdybym chciała... więcej.

– Skarbie – musnął moje usta pocałunkiem – marzę o tym, tylko nie wiem, czy to możliwe. Gdybyś miała gorzej się poczuć, nigdy bym sobie tego nie darował.

– Przecież się nie rozpadnę, ale... – zająknęłam się skrzepowana – nie mam zbyt wielkiego doświadczenia, ja tylko z Robertem...

Piotr położył mi palec na ustach.

– Nie chcę więcej o nim słyszeć – szepnął. – Jesteś pewna?

– Tak.

– Ale jak tylko poczujesz, że coś nie gra, to przerwiemy, zgoda?

– Dobrze.

– Haniu, czy ty...

Wiedziałam, o co chce spytać.

– Mam spiralę.



Nie wiedziałam nic o miłości, zanim nie doświadczyłam jej z ukochanym mężczyzną. Nie wiedziałam, czym jest czułość. Nie wiedziałam, że moje ciało może być piękne niczym nieodkryta wyspa, którą punkt po punkcie, przy płonących świeczkach i nastrojowej muzyce, delikatnie, powoli odkrywał Piotr. Nawet mój gładki był delikatny. Tylko raz, na krótko, ścisnął mi głowę niczym obręcz, gdy zasypiałam wtulona w pierś Piotra, otoczona jego ramieniem.

Nazajutrz Piotr zaproponował, żebym się do niego wprowadziła. Zabrzmiało to tak, jakby było czymś najnaturalniejszym na świecie. Moją odpowiedzią mogła być tylko zgoda, co też wydawało się najnaturalniejsze na świecie. Za nic nie chciałam uronić ani kropli wspólnego czasu.

Pakowałam do kartonów rzeczy w swoim mieszkaniu, Piotr pojechał na spotkanie z Wojtkiem, gdy ktoś zadzwonił do drzwi.

Przyszła wilczyca.

Patrzyłyśmy przez chwilę na siebie w milczeniu. Dziś nie była już tak wyniosła, jak wtedy, gdy widziałam ją za pierwszym razem. Wyglądała nawet na skruszoną.

– Dzień dobry, możemy porozmawiać? – spytała pierwsza. Wyostrzonymi zmysłami wyczuwałam obłudę pod jej pokorą.

– Nie wiem, co prawda, o czym, ale proszę. – Przepuściłam ją w drzwiach.

Mój wzrok mimowolnie powędrował do jej płaściutkiego jeszcze brzucha. Poczułam nieprzyjemne ukłucie, że nosi w sobie dziecko mężczyzny, który jest też ważny dla mnie. Ze zdenerwowania czy choroby nieznośna obręcz znów zaczęła się zaciskać wokół mojej głowy.

Wilczyca weszła niepewnie do środka i usiadła w fotelu. Zająłam sąsiedni, zażywszy uprzednio tabletkę ketonalu. Tamta popatrzyła na moje częściowo spakowane kartony, ale tego nie skomentowała.

– Dziwi się pani, skąd wiem, gdzie pani mieszka?

– Zapewne zaraz się dowiem – odpowiadam sztywno. Już nie jestem przy niej zahukaną dziewczyną z pegeeru. Nawet nie wyłamuję palców, nie opuszczam głowy. Przeciwnie, patrzę prosto w wymalowane oczy Elżbiety.

– Wiem, że Piotr do pani często przychodzi. Szłam za nim kiedyś, ale mnie nie widział, stąd znam pani adres. – Zakłada nogę na nogę. – Widziałam, że niedawno gdzieś pojechał.

– I dlatego pani tu przyszła?

– Nie, nie. – Macha ręką obwieszoną bransoletkami. – Zaraz powiem, dlaczego tu jestem, ale najpierw chcę panią przeprosić, że wtedy tak panią potraktowałam. – Pochyla głowę. Cała jej poza, nawet ta nieoczekiwana pokora, zupełnie do mnie nie przemawia. – Usprawiedliwia mnie tylko miłość do Piotra – ciągnie sztucznym teatralnym głosem, co wyczuwam w każdej głosce.

Unosi głowę i patrzy na mnie intensywnie niebieskimi oczami. Jej zimne spojrzenie zupełnie nie współgra z przygnębieniem na twarzy i dobieranymi uważnie słowami, które chyba mają mnie wzruszyć. Nadal nic nie mówię. Pozwalam mówić jej.

– Przyszłam porozmawiać z panią w cztery oczy. Prosić, jak dobrą, uczciwą kobietę, żeby mi go pani nie zabierała. Piotr jest miłością mojego życia. Byliśmy razem tacy szczęśliwi. Piotr się wystraszył, że będziemy mieli dziecko, to zupełnie naturalne, ale prawie każdej nocy okazywał mi, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Zwłaszcza teraz, kiedy oczekujemy dziecka, powinniśmy stworzyć razem dom. Chyba nie chce pani pozbawić tej niewinnej istotki pełnej rodziny? Czuję, że ma pani dobre serce i nie stanie na drodze do szczęścia tego dziecka, które niczemu nie zawiniło. – Elżbieta uderza w melodramatyczny ton.

Może nawet skłonna byłabym uwierzyć w szczerść jej słów, gdyby nie przebite opony, obraźliwe napisy, które Piotr ścierał kilka dni temu ze swoich drzwi, jakiś list, który podarł, ledwo wyjąwszy go ze skrzynki, co widziałam. Jednak najistotniejsze w tym wszystkim jest zupełnie co innego.

Piotr jest też miłością mojego życia, a to zupełnie zmienia postać rzeczy. Skoro mam się zmierzyć z glejakiem, to potrafię też zawalczyć o swoją miłość.

Nie wiem, co mnie do tego podkusiło, ale patrząc na tę piękną kobietę w różowej sukience, na poczekaniu uciekłam się do podłego kłamstwa i sama zaczęłam odgrywać tanie przedstawienie.

– Piotr rzeczywiście musi dla pani wiele znaczyć, skoro przyszła pani do mnie... – zaczęłam słabym, smutnym głosem. Nie musiałam szczególnie udawać, ból głowy zmienił jego brzmienie. – Nie zabieram go pani. Przeciwnie, cieszę się, że tak go pani kocha, zwłaszcza że teraz będzie szczególnie wymagał pani troski.

– Co chce pani przez to powiedzieć? – Wilczyca spojrzała na mnie nerwowo.

– Jak pani widzi, pakuję się. – Wskazałam ręką na kartony. – Wyjeżdżam na długo. Właściwie na zawsze. A Piotr nie może zostać sam w tej sytuacji. Zupełnie się załamie.

– W jakiej sytuacji? – spytała niespokojnie. – Popadł w długi, stracił mieszkanie, ma komornika? O co chodzi?

– To pani nic nie wie? – Udałam zdziwioną. – Piotr nikomu się nie przyznaje, ale jest chory. Dlatego dotąd się nim opiekowałam i wspierałam go, wyłącznie z przyjaźni. Pracowałam nad jego formą psychiczną. Cieszę się, że teraz pani będzie nad nim czuwała. Nie mogłabym znieść świadomości, że zostanie z tym sam. Musi mu pani okazać wielkie wsparcie, wyrozumiałość i kochać go jeszcze bardziej.

– Chory? – Wilczyca wysunęła się z fotela, trzepocząc rzęsami.

– Tak, ale proszę, niech to zostanie między nami. On cierpi z tego powodu i nigdy by mi nie wybaczył, że zdradziłam jego sekret. To była nasza tajemnica, uznałam jednak, że zwłaszcza pani powinna wiedzieć. Nie jest jeszcze gotów, by sam mógł o tym powiedzieć, dlatego, jak mi tłumaczył, unikał pani. Proszę go nie winić, dla niego to trauma. Otóż niedawno dowiedział się, że ma HIV – łągałam zatroskanym głosem.

Dobierałam uwzniośnione słowa, by jeszcze bardziej podkreślić siłę przekazu, powiększyć jej moc rażenia. Dostrzegłam w sekundę wielkie przerażenie na uróżowanej twarzy Elżbiety.

– Aaaa!!! – Stłumiła krótki krzyk, przyciskając rękę do ust.

Siedziała tak chwilę z wytrzeszczonymi maksymalnie oczami, po czym zerwała się i wybiegła z mieszkania. Pęd powietrza uniósł pasemka moich włosów.

Zatrzasnęłam nogą drzwi i oparłam się o ścianę w korytarzu, próbując zapanować nad karuzelą w głowie. Potrafię być wredna, stwierdziłam w duchu. Kolejna rzecz, której się o sobie dowiedziałam. Zmyśliłam potworną historię. Być może zламаłam życie tamtej kobiety, może odbije się to na dziecku, ale nie miałam specjalnych wyrzutów sumienia, prócz tego jednego, że ośmieszyłam Piotra. Może nawet czułabym satysfakcję, że teraz to ja jestem górą w starciu z wilczycą, gdyby nie ogarnęły mnie gwałtowne mdłości.

Na miękkich nogach dowlokłam się do założonej ubraniami wersalki zlaną zimnym potem. Moja dyspensa od glejaka właśnie minęła. Do wizyty u neurologa w Krakowie został niecały tydzień. Gdyby tylko było to możliwe, pojechałabym tam choćby dziś. Przysypiałam zwinięta w kłębek, gdy ktoś wszedł do środka. Nie przekreśliłam zamka za Elżbietą.

– Piotr – powiedziałam, nie otwierając oczu. – Dziś nie dam rady przenieść się do ciebie. Może jutro. Dopakuj kartony, jeśli chcesz.

– Wiedziałem, że jesteś z nim. – Usłyszałam złowrogi pomruk. – Dlatego nie chciałaś, żebym do ciebie wrócił.

Otworzyłam oczy.

Mój mąż patrzył na mnie nieledwie z pogardą. Może się myliłam, ale miałam wrażenie, że jest podпиты. Zacerwieniony na twarzy, w niechlujnie wystającej ze spodni kraciastej koszuli, niedogolony, z przetłuszczonymi włosami, rozwalił się w fotelu.

– Przyszedłem się pożegnać – burknął pijackim tonem – ale nie było warto. A może warto. Dowiedziałem się, kim jesteś.

– Już się pożegnałeś, wyjdź, proszę – wykrztusiłam i mocniej zawinęłam się w koc, jak w kokon bezpieczeństwa.

Odruchowo spojrzałam na zegar. Nie było jeszcze jedenastej. Niczego tak nie pragnęłam teraz, jak tego, żeby przyszedł Piotr, zanim wydarzy się coś złego.

Dotąd nie widziałam Roberta w takim stanie. Czasem wypił piwo, ale nigdy nie tracił kontroli nad sobą. Nigdy nie miał tak wrogiej, złej twarzy. Takich mętnych oczu. A do tego ta tłumiona podskórna agresja. Znałam to wszystko z dzieciństwa, gdy mój ojciec balansował na krawędzi między niedopiciem a upojeniem. Wolałam to drugie, bo wtedy spał. Przed tym pierwszym zawsze uciekałam. Tego zawsze się bałam. Podobnie jak w tej chwili.

– Wiesz, kim ty jesteś, wiesz? – Oskarżycielsko wyciągnął palec w moją stronę. – Zwykłą dziwką.

– Przestań – szepnęłam, prawie nie poruszając wargami.

– Tak, dziwką, suką, małą kurewką. Wycieram się po obcych kątach, bo myślę, że bardzo cię skrzywdziłem. Pcham kasę, gryzę się jak głupi, a ty masz mnie w dupie. Z gówna cię wyciągnąłem, z pegeeru, wszystko ci zostawiłem, a ty pieprzysz się z innym... – mówił, dysząc ciężko, co nie zwiastowało niczego dobrego.

Sparaliżował mnie strach, który spętał niemocą całe ciało. Obraz zaczął mi latać przed oczami, nie mogłam się podnieść, palce zdrętwiały, krew tak uderzała do głowy, że słyszałam jej głośny szum.

– A gdybym tak teraz wziął, co mi się jeszcze należy jako mężowi...

Zamroczyło mnie, dosłownie przestałam widzieć cokolwiek. Jak przez ścianę doleciało do mnie stęknienie, gdy wstawał z fotela. Poczulałam woń alkoholu na twarzy, żelazny uścisk na ramionach, chciałam krzyknąć, lecz zamiast dźwięków wyleciały ze mnie wymiociny wprost na wersalkę. Robert odskoczył gwałtownie.

– Brzydzę się tobą. – Usłyszałam jego pełen odrazy głos. – Niech tamten ogląda twoje rzygi. Na nim pasożytuj. Niech on daje ci kasę, płaci ubezpieczenie, ja już nie zamierzam, skreślam cię. Od dziś radź sobie sama, gówno mnie obchodzisz. Jutro wyjeżdżam i wracam za trzy miesiące. Do tego czasu ma cię tu nie być! – Usłyszałam brzęk metalu na podłodze. Chyba cisnął obręczką, a potem trzasnął drzwiami.

Leżałam we własnych wymiocinach i powoli docierało do mnie, że zło, które wyrządziłam Elżbiecie, powróciło do mnie w dwójnasób. Szybciej, niż mogłam się spodziewać.

Uderzyło wyjątkowo boleśnie, aż do otrzeźwienia umysłu.

Z ust podpitego Roberta usłyszałam brutalną prawdę. Miał cholerną rację, jestem i będę tylko pasożytem. Dopiero teraz sobie uświadomiłam, w jak fatalnym położeniu się znalazłam. Zżerana przez raka, odcięta od finansowego wsparcia męża, zostałam bez niczego. Dla mężczyzny, którego tak kochałam, byłabym wyłącznie ciężarem. Właśnie dlatego, że go kocham, nie mogę do tego dopuścić. Miałam tylko jedno wyjście.

# Piotr

No to, przyjacielu, bujaj się szczęśliwie na tych morzach i oceanach. Będzie mi brak twojej skrzywionej gęby. – Uściskaliśmy się serdecznie z Wojtkiem na pożegnanie.

Wpadłem do niego z krótką wizytą na Orunię i prawdę mówiąc, siedziałem jak na szpilkach. O niczym nie mogłem myśleć, tylko o tym, że od dziś Hania zamieszka ze mną.

– Za to twoja gęba cieszy się, jakbyś skwarę lizał. – Wojtek strzelił mnie w plecy. – Gadaj, Hania w gniazdku? Bo jak nie, to ja po powrocie bardzo chętnie. Świetna z niej dziewczyna i niegłupia.

– Ty, uważaj, bo na odjeźdnym w zęby zarobisz. – Nawet tak niewinny żarcik spowodował mój wybuch. – Wara ci od niej, przyjacielu. I tak za dużo sobie pozwalalesz. Na przyszłość panuj nad tymi czułościami w stosunku do mojej dziewczyny. „Nasza Hania” – przedrzeźniałem w żartach jego słowa. – Co to, komuna jakaś? Nie żadna nasza, tylko moja.

– No to cię ostro siekło. – Rude brwi Wojtka powędrowały w górę. – To chyba Hania. – Wskazał na moją kieszeń, w której zabręczała komórka. Odebrałem, patrząc, kto to. Dzwonił mój wydawca.

– No, jak tam, panie Piotrze, praca nad książką? Proszę darować, że w środku majowego weekendu zawracam panu głowę, ale mam dobre wieści.

– Zamieniam się w słuch – odpowiedziałem wyjątkowo życzliwie. Od wczoraj byłem wyjątkowo życzliwy dla całego świata.

– Mamy kontrakt, *Rzeźbiarz* w przyszłym roku zostanie sfilmowany, a pan zarobi dużo pieniędzy. Pojutrze wysyłam panu umowę.

– To naprawdę świetna wiadomość, panie Ryszardzie. Bardzo się cieszę.

– To chyba wiosna tak pana nastawiła, że taki pan radosny. A jak nowy kryminał?

– Zdążę na czas. Do końca sierpnia. Wszystko według streszczenia, które pan zna – zapewniłem go.

Mój kryminał o stalkerce napęczniał do kilku porządnych rozdziałów. Odkąd poznałem Hanię, praca znów świetnie mi szła, jak kiedyś.

– Aha, jeszcze jedno. Panie Piotrze – Ryszard zmienił ton – dostaliśmy jakiś dziwny list, że pan, no, krótko mówiąc, przedstawiający pana w niekorzystnym świetle. Zresztą podobne wpisy widziałem na portalach sprzedażowych pod pana książkami. Takie rzeczy czasem się zdarzają w branży, niestety, czarny piar, ale...

– Proszę nie kończyć – przerwałem mu. – Znam tę sprawę i nie zamierzam tracić na nią energii, czyli bez komentarza.

– W sumie ma pan rację. Nieważne, jak mówią, grunt, żeby nazwiska nie przekręcali. W pana przypadku pseudonimu.

– Otóż to.

Wojtek przewrócił oczami, słysząc tę moją euforię.

– Naprawdę cię siekło, Piotrek, zaczynam się o ciebie bać. – Z udawanym ubolewaniem pokiwał głową. – Nawet przy Monice tak nie świergotałeś, jak nie przymierzając, skowronek w okresie godowym.

– Gadaj, co chcesz, dziś ci wszystko wybaczam, bo jestem wspaniałomyślny.

– Raczej beznadziejnie zadurzony. – Wojtek otworzył drzwi. – Tylko nie spieprz tego.

– Nie zamierzam. I jeszcze raz dzięki za ten rejs. Lecisz pojutrze? – Upewniłem się jeszcze.

– Dokładnie. Dwadzieścia cztery godziny w samolocie, brrr... – Wzdrygnął się. – Nie trawię tego, ale polecam się po powrocie, za osiem miesięcy. Może nawet zaobrączkujesz Hanię do tego czasu. – Bardziej stwierdził, niż przypuszczał, a mnie samemu ta myśl wcale nie wydała się taka zła. Nawet całkiem przyjemna. – Albo lepiej zaczekajcie na mnie. Będę waszym świadkiem.

– Jak Hania mnie przyjmie, to załatwione.

Hania moją żoną? Hanna Mróz. Nawet ładnie brzmi. Kurczę, to by było coś, coraz bardziej nakręcał mnie ten pomysł. Bo ona wyzdrowieje, na pewno wyzdrowieje. Nie mogę jej przecież stracić. Za długo na nią czekałem. Ponad dziesięć lat, a może jeszcze dłużej, całe życie na przykład?

Tylko czy nie jestem dla niej za stary? Za dziesięć lat strzeli mi pięćdziesiątka, a ona będzie miała dopiero trzydzieści pięć lat. Zacznę się starzeć, a ona rozkwitać. A co tam, będę więcej ćwiczył, zdrowo jadł, mogę nawet jakieś odnowy zrobić po cichu i nie będzie się czuła przy mnie jak przy ojcu. Zresztą czas jest pojęciem względnym, jak mówił Einstein. Mam tyle lat, na ile się czuję. W duszy pozostałem młodzikiem, a Hania jest wyjątkowo dojrzała jak na swój wiek. Bez tej irytującej mnie w innych młodych kobietach trzpiotowatości.

Jechałem przez miasto i zamiast skupiać się na jeździe, myślałem o Hani. Na samo wspomnienie wczorajszej nocy dostałem gęsiej skórki. Dotąd, z poprzednimi kobietami, uprawiałem seks, a z Hanią się kochałem. Wszystkimi zmysłami. Po wczorajszej nocy ostatecznie pojąłem różnicę między biologią a miłością. Żadna inna kobieta, nawet Monika, aż tak mnie nie rozbudziła. Nawet jeśli przez długi czas nie dane mi byłoby tego powtórzyć, to sama obecność Hani przy mnie napawała mnie radością. Zadzwoił telefon. Odebrałem z cieniem zawodu, że to nie ona.

– No jak tam, Piotrze – odezwała się mama. – Wszystko się wczoraj udało? Myśleliśmy z ojcem, że zadzwonisz.

– Wszystko udało się wyśmienicie, a nawet jeszcze bardziej – powiedziałem, uśmiechając się w telefon. – Dzięki, że tak się postaraliście.

– W takim razie my też się cieszymy. Jutro trzeci maja, może wpadniecie z Hanią do Sopotu? Zrobię świąteczny obiad, ciasto.

– Zobaczymy, jak będzie się czuła. Dziś było w miarę okej, ale różnie być może. Kończę, jestem w ruchu.

Nie może być różnie, zrugalem się w myślach. Musi być dobrze, wyłącznie dobrze, wmawiałem sobie usilnie. Nie dopuszczałem innego rozwiązania jak to, że już za kilka dni jakiś cudotwórca z Krakowa wyleczy moją Hanię.

Stojąc na światłach w śródmieściu, zadzwoniłem do niej, żeby zapytać, jak sobie radzi z pakowaniem, ale włączyła się skrzynka. Pewnie znów zapomniała naładować komórkę, westchnąłem zawiedziony.

Dochodziło południe. Umówiliśmy się, że o czternastej przyjadę po jej rzeczy. Miałem dwie godziny. I dopiero teraz wpadł mi do głowy pomysł, że powinienem jej kupić jakiś prezent na nowy etap w życiu. Przecież ten skromny szalik ode mnie nosiła dumnie jak kolię z brylantów.

Godzina mi zeszła na poszukiwaniach na Długim Targu czegoś odpowiedniego. Chodziłem między kramikami i po sklepach jubilerskich, aż znalazłem w jednym gustowną bransoletkę z miodowymi bursztynami w srebrze.

– Tylko proszę to ładnie zapakować – poleciłem młodej ekspedientce.

– Musi ją pan bardzo kochać, skoro taki ładny prezent pan wybrał – powiedziała zarumieniona, wkładając bransoletkę do pudełka obciągniętego czerwonym pluszem. – A wie pan, że bursztyn to kamień leczniczy? Nie tylko odsuwa od tego, kto go nosi, złą energię, ale wyciąga też choroby.

– Dlatego tym bardziej poproszę – podsumowałem zadowolony. – Ile płacę?

– Tysiąc osiemset złotych.

– Za srebro? – Delikatnie wciągnąłem powietrze przez zęby. Cena cokolwiek mnie zaskoczyła.

– Nie, proszę pana, to białe złoto i w dodatku ręczna robota, a ten kamyczek tutaj to nie cyrkonია, tylko diament. Ta pani, której pan to ofiaruje, na pewno będzie szczęśliwa.

– Na to liczę. – Bez mrugnięcia okiem przełknąłem wydatek. – Można kartą?

– Oczywiście.

Do bransoletki dokupiłem kwiaty i pełen wewnętrznego entuzjazmu pojechałem na Zaspę. Po drodze zrobiłem jeszcze porządne zakupy spożywcze i punkt czternasta zameldowałem się pod drzwiami Hani. Wcześniej zdążyłem jeszcze u siebie wstawić róże do wazonu i z prędkością światła poukładać drobiazgi, byle wszystko było idealnie na jej przyjęcie.

Tymczasem Hania nie otwierała, choć pukałem kilka razy. W naturalnym odruchu nacisnąłem klamkę, ale też nic. Zadzwoiłem na komórkę. Wyłączona.

Nie znosiłem sytuacji, gdy nie miałem Hani w zasięgu wzroku czy choćby telefonu. Może się minęliśmy, przemknęło mi przez głowę. Pod jej blok, żeby zabrać kartony, podjechałem samochodem. Przecież mogła pójść pieszo do mnie. Rano dałem jej drugi komplet kluczy od mieszkania, analizowałem pośpiesznie.

Nie zastanawiając się dłużej, wróciłem do domu, licząc, że Hania tam będzie. Wkładałem klucz do drzwi klatki schodowej, gdy poczułem gwałtowne uderzenie w plecy.

– Ty chamie! – krzyknęła Elżbieta i jeszcze raz zamachnęła się torebką, trafiając mnie tym razem w ramię. Uchyliłem się odruchowo, kompletnie zdezorientowany jej atakiem i obecnością tutaj. – Ty wstrętny gnoju! Ukrywałeś, że masz HIV-a!

– Jaaaaa... – Zatkąło mnie dokumentnie. Nie wydukałem nic ponad to, oszołomiony równie mocno wiadomością, co furią Elżbiety.

– Mogłeś mnie zarazić! Jakie to szczęście, że ta cięża to fałszywy alarm! Inaczej mogłam urodzić chorego bachora i całe życie sobie zasrać! Może już sobie zasrałam! Nie chcę cię więcej widzieć! I obciążę cię kosztami leczenia, jeśli mnie zaraziłeś, świnio! Do sądu cię podam, zbrojeńcu!

Z wściekłością strzeliła mnie torebką w głowę, odwróciła się na pięcie i popędziła na stację kolejki.

Zwariowała czy co? Stałem przy drzwiach zupełnie zdezorientowany całym zajściem. HIV? Jaki HIV? Naprawdę coś się jej pod tymi loczkami poprzestawiało. Wzruszyłem ramionami. Nawet wiadomość o ciąży czy też fałszywym alarmie mniej mnie obeszła niż nieobecność Hani w moim mieszkaniu.

Jeszcze raz do niej zadzwoniłem, z takim samym skutkiem co przed kwadrans. Wróciłem na Startową i rad nie rad, dostałem się do mieszkania zwykłym sposobem.

Pusto, żadnych spakowanych kartonów, zupełnie nic. Pociągnąłem nosem i od razu wyczułem nie do końca wywietrzały zapach. Wilgotna plama na wersalce utwierdziła mnie w przypuszczeniu, że Hania znów wymiotowała. Pewnie wyszła się przewietrzyć – sam przed sobą udawałem, że jestem spokojny. Minęła dopiero godzina od umówionego spotkania. Może poszła do sklepu albo na plażę? Wymyślałem jak najbardziej prawdopodobne wersje wydarzeń, żeby nie popadać w panikę. Podskórnie jednak czułem, że stało się coś złego, czego jeszcze nie dopuszczałem do świadomości.

Przeszedłem się po wszystkich miejscach, gdzie mogła być, prawie nie odrywając komórki od ucha. Właściwie miotałem się tu i tam, czekając na jakąkolwiek wiadomość. Siedziałem na przemian to w jej mieszkaniu, to u siebie.

Po kolejnych godzinach moja wyobraźnia zaczęła zastraszać prędko galopować w niewłaściwym kierunku. Próbowąłem czytać, szperałem w internecie dla zabicia czasu i raz po raz spoglądałem na

zegarek. Minęła osiemnasta. Rozległ się dzwonek do drzwi. Kamień spadł mi z serca. Zerwałem się natychmiast, żeby otworzyć, ze słowami delikatnej wymówki na ustach.

– No nareszcie, gdzie ty byłeś... – Energicznie przekręciłem zamek w drzwiach – i szok. – Co ty tu robisz?

– Zostawiłeś u mnie dokumenty. Przywiozłem, bo miałbyś kłopot. – Wojtek wszedł do korytarza. Wyjął z kieszeni moje etui z prawem jazdy i dowodem rejestracyjnym. Przyjrzał mi się uważnie. – Stało się coś?

– Nie, nic – mruknąłem rozczarowany. – Wejdz, jak chcesz, muszę do łazienki.

– Zaczekam, coś mi tu nie pasuje. – Zdjął wojskową kurtkę, upstrzoną naszywkami. – Rano świegotałeś jak ptaszek, a teraz wyglądasz jak z krzyża zdjęty. Kawę zrobię, a ty się odlej.

Przemyłem twarz zimną wodą, żeby uspokoić emocje. Co się, do licha, z nią stało, myślałem gorączkowo. Rano zostawiłem ją w dobrym nastroju, a teraz kamień w wodę. Zemdlała gdzieś? Może karetka zabrała ją z ulicy? Albo zapomniała, gdzie jest? Mnożyłem hipotezy i układałem w głowie plan intensywniejszych poszukiwań. Odrzuciłem mokry ręcznik na wieszak i pospiesznie wyszedłem z łazienki. Wojtek zamykał za kimś drzwi.

– Odebrałem dla ciebie przesyłkę od kuriera. – Podał mi białą kopertę.

Wyjąłem z niej najpierw swój drugi komplet kluczy, a potem list.

*Piotr*

*Przepraszam, że w ten sposób, ale nie mogłam inaczej, musiałam szybko podjąć decyzję. Postanowiłam zostać z mężem. Wyjeżdżamy razem za granicę, Robert dostał pracę w Norwegii. Tam będę miała lepsze możliwości leczenia niż w Polsce. Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Za to, że przy mnie byłeś i pomagałeś. Wybacz, jeśli Cię zraniłam, ale i tak nic by z tego nie wyszło. Nie pasujemy do siebie. Jesteśmy ze skrajnie różnych światów. Lepiej przerwać to teraz. Zachowam Cię w pamięci, najlepsza Złota Rybko świata.*

*Hanka*

*PS Przepróś Elżbietę w moim imieniu. Zazartowałam z niej, ale chciałam jej trochę utrzcęć nosa, że Ci dokuczała, dlatego wymyśliłam ten HIV. Mam nadzieję, że nie będziesz miał mi tego za złe.*

Nie wiem, ile razy przebiegałem wzrokiem ten krótki tekst, nim dotarł do mnie jego sens. A gdy wreszcie go pojąłem, zacisnąłem palce na kartce. To było jedyne, na co mogłem w tej chwili się zdobyć. Uciekła, znowu uciekła – ta upiorna myśl rozrywała mi łeb, paliła w serce. Porażała mnie własna bezsilność.

List upadł na podłogę. Wojtek podniósł go i chyba przeczytał, gdyż odezwał się po chwili:

– Nic z tego nie rozumiem.

– Uciekła, znowu uciekła – powtarzałem półgłosem. Niczego nie piłem, a byłem jak pijany.

– Hej! – Kumpel szturchnął mnie w ramię. – Gadaj, o co chodzi?

– Wyjechała, to koniec, po wszystkim – mamrotałem otępiały.

Trzepnął mnie w głowę na otrzeźwienie.

– Ochłoń. – Rzucił krótko. – Weź się w garść. Siadaj.

Pchnął mnie na kanapę i nalał kieliszek wódki.

– Wypij, uspokój się i mów – rozkazał autorytarnie.

Zrobiłem, co powiedział. Byłem jak rozbity w drobny pył. Ciepła wódka zapiekła mnie paskudnie w przelyku. Mógłbym wypić całą flaszkę, a i tak nie stłumiłbym tego, co czułem.

– Co mam mówić? – burknąłem niemrawo. – Wybrała jego. Widocznie się nie sprawdziłem.

– Przestań pierdolić. Widziałem, jak na ciebie patrzyła, to wystarczy. Co zamierzasz teraz zrobić?

– Nic.

– Jak to, nic? Nie będziesz jej szukał?

– Po co? – Wzruszyłem ramionami. – Wszystko napisała. Wyjaśniła, jak jest, i cześć. Nie pasujemy do siebie. Dwa różne światy.

– Piotrek, zaraz naprawdę porządnie cię strzelę. – Poczuję plaśnięcie w tył głowy. – Chrzań, co napisała, i szukaj jej. Na lotnisku, w porcie, nie wiem. Pogadacie w cztery oczy i załapiesz, o co w tym biega, na mój nos coś tu śmierdzi. Gdyby mnie tak zależało na jakiejś kobiecie, jak tobie na Hani, pod ziemią bym ją znalazł. O co chodzi z tym leczeniem za granicą?

– Ma raka. Umiera. – Wytarłem rękawem nagły katar z nosa.

Wojtek ze świstem wciągnął przez zęby powietrze.

– No to kibel. – Usiadł obok i poklepał mnie po plecach. – Stary, zacznij myśleć logicznie. Naprawdę nie czujesz, że coś tu kompletnie nie gra? Jeszcze dziś rano miała się do ciebie przeprowadzić. A teraz nagle wyjeżdża z mężem?! Nie podejrzewasz jakiejś ściemy? Przecież jesteś gliną, psem tropiącym, zacznij węszyć, zamiast załamywać ręce. Pytam jeszcze raz, co zamierzasz teraz zrobić?

– Idę spać.

Podniosłem się z trudem i odwróciłem głowę w bok. Nie chciałem, by Wojtek zobaczył słabość, która zamgliała mi oczy.

– Widocznie moja miłość przegrała z miłością pana Roberta Masłowicza, ale jeśli za granicą znajdzie lepszych lekarzy, to niech tak będzie. Najważniejsze, że chce się leczyć. Reszta nieważna – mruknąłem, wychodząc.

– No to śpię dziś u ciebie – rzucił do moich pleców.

– Po co? – spytałem obojętnie.

– Prąd mi w chacie wyłączyli.

Powlokłem się do łóżka. Na samo wspomnienie minionej nocy czułem psychiczną udrękę. Ja, glina, twardziel, cynik, leżałem z nosem wetkniętym w poduszkę, gdzie unosił się jeszcze leciutki zapach Hani. Byłem całkowicie zdruzgotany. Kompletnie wyjałowiony z emocji, nie czułem nic, prócz pustki. Zaciskałem w rękę bransoletkę aż do bólu. Nawet jak się posypało z Moniką, nie rozpadałem się aż tak.

Mijała godzina za godziną, a ja nie mogłem się otrząsnąć z porażającej apatii. Reszta nieważna?

Bzdura.

Dla mnie ta reszta była tak samo ważna. Chyba jednak dla niej mniej, skoro wybrała jego. Nie pasujemy do siebie? Jak mogła tak powiedzieć, po tym co zaszło? Zaczynało dzień, gdy wstałem, włożyłem dres, zamierzając przebiec się nad morze. Zbliżał się wschód słońca.

Wszedłem do pokoju dziennego. Wojtek pochrapywał w pokoju Michała. Otworzyłem, zupełnie nie wiem po co, komputer. Chyba tylko po to, żeby katować się zdjęciem Hani. Serce mnie zakłuło dotkliwie, gdy zobaczyłem na monitorze uśmiechniętą dziewczynę w promieniach zachodzącego słońca. Zrzuciłem ją do paska i otworzyłem pocztę. Wgapiałem się w mejl, z którym jeszcze wczoraj wiązałem takie nadzieje, teraz pogrzebane.

*Szanowny Panie*

*Z Pana opisu choroby nie potrafię udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Zbyt mało znam szczegółów. Należy pilnie rozszerzyć diagnostykę i niezwłocznie podjąć leczenie. Kilkumiesięczna zwłoka w działaniu jest niedopuszczalna. Każdy upływający dzień bez wdrożonej terapii zmniejsza szanse pacjentki. Proszę przywieźć do mnie chorą 8 maja na najbliższy wolny termin. Niczego nie mogę obiecać, ale spróbujemy. Dokładny adres w linku. Wyrazy uszanowania dla Pani Profesor Mróz.*



Z bezsilnej wściekłości zatrzasnąłem laptop, aż zgrzytnęło.

– Wstałeś? – Do pokoju przyczłapał zaspany Wojtek. Przetarł ręką oczy i popatrzył przytomniej.

– Pójdę pobiegać.

– A potem?

– Nic. – Wzruszyłem ramionami. – Nie zamierzam niczego więcej robić. Tak zdecydowała.

– Jak chcesz. – Machnął ręką. – Jesteś dorosły. Nie zamierzam dłużej stawiać cię do pionu, ale ja bym

tego tak nie zostawił. Spadam. Muszę się szykować do wyjazdu.

– Dzięki, Wojtek. – Uniosłem głowę. – Dobry kumpel z ciebie.

– Uważaj, bo się wzruszę. Kawy? – spytał, idąc do kuchni.

– Nie, dzięki. Bardziej pomoże mi bieganie, żeby jakoś to ogarnąć. Wrzuc klucze do skrzynki, jak będziesz wychodził.

Chyba tylko chora wyobraźnia mogła tak mnie zwodzić, ale jakoś podświadomie wierzyłem, że i dziś, tak jak poprzednio, Hania będzie na molo. Im bliżej miałem do celu, gnając w majaczącym niemrawo poranku, tym bardziej moje napięcie wzrastało.

Spadło z hukiem na łeb, jak tylko zobaczyłem pustą ławkę. Znow zakłuło mnie serce na wspomnienie wszystkich wschodów i zachodów słońca, które tu razem oglądaliśmy. To niemożliwe, że od teraz będę je oglądał bez niej. Gdzie popełniłem błąd, że ode mnie odeszła, nie przestawałem się nad tym zastanawiać.

Resztę dnia spędziłem, leżąc beczynnym w łóżku, pozbawiony jakiegokolwiek siły do działania. Nawet mamę potraktowałem burkliwie. Zadzwoiła z pytaniem, co się zmieniło, że nie przyszedliśmy na obiad.

– Zmieniła się rzeczywistość. – Wyłączyłem się po tym jednym zdaniu.

Ale czy nie za szybko się zmieniła?

Powolutku, małymi kroczkami, do mojej podświadomości zaczęły docierać słowa Wojtka. Mnie samemu też coś tu nie grało. O dziesiątej, gdy zostawiłem Hanię na Startowej, miała się do mnie przeprowadzić, a nagle o osiemnastej wybrała męża. Na logikę to się nie trzymało kupy. Usiadłem gwałtownie.

W miejsce porzuconego faceta obudził się we mnie policjant. Zacząłem myśleć. Poszedłem na Startową.

Metr po metrze, szafka po szafce, przeczesałem mieszkanie Hani. Czepiałem się czegokolwiek, co mogłoby wyjaśnić przebieg wczorajszych wydarzeń. Ciuchów w szafie zostało niewiele, czyli wyjechała. Przeglądałem dokumenty w szufladach, każdy zapisany papier. Jakaś kartka upadła na dywan. Schyliłem się po nią, a wtedy pod szafką coś błysnęło. Wyciągnąłem stamtąd męską obrączkę. Nie miałem wątpliwości, do kogo należała. Mogła tam leżeć długo, albo i niekoniecznie. Nie miałem żadnej pewności, ale intuicja podpowiadała mi, że coś się musiało wydarzyć między Hanią a tym gnojem, iż tak nagle zmieniła zdanie. Gdyby było to coś dobrego, obrączka raczej by tam nie leżała, chyba że ją zgubił. Co się mogło stać? Z obrzydzeniem cisnąłem złotym krążkiem o ścianę. Zadzwoił Wojtek.

– Słuchaj, coś mnie tknęło – zaczął bez wstępów. – Tak z ciekawości sprawdziłem jeden trop.

– Mów – rzuciłem krótko.

– Miałem sprawę w kapitanacie i przy okazji przeszedłem się po sąsiedzku na terminal promowy. Użyłem swojego uroku osobistego i jedna bardzo ładna i sympatyczna panienka z Polferries, po cichu, z zawodowej solidarności, sprawdziła listy pasażerów. Przypomniała też sobie podpita, hałaśliwą grupę facetów przy okienku, jak wydawała karty pokładowe. Ponieważ głośno rozmawiali, słyszała wszystko. Robert Masłowicz przed godziną odpłynął do Norwegii przez Szwecję. Sam.

– Jak to, sam? – Wstałem z wrażenia.

– Z kolegami z firmy Polnord, na kontrakt budowlany. Razem ośmiu chłopca. Hanny Masłowicz nie ma na liście pasażerów.

– Wojtek, jesteś... – Wykrzyknąłem uradowany, ale przerwał.

– Wiem, wiem – zaśmiał się – wielki, wspaniały, cudowny i beze mnie byś zginął.

– Z ust mi to wyjąłeś.

– Zapamiętaj najważniejszą zasadę. Jak szaleje sztorm, wszystkie ręce na pokład.

– Zapamiętam. Widzimy się jeszcze?

– Już nie. Dziś pożegnaj przyjemnie urlop z tą miłą panienką. A jutro Singapur. Słuchaj, o co chodzi z tym HIV-em? Zapomniałem cię spytać.

– Hania popisała się fantazją i chyba skutecznie nastraszyła kogoś, kto trochę mi mieszał.

– Domyślam się, że Elżbietka robiła ci koło pióra. Nic nie mówiłeś.

– Nie było o czym.

– Zuch dziewczyna z tej Hanki. Co w takim razie zamierzasz?

– Będę jej szukał.

– I to mi się podoba. Tak trzymać.

Gdybym miał go pod ręką, to chyba ucałowałbym tę piegowatą głowę.

Zacząłem standardowo, od sprawdzenia wszystkich szpitali, dworców, poczekalni. Wiedziałem, że w tym przypadku zgłaszanie zaginięcia nie wchodzi w grę, Hania zostawiła wyjaśniający list. Musiałem znaleźć ją sam. Tylko gdzie? Jakaś niedorzeczna myśl pchała mnie do Nieba. Pojechałem tam z samego rana.

Moja niecierpliwość znacznie wychylała wskaźnik prędkościomierza ponad dopuszczalną normę. Zwłaszcza od Elbląga do Miłomłyn mogłem zaszaleć na szerokim odcinku siódemki. Potem posuwałem się naprzód zdecydowanie wolniej, hamowany robotami drogowymi. Kombinowałem chwilę z bocznymi objazdami, ale odrzuciłem ten pomysł. Tam, gdzie warto dotrzeć, nie ma drogi na skróty. Chciałem dotrzeć, jeśli nie do Hani, to przynajmniej do jakiegokolwiek wiadomości o niej.

Przed południem, prowadzony nawigacją, wjechałem w wąską, pylistą drogę między polami. Może nawet mógłbym ją określić jako malowniczą, skąpaną w słońcu, zieleniejącą i złocistą, gdyby nie niepokój o Hanię, który się we mnie zagnieździł. Dojechałem do tego Nieba i co dalej? Kilka starych chałup, marnych obejść. Nie znałem ani numeru jej domu, ani panińskiego nazwiska. Zatrzymałem się przed pierwszym podwórkiem. Jakaś kobieta rozwieszała pranie na sznurze.

– Dzień dobry! – zawołałem przez otwarte okno. – Gdzie tu mieszka Hanka?

– Jaka Hanka?! – odrzyknęła, osłaniając ręką oczy przed słońcem. – Dwie tu kiedyś mieszkały.

– Ta, gdzie niedawno pogrzeb jej ojca był!

– Aaaa... Rzepeckie, ostatnia chałupa po prawej! – Pokazała ręką kierunek. – Ale tam nikogo nie ma. Rzepecka na pielgrzymkę do Częstochowy pojechała, Przemek u braci w Anglii, tylko Irek został.

– Dziękuję pani.

Zatrzymałem się pod otynkowanym, szarym domkiem z omszałą dachówką i znów poczułem to przykre ukłucie w sercu. W uszach zabrzmiały mi wszystkie opowieści Hani, przeplatając się z warkotem włączonej szlifierki. Przed domem młody mężczyzna o potężnych, wytatuowanych ramionach wygładzał długą deskę. Drewniany pył unosił się w powietrzu i osadzał na ochronnych okularach i zielonej koszulce osiłka. Dostrzegł mnie, jak tylko wysiadłem z samochodu. Wyłączył maszynę. Zrobiło się cicho i tylko zapach świeżego drewna zakręcił mi w nosie.

– Pan do kogo? – spytał, zerkając na mnie podejrzliwie.

– Dzień dobry. – Wyciągnąłem rękę do powitania. – Piotr Mróz.

– Piotr od Hani. – Kiwnął domyślnie głową. Zdjął okulary i otarł ręce o dzinsy. – Irek Rzepecki. Jestem

jej bratem. Hania sporo mi o panu opowiadała. Co u niej? Próbuję się dodzwonić, ale ma wyłączony telefon.

– Ja właśnie w tej sprawie – odparłem z paskudnym uczuciem zawodu, że tu jej nie ma i prawdopodobnie nie było. – Możemy porozmawiać?

– Zapraszam do mnie na górę.

Weszliśmy po skrzypiących schodach na poddasze. Brat Hani zaproponował kawę, coś do jedzenia. Ten pozornie mrukliwy i groźnie wyglądający facet wzbudzał sympatię. Może tym, że z rysów twarzy był trochę podobny do Hani? Takie samo czoło i lekko skośne oczy. Usiedliśmy przy stole, nad mocną kawą. Bez zbędnych wstępów wyjaśniłem powód swojej wizyty.

– Jak to zniknęła? – zdumiał się. – Tak po prostu, z dnia na dzień? Hanka zawsze była inna niż cała reszta naszego gównianego świata. Chodziła własnymi ścieżkami, z nikim się nie zadawała, ale żeby tak zniecka zniknąć? Może coś jej zrobiłeś, przyznaj się? – spytał, patrząc na mnie spode łba.

– Zostawiłem ją na parę godzin i to był mój wielki błąd. Irek – bez ceregieli przeszedłem z nim na „ty” – naprawdę nie kontaktowała się z tobą? Nic nie wiesz? Jakaś dalsza rodzina? Znajomi? Dokąd mogła pojechać? Rusz głową. Każdy szczegół może być ważny. Muszę ją znaleźć.

– Nie mam zielonego pojęcia, gdzie może być. – Przyłożył rękę do piersi. – Zawsze była samotnikiem. Kiedyś miała tu taką zaprzyjaźnioną bibliotekarkę i do niej tylko chodziła, ale staruszka już dawno nie żyje. Tego jej męża na oczy nie widziałem. Zupełnie nie znam gościa ani jego rodziny tym bardziej, ale wkurzyłeś mnie teraz ostro.

– A co ja mam powiedzieć? Za cztery dni ma umówioną wizytę w szpitalu w Krakowie.

Aż boję się pomyśleć, że mogłaby tam nie pojechać. Inaczej... – Nie miałem odwagi dokończyć.

– Ten jej rak to poważna sprawa? Nic więcej mi nie powiedziała. Nawet matka nie wie.

– Guz mózgu.

– O kurwa. – Złapał się za głowę.

– Nooo, dobrze to ująłeś. – Potarłem ręką twarz. – Będę się zbierał. Nawet jak jej nie znajdę, to i tak pojedę do Krakowa. Może się pojawi. Obiecała mi.

– Fajny gość z ciebie. – Irek poklepał mnie po plecach. – Dobrze, że Hanka ciebie ma. Miała przesrane życie, tak jak my wszyscy tutaj.

– Ona mnie ma, tylko że ja nie mam na razie jej. – Wstałem od stołu. Wyjąłem z kieszeni wizytówkę i położyłem na blacie. – Zadzwoń, jak czegoś się dowiesz. Może się odezwie.

– Wzajemnie. – Podał mi swoją, ozdobioną rysunkami mebli.

Nie dowiedziałem się niczego, co pomogłoby mi odgadnąć, gdzie może być Hania. Wiedziałem jedno. Co innego niewytłumaczalne zagubienie, jakie jej się przydarzyło wcześniej, a co innego planowe działanie. Jeśli naprawdę z nieznanych mi powodów postanowiła ode mnie odejść, to prędko jej nie znajdę. O ile w ogóle ją znajdę.

# Hanka

Jest słoneczne letnie popołudnie. Zapach maślanych bułeczek wypełnia całą kuchnię. Patrzę, jak urosły zarumienione w piekarniku. Wiem, że to nie one tak pachną, to zapach naszego domu. Zapach ciepła, bezpieczeństwa, spokoju, spełnionych marzeń. Zmywam naczynia przy oknie, które wychodzi wprost na morze. Mam je na wyciągnięcie ręki. Delikatne fale leniwie muskają brzeg białą pianką. Wystarczy wyjść przed drzwi naszego domu, aby móc ich dotknąć. Słyszę tupot lekkich stópek o podłogę. Dziewczynka w różowej sukieneczce tuli się do moich kolan. Biorę ją w ramiona.

– Dasz mamusi buziaczka? – Dotykam ustami pulchnego policzka dziewczynki. Wygląda dokładnie tak jak ja, gdy miałam cztery lata. Jest mną.

– Kocham cię, Hanusiu – zatracam się w czułościach. Prawie gniotę dziecko na rękach. Mała śmieje się i zaplata mi rączki na szyi.

– Kocham cię, mamusiu – szczebiocze po dziecięcemu.

Znów słyszę kroki. Cięższe, wolniejsze. Wchodzi Piotr. Uśmiecha się do mnie i do dziecka. Obejmuje nas.

– Tu są moje królewny. – Bierze dziewczynkę na rękę. – Pójdziemy na plażę poszukać muszelek, córeczko? Zabierzemy mamusię.

– Tak, tak, tak! – Mała aż piszczy z uciechy i podskakuje w jego ramionach.

– Kochanie – Piotr całuje mnie w usta – zostaw te naczynia, potem to zrobię. Takie piękne słońce, szkoda czasu na zmywanie.

Pod bosymi stopami chrzęści nagrzaną piach. Mam pomalowane na krwistą czerwień paznokcie u nóg. Między naszymi stopami drepczą pulchne stópki córeczki. Trzymamy ją za ręce z dwóch stron i co kilka kroków podrywamy w górę. Idziemy ku zachodowi. Mała śmieje się głośno, jej radość miesza się z naszą. Aż huczy w ferworze radości. Huczy coraz głośniejsze, łomocze.

Nagle moje nogi wyglądają tak, jak u mojej matki. Grube, z guzowatymi żyłakami pod skórą. I biodra mam rozłożyste, i piersi ogromne.

Wyraźnie słyszę grzmot, który narasta z każdą chwilą.

– Halo, proszę pani! – Teraz słyhać też głos. – Proszę otworzyć!

Podnoszę ciężkie powieki. Potrzebuję chwili, by dojść do siebie. Biała poszewka nasiąkła wilgocią. Na poduszce leży wymięty lazurowy szal. Mam zlepione potem włosy, jestem cała mokra, tylko w ustach czuję nieznośną suchość. Nie ma słońca, domku nad morzem, dziecka ani Piotra, w zamian jest hotelowy pokój. A więc to tylko sen. Piotr też był tylko snem, niczym więcej jak snem mojej chorej głowy. Ten szal, z którym śpię, sama sobie kupiłam.

– Halo, proszę otworzyć! – Kobięcy głos brzmi coraz bardziej nerwowo, ręka coraz gwałtowniej łomocze.

Zwlekam się z łóżka, potykam o szklane naczynie na podłodze. Każdy krok robię z wysiłkiem. Ledwo podchodzę do drzwi. Przekręcam klucz i wsuwam głowę w szparę. Kobieta z hotelowej recepcji, w tanim uniformie, adekwatnym do standardu hotelu, patrzy na mnie niezyczliwie. Nie obchodzi mnie to. Nic mnie już nie obchodzi.

– Jaki dziś dzień? – chrypię sucho.

Tamta odruchowo cofa głowę. Mój zapach też ją odstręcza, nie tylko ja.

– Pierwszy czerwca. – Krzywi się i macha ręką przed nosem. Zagląda głębiej do pokoju, a ja mocniej przysmykam drzwi. Niech ją nie obchodzi mój wynajęty świat. – Minęła dwunasta i wygasł pani pobyt. Jeśli chce go pani przedłużyć, musi pani zapłacić. Pokojowa ma posprzątać?

– Sama posprzątam, zaraz zejść i zapłacić. – Przymykam drzwi przed nosem recepcjonistki.

Zapłacę, a jakże. Zapłacę za przedśmiertne podrygi. Z jałmużny męża zostało mi jeszcze dziesięć tysięcy. Jak dla mnie, bezrobotnej bez prawa do zasiłku, to majątek.

Nie mam wykształcenia, domu ani pracy, mam za to raka i dziesięć tysięcy, żeby zacząć samodzielne życie – albo umieranie, jak kto woli.

Zaraz będę miała o tysiąc sześćset mniej. Tyle po rabacie zapłacę za kolejny miesiąc w tej norze, w której tkwię od czterech tygodni. Mogę tu mieszkać nawet i cztery miesiące. Na tyle mi wystarczy. Reszta na jedzenie. I tak mało jem. Jaki ekonomiczny staje się człowiek, kiedy jest sam. Prawie sam w moim wypadku. Ten gość we mnie wciąż siedzi, tylko śpi. Śpi od wielu dni dzięki cudownej mądrości mojego ojca.

Dlaczego tak późno ją odkryłam? Tylko że ojciec czerpał z tego leku pełnymi garściami, a ja degustuję. Nasączam się nim powoli. Z gracją. Wróc, nie nasączam, tylko leczę. Żadne inne lekarstwo nie pomagało mi aż tak, że wszystko przechodzi, jak ręką odjął. Zaraz też po nie sięgnę, tylko spłuczę z siebie wcześniejszą kurację.

Oparta o drzwi nie mam siły, by wziąć ręcznik i przejść do łazienki na korytarzu. Dowlokłam się na chwiejnych nogach po butelkę z wodą mineralną. Suchość w ustach mija. Czuję niemiłe drżenie w całym ciele. Sięgam po inną butelkę, w której pozostało trochę lekarstwa na dzień. Na teraz wystarczy. Biały, przezroczysty płyn szemrze cichutko, spływając do kieliszka. Wypijam powoli i z ulgą wracam do łóżka. Mam już pewniejszy krok.

Nigdy nie piję więcej niż pięć kieliszków. Równe pięć, ani więcej, ani mniej. Nie jestem alkoholiczką jak mój ojciec, tylko sobie pomagam. Pierwszy kieliszek łagodzi napięcie. Drugi i trzeci uśmierzają ból. Odkąd odkryłam to lekarstwo, naprawdę nic mnie nie boli. Nie mam nawet wymiotów. Czwarty płacze mi pamięć. Piąty usypia. Uwielbiam ten piąty. Mogę po nim śnić.

Rozkładałam leczenie w czasie, mam nad nim pełną kontrolę. Nigdy nie wypijam pięciu porcji naraz. Teraz nalałam sobie tylko dwie. Może jeszcze wróci ten sen: przykładam na powrót głowę do mokrej poduszki. Przyciskam do piersi przezroczysty muślin. Glejak zasypia razem ze mną, on też lubi to lekarstwo. Jaki dziś dzień, usiłuję sobie przypomnieć. Sobota? Niedziela? Zresztą, jakie to ma znaczenie, kiedy piątki nie różnią się od śród, a środy żałośnie przypominają poniedziałki. Po co komu ten głupi czas? I tak już moje dni są policzone.

– Proszę pani!!!

Znów budzi mnie głośny łomot. Nad drzwiami wisi zegarek. Minęła piętnasta. A więc spałam trzy godziny, a nic mi się nie śniło. Jednak terapii nie da się oszukać, potrzebuję tego piątego. Zsuwam rękę z łóżka i jak ślepiec macam palcami po podłodze. Natrafiam na chłód szkła, bezwstydnie pustego. Niepocieszona sunę ku drzwiom. Przyszła zmienniczka tamtej. Ta jest grubsza, starsza i ruda.

– Proszę pani... – zaczyna nerwowo. – Tak naprawdę nie może to być. Proszę opuścić hotel.

– Przepraszam panią. – Momentalnie łapię pion. Jestem ugrzeczniona, prawie jak Elżbieta, gdy wtedy do mnie przyszła. – Długo pracowałam w nocy i zmęczenie wzięło górę.

– Co noc tak pani pracuje.

Recepcjonistka nie daje się na to złapać. Naciska ręką drzwi i wchodzi do pokoju. Patrzą w ślad za jej wzrokiem. Nie wiem, czego szuka. Rozgrzebany tapczan z pościelą, stara szafka przy łóżku, na niej

butelka mineralnego żywca, topiony serek i pół chleba w folii. Trochę rozwalonych ciuchów, okna zasłonięte ciężkimi, brązowymi storami. Pusta butelka po moim lekarstwie została wepchnięta pod brązową narzutę, zwisającą z tapczanu. Tak samo dobrze ukryta jak rak.

Nie wiem, o co chodzi tej kobiecie, czemu tak na mnie patrzy spod wyskubanych brwi. O moją wyciągniętą piżamę? No może jest trochę nieświeża, ale nie ma tu pralni. O potargane włosy? To moje włosy i mogą być, jakie chcą. Podpuchnięte oczy? Przecież pracowałam w nocy. Wycie w poduszkę to też praca. Czynność, działanie, a więc praca. Nie mogą mnie stąd wywalić. Uśmiecham się przepraszająco.

– Proszę dać mi dziesięć minut. – Staram się mówić przekonująco. – Za chwilę naprawdę zejdę do recepcji i opłacę kolejny miesiąc pobytu. A to dla pani za fatygę. – Sięgam do kieszeni spodni po pięćdziesięciotótkę. Kobieta waha się przez ułamki sekund, po czym chowa banknot do bocznej kieszonki.

– Dobrze, tylko proszę już się nie opóźniać i postarać się mniej pracować w nocy, dla własnego dobra. – Koniec zdania wypowiada z cieniem troski.

Sama zadbam o swoje dobro. Jej nic do tego. Nikomu nic do tego. Od miesiąca dbam o swoje dobro i cholernie mi z tym dobrze.

Umyłam się pod zagrybionym prysznicem, śmierdzącym od chloru, przebrałam w świeże ciuchy i zapłaciłam za kolejny miesiąc pobytu w hoteliku.

Mogłam wybrać inny, nawet w innym mieście, ale trafiłam właśnie tu. Znajdował się na tyle blisko od miejsca, gdzie przez chwilę byłam w swoim śnie, żebym, stojąc nad prawie tą samą wodą, mogła go wspominać. I na tyle daleko, żeby nikt mnie nie znalazł. Nawet telefonu nie włączyłam ani razu. Nie chciałam, by Piotr mnie znalazł. Nie miałam mu nic do zaoferowania.

Ogarnęłoby go to samo obrzydzenie, które usłyszałam wtedy w głosie Roberta. Poczuliby ten sam wstręt, gdyby widział mnie odartą z godności, upapraną rzygowinami. Żalostnego pasożyta, który jak wrzód na tyłku żeruje na cudzym organizmie. Jaka miłość mogłaby to wytrzymać? Taka przecież nie istnieje. Może w filmach, książkach, ale nie w życiu. A już na pewno nie w moim, prostej dziewczyny z pegeeru. Mnie nic takiego nie mogło się przytrafić. To było zbyt piękne, żeby się udało. Wmówiłam sobie coś, w co próbowałam uwierzyć. To sen, tylko sen. Piotr był moim sennym marzeniem, którego nauczyłam się na pamięć.

Dlatego uciekałam. Wolałam przerwać wszystko w zarodku, żeby potem nie przyszło gorsze rozczarowanie. Moje i jego. Gdybym została, gdybym bardziej się rozsmakowała w tej niemożliwej miłości, wtedy trudniej byłoby mi odejść. Nie mam jeszcze doświadczenia, ale chyba lżej umierać w pojedynkę, kiedy życie staje się udręką, niż kończyć je w momencie, gdy dopiero mogło się zacząć.

Kiedyś gdzieś przeczytałam, że życie wtedy ma sens, jeśli coś się po sobie zostawia. A co zostanie po mnie? Jedno wielkie nic i może parę setek w niebieskiej kopercie. Urodziłam się w dniu przemian, jednak dla mnie ta przemiana nie nastąpiła. Miałam tylko marzenia.

Nawet tak powiedziałam podczas kilku rozmów o pracę. Próbowałam coś sobie znaleźć, jak tylko przyjechałam do tego miasta. Taki beznadziejny lot ćmy ku płonącej świecy; ćmy, która próbuje udowodnić, że jeszcze coś może, zanim spłonie ze smrodem.

Chodziłam od sklepu do sklepu, zahaczałam o markety. Wszędzie to samo. „Nikogo nie potrzebujemy”, „Mamy komplet”, „Proszę złożyć CV”, „Odezwiemy się”. Nie miałam czasu na czekanie. Potrzebowałam pracy, już, teraz w tej chwili. Potrzebowałam rozpaczliwego potwierdzenia, że jestem coś warta, komuś potrzebna. Nie byłam.

Ostatnie miejsce, do którego zaszłam, to przytulny lokal w centrum miasta, wciśnięty pomiędzy strzeliste, białe kamieniczki zdobione czerwoną cegłą.

Na drzwiach kawiarnio-księgarni przeczytałam informację: „Zatrudnimy pracownika”. Weszłam do

środku. Miękkie pluszowe kanapy, meble w stylu gdańskim, na nich pełno książek, dyskretnie ukryty barek, zapach mielonej kawy, sporo klientów. I młodzi mężczyźni za kontuarem.

– Jakie ma pani wykształcenie? – Usłyszałam od nich, ledwo wykrztusiłam, że szukam pracy.

– Zawodowe, ale lubię czytać – odpowiedziałam zażenowana swoimi brakami. Jak na komendę unieśli brwi w wyrazie politowania.

– Zawodowe – powtórzył jeden z nich. – A co pani potrafi?

Mogłam powiedzieć, że sprzątać, gotować, sprzedawać warzywa, ale powiedziałam:

– Marzyć – przecież tylko to potrafiłam najlepiej – i szybko biegać – dodałam jeszcze, widząc ich zaskoczone miny.

– To niech pani na poczcie spróbuje, jako listonosz – parsknął śmiechem drugi.

Uciekłam z tamtego miejsca. Nie odwróciłam się, nawet gdy za mną wołali.

– Halo, proszę pani, żartowaliśmy...

To było prawie miesiąc temu. Więcej nie szukałam pracy. Ale tamtego popołudnia odkryłam cudowny, uśmierający eliksir.

Eliksir, dopiero teraz oprzytomniałam. Był już wieczór, gdy siedząc w porcie, pogrążona w rozmyślniach i wpatrzona w przeżarte rdzą stateczki wpływające do kanału, uświadomiłam sobie, że zaraz zamkną sklepy.

Musiałam zdążyć po swoje lekarstwo bez recepty. To na receptę też muszę zdobyć. Tylko jeszcze nie dziś. Jutro, pojutrze. Teraz niech chociaż raz powróci ów sen. Chcę ponownie zobaczyć tamtą dziewczynkę i Piotra. Piąty kieliszek będzie na sen. Nie więcej, tylko pięć. Nie jestem jakąś pijaczką. Potrzebuję tylko lekarstwa. Kupiłam od razu dwa, żeby nie wychodzić z hotelu.

Wyszłam z Biedronki, gdy już prawie zamykali. Zapomniałam kupić sobie coś do jedzenia. To nic. Mam coś, co najlepiej przyniesie mi ulgę. Ogarnął mnie dziwny niepokój. Nogi zaczęły mi drżeć. Nie dojdę do hotelu, choć światło neonu majaczyło w oddali. Za daleko, dla mnie za daleko. Muszę się wspomóc. Usiadłam na murku z tyłu sklepu. Wysoka nakrętka od butelki doskonale udawała kieliszek. Nalałam od razu i wypięłam z gracją. Przecież nie jestem alkoholiczką, żeby pić prosto z gwinta, tak jak mój ojciec. Ten mały naparstek złagodził moje napięcie. Teraz mogłam swobodnym krokiem dojść na miejsce.

– Hanka, nie poznajesz mnie? – Słyszę za plecami pytanie z recepcji, gdy wspinam się na pierwsze piętro.

Odwracam się zdziwiona.

Za wysoką, półokrągłą ladą siedzi dziewczyna chyba w moim wieku. Widzę ją tu po raz pierwszy. W ogóle widzę ją po raz pierwszy. Tamta wstaje, bierze gazetę i idzie do mnie. Przecież wszystko zapłaciłam, czego jeszcze ode mnie chce, psioczę w myślach. Niepotrzebnie mnie zatrzymuje i tylko oddala chwilę, gdy wróci tamten sen.

– Hanka, to ja. Dorota. Mieszkałyśmy w sąsiednich wsiach. – Bierze mnie za ramię.

– Z kimś mnie pani pomyliła – odpowiadam obojętnie. Nie wiem, kim ona jest.

– Pani nie jest Hanką Rzepecką? – pyta, podsuwając mi pod nos gazetę. – Wczoraj wróciłam z Gdańska. Byłam na miesięcznym szkoleniu, bo tu, w Elblągu, mają otworzyć nowy hotel i chcę się tam załapać. Zobaczyłam w gazecie pani zdjęcie. Dałabym głowę, że chodziliśmy razem do podstawówki. Niech pani sama zobaczy, jakie podobieństwo.

Patrzę na zdjęcie.

W promieniach zachodzącego słońca uśmiecha się na nim jakaś dziewczyna. Podobna do mnie, ale to nie ja. Już nie ja. Pod spodem informacja, że zaginęła. Ktokolwiek wie, niech powiadomi... jakieś cyferki tańczą mi w oczach. Odsuwam gazetę.

– To pomyłka – mówię pospiesznie i usiłuję wejść na stopień. Jest irytująco krzywy. Potykam się

o nierówną wykładzinę. Chwieję się, ale tamta mnie podtrzymuje.

– Przepraszam, mam za wysokie buty. – Wskazuję na tenisówki. – To znaczy, za ciasne. Pójdę już, jestem zmęczona. Długo pracowałam w nocy.

– Tak, koleżanki mi mówiły, że pani długo pracuje. Mogę w czymś pomóc?

– Nie albo... tak. – Zmieniam zdanie. Muszę to przyspieszyć, już nadszedł czas. – Czy może mnie pani umówić na prywatną wizytę u lekarza? Na jutro na przykład?

– U jakiego?

– Nie wiem. U dobrego. Internisty.

– Dobry internista pracuje w przychodni, tu, niedaleko. Jeśli ma pani ubezpieczenie, to szkoda wydawać sto pięćdziesiąt złotych na prywatną wizytę. Mogę panią umówić.

– Dobrze, poproszę. Mam ubezpieczenie.

Zanim trafiłam do tego hotelu, zrobiłam dwie rzeczy. Wymeldowałam się ze Startowej i zarejestrowałam w urzędzie jako bezrobotna, żeby mieć ubezpieczenie. Nie było mi do niczego już potrzebne, ale uniosłam się głupawą dumą, by udowodnić Robertowi, że potrafię sama zadbać o takie sprawy. Nie potrzebowałam już jego łaski. Może się udławić swoim mieszkaniem. W pierwszym impulsie chciałam mu też przelać na konto pieniądze, które mi zostawił, ale ostatecznie przecież ja też pracowałam, więc mogłam za nie pożyć. Pożyć? Śmieszne.

Ta kobieta wszystko mi popsuka. Nie mogę się doliczyć mojej dawki na dziś. Brałam? Nie, chyba nie. Byłam w porcie, potem w sklepie, tam przecież nie piłam. Wyjmuję z torebki pierwszą butelkę. Ma zakręcony szczelnie korek. A więc nie pomyliłam się, mogę liczyć od początku. Napełniam pierwszy kieliszek. Czuję relaks. Sączę powoli drugi i trzeci, elegancko, przy stole. Małymi łykami, jak dama z wyższych sfer, kołyszę moim lekarstwem glejaka do snu. Jest noc, gdy wypijam piąty i sama też prawie zasypiam. Jeszcze przywołuję pod powiekami twarz Piotra i tej dziewczynki. Piotra widzę wyraźnie, dziecka nie.

Co się z nią stało? Co się stało z naszą córeczką?

Śnie, wracaj. Jeszcze ten jeden, jedyny raz, zanim nadejdzie jutro. Zanim padnie mój szamoczący się korpus. Mam plan B. Pomogę sobie sama, niech tylko jeszcze raz zobaczę to marzenie.

Ranek przyszedł jałowo bezsenny.

Miałam umówioną wizytę na dziewiątą, o czym uprzejmie poinformowała mnie recepcjonistka. Zmienniczka tej, która niby mnie znała. Było jeszcze dość czasu, żeby doprowadzić się do ładu. Nie wzbudzać żadnych podejrzeń. Umyłam się, ubrałam ładnie w bawełnianą lawendową sukienkę do kolan, na ramiona zarzuciłam lazurowy szal i zeszłam do hotelowej restauracji na śniadanie.

Wszyscy mnie widzą. Uśmiecham się, pozdrawiam, odpowiadam na pytania. Już nie wzbudzam niechęci personelu. Dobrze gram. Jeszcze lepiej niż wtedy przed Elżbietą. Może powinnam być aktorką? Podmalowałam się nawet. Trochę tuszu, niewiele pudru, błyszczyk. Wyglądam jak przebrany trup, ale to nic. Lekarz też się na to złapie. Tylko te nerwy. Muszę się rozluźnić. Potem odliczę ten kieliszek od dawki przewidzianej na jeden dzień.

Pakuję do ust trzy miętowe tik-taki i czekam pod drzwiami gabinetu w przychodni. Przede mną są jakieś dwie starsze kobiety. Jedna skarży się na reumatyzm i strzykanie w kościach, podobno spać po nocach przez to nie może. Druga na kłucie, niepokój w sercu i duszności. Opowiadają ze szczegółami o swoich przypadłościach, ale jedna drugiej nie słucha. Najważniejsze, żeby się wygadać i pozawracać głowę lekarzowi. Swoją drogą to pomysł dopłat do leczenia nie jest taki zły, stwierdzam w myślach. Trochę podsłuchuję, co mówią, może się do czegoś to przyda. Wciąż jestem wyluzowana. Jedna dawka lekarstwa naprawdę robi cuda. Wzięłam je ze sobą na wszelki wypadek, gdyby glejak się domagał. Na razie jednak daje mi spokój.



Przychodzi moja kolej. Wchodzę do gabinetu. Lekarz jest młody, jakby dopiero skończył studia. Chudy, z bliznami po ospie na twarzy.

– Słucham, co pani dolega? – Słyszę wytartą formułkę. Siadam na krześle przed biurkiem i pewnym głosem, bez odgrywania dramatu, obwieszczam:

– Chyba przemęczenie. Mam ostatnio bardzo dużo pracy.

– Z ubezpieczenia wynika, że jest pani bezrobotna – mówi z twarzą przy monitorze.

– Wykonuję wolny zawód. Zarejestrowałam się, żeby mieć ubezpieczenie. Pracuję w nocy, a w dzień chciałabym się wyspać. Nie mieszkam, niestety, sama, dlatego trudno mi wypocząć. Próbowałam czegoś bez recepty, ale żadne ziołowe preparaty na mnie nie działają. I taki mam niepokój w sercu. Czasem bije zbyt szybko.

– To prawdopodobnie wynik przemęczenia. Poza tym jest pani zdrowa?

– Naturalnie.

– Zmierzę pani ciśnienie. Proszę odsłonić ramię.

Wykonuję polecenie. Lekarz pompuje powietrze do rękawa, a po chwili mówi:

– W porządku, ciśnienie w normie, ale rzeczywiście jest pani błada. Osłucham panią.

Stempluje mnie zimną słuchawką dwa razy z przodu, trzy z tyłu. Na przemian wciągamy i wypuszczamy powietrze, tak jak każe.

– Nic się takiego nie dzieje, ale rzeczywiście przyda się pani wyciszenie. – Wraca za biurko.

– Właśnie dlatego przyszłam. Jeśli pan mi coś przepisze, będę wdzięczna. – Proszę nienachalnie.

– Zapiszę pani hydroksyzyne, powinna pomóc.

– Jeśli można, to wolałabym co innego – oponuję delikatnie. Potrzebuję czegoś skuteczniejszego, by przeprowadzić plan B. Dlatego na poczekaniu wymyślałam kolejne kłamstwo. – Raz zażyłam hydroksyzyne i byłam po niej wyjątkowo otumaniona. Wolałabym tego uniknąć, gdyż boję się przyjmować leki, które mi szkodzą.

– To bardzo słuszne – stwierdza z aprobatą młody lekarz.

Muszę mówić wyjątkowo przekonująco. Brnę dalej w to przedstawienie, przyjmując lekko zboląły wyraz twarzy.

– Niedawno umarł mój ojciec, z którym byłam bardzo związana. Jeszcze nie mogę dojść do równowagi. Prócz tego, co już panu powiedziałam, odczuwam czasem jakieś dziwne lęki, to chyba stres – tłumaczę, gestykulując subtelnie.

– To zrozumiałe. – Lekarz kiwa głową. – Śmierć kogoś bliskiego zawsze jest traumą.

– W moim przypadku ogromną. – Pociągam nosem, by jeszcze bardziej wzbudzić współczucie. – Bardzo kochałam mojego ojca. Nie potrafię się pogodzić z jego odejściem. Pogrzeb przeżyłam chyba tylko dzięki doktorowi, który przepisał mi diazepam. Zyskałam dzięki temu przynajmniej namiastkę spokoju. Bardzo dobrze zadziałał na mnie ten lek. Gdyby mogła go dostać jeszcze raz, byłabym bardzo wdzięczna – kończę z ręką przyciśniętą do serca.

Lekarz zastanawia się nad czymś, przygryzając wargę.

– To dość silny środek. No cóż, ale skoro pani pomógł, to nie widzę przeciwwskazań, by zapisać go pani ponownie. Tylko bardzo proszę go nie nadużywać. Pół tabletki przed snem absolutnie wystarczy. – Przykłada pieczętą do recepty.

– Oczywiście, panie doktorze. Dziękuję.

– A gdzie pani pracuje, jeśli można wiedzieć?

– W agencji towarzyskiej – znów łzę bez mrugnięcia okiem – więc sam pan rozumie, że nocą muszę być wypoczęta, bez otumanienia lekami.

– Aaaa, no tak, rozumiem. – Chrząka zakłopotany. – Proszę w takim razie nie zaniedbywać kontroli

w poradni K.

– To oczywiście. Do widzenia, panie doktorze.

Wychodzę od naprawdę dobrego internisty.

Bez większych problemów dostałam to, czego chciałam, mogę być z siebie dumna. Chowam receptę do torebki. Dotykam palcami mojego cudownego eliksiru w środku. Potrzebuję go teraz, żeby nie zdążył mnie dopaść ból, nim dojdę do apteki i wrócę do hotelu. W łazience nikt mnie nie widzi, mogę spokojnie odmierzyć drugą dawkę. Wraz z nią spływa na mnie spokój. Chyba nawet uśmiecham się do aptekarki kilka przecznic dalej, która podaje mi biało-niebieskie pudełeczko. Kolory na nim do złudzenia przypominają odcień letniego morza i szala od Piotra.

Jest piękny dzień. Taki jak z mojego snu. Niebo zachwyca błękitem, słońce zalewa ulicę. Chcę jeszcze raz spojrzeć na prawie tę samą wodę, na którą patrzyłam z Piotrem. Choć jeszcze raz przywołać tamte wspomnienia. I jego. Jadę nad zalew. Gdzieś tam, po drugiej stronie mierzei, znajduje się ten, który był krótkim snem w moim ponurym życiu. Jedną chwilą, podarowaną przez przewrotny los, a może sama ją wymyśliłam?

Wracam trochę wolniej. Jedna ulica, druga, trzecia, wreszcie hotel. Mijam recepcję, na przywitanie kiwam głową kobiecie za kontuarem. Wchodzę na pierwszy stopień schodów i słyszę męski głos:

– Hanka.

Odwracam się. Z fotela przy filarze wstaje mocno zbudowany mężczyzna. Cholera, tłumię w sobie wściekłość. Uśmiecham się do niego, udając radość.

– Irek, jak miło cię widzieć. – Daję się objąć, choć odwracam głowę i nerwowo poprawiam torebkę. Kurczowo przyciskam ją łokciem do boku. – Co tu robisz?

– A jak myślisz? – Patrzy na mnie groźnie. – Czekam na ciebie. Pogadamy?

– Tak, oczywiście, może tam. – Wskazuję dość obskurną restaurację.

– Wolę w twoim pokoju. Idziemy. – Głos Irka brzmi jak rozkaz.

Łapie mnie pod rękę, tak że nie mogę się cofnąć, i ciągnie na górę. Nie jest dobrze, ale nie protestuję. Spławić, muszę go czym prędzej spławić. Wszystko mi pomiesza.

– Co ty, do ciężkiej cholery, wyprawiasz?! – napada na mnie, ledwo weszliśmy do pokoju.

– Nie rozumiem – udaję zdziwioną.

– Nie rozumiesz?! Ty nie rozumiesz?! – Ze złością potrząsa moimi ramionami. – Znikasz, nie dajesz znaku życia! Od miesiąca cię szukamy. Piotrek świra dostaje, ja też! Olałaś wizytę w Krakowie! Siedzisz tu i chlejesz! Na szczęście Dorota cię poznała i zadzwoniła dziś do mnie! Chcesz być taka jak nasz ojciec?! Mało ci było tego gówna w dzieciństwie?! Myślałem, że jesteś inna! Mądrzejsza! – wrzeszczy na mnie bez pardonu.

Ciarki mnie przechodzą od tego krzyku. Nienawidzę krzyku. Za bardzo przypomina mi przeszłość. Jak Irek w ogóle śmie porównywać mnie do ojca!

– Nie jestem taka jak on! – Wyrrywam się z kleszczowego uścisku Irka i cofam o krok, ale brat przysuwa się do mnie. Czuję jego świszczący oddech na twarzy. Pociąga mocniej nosem i krzywi się.

– Nie?! – pyta gniewnie, rozglądając się po pokoju, którego jeszcze nie zdążyłam sprzątnąć.

Po chwili, zrobiwszy jeszcze większy kipisz, wyciąga puste butelki po moich lekarstwach. Jedną spod łóżka, drugą z ciuchów w szafie, trzecią zza firanki.

– A to? – rzuca je z brzękiem na pościel. – Samo się tu znalazło?! Jedzie od ciebie jak z gorzelni! Pakuj się, wracamy do domu.

Stoję pośrodku pokoju i tylko przyciskam do siebie torebkę. Irek patrzy na mnie, po czym zdejmuje walizkę z szafy.

– Sam cię spakuję – wrzuca do niej pierwsze naręczce ciuchów.

– Iruś, zaczekaj. – Zmieniam taktykę na przymilno-łagodną.

Muszę się go pozbyć, zanim pokrzyżuje moje plany. Jestem słodka jak mdlący ulepek. Podchodzę na paluszkach do wielkiego brata, robię pokorną minę grzecznej dziewczynki, która żałuje, że nabroiła. Rzygam w myślach na ten cyrk, ale to nic. Cel uświęca środki, a mój cel już blisko.

– Przyznaję, przyłapałeś mnie, ale to nie do końca jest tak, jak myślisz. Wszystko ci wyjaśnię.

– Zamieniam się w słuch – mówi spokojnie, lecz nie przerywa pakowania.

Jest zły. Żyły mu nabrzmiały na masywnej szyi, twarz poczerwieniała, ręce chaotycznie zapełniają moją walizkę ciuchami.

– Zostaw. – Przymykam górę walizki. – Zejdźmy do restauracji. Jestem trochę głodna. Powinam teraz dbać o siebie. Ty pewnie też nic nie jadłeś. Tam spokojnie porozmawiamy. Zgoda?

Waha się chwilę. Jeszcze bardziej go zmiękczam, tuląc się do wytatuowanego ramienia. Irek wsuwa ręce do kieszeni dżinsów. Gładzę delikatnie jego plecy okryte czarną koszulką. Zaraz wpadnie w pułapkę. Widzę, jak się łamie. Żyły przestają mu pulsować, twarz nabiera normalnego koloru, oczy patrzą już mniej groźnie. Schodzi z niego złość.

– Dobra, chodź – mówi w końcu, a ja cieszę się w duchu z własnej przebiegłości.

Marnowałam się przez te wszystkie lata, przecież mam prawdziwy talent manipulacyjny. Powinam dostać medal za mistrzostwo w dyscyplinie „wyprowadzanie w pole”.

Siedzimy przy oknie w niezbyt dużej hotelowej jadalni. Kilka stolików przykrytych białymi obrusami, przy każdym po cztery krzesła. Wszystko ciasno stłoczone. Prawie jeden obok drugiego. Na żółtych ścianach tanie reprodukcje pejzaży, głównie morskie tematy. Tylko parę osób przy dwóch stolikach je obiad. Kelnerka przyniosła mielonego dla Irka i pierś kurczaka dla mnie.

Jedzenie rośnie mi w ustach. Znów mam odruch wymiotny. Moje lekarstwo zostało w torebce na górze. Tego Irek na szczęście nie znalazł. Zmuszam się do jedzenia, żeby nie budzić podejrzeń brata. Prawie nie spuszcza ze mnie wzroku.

– To nie jest tak, jak ci się wydaje – zaczynam pierwsza.

– A jak? – Słyszę w jego głosie powątpiewanie.

– Przyznaję, przez chwilę miałam moment załamania. – Biorę kolejny kęs na widelec i wkładam do ust. Rośnie w nich jak drożdżowe ciasto. Wpycham go pod policzek. – Przecież każdy w mojej sytuacji ma prawo do takich kryzysów. Choruję na raka, Robert wyrzucił mnie z mieszkania...

– Wyrzucił?! – Mój brat niemal krzyczy. Ludzie przy jednym ze stolików oglądają się w naszą stronę.

– Dał mi trzy miesiące na wyniesienie się z domu, ale wolałam zrobić to od razu. Też mam swoją ambicję. Więc sam rozumiesz, że mogłam się załamać.

– Dlaczego od razu nie zadzwoniłaś do mnie albo do Piotra, tylko zaszłaś się w tej dziurze?! Czy wiesz, co myśmy przeżyli?! Prawie śpię z komórką! Każdy telefon, zwłaszcza po tych ogłoszeniach w gazetach, to dla mnie alarm. Od razu mam czarne myśli! Jak Piotrek dzwoni, to też trzęsę portkami, że coś złego się stało! A ty, jak gdyby nigdy nic, siedzisz sobie tutaj i pijesz na umór, zamiast się leczyć! – nakręca się coraz bardziej. Wymachuje sztućcami i patrzy na mnie oskarżycielsko.

– Proszę, nie krzycz tak. – Z trudem przełykam chomikowany kęs. – Przepraszam, że tak się zachowałam, ale nie myślałam racjonalnie. Chciałam sama zastanowić się w spokoju nad tym wszystkim. Trochę to trwało, ale już się pozbierałam. Dziś byłam u lekarza. Jeśli mi nie wierzysz, to zapytaj Dorotę. Sama umówiła mi wizytę. Dostałam skierowanie do szpitala. Mam się tam zgłosić jutro. Spróbują mnie leczyć.

– Całe szczęście. – Irek oddycha z ulgą. – Zadzwonię do Piotra, że tu jesteś. Próbowałam od rana, jak tylko Dorota mnie zawiadomiła, ale miał wyłączony telefon. – Sięga do kieszeni spodni. – Zostawiłem w samochodzie komórkę.

– Sama do niego zadzwonię. Powinien dowiedzieć się wszystkiego ode mnie. Tak będzie lepiej. Mam mu dużo do wyjaśnienia, tylko też zostawiłam telefon w pokoju.

– W porządku – mówi pojednawczym tonem. – A tak w ogóle, to jak się czujesz?

– Wiesz. – Rozjaśniam się prawie naturalnie i nawet nie muszę kłamać. – Od kilku tygodni nawet nieźle i to mi daje nadzieję. Może potem, jak wyjdę ze szpitala, uda mi się pracę znaleźć i jakieś mieszkanie do wynajęcia, to znaczy pokój. Próbowałam wcześniej, ale na razie nic.

– Nie łam się. – Irek gładzi mnie po ręce. – Mam dwa pokoje na górce, żenić się na razie nie zamierzam. Masz dokąd wrócić. A robotę też ci znajdę. Możesz prowadzić księgowość w mojej firmie. Nie radzę sobie z papierkową robotą, a ty miałaś kiosk, więc kumasz to i owo ze skarbowką. Chciałabyś spróbować, jak już wyjdiesz ze szpitala?

– Bardzo – potwierdzam ochoczo.

– Zostanę z tobą. – Odsuwa pusty talerz i ociera usta serwetką. – Mam pomiary u klienta, ale przesunę to na jutro. Robota nie zając, nie ucieknę.

– Zróbmy inaczej – proponuję natychmiast. – Jedź do tego klienta, a do mnie wrócisz jutro. Będę na neurochirurgii w szpitalu wojewódzkim. Wiesz, pierwszy dzień, przyjęcie, formalności, dokumenty, a badania dopiero potem. Możesz mi kupić jakieś kosmetyki do szpitala, to już nie będę wychodzić. Odpocznę troszkę. No i liczę, że Piotr do mnie dziś przyjedzie, jak do niego zadzwonię.

– Może to i dobry pomysł. – Irek drapie się w tył głowy.

Czuję ulgę. Nawet dygotanie kolan zaczyna ustępować. Po mistrzowsku uspiłam czujność brata. Naprawdę powinnam dostać medal.

– Hania, a ty masz pieniądze, ubezpieczenie?

– Oczywiście, że mam.

– Słuchaj – wygląda na zakłopotanego – wiem, że tego nie chciałaś, ale powiedziałem o wszystkim matce.

– Matce? – powtarzam głucho.

– W końcu to nasza matka. Jaka by nie była, ale jednak matka. Teraz, kiedy jesteśmy sami, bez starego i chłopaków, zrobiło się inaczej. Ona nie jest taka najgorsza, tylko życie miała przesrane, jak my. Dlatego jest taka twarda i trochę kościelnie sfiksowana. Masz mi to za złe?

– Nie, już nie – mówię z westchnieniem. – Może to i lepiej, że wie. Iruś, jest ładna pogoda. Może pójdziemy na spacer? Pozbieram myśli, co powinnam powiedzieć Piotrowi, trochę go okłamałam, ale potrzebowałam czasu tylko dla siebie. Opowiesz mi też o matce, jak to przyjęła.

Podobno krzyczała, podobno pomstowała, potem się modliła i zamówiła mszę. Słucham tego obojętnie. Idziemy wzdłuż rzeki. Słońce grzeje nam plecy, głos brata miesza się z moim wewnętrznym wołaniem. Potrzebuję swojego lekarstwa. Teraz, już, natychmiast. Muszę śnić swój sen. Ból zaczyna majaczyć w głowie. Wymioty duszą w gardle, pot zlewa ciało. Ostatkiem sił nadrabiam miną. Coś nawet mówię, choć nie rozumiem własnych słów. Wylatują z ust bez kontroli mózgu.

Irek ściska mnie przed hotelem na pożegnanie. Chyba mówi, że przyjedzie jutro. Przypomina o telefonie do Piotra. Patrzą, jak wsiada do samochodu. Jeszcze macham mu na pożegnanie. Nareszcie mogę wrócić do pokoju.

Przekręcam klucz od środka. Pod niewielką stertą ciuchów w walizce leżą dwie koperty, jedna mniejsza, druga większa. Wyjmuję mniejszą i kładę na stoliku. Mój list do Piotra, ten prawdziwy, który napisałam przed miesiącem. Czytam go jeszcze raz.

*Jesteś czymś najwspanialszym, co mnie spotkało w życiu. Zapewne w innych warunkach byłabym najszcześniejsza na świecie, ale los jest, jaki jest. Nie chcę być dla Ciebie ciężarem, za bardzo Cię kocham, a wiem, że stałabym się nim prędzej czy później. Dlatego napisałam, że wyjeżdżam z Robertem, żebyś mnie nie szukał. Wybacz, jeśli Cię zraniłam. Chciałam Cię od siebie uwolnić.*

*Pytałeś, co było w tym zamazanym życzeniu. Teraz mogę powiedzieć, że się spełniło. Powiedziałaś, że mnie kochasz. Sądziłam, że ja tego nie potrafię. Dzięki Tobie zrozumiałam, że się myliłam. Pokochałam Cię już wtedy, gdy przyszedłeś do mnie z bułkami, tylko nie umiałam się do tego przyznać. Jeśli to prawda, że człowiek ma duszę, Ty zostaniesz w mojej na zawsze, gdziekolwiek ona będzie. Nauczyłam się Ciebie na pamięć.*

*Hanka*

Patrzę na tę większą białą kopertę z moim rakiem. Specjalnie zabrałam ją ze sobą, żeby ci, co tu przyjdą, od razu wszystko wiedzieli. Ej, ty, tam, w środku, zobacz, jak ci uciekam. Nie dopadniesz mnie, bo będę szybsza w tym biegu. Wyłuskuję z opakowania małe tabletki i wkładam wszystkie do ust. Jeszcze tylko moje lekarstwo. Cztery pierwsze dawki wypijam szybciej niż zwykle. Chcę mieć już za sobą tę piątą. Tę, która przyniesie mi wieczny sen, tak jak chciałam. Do piątej dawki dokładam szóstą oraz siódmą, żeby szybciej nadszedł. Kładę się na łóżku i zamykam oczy, przyciskając do siebie szal.

Widzę Piotra, stoi na końcu mola, plecami do słońca. Obok mnie znów jest ta dziewczynka. Biorę ją w ramiona i biegnę do niego. Wprost ku jego wyciągniętym rękóm. Biegnę tak lekko, jakbym nie dotykała stopami desek. Jest mi tak dobrze, błogo, jak nigdy dotąd.

Szal łopocze na wietrze, zlewa się z barwą morza. Jestem w połowie drogi, gdy molo trzęsie się gwałtownie, trzeszczą pękające deski.

Upuszczam dziecko, przewracam się, słyszę nieludzki ryk, czuję palący ból w policzkach, ktoś szarpie mnie gwałtownie. Nie widzę Piotra, zniknął razem z dzieckiem. Tylko ten potworny ból. Trzask, trzask, trzask.

– Otwórz oczy!!! Otwórz, kurwa, oczy!!! – Czyjaś dłoń okłada mnie po twarzy. – Nie zasypiaj!!! Hanka, nie śpij!!!

Czyjś głos, jakby mojego ojca, krzyczy tak strasznie. Ktoś podnosi mi powieki, pakuje palce do gardła, zwiesza głowę w dół, włóczy nogami po podłodze. Już mnie to nie obchodzi. Wreszcie zapadam w swój upragniony sen.

# Piotr

Ojciec, co z tobą? – Michał szturchnął mnie w bok. – Znowu się zawiesiłeś. Od pół godziny nic nie gadasz.

– W porządku, synek. Jestem trochę zmęczony. – Wstałem od komputera.

Michał układał moje kryminały do zdjęć. Przyjechał na weekend z postanowieniem, że nie wyjedzie, dopóki nie założy tego fanpejdza. Niech zakłada, skoro ma do tego tyle entuzjazmu. Przekładał książki, szukał dla nich dobrego tła, kręcił obiektywem. Nawet pstryknął mi zdjęcie, jak siedziałem przed laptopem. Mój entuzjazm jest dużo mniejszy, a właściwie to całkiem mi go brak.

Jem, śpię, trawię, biegam, piszę, nawet się zatracam w pracy, a jednak nie potrafię, mimo szczerze wypełnionego dnia, zagłuszyć przygnębienia.

Im więcej mija dni, odkąd zniknęła Hania, tym większy ogarnia mnie pesymizm. Wynajduję sobie różne zajęcia, żeby nie zgłupieć.

Wykorzystałem prawie wszystkie możliwości, by ją znaleźć – i nic. Jakby zapadła się pod ziemię. Nawet do tego Krakowa pojechałem, mając słabą nadzieję, że ona tam będzie. Zaczął się czerwiec, a ja wciąż stałem w miejscu. Ze wszystkich sił starałem się nie poddawać narastającemu zniechęceniu. Najgorzej było w nocy. Żeby do reszty nie zwariować, wyżywałem się w pracy. Żadnej innej książki nie pisałem tak prędko. Widocznie stres mnie mobilizował. Gdybym choć wiedział, gdzie ona jest i co z nią? A może już nie żyje... Na samą myśl nagły ból zakłuł mnie w sercu. Wypiłem duszkiem szklanekę wody, aby ochłonać.

– Co tak zbladłeś? – Michał odłożył aparat i podszedł do mnie. Przyglądał mi się badawczo przez chwilę.

– Wszystko gra. – Potarmosiłem jego czuprynę. – Przebiegnę się, to mi dobrze zrobi.

– Ciągłe myślisz o tej dziewczynie, prawda?

– Prawda – powiedziałem z westchnieniem.

I tak wszyscy wiedzieli o sprawie, nie musiałem niczego ukrywać.

– Co jej odwaliło, że tak wyparowała?

– Gdybym to ja wiedział. – Wzruszyłem ramionami.

Poszedłem do sypialni, wyjąłem z garderoby strój do biegania i przebrałem się pospiesznie. Właśnie ta niewiedza dobijała mnie najbardziej. Nie mogłem jej strawić. Gdzie popełniłem błąd, że Hania ściemniła z tym mężem, żeby ode mnie uciec?

– A próbowałaś ją namierzyć przez lokalizator komórki? – Michał stanął w progu. – To świetnie działa. Moi kumple dla zgrywy namierzają swoje laski. Może spróbujemy?

– To tak prosto nie działa, ale zrobiłbym i to, gdyby choć raz włączyła telefon – odrzekłem, czując narastającą złość.

Byłem zwyczajnie zły na Hanię, że tak mnie wystawiła do wiatru. Co tam mnie, swoje zdrowie. Tę cieniutką szansę, jaką miała, by żyć.

– Nie włączyła go ani razu. Nie jestem w stanie policzyć, ile razy sam do niej dzwoniłem. Dobijam się do jej brata, zamęczam Bartka. Wszystkiego próbowałem. Nawet dałem ogłoszenie w gazetach. Sam

zamieszczając wpisy w internecie. Wymusiłem na byłym szefie przyjęcie zgłoszenia o zaginięciu, mimo że zostawiła list. Jest chora i diabli wiedzą, co jej do głowy strzeli. Sam łączę tu i tam. Jeżdżę, sprawdzam. Już dwa razy oglądałem zwłoki dziewczyn podobnych do niej. I nie pytaj, co wtedy czułem. Powiedz, co jeszcze mogę zrobić, bo ja już nie mam pomysłu. Chyba tylko do jasnowidza pójść i może tak zrobię – strzelałem słowami jak z pistoletu.

Michał przez chwilę nic nie mówił, a potem zapytał:

– Moją matkę też tak kochałeś, jak ją?

Przytrzymałem na moment powietrze w płucach. Nie spodziewałem się takiego pytania.

– Nie wiem, czy tak, ale kochałem – odparłem szczerze. – Mama mówiła, że o której będzie?

– Tak za dwie godziny, z kimś się gdzieś ustawiła.

Monika przyjechała do mnie dziś w południe. Chyba tylko po to, by zaszpanować nowiutkim porsche cayenne. W ogóle mnie to nie ruszyło. Mogła nawet przyfrunąć na latającym dywanie. Grunt, że Michał tu jest.

– Tato, pamiętasz, jaki dziś dzień?

– Dziś? Niedziela, Dzień Dziecka, dostałeś prezent ode mnie. A może zapomniałem? – Pospieszenie szperałem w pamięci. Nie, no dałem mu rockowe płyty, książkę i samochodzik dla żartu.

– Nie zapomniałeś, ale... – zawiesił głos.

– Aaaaa, już wiem, urodziny mamy. Pamiętam. Dlaczego pytasz?

– Śmiechowo będzie widzieć was razem – zrobił kpiącą minę – matka coś kombinuje, nawet catering zamówiła.

– Nie widzę w tym nic śmiesznego. Jesteśmy twoimi rodzicami i ta ironia jest zbędna. Pójdę pobiegać.

Ruszyłem do korytarza, ale w drzwiach odwróciłem się jeszcze.

– A ty jutro nie musisz iść do szkoły?

– Mówiłem ci, mam wolny dzień, moja klasa zwiedza Gdańsk. Na cholerę będę zwiedzać coś, gdzie pomieszkuję?

– Prawda, mówiłeś – bąknąłem rozkojarzony. – Może przebiegniesz się ze mną?

– Po ostatnim razie? W życiu. Skończę z tym fanpejdzem i z Asią jestem ustawiony na łączach. Mogę twoją fotkę z profilu wrzucić?

– Możesz.

– Dzięki.

– Michał... – Jeszcze raz cofnąłem się sprzed drzwi do korytarza.

– No?

– Dobrze, że cię mam.

– Luz – rzucił nonszalancko – nie przetrenuj się, pikawa ci stanie.

Jeśli stanie, to z zupełnie innego powodu, odrzekłem w duchu.

Ściemniało się już, gdy ruszyłem na molo w Brzeźnie. Odkąd zniknęła Hania, biegłem tam prawie codziennie. Niezależnie od pogody, ciągnęło mnie do miejsca, w którym bywaliśmy oboje. Naiwnie liczyłem, że właśnie tam coś mnie natchnie, gdzie jeszcze mogę jej szukać. Podświadomie broniłem się przed coraz realniejszą myślą, że moje wysiłki powoli tracą sens. A jednak, mimo to, w tłumie ludzi na molo od razu szukałem jej wzrokiem.

Jeszcze się nie poddawałem, wciąż próbowałem, choć z mniejszą wiarą sprawdzałem pocztę. Już nie wchodziłem na fora rakowe, nie odpisywałem na wspierające mejle. Nawet wiadomości od kolejnych lekarzy cieszyły mnie coraz mniej. Co z tego, kiedy jej nie ma i może już nie będzie. Przynajmniej dla mnie.

– Piotrek, ale ty jesteś naiwny – podsumowała późnym wieczorem Monika. Siedzieliśmy przy resztkach

urodzinowej kolacji z cateringu, którą zamówiła, i winie za kilka setek. Michał już spał.

Nie miałem najmniejszej ochoty na celebrowanie urodzin mojej byłej, tak samo jak na goszczenie jej u siebie, ale chciałem zrobić pokazówkę synowi. Przynajmniej raz na parę lat powinien zobaczyć rodziców razem przy stole. Irytująco pokpiwał z nas jednak, że robimy tanie przedstawienie, i zwinął się wcześniej do łóżka.

Patrzyłem na kobietę, którą kiedyś kochałem, już bez tego żalu, co wcześniej. Była drogo zrobiona – otaksowałem ją wzrokiem. Ostrzyknięta wszystkim, co możliwe, wygładzona maksymalnie na twarzy, w nienagannym makijażu. W czarnej sukience, chyba od Diora albo jeszcze lepiej, i butach od Louboutina. Pachniała światem pieniędzy. Miała platynowe włosy, spięte w jakimś celowym nieładzie i doczepione paznokcie. Nie wyglądała na prawie czterdziestkę. A jednak bez wahania zamieniłbym ją za choć jeden uśmiech Hani.

– W czym naiwny? – spytałem obojętnie, sącząc wino. Cierpkie jak cholera.

– Jeśli nie chce, żebyś ją znalazł, to jej nie znajdziesz. – Założyła nogi na drugie krzesło, błyskając czerwonymi podeszwami czarnych szpilek. – A swoją drogą, kto by pomyślał, że jesteś w stanie się aż tak zaangażować. Musi być wyjątkowa, skoro dałeś się usidlić. Wcześniej, z tego, co wiem, miewałeś tylko dupy do łóżka.

– Po co przyjechałaś? – Nie daję się wciągnąć w jej złośliwości.

– Nie ma w tym nic dziwnego. – Monika opróżniła kieliszek i postawiła go przede mną po dolewkę. – Łączy nas Michał. To naturalne, że czasem możemy się spotkać. A poza tym, kiedyś byliśmy w sobie zakochani. – Zmrużyła oczy i przygryzła dolną wargę. Skąd ja to znam?

– Kiedyś – mruknąłem obojętnie, dolewając jej wina.

– Mamy też dobre wspomnienia. – Kręciła kółka żółtawym płynem. – Możemy to sobie przypomnieć, dla relaksu na przykład. – Przeniosła nogi na moje uda.

– Proponujesz mi seks? – Mimowolnie uniosłem brwi. – A co na to twój mąż?

– Nie jesteśmy przecież dziećmi. To tylko seks. A ty, z tego, co pamiętam, nie byłeś taki ostatni. Mogę przeżyć to jeszcze raz jako, na przykład, urodzinowy prezent. – Usiadła mi na kolanach i ugryzła mnie delikatnie w ucho.

– Chcesz prezent, powiadasz.

– Yhmm – zamruczała uwodzicielsko, całując mnie w kark i błędząc ręką na wysokości mojego rozporoka.

– No to chodź, dostaniesz swój prezent.

Prowadzę ją do sypialni. Monika przekręca gałkę zamka w drzwiach. Podchodzi do mnie, wsuwa mi rękę pod koszulkę, zarzuca nogę na moje biodro.

– Masz boskie ciało. Jesteś jak wino, im starszy, tym lepszy, dojrzały, męski – szepcze roznamiętniona.

Dotyka ręką najpierw mojego brzucha, potem zsuwa palce ku paskowi dżinsów, ale ją powstrzymuję.

– Nie o takim prezencie myślałem – przerywam tę grę wstępną mojej eks. Nawet specjalnie na mnie nie zadziałała. Może nieznacznie, tak zupełnie biologicznie, ale teraz to za mało, żebym chciał ulec.

– Nie? – pyta z nieco oszołomioną miną. – Myślałam, że chcesz się pieprzyć.

– Wyobraź sobie, że nie. I nie bądź wulgarna. To nie pasuje do kobiety z klasą, za jaką chcesz uchodzić.

– Krzywię się z niesmakiem.

Ściąga usta zmieszana. Wyjmuję z szuflady czerwone, obciążone welurem pudełko i podaję Monice.

– To dla ciebie. Prezent na urodziny.

Zaskoczona ogląda bransoletkę, którą kupiłem dla Hani.

– Ładna – mówi w końcu. – I chyba droga. Dlaczego mi ją dajesz?

– Choćby dlatego, że dałaś mi takiego syna. A teraz mów, po co naprawdę przyjechałaś. Jestem za stary,



by dać się złapać na twoje gierki.

Monika przysiadła na skraju łóżka. Podpiera się rękoma po obu stronach, odwraca lekko głowę w bok. Zupełnie inna kobieta niż przed chwilą. Stoję na wprost niej i czekam, co powie.

– Edward ma drobne kłopoty – wyznaje w końcu. Dopiero teraz na mnie patrzy. – Chyba nic wielkiego, ale ci z gospodarczego robią mu trzepanie w firmach. Jest trochę nerwowo, dlatego pomyślałam, że może mógłbyś się dowiedzieć, czego tak szukają. Kiedyś przecież byłeś policjantem. Masz jeszcze jakieś kontakty.

– I pan Edward Czopek przysłał cię tu z tą misją?

– Nie, to znaczy – poprawia się od razu – Edward wie, że tu jestem. Piotrek, zrozumiemy, jeśli będzie z tego dym, to możemy stracić wszystko. Majątek, dobrą opinię, a w dodatku, jak się media dowiedzą, to Michał nie będzie miał życia. Tu chodzi o jego przyszłość. Bezpieczeństwo finansowe. Gdybyś się nieoficjalnie dowiedział, to może coś by się jeszcze dało odkręcić albo przygotować, komuś zapłacić – wylicza.

– I twój mąż chciał cię wepchnąć do mojego łóżka, żeby ratować swoją skórę. – Cmokam kilka razy.

– To nie tak – oburza się płaczliwie Monika.

– Nie wiem jak. – Rozkładałam ręce. – Niestety, w tej sprawie nie mogę pomóc. Jak sama zauważyłaś, byłam policjantem, teraz nie mam z tym nic wspólnego. Zapewne stać was na najdroższego prawnika albo cały zespół adwokacki. Z każdego problemu was wyciągną. A o finansowe bezpieczeństwo Michała zadbam sam. Zwłaszcza teraz, kiedy moje książki doskonale się sprzedają i dalej będą sprzedawać, bo jestem w pisarskiej formie. A nawet jak minie, to mam emeryturę. Michał może się do mnie sprowadzić na stałe. I to wcale nie byłoby takie złe rozwiązanie. Potrzebuje mnie, tak samo jak ja jego. Miałaś go na wyłączność przez dziesięć lat, teraz moja kolej. – Cofnąłem się do drzwi. – Śpij tutaj, będzie ci wygodniej. Świeża pościel w najniższej szufladzie. Zdrzemnę się na sofie. I tak zamierzałem jeszcze popracować. Miłych snów.

Wychodzę z sypialni.

Jeszcze niedawno może i cieszyłbym się otwarciem bądź skryciem, że Edziowi dobrali się do skóry. Teraz jednak miałem to zupełnie gdzieś. Bez większego żalu oddałem Monice bransoletkę Hani. Za bardzo parzyła mnie w palce, gdy brałem ją do rąk. Nawet patrzenie na fotografie Hani za dużo mnie kosztowało.

Wgapiąłem się w monitor od godziny, choć zaczął się następny dzień czerwca. Ledwo się powstrzymałem, żeby nie wykasować tych zdjęć. Spojrzałem na ikonkę kalendarza u dołu ekranu. Za dwa dni będą twoje urodziny, Haniu. Pogładziłem palcem usta dziewczyny ze zdjęcia. Jak mogłaś mi to zrobić?

Na przemian przewalała się we mnie bezsilność i złość. Jestem dojrzałym facetem, nie mogę poddawać się takim rozchwianym nastrojom, kolejny raz ustawiałem sam siebie na baczność. Zająć się, muszę się czymś zająć.

Otworzyłem plik z kryminałem. Wcześniej jednak zajrzałem na swój nowiutki fanpejdż. Postarał się młody, stwierdziłem w duchu, widząc ładnie skomponowaną grafikę i pierwszy zapraszający wpis. Słabe mam o tym pojęcie, ale ponad dwie setki lajków w ciągu kilku godzin to chyba nieźle. Skoro tak chcą mnie czytać, to muszę jeszcze więcej pracować. Może wtedy nie zwariuję do reszty.

Nad ranem, gdy prawie nieprzerwanie stukałem w klawisze, z przerwą na krótką drzemkę na kanapie, wstał Michał.

– Jeszcze nie śpisz? – spytał, wchodząc potargany do pokoju. Mrużył oczy od światła.

– A ty?

– Sikać mi się chce.

– To idź. – Wskazałem głową w stronę łazienki. – Ładnie zrobiłeś tę stronę. Dzięki, synek.

– Spoko.

Zaspany poczłapał do łazienki. Patrzyłem za nim, jak odchodził. Niby prawie dorosły, a jeszcze taki dzieciak. Jaka szkoda, że tyle przegapiłem. Jak dobrze, że teraz jest lepiej.

– Tato... – Michał wrócił do pokoju ze szklanką wody.

– No?

– Pamiętasz, co sam mi mówiłeś? – Usiadł na kanapie i okrył się kocem, którym zawsze otulała się Hania. Zapieкло mnie to skojarzenie.

– Mówiłem wiele rzeczy. – Podparłem ręką podbródek.

– To, że prawdziwi mężczyźni zawsze dotrzymują słowa, a ty wymiękasz.

– Nie, jeszcze nie. Skąd w ogóle taki wniosek? – Zdumiał mnie swoją przenikliwością.

– Wymiękasz po miesiącu. Myślałem, że z ciebie większy hardkor.

– Wsiadasz mi na ambicję? – spytałem prowokacyjnie. – Czy rzucasz wyzwanie?

– Sam sobie odpowiedz. Wracam w bety. – Wstał z ociąganiem.

– Michał – zatrzymałem go w połowie drogi – chciałbyś przenieść się do mnie na stałe?

– No to teraz pojechałeś, ojciec, po bandzie. – Zrobił ręką ruch, jakby chciał nią popukać w czoło, ale się pohamował. – We Wrocławiu mam laskę, na której mi zależy. Tak jak tobie na tej Hance. Ale skoro mnie o to zapytałeś – potarł nagie ramiona – to znaczy, że stara puściła farbę. Srają z Edkiem po gaciach. Niezła jazda.

– Michał! – rzuciłem ostro. – Proszę, żebyś wyrażał się z szacunkiem o swojej mamie. Nie chcę więcej słyszeć takiego lekceważenia. Przy kolacji też za dużo sobie pozwalasz.

– Weź, wyluzuj... – prychnął, krzywiąc się, ale nie pozwoliłem dokończyć.

– Nawet jeśli mają przejściowe kłopoty, to nie twoja sprawa. – Wyciągnąłem palec w jego stronę. – I jeszcze jedno. Zapamiętaj, synu, że prawdziwi mężczyźni nie tylko doprowadzają sprawy do końca i, jak to określasz, nie wymiękają, ale przede wszystkim szanują kobiety. To żenujące, że z taką estymą mówisz o swojej dziewczynie, a z ironią o mamie. Wybiórczy szacunek to żaden szacunek. Jesteś zbyt inteligentny, żeby tego nie pojąć. Teraz możesz iść spać. Dobranoc.

– Dobranoc – burknął pod nosem.

Może nawet trochę się obraził, ale niech sobie nie myśli, że jesteśmy kumplami.

Monika też wyjechała ode mnie obrażona. Zaraz po śniadaniu, które demonstracyjnie zjadła w innym pokoju, zabrała Michała i odjechali. Młodemu trochę już przeszło, nawet grzecznie zapytał, czy może przyjechać do mnie z dziewczyną na początku wakacji. Nie miałem nic przeciwko temu.

Przedemną kolejny dzień, który musiałem szczerze zapełnić. Wyjątkowo ładny, słoneczny, prawie letni. Bieganie odłożyłem na wieczór. Wziąłem szybki prysznic. Potem ze sterty ciuchów w łazience wyciągnąłem jakąś koszulkę, nadającą się jeszcze do włożenia, wciągnąłem przybrudzone dżinsy, bo ostatnio nie miałem głowy do prania, i siadłem do komputera. Zacząłem od skrzynki mejlowej. Wciąż liczyłem na jakąś wiadomość o Hani. Nie przyszło nic ciekawego, prócz wiadomości od rodziców z sanatorium w Ciechocinku i ich zdjęcia na tle tężni.

*Jak tam, Piotrze, jest już coś? Bardzo się z ojcem martwimy.*

Po kilku pierwszych zdaniach o zabiegach mama, jak codziennie od tygodnia, wypytywała mnie o Hanię. Wiem, że się martwili, ale zaczęły mnie irytować te natarczywe mejle. Każde słowo potęgowało beznadziejność sytuacji i moją złość, że nic już nie mogę zrobić, tylko czekać.

Nie byłem mocny w czekaniu, musiałem działać. Napiszę kolejny rozdział, postanowiłem. Może nawet dwa, jak dobrze pójdzie. Ale najpierw zadzwonię jeszcze do Bartka. Zacząłem się miotać po mieszkaniu, szukając komórki. Dopiero teraz sobie uzmysłowiłem, że od rana milczała.

Gdzie to gównno, nerwowymi ruchami przerzucałem różne przedmioty na biurku, potem brudne ubrania w łazience, które urosły do sporej górkę, przeszukiwałem stos gazet, zaglądałem pod meble.

Trwało to jakiś czas, nim w końcu znalazłem wciśniętą między siedziska kanapy, zupełnie rozładowaną komórkę. Musiała wysunąć się z kieszeni, gdy polegiwałem tam trochę w nocy.

– Szlag by to! – zakląłem, zły na siebie za takie niedopatrzenie.

Jak mogłem zapomnieć ją naładować? Widocznie byłem bardzo zmęczony albo rozkojarzony. Czym prędzej podłączyłem kabel. Telefon zaczął pikać sygnałami powiadomień. Jakieś esemesy, kilka połączeń z numerów, które nic mi nie mówiły. Pewnie ktoś w związku z ogłoszeniami w gazetach. Pod zdjęciem Hani były numery do mnie, Irka i na policję. Raptem komórka zadzwoniła mi w dłoniach. Zobaczyłem napis na wyświetlaczu. Irek.

– Otruła się! – Usłyszałem jego zapłakany głos.

– Co? – Nie poznałem swojego.

– Otruła się, Hanka się otruła! – chlipał w słuchawkę. – Nazarła się tabletek nasennych i popiła gorzałą. Chyba nie zdążyłem... nabrała mnie.

– Uspokój się! – W sekundę odzyskałem zimną krew, choć przed chwilą byłem jak martwy. Wystarczyło jedno „chyba”, bym na powrót poczuł adrenalinę w żyłach. – Żyje?

– Nie wiem. – Chlipanie się wzmogło. – Jak ją zabierali, była nieprzytomna. Ciągle tam przy niej siedzą. Nic nie mówią.

– Gdzie jesteś?

– W szpitalu w Elblągu, na Królewieckiej.

– Już jadę. Dzwon natychmiast, jeśli czegoś się dowiesz.

Tak jak stałem, sięgnąłem po portfel i spokojnie wyszedłem z domu.

Adrenalina trzymała mnie przez całą drogę do Elbląga. Upiornie długą, choć zaledwie siedemdziesięciokilometrową, trasę pokonywałem niespodziewanie zahibernowany wewnątrz. Tylko zimna krew ratowała mnie przed czarną rozpaczą. Uratują ją, na pewno uratują, powtarzałem sobie, raz po raz zerkając na telefon. Milczał uparcie. Wreszcie dotarłem pod wielki szarawy budynek.

Przed wejściem do szpitala zobaczyłem Irka. Chodził nerwowo tam i z powrotem po głównych schodach, zachłannie paląc papierosa.

– Co z nią? – Wypadłem z samochodu, blokując nim dwa inne. Nie miałem czasu szukać wolnego miejsca do zaparkowania. Dopiero na widok przekrwionych oczu Irka poczułem strach.

– Bez zmian. Wypłukali ją, ale ciągle nieprzytomna. Nie wiem, jak będzie... chyba z tego nie wyjdzie... – skrzywił się płacziwie.

Ten wytatuowany facet, który samym wyglądem mógł wzbudzać respekt na ulicy, mazał się jak dzieciak. Pociągał nosem, zaciskał powieki, pochylał głowę. Nawet ręka mu drżała, gdy podnosił do ust smrodliwego peta, trzymając go między kciukiem a palcem wskazującym.

Ogarnęła mnie nagła złość. Złapałem rozdygotanego Irka za koszulkę na piersi i podciągnąłem do siebie.

– Zabraniam ci nawet tak myśleć. Rozumiesz? – Wysyczałem mu prosto w twarz. – Zabraniam ci nawet tak myśleć. Ona z tego wyjdzie. Wyjdzie!

Mówiłem powoli, prawie cedząc słowa przez zęby, żeby przestał się mazgać. Sam chciałem uwierzyć we własne słowa. Irek też chyba zaczął w nie wierzyć, bo trochę się opanował. Odsunął moją zaciśniętą pięść.

– Gdybym przyszedł minutę, dwie później – pocierał ręką czoło – tobym nie zdążył. Coś mnie tknęło i zawróciłem. Wcześniej rozmawialiśmy niby normalnie, ale Hanka zrobiła się jakaś dziwna, zaczęła pieprzyć trzy po trzy. Z początku rzeczywiście mnie nabrała, potem coś mnie tknęło i wróciłem. Wywaliłem drzwi do tego pokoju, a jak zobaczyłem ją na łóżku, taką bez życia... – Odwrócił głowę.

– W jakim pokoju? U was, w Niebie? – Nie rozumiałem.

– W jakim Niebie! – zachnął się. – W hotelu. Parę ulic dalej. Cały czas tu była i chłała, bo ten pierdolony mąż kazał jej się wynosić z mieszkania.

– Co ty powiedziałaś?

Zmroziło mnie. Wiedziałem, czułem, że tamten gnój maczał w tym palce. Gdybym miał go pod ręką, to chyba by nie przeżył.

– To, co słyszałeś. Nic dziwnego, że Hanka nie zdzierzyła. Szczęście w nieszczęściu, że dziewczyna od nas pracuje w tym hotelu i dziś do mnie zadzwoniła. Pójdę tam. Powiedziałem lekarzom o raku. Prosilili o wyniki badań. Widziałem jakąś kopertę w pokoju. Może to to.

– Idź. Gdzie leży Hania?

– Na parterze. Na ratunkowym, ale nie wpuszczą cię. Mnie też nie wpuścili. – Przydeptał niedopałek i spojrzął na moje nogi. – Co ty, w kapciach przyjechałeś?

Dopiero teraz spostrzegłem, że nie włożyłem butów. Miałem gumowe klapki na bosych stopach i nieświeże ciuchy na sobie. Machnąłem ręką i wskoczyłem na schody.

– Samochód przestaw! – zawołał za mną Irek. – Blokujesz innych.

– Ty to zrób! – odkrzyknąłem już sprzed drzwi. – Kluczyki w stacyjce.

Szybkimi krokami szedłem na oddział, potrącając ludzi w holu. Liczyłem na cud, że zaraz zobaczę Hanię. Że otworzy oczy, jak tylko wezmę ją za rękę. Że ktoś od razu mi powie, że nic jej już nie grozi. Tymczasem nie pokonałem nawet pielęgniarki w rejestracji SOR-u.

– Przykro mi, ale nie może pan tam wejść – odparła zza kamiennego blatu.

– Proszę mi choć powiedzieć, co z nią? – Nalegałem uparcie od kilku minut, by dostać się za plastikowe drzwi.

– Pan jest kimś z rodziny pacjentki? – Młoda dziewczyna w niebieskim uniformie zaczęła się niecierpliwić.

Podobnie jak kilka osób za mną, czekających w kolejce. Miałem zupełnie gdzieś ich zniecierpliwienie, zbolące twarze, zagipsowane nogi i wkurzające pojękiwania.

– Nie jestem, ale nie wyjdę stąd, dopóki czegoś się nie dowiem! – Puściły mi nerwy. Grzmotnąłem pięścią w szary blat przed sobą.

– Jak się pan nie uspokoi, to za chwilę zawołam ochronę. – Kobieta groźnie zmarszczyła czoło. – Nie mogę udzielać żadnych informacji osobom postronnym. Takie są procedury. Był tu brat pacjentki, mówił, że niedługo wróci. Proszę na niego cierpliwie poczekać. Porozmawia z lekarzem i przekaże panu wiadomość. – Wskazała krzeselko pod ścianą.

Najbardziej męczącą czynnością jest czekanie. Potęguje bezradność i wypala człowieka. Siedziałem na tym przeklętym krzeselku spopieleny przez zasraną biurokrację. W tym parszywym świetle nawet uczucia muszą być sformalizowane, inaczej proceduralna machina zamiecie nas pod ścianę postronności. Gdybym machnął aktem ślubu albo choć obrączką, od razu dowiedziałbym się wszystkiego. A tak mogłem tylko tkwić tu jak bezradny głupek, w domowych japonkach, przybrudzonych spodniach i koszulce z krótkimi rękawami, nasłuchując najmniejszych odgłosów zza niedostępnych dla mnie drzwi.

Irek wrócił w niespełna godzinę.

– Rozmawiałem z lekarzem. – Usiadł ciężko obok mnie. – Wciąż bez zmian. Podobno jak przeżyje tę noc, to będziemy mogli odetchnąć. Pojadę po matkę, powinna tu być. A ty?

– Nigdzie się stąd nie ruszę. – Pociągnąłem nosem, bo mi z niego kapało.

– Powiedziałem lekarzowi, żeby cię informował. – Irek poklepał mnie po ramieniu. – Jesteś dla Hanki lepszą rodziną niż my wszyscy. Zostawiła ci to. Dopiero teraz znalazłem. Dzwon od razu, jak coś się zmieni.

Wcisnął mi w rękę kluczyki, jakąś kopertę i wyszedł prędko.

Ja, dojrzały facet, były glina, autor mrocznych kryminałów, patrzyłem na kształtne pismo Hani i ryczałem jak dzieciak. Od kropel kapiących mi z nosa, brody i policzków zaczęły się zamazywać litery.

Zmieniły się pielęgniarki, a także ludzie w małej poczekalni na mniej lub bardziej obolałych, a ja wciąż siedziałem pochylony nad tym listem, jakby był naszą ostatnią rozmową, po której dopiero wszystko pojąłem.

– Czy pan jest od Hanny Masłowicz? – Usłyszałem kobiecy głos nad sobą i poczułem czyjąś rękę na ramieniu.

Spojrzałem w górę. Stała nade mną starsza kobieta w białym fartuchu i z czerwonymi słuchawkami zawieszonymi na szyi.

– Tak.

– Proszę nie tracić tu czasu.

– Czy... ona... – Nie dałem rady wykrztusić więcej.

– Bez zmian, ale pan w niczym nie pomoże, siedząc tutaj. Na niskim parterze jest kaplica. Myślę, że to lepsze miejsce do czekania na cud. Proszę tam iść.

Poszedłem.

Siedziałem sam w małej, półciemnej salce o drewnianych ścianach, z listem Hani w ręce. Po prostu siedziałem, gapiąc się w krzyż zawieszony na zielonym pasie materiału. Nie potrafiłem sobie przypomnieć żadnej modlitwy. Do kościoła chodziłem z obowiązku albo tradycji. Ślub, chrzciny, święconka, raz od wielkiego dzwonu pasterka, jak Michał był mały. Do niczego więcej kościół, ani jego główny szef, nie był mi potrzebny.

Raczej śmieszyły mnie tłumy ludzi, wylewające się każdej niedzieli z brzydkiego budynku o spadzistym jak namiot dachu, z wmontowanym krzyżem na szczycie, których obserwowałem czasem z okna swojego mieszkania. Nawet zrywałem się w duchu na to bliskie sąsiedztwo, zwłaszcza że wciśnięty między osiedlowe bloki kościół architektonicznie zupełnie tam nie pasował.

Nie odczuwałem najmniejszej potrzeby, by choć raz z własnej woli do niego wejść.

Teraz, jak tchórzliwy asekurant, każdym atomem ciała i duszy chciałem prosić o cud, a nie mogłem sobie przypomnieć nawet pacierza.

Jeśli milczenie może być modlitwą, modliłem się, milcząc.

Straciłem rachubę czasu; nie wiem, jak długo mogłem tak tkwić na pół odrętwiały, z czołem opartym o drewniane krzesło przede mną. Dopiero stukot kroków sprawił, że spojrzałem w bok. Przyszła ta sama lekarka, trzymała w rękach dwa jednorazowe kubki z kawą. Podała mi jeden.

– Mam chwilę przerwy – odezwała się zmęczonym głosem. – Pomyślałam, że przyniosę panu dobrą wiadomość. Pani Masłowicz odzyskała przytomność. Teraz śpi, ale to dobry sen. – Upiła łyk kawy.

Patrzyłem na tę siwą kobietę, niewiele młodszą od mojej mamy, i miałem wrażenie, że widzę anioła. Trochę zamazanego, przez nagłą wilgoć w moich oczach, ale anioła o pomarszczonej, pucułowatej twarzy.

– A gdybym tak panią uścisnął? – spytałem szeptem.

– Uściśnij.

Odstawiłem kubek i objąłem lekarkę.

– Jest pani aniołem – zachlipałem, lecz w tym momencie nie wstydziłem się tego niemęskiego wzruszenia.

– Jestem starą jędzą, której wszyscy się tu boją. – Poklepała mnie po plecach. – Rozstawiam ludzi po kątach, krzyczę, strasznie się rządzą i zadzieram nosa. Naprawdę daleko mi do anioła. Proszę wypić kawę i iść za mną. Dam panu jakiś fartuch, zmarzył pan w tym krótkim rękawku. Nasz niski parter jest dość chłodny. Chce pan wejść do tej dziewczuszki?

– Bardzo, ale mówili, że nie wolno – odpowiedziałem.

Dopiero teraz poczułem dreszcze na rękach i suchość w ustach. Kilkoma łykami wypłem gorzką kawę.

– Dziś ja tu rządę. – Wstała ze stęknieniem, spoglądając na zegarek. – I bardzo lubię łamać przepisy, jeśli są głupie. Minęła północ. Koniec przerwy.

– Dziękuję pani. – Nachyliłem się do jej ręki. – Za wszystko.

– Nie mnie. – Pokręciła głową, wskazując na sufit. – Jemu. Ja tylko leczę. On czasem czyni cuda.

Dziękowałem w milczeniu. Siedziałem przy łóżku Hani, parawanem płóciennych zasłon odgradzony od długiego rzędu nieruchomych chorych. Trzymałem ją za rękę w namiastce intymności i dziękowałem całej energii wszechświata, że ją odzyskałem. Kredowoblada, ze splątanymi włosami na nagich ramionach, podłączona do aparatury i kroplówek, uśmiechała się przez sen, a przynajmniej tak mi się zdawało.

– Jestem przy tobie, Haniu – mówiłem z ustami przy jej uchu. – Przepraszam, że tak długo mnie nie było, ale już jestem. Tak jak ci obiecałem.

# Hanka

Czwarty czerwca, wczesne przedpołudnie. Jestem już po badaniach rezonansem na oddziale neurochirurgii, na piątym piętrze tego samego szpitala. Teraz czekam, aż przyjdzie lekarz. Kogoś operuje, co jeszcze podobno potrwa. Pielęgniarki proszą mnie o cierpliwość. Czekam na łóżku w małej, trzyosobowej salce na ostateczny werdykt.

Obok mnie leży dziewczyna w kolorowej chustce szczelnie zakrywającej czoło i słucha muzyki przez słuchawki. Rytmicznie porusza zgiętymi w kolanach nogami. Są tak chude, że przez luźne dresy wystają jej kości na sztorc. Druga kobieta ma obandażowaną całą głowę. Przypomina nieruchomą mumię, leży z bezwładnymi rękoma wzdłuż ciała. Wolę na nią nie patrzeć.

Boję się tak samo jak u schyłku zimy, gdy czekałam w innym szpitalu, na innego lekarza. Wolę nie pamiętać tamtego strachu, choć sam do mnie wraca. Minionych dwóch dni też nie chcę pamiętać.

Po przebudzeniu zobaczyłam nad sobą Piotra. O nic nie pytał, nie nalegał na wyjaśnienia. Zmęczony, w białej koszulce zaplamionej kawą i w japonkach na bosych stopach, mój anioł stróż, który po prostu był.

Karmił mnie zupą, gdy parę godzin później, jeszcze słaba, próbowałam sama podnieść łyżkę. Podobno spałam ponad dobę na oddziale ratunkowym, zanim trafiłam tutaj. Podobno miałam też szczęście w wyścigu o życie, nie musiałam czekać pół roku na badanie rezonansem jak inni. Jako pacjentka oddziału neurochirurgii znalazłam się przed kolejką.

Nawet wtedy Piotr był cały czas ze mną.

Tylko na kilkanaście minut, gdy dziś rano, pełna lęku, wjechałam do tuby prawdy, która ostatecznie prześwieciła mojego raka, musiał zostać na zewnątrz.

Jaka będzie owa prawda o tym przeklętym glejaku, panika przyspieszała rytm mojego serca. Czy tu, w tym szpitalu, gdzie wszyscy są bardziej ludzcy niż w tamtym gdańskim, ktoś będzie w stanie wyrwać ze mnie tego okupanta, skoro nie zdołałam mu uciec, tak jak planowałam? Wygląda jednak na to, że to on mnie pokona.

Tamte dwie też pokonuje, choć jeszcze walczą. Ta młodsza w chustce jest całkiem łysa. Ma przeraźliwie pergaminową twarz bez brwi i rzęs. Ta druga ma tylko sen, sprowadzany kroplówkami. Ja też niedługo będę tak leżała jak one. Dopóki człowiek na własne oczy nie widzi śmierci, wydaje się ona abstrakcją. Dopiero tu, obok tych kobiet, naprawdę czuję jej lodowaty oddech.

W salce jest ciepło, nawet duszno, ale zaczynam się trząść pod cienką kołdrą. Tak bym chciała, żeby Piotr zaraz wrócił. Mój brat wyciągnął go stąd siłą przed niespełną godziną, żeby coś zjadł, umył się, odpoczął. Irek także był przy mnie. Tak samo jak matka.

Teraz też siedzi przy moim łóżku i szepcze pacierze. Naciera mi wodą czoło, robi to od wczoraj kilka razy dziennie.

– Przestań, mam – mówię z wysiłkiem. – Nie potrzebuję tego.

– Potrzebujesz, pij. – Unosi mi głowę i przykłada kubek do ust. – To woda ze świętego źródła w Gietrzwałdzie. Po drodze do Elbląga tam zajechaliśmy. Leczy wszystkie choroby, tylko modlić się trzeba i pokutować za grzechy. Dużo ich masz na sumieniu – dodaje mrukliwie. – Z mężem w grzechu

żyłaś, do kościoła nie chodziłaś, a i teraz Bóg wie z kim jesteś. Co to za chłop, ten duży, co to z Irkiem wyszedł?

– Mój anioł stróż.

– Nie bluźnij – upomina mnie srogo. – A ten twój to gdzie?

– Rozstaliśmy się – wyjaśniam zdawkowo, przełykając wodę.

– I Bogu dzięki – odpowiada z ulgą. – Małżeństwo to sakrament, a nie życie na kocią łapę. Bo to i grzech, i wstyd. Pomódl się lepiej i pij, no, pij jeszcze. – Raz po raz przysuwa mi do ust kubek ze źródlaną wodą.

Moja nabożna matka, cała w czerni, przywiozła mi taki prezent w plastikowej butelce po mineralnej. Teraz poi i naciera mnie, jawnogrzesznicę, tą cudowną wodą, szepcząc pod nosem zdrowaśki. Choć nie wierzę w ozdrowieńczą moc źródła, piję dla świętego spokoju. Doceniam starania matki i jej obecność przy mnie, mimo że jej katolicki światopogląd jest mi wyjątkowo odległy. Jednak nie mam siły, aby teraz z nią polemizować. Ulegle poddaję się wszystkim zabiegom.

Zobaczyłam ją ostatnią, gdy się ocknęłam. Nim to nastąpiło, Irek zdążył mi tylko szepnąć, że matka nic nie wie o tym, że chciałam się otruć. Dla niej choruję na raka i straciłam przytomność. Ostatecznie to prawda. Mam raka i straciłam przytomność, co z tego, że sama to spowodowałam? Ona nie musi o tym wiedzieć.

– Jakżeś mogła nic rodzonej matce nie powiedzieć? – Słyszę pretensje w jej chrapliwym, grubym głosie. – Tyle łez wylałam, jak Irek powiedział, że raka masz.

Kładzie chropowatą dłoń na moim wilgotnym czole. Moja matka wylewa nade mną łzy?

– Mamo – pytam szeptem, starając się zapanować nad drżeniem głosu – dlaczego przyjechałaś?

– A jakże miałam własne dziecko zostawić, kiedyś taka chora? – Przeciera chusteczką przekrwione oczy. Dopiero teraz widzę, jak bardzo są czerwone. Prawie niewidoczne pod fałdami pomarszczonej skóry. – Córką moją jedyną jesteś. Mszę w Gietrzwałdzie za twoje zdrowie zamówiłam. Dziś o pierwszej będzie. I sama koronkę do Matki Boskiej odmawiam, żeby cię w opiece miała. Za Irka, jak siedział w więzieniu, też się modliłam, żeby go Pan Bóg na dobrą drogę wykierował. I wykierował.

– Nie wiedziałam, że jesteśmy dla ciebie tacy ważni. Nigdy nas nie rozpieszczałaś, zwłaszcza słowami.

– A które dziecko dla matki nieważne? – odpowiada pytaniem. – Może ja i zła matka byłam. Nie umiałam was hołubić, pieścić, ale i mnie nikt nie hołubił. W przytułku u zakonnic się chowałam, jak mnie matka oseskiem porzuciła zaraz po wojnie. Szesnaście lat nie miała, dlatego i winić jej nie mogę. Nie wiem, kto był moim ojcem. Podobno matkę ruskie zgwałcili, bo Mazurką była. Taki los. Nie wiem, gdzie wyjechała, kiedy umarła, a może i jeszcze gdzieś tam żyje. Miriam jej było na imię, tyle o niej wiem. Szukać jej nigdy nie chciałam, ale modłę się za nią.

– Nigdy o tym nie wspominałaś.

– A bo nie było o czym. – Wzrusza ramionami. – Człowiek tylko za chlebem gonił, żeby wszystkim starczyło. Nie było czasu na próżne gadanie. Ale musisz wiedzieć, że nic nie użyłam z życia, tylko troski, praca, bieda i pięści, taki mój los, ale przetrwałam dzięki opiece boskiej. Z waszym ojcem też piekło przeżyłam, taka już moja dola. Taki krzyż Bóg na mnie zesłał, taki przyjął. Zaciskałam zęby i przetrwałam. Nawet i to, że przed Romkiem innych dzieciaków nie donosiłam. Trzy razy roniłam, choć młoda byłam i zdrowa, ale widać Pan Bóg inaczej chciał. To grzech walczyć z krzyżem, który Bóg na nas zsyła. Nie chuchałam na was, nie niańczyłam, bo silni mieliście być, mocni jak ja. A tyś się od Boga i matki odwróciła. Za to wszystko taka kara cię spotkała – wytyka mi na koniec.

Mimo ciężkiego życia mojej matki jest mi niedobrze od tego jej ultrakatolicyzmu. Przecież nic innego nie robiłam, tylko godziłam się z losem przez całe życie. Nie miałam energii, by wyliczać teraz kontrpretensje. Słuchałam wyrzutów matki, tłumiąc w sobie własne. I tak by nie pojęła moich wymówek,



raczyła mnie swoimi, podtykając wodę ze źródła. Zaraz naprawdę zwymiotuję od bulgotu w żołądku.

Do sali wchodzi pielęgniarka, by zrobić zastrzyki tamtym dwóm kobietom. Gorliwość mojej matki automatycznie się wzmacnia. Jeszcze głośniejsze szepcze modlitwy, przebierając palcami po drewnianych paciorkach różańca. Może ma dobre intencje i wspiera mnie po swojemu, najlepiej jak potrafi, ale po prostu dłużej tego nie zniosę. Muszę stąd wyjść, inaczej wybuchnę jak granat. Odrzucam gwałtownie kołdrę i spuszczam nogi na podłogę.

– Hanka, ty gdzie? – pyta.

– Do łazienki.

Wstaję na nieco chwiejnych nogach. Trzęsę się ze zdenerwowania. Pielęgniarka ujmuję mnie pod rękę i obrzuca krótkim spojrzeniem moją matkę, odmawiającą półgłosem różaniec.

– Pomogę pani – mówi miękko, po czym wyprowadza mnie na korytarz. – Denerwuje się pani?

– Trochę.

– Wszystko będzie dobrze. – Kładzie rękę na moich plecach. – Nie powinnam się wtrącać, ale wydaje mi się, że obecność pani mamy dodatkowo panią stresuje.

– Nie, nie – zaprzeczam obłudnie. – To przecież moja matka, tylko że...

– Tylko że modli się nad panią jak nad konającą – kończy moją myśl pielęgniarka. – Proszę iść do łazienki. Porozmawiam z nią. Powinna gdzieś się przejść, odpocząć, a potem wrócić.

– Dobrze. Dziękuję.

– Poradzi sobie pani? Mogę pomóc, jest pani jeszcze słaba.

– Nie, tylko tam tak duszno. Nie ma czym oddychać.

Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza, nawet przez okno w ubikacji. Inaczej nie dotrwam do tego lekarza i padnę tu pod zlewem. Podobno operacja już się kończy, może potrwa jeszcze godzinę bądź dwie. Dopiero minęła dziesiąta. Wciągamy głębiej ciepłe powietrze z dworu i nudności trochę przechodzą. Oddycham równo, miarowo, aż do bólu w płucach.

Trzymam się drewnianych listew ścian i krok za krokiem wracam do mojej salki.

Drzwi na oddział otwierają się, wchodzi mój brat, a za nim Piotr, przebrany w niebieską koszulę. Musiał ją chyba kupić, bo nic nie zabrał z Gdańska. Buty też ma inne.

– O, jak dobrze widzieć cię na nogach – cieszy się Irek.

– Wiesz już coś, Haniu? – pyta w tym samym momencie Piotr i obejmuje mnie ramieniem.

– Jeszcze nic. To trochę potrwa – odpowiadam ciężkawym z napięcia głosem.

– Irek – zwraca się do mojego brata. – To bez sensu, żebyśmy czekali tu wszyscy. Wasza mama jest zmęczona. Siedzi na tym niewygodnym stołku tak długo. Może wracajcie do domu? Mówiłeś, że masz pilnego klienta. Ja zostanę z Hanią. Od razu zadzwonimy, jak czegoś się dowiemy. Przyjedziecie jutro, pojutrze.

– Tak, tak – popieram gorliwie ten pomysł, za który jestem wdzięczna. – Piotr ma rację. Będę się mniej denerwować.

– W sumie to prawda – Irek wzdycha. – Mnie samego wkurzają te jej litanie. Pogadam z nią. O, powiem, że jak zaraz wyjedziemy, to na tę mszę do Gietrzwałdu ją zawiozę, ale najpierw pogadam z tobą. Zaczekaj na nas chwilę – rzuca do Piotra.

– W porządku. – Ten kiwa głową. – Pójdę do waszej mamy.

Piotr wchodzi do sali. Brat ujmuję mnie pod rękę i spacerkiem idziemy do końca korytarza.

– Posłuchaj, Hania... – zaczyna poważnie, ale mu przerywam.

– Wiem, co chcesz powiedzieć. Że cię okłamałam, wywiodłam w pole, że mnie uratowałeś, choć tego nie chciałam... – mimowolnie łamie mi się głos.

– Głupia jesteś i tyle – ucina krótko. – Dobra, zostawmy teraz ten temat. Pogadamy sobie, jak stąd

wyjdiesz. Dostaniesz ode mnie niezłe manto. Wymeldowałem cię z tego hotelu. I tak trochę tu poleżysz, potem zabieram cię do domu, póki się jakoś nie ustawisz. Spakowaliśmy twoje rzeczy, dlatego tyle nam zeszło. Piotrek ma je w samochodzie. Akurat Dorota miała dziś dyżur, więc udało się odzyskać resztę kasy, którą zapłaciłaś. Wszystko jest w kopercie. Ale za drzwi, które połamalem, potrączę ci z pierwszej wypłaty. – Pstryka mnie lekko w ucho.

– Nawet mnie nie zapytałeś, czy chciałam, żebyś to wszystko zrobił.

– Bo o to akurat nie musiałem pytać – stwierdza ironicznie. – Pewnie sama wiesz dlaczego. A teraz chodź pożegnać naszą rozmodloną mamuszkę.

Ostatecznie argument o mszy przeważył. Matka dała się przekonać, że modlitwą pomoże mi bardziej niż biernym oczekiwaniem. Wyjechali przed jedenastą. Na odjezdnym jeszcze raz natarła mi czoło cudowną wodą, palcem nakreśliła na nim krzyżyk, a potem mnie pocałowała. Przyjęłam ten ostatni gest wsparcia bez słowa. No bo co miałam powiedzieć na pierwszy pocałunek matki, jaki pamiętam?

Minęła jedenasta, gdy umyta, przebrana w świeże ciuchy, poczułam się trochę lepiej. Sama obecność Piotra działała na mnie uspokajająco. Kobiety na sąsiednich łóżkach spały. Piotr siedział na stołku i bawił się moimi włosami. Nawijał je na palec jak pierścionek. Nadal o nic nie pytał.

– A jeśli ten lekarz powie, że już nic nie da się zrobić, bo jest za późno? – zaczęłam pierwsza.

– Razem przez to przejdziemy, cokolwiek nam powie. Grunt, że wreszcie może coś powiedzieć – podsumował z nutką pretensji, a może ulgi, nie potrafiłam określić.

– Połóż się przy mnie. – Przesunęłam się na bok.

Bez protestu robi, o co proszę.

Wciskam się w niego jak pisklak, ukrywam w ramionach, które dają mi poczucie bezpieczeństwa. Choć wciąż się boję, jego obecność działa jak plaster na ranę. Czuję usta Piotra na czubku głowy, jego ręce gładzą moje plecy. Jest mi wstyd, że przeze mnie cierpiał. Choć nic nie mówi, wiem, że cierpiał. Może nawet trochę posiwiął na skroniach? Pocałowałam go w te srebrne pasma.

– Udaję, że nie widzę łamania procedur. – Do sali wchodzi ta sama pielęgniarka. Piotr momentalnie przesiada się na stołek. Młoda, przysadzista brunetka w białym mundurku patrzy na nas przez rozczapierzone palce. – Pan doktor już przyszedł i prosi panią do gabinetu, pani Haniu.

– Pozwolisz, żebyśmy z tobą poszedł? – Piotr pomaga mi wstać.

Kiwam twierdząco głową, wyglądam na sobie czarną koszulkę, obciążam czarne legginsy. Wyglądam jak przerośnięty pajak w tej czerni. Chwieję się, ale Piotr mnie przytrzymuje.

Też jest przejęty jak ja, a jednak dodaje mi odwagi, mrugnięciem, niby to beztróskim, pocałunkiem w skroń, mocnym uściskiem dłoni.

Idziemy do gabinetu. Jest niewielki, biało-zielony. Przy oknie biurko, wzdłuż ściany leżanka, zlew, środki do dezynfekcji rąk. Czuje się tu typowy zapach szpitala, jednym słowem – standard. W środku dwoje ludzi. Starsza lekarka z czerwonymi słuchawkami – pamiętam ją jak przez mgłę z oddziału ratunkowego. Drugi lekarz to mężczyzna – w średnim wieku, szczupły, szpakowaty, w niebieskim uniformie. Oglądają na podświetlonej tablicy jakieś klisze, chyba moje.

– Proszę siadać. – Lekarz wskazuje krzesło naprzeciw biurka. – Państwo razem?

– Jeśli to nie kłopot, chciałbym towarzyszyć żonie – odzywa się Piotr.

Żonie? – powtarzam w myślach. Zaskoczył mnie, ale nie protestuję. Może się przejęczył albo specjalnie tak powiedział, żeby tu zostać? Nie wnikiem. Drżą mi nogi, gdy siadam na wskazanym krześle. Lekarka podsuwa drugie Piotrowi, klepie go po ramieniu i wychodzi. Gdzieś już ją widziałam wcześniej niż na oddziale ratunkowym, ale nie mogę sobie przypomnieć gdzie. Przełykam ślinę, by zdławić wzbierające nudności.

– Pani Hanno – zaczyna lekarz. Siedzi blisko, na plakietce przypiętej do kieszonki lekarskiej bluzy

widzę jego nazwisko: Tomasz Żelazny specjalista neurochirurg. – No więc analizowaliśmy z panią doktor radiolog pani wyniki. Zanim jednak do tego przejdę, proszę odpowiedzieć na parę pytań. Ten tomograf – wyjmuję z koperty, którą dobrze znam, zdjęcia mojego raka – robiła pani pod koniec lutego. Zgadza się?

– Tak – potwierdzam.

– A potem?

– Nie rozumiem?

– Czy robiła pani od tamtego czasu jakieś inne badania, bo nie są dołączone, a chciałbym je porównać.

– Nie robiłam – odpowiadam jeszcze ciszej i mocniej ściskam rękę Piotra. Szukam u niego pomocy.

– Panie doktorze – Piotr czuje, co się ze mną dzieje – możemy przejść do konkretów?

– To są właśnie konkrety. – Neurochirurg nie daje się zbić z tropu. – Usiłuję ustalić fakty. Pani Hanno, czy profesor Rajski nie skierował pani na rezonans magnetyczny?

– Nie wiem, nie pamiętam. Chyba coś mówił o rozszerzonej diagnostyce, ale powiedział, że glejaka pnia mózgu i tak nie da się ewakuować. Dlatego zrezygnowałam z dalszych badań. Przeczytałam w internecie, że nie mam szans na wyleczenie.

– Czyli, jak rozumiem, sama się pani ostatecznie zdiagnozowała na podstawie internetu, jak połowa naszych rodaków. A jakie objawy pani u siebie zaobserwowała?

– No, wszystkie. Niech już mnie pan dłużej nie męczy – proszę słabym głosem.

– Chcemy wiedzieć, jak jest teraz – wtrąca się w tym samym momencie Piotr.

– Nie jestem w stanie powiedzieć, czy profesor użył określenia, „glejak”, czy „guz w typie glejaka”, ale to naczyniak – pada wreszcie ostateczna diagnoza.

– Jak to? – pytamy razem. Patrzymy najpierw na siebie, potem na lekarza.

Doktor Żelazny pokazuje nam zdjęcia.

– Ma pani naczyniaka – powtarza i wskazuje na maleńką szarość na zdjęciu. – Gdyby pani zrobiła ten rezonans od razu, wszystko byłoby jasne. Zdjęcia z tomografu nie zawsze dają pełen obraz, dlatego zalecana jest dalsza diagnostyka, z której pani zrezygnowała z powodów zupełnie dla mnie niezrozumiałych. Chyba tylko załamaniem psychicznym można to tłumaczyć. Pacjenci różnie reagują na wiadomość o raku. Jedni są w stanie pozbierać się od razu i walczyć, a drudzy poddają się na starcie. Miała pani dużo szczęścia, bo gdyby to był glejak, tak długa zwłoka w leczeniu nie dawałaby pani szans. Komórki nowotworowe namnażają się codziennie.

– A więc to nie... rak??? – Głos Piotra drży.

Mój nagle zanika. Nie mogę wydobyć z siebie ani słowa. Serce galopuje we mnie jak oszalałe. Słyszę jego rytm w przełyku, uszach, nogach, wszędzie.

– A skąd – zaprzecza lekarz. – Powtarzam, ta zmiana, którą stwierdziliśmy u pana żony, jest wyłącznie małym naczyniakiem. Dopiero na rezonansie wyszło, bo rzeczywiście obraz z tomografii był mylący i wyglądało to naprawdę bardzo źle.

– To dlaczego od razu nie wykonano tego rezonansu, tylko tomograf? – drażny Piotr i tak mocno ściska mi rękę, że prawie ją miażdży.

– Dlatego, że tomografia jest procedurą tańszą – pada odpowiedź, która ledwo do mnie dociera.

Wciąż tkwię w oszołomieniu. Nie mam raka, nie mam raka – bez przerwy powtarzam sobie w myślach.

– To znaczy, że... – zaczynam się jąkać – nie... umrę?

– Kiedyś pani umrze, podobnie jak my wszyscy. Codziennie umieramy, każdego dnia coraz bliżej mamy do śmierci. Umieramy od chwili narodzin, ale na pewno nie umrze pani z powodu tego nieistniejącego glejaka.

– Ale ja miałam wszystkie objawy – próbuję jeszcze podważać jego diagnozę. – Bóle głowy, wymioty,

zaniki pamięci, zamazane obrazy, drętwienie palców, senność, często było mi słabo – wyliczam pośpiesznie. – To przez tego naczyniaka?

– Nie sędzę, żeby aż w takiej skali mógł się do tego przyczynić – odpowiada lekarz. – Przez kilka miesięcy żyła pani w permanentnym stresie, który prawdopodobnie tak się objawiał. Gdybym ja żył ze świadomością, że jestem śmiertelnie chory i nikt nie może mi pomóc, to prawdopodobnie reagowałbym tak samo jak pani, choć nie – stuknął długopisem w blat białego biurka – bardziej zaufałbym lekarzom. Ponadto mogła też pani trochę somatyzować, to też się czasem zdarza. Przeczytała pani w internecie o symptomach choroby i tak bardzo w nie uwierzyła, że zaczęły występować. Jednym słowem, wpadła pani w pułapkę własnego umysłu. Czy te wymienione przez panią objawy pojawiały się w momencie większego napięcia?

– Tak, chyba właśnie tak – odpowiadam, pospiesznie analizując wydarzenia z ostatnich kilku miesięcy. – Rzeczywiście, nasilały się wówczas, gdy miało się coś wydarzyć. Dobrego bądź złego.

– No widzi pani. – Doktor Tomasz Żelazny wykrzywia usta. – Widocznie tak się manifestował permanentny stres. A czy w ostatnim czasie – zawiesił głos – wymienione przez panią objawy występowały rzadziej bądź słabiej?

W ostatnim czasie, kiedy pomagał mi cudowny lek mojego ojca, nie występowały prawie wcale, odpowiadam w myślach. Pod wpływem tego spostrzeżenia czuję ciepło na policzkach.

– Tak... słabiej – mówię zmieszana. – Dlaczego pan pyta?

Neurochirurg sięga po plik kartek i wertuje je przez chwilę.

– Z badań toksykologicznych, które pani zrobiono, wynika, że w ostatnim czasie nadużywała pani alkoholu. Alkohol mógł zadziałać jako środek odstresowujący, ale to zła metoda, pani Hanno.

– Tak wiem, to nie trwało długo – wtrącam pośpiesznie, by przerwać wątek, który mnie krępuje. – Ale zanim poszłam do lekarza, też bolała mnie głowa. Nawet zemdlałam.

– Trudno mi teraz ocenić, co było tego przyczyną. W każdym razie na pewno nie rak. Nie ma go i nigdy nie było. Badania rezonansem nie pozostawiają żadnych wątpliwości.

– To znaczy, że jestem... zdrowa? – Otwieram szeroko oczy.

Dawno, bardzo dawno nie cieszyłam się aż tak. Pytam lekarza, ale patrzę na Piotra. Widzę, jak i on rozluźnia się po tej wiadomości. Porusza ustami, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie mówi nic. Tylko oczy błyszczą mu bardziej, przykładą sobie do policzka moją rękę, całuje jej spód. Pod najmniejszym palcem czuję wilgoć.

– Raczej tak, ale... – mówi najlepszy neurochirurg świata, w najlepszym na świecie szpitalu. Przynajmniej dla mnie. – Ten naczyniak bezpośrednio nie zagraża pani życiu, choć zmniejsza jego komfort. Czyli, innymi słowy, będzie żyć pani ze świadomością, że on tam jest.

– Nie można nic z tym zrobić? – Włącza się Piotr, ukradkiem wycierając kąciki oczu.

– Gdyby był w innym miejscu, spróbowałibyśmy go zamknąć, jednak w przypadku takiej lokalizacji jak pień mózgu ryzyko operacji jest niewspółmiernie wysokie w porównaniu z tym, że naczyniak pęknie. Prawdopodobieństwo, że pęknie, jest naprawdę minimalne. Moi koledzy są co do tego zgodni. Określamy je na jeden do trzech procent. Dlatego na razie będziemy go tylko obserwować. Spotkamy się za pół roku na badaniach kontrolnych, a wówczas zobaczymy, jak to wygląda. Jeśli zajdzie taka konieczność, wkroczymy z radiochirurgią, na razie jednak proszę o tym nie myśleć i cieszyć się pełnią życia – kończy, składając w jeden plik moje wyniki badań.

– Tak bez ograniczeń z tą pełnią, panie doktorze? – dopytuje się jeszcze Piotr. Ja już nic nie muszę wiedzieć. I tak jestem pijana ze szczęścia.

– Prawie. – Lekarz spogląda na nas znacząco. – Gdyby planowali państwo powiększenie rodziny, to poród nie powinien się odbyć siłami natury, tylko przez cięcie. I to właściwie na razie tyle, jeśli chodzi

o ograniczenia. Resztę zobaczymy po badaniach kontrolnych. Oooo... – Jeszcze raz patrzy na moje wyniki. – Dziś ma pani urodziny. Cieszę się, że mogłem przekazać w tym dniu dobrą nowinę, a proszę mi wierzyć, nieczęsto się to zdarza. Tu, jak nigdzie, uczymy się pokory wobec życia.

– Lepszego prezentu nie mogłam dostać. – Łzy płyną mi ciurkiem po policzkach. Sama zapomniałam o tych urodzinach. – Czy muszę jeszcze zostać na oddziale?

– Nie widzę powodów do dalszej hospitalizacji. – Patrzy na zegarek. – Minęła dwunasta. W ciągu pół godziny powinienem przygotować wypis, żeby dłużej tu pani nie trzymać. Jest piękna pogoda, powinna pani wyjść na słońce, dostać trochę endorfin. A przede wszystkim otrząsnąć się z tamtej diagnozy, którą w dużej mierze sama sobie pani postawiła.

– Nie zrozumie pan tego, ale tamta diagnoza to był największy przełom w moim życiu.

– Przyznam, że nie rozumiem. – Doktor Żelazny wzdycha. – Mam żonę, trzy córki, teściową, dwie siostry, dwie bratowe, doktorat, a nadal nie rozumiem kobiet. A pan?

– Chyba ze mną jest to samo – śmieje się Piotr. – Choć wokół mnie jest mniej kobiet.

Nie słucham ich żartów. Przecież gdyby nie mój wyimaginowany rak, może nadal tkwiłabym w tamtym nijakim związku. Może wciąż odkładałabym „na potem” wszystko, czego pragnęłam? Może nadal udawałabym, że nie potrzebuję miłości? Może nigdy nie spotkałabym Piotra, mimo że mieszkaliśmy tak blisko? Na pewno nie biegłabym wtedy tymi torami. Wówczas nie myślałam, że to bieg ku miłości, tylko wyścig do śmierci. Kiedy wydaje się, że wszystko się kończy, coś dopiero się zaczyna. Musiałam prawie umrzeć, by zacząć na nowo żyć. Tym razem niczego nie zmarnuję.

Zapewne dziś, czwartego czerwca dwa tysiące czternastego roku, na świecie nie nastąpi żaden przełom, nie wydarzy się nic, co przejdzie do historii, ale dla mnie ten dzień to powtórne narodziny. Moje prywatne zmartwychwstanie. Mój dzień cudu.

A może wydarzył się on dużo wcześniej niż dziś, tylko ja tego nie rozumiałam. Wtedy, gdy spotkałam Piotra. Przecież każdy dzień spędzony z nim dla mnie był jak cud.

– Wymodliłam! Bogu niech będą dzięki, wymodliłam! – zawołała w słuchawkę moja matka na wieść, że jestem zdrowa.

W tle słyszałam radosne okrzyki brata. Piotr też z kimś rozmawiał przez telefon. Chyba ze swoją mamą. Staliśmy oparci o ścianę szpitalnego korytarza, oboje z telefonami w rękach, po pierwszym wybuchu euforii.

Z ostatnich drzwi na prawo wyszła ta starsza lekarka z czerwonymi słuchawkami. Na jej widok, jak na komendę, zakończyliśmy rozmowy.

– Wróciłaś z dalekiej podróży, dziecko. – Poglądziła mnie po policzku. – Widzisz, nie wszystko jest takie, jak się na początku wydaje. – Uśmiechnęła się do mnie.

Przyjrzałam jej się uważniej. Już wiedziałam, skąd znam tę kobietę i słowa, które wypowiedziała. Sen, tamten sen. Wyglądała jak siostra Bernadetta i nawet mówiła jak ona.

– Dlaczego tak mi się przyglądasz? – spytała zaintrygowana.

– Bardzo mi pani kogoś przypomina, ale to niemożliwe, to zupełnie niemożliwe – płątałam się nieskładnie. – Wydaje mi się, że w kwietniu jechałyśmy razem pociągiem do Wejherowa.

– Ostatni raz byłam w Wejherowie dość dawno temu. Miałam siostrę bliźniaczkę w tamtejszym klasztorze albertynek, ale zmarła przed rokiem.

– Bernadetta – wyszeptałam z niedowierzaniem.

– Tak, takie imię przybrała po święceniach – odrzekła zdziwiona lekarka.

– Ale ja ją spotkałam... rozmawialiśmy, jechałyśmy razem pociągiem teraz, w kwietniu, byłam z nią

w tamtym domu. Naprawdę tam byłam. Pani mi nie wierzy? Piotr, ja naprawdę tam byłam – wyrzucałam z siebie urywane słowa, przesuając oczami po twarzach ich obojga.

– Wierzę ci, Haniu. – Objął mnie ramieniem.

– Ja też ci wierzę, drogie dziecko. – Lekarka się uśmiechnęła. – Ostatecznie wykorzystujemy zaledwie niewielką część naszego mózgu. Reszta jest niezbadana. Życzę wam dużo szczęścia i nie zapomnijcie podziękować, komu trzeba. – Poklepała Piotra po ramieniu i zniknęła w gabinecie, z którego niedawno wyszliśmy.

– Komu? – spytałam nieprzytomnie.

– Wiem komu. Chodź – odpowiedział i wziął mnie za rękę.

Zjechaliśmy windą na niski parter. Usiedliśmy pomiędzy garstką ludzi w przyszpitalnej kaplicy. Piotr w skupieniu pochylił głowę. A więc i on, podobnie jak moja matka, tylko dyskretniej, w ukryciu, prosił o pomoc kogoś, kto dla mnie był tylko złudzeniem. I teraz Mu dziękował. Sama ani razu, nawet w najgorszych momentach, nie próbowałam się modlić. Nawet wtedy, w tamtym śnie z siostrą Bernadettą, odwracałam głowę od krzyża.

Czy to możliwe, by mój mózg, balansujący na krawędzi obłądu, przeniósł mnie na chwilę do innego wymiaru, bym przeżyła to swoiste *déjà vu*? A może wszystko wydarzyło się właśnie po to? Może była to tylko gra skojarzeń albo jakiś znak, który jeszcze nie do końca rozumiałam, ale czułam, że to, co wtedy przeżyłam, gdzieś się wydarzyło i miało jakiś sens.

Ubrana w powiewną, lazurową sukienkę, mój prezent urodzinowy od Piotra, którą nie wiem kiedy zdążył kupić, z naręczem kwiatów, wyszłam wreszcie ze szpitala. Był cudowny, słoneczny dzień. Taki wymarzony, z przejrzystym powietrzem i niezachwianym błękitem nieba. Piotr zaprosił mnie do restauracji na uroczysty obiad. Nadal o nic nie pytał. Nie naciskał, tylko cieszył się wraz ze mną, że tak to się skończyło. Po obiedzie pojechaliśmy jeszcze nad zalew, obojgu nam po tych trudnych dniach potrzebne były endorfiny. Słoneczny dzień sprawił, że plaża zapełniła się spacerowiczami. Usiedliśmy na ciepłym piasku.

– Teraz możemy porozmawiać – odezwał się Piotr. – Oczywiście jeśli czujesz się na siłach po szpitalu, bo może wolisz odpocząć.

– Jestem przecież zdrowa. – Poglądziłam go po policzku, szorstkim od kilkudniowego zarostu. Nie miał czasu, aby się ogolić, a znalazł czas, żeby kupić mi sukienkę. Nie tylko prezentem mnie ujął, ale tym, że jak zwykle myślał przede wszystkim o mnie. – Dziękuję za tę sukienkę, jest naprawdę śliczna. – Pocałowałam go w usta.

– Ty w niej jesteś śliczna, wybacz, że tak skromnie, ale nic innego nie zdążyłem kupić, jak wyszedłem z Irkiem – odparł, obejmując mnie ramionami. Siedziałam jak w fotelu między ugiętymi nogami Piotra, zapatrzona w migoczącą od słońca wodę.

– Piotr...

– Słucham?

– Dziękuję, że przez cały ten czas przy mnie byłeś. – Odwróciłam się do niego. – Naprawdę jesteś moim aniołem stróżem.

– Przecież ci obiecałem, że będę. – Oparł brodę na mojej głowie. – Staram się dotrzymywać słowa.

– Teraz wiem. Chciałam cię przeprosić...

– Nie przepraszaaj – przerwał i czułym gestem założył mi włosy za ucho. – Już mnie nie potrzebujesz, Haniu.

– Co ty mówisz? – spytałam zaskoczona. Coś niepokojącego było w jego głosie, oczach, twarzy. Zdjął mnie dziwny lęk.

– Nie ufasz mi. – Piotr patrzył na mnie smutno. – Napisałaś, że nie chcesz być dla mnie ciężarem...

– Napisałam tak – teraz ja mu przerwałam – żeby cię od siebie wtedy uwolnić. Przecież ja nie miałam nic. Jeszcze do dziś myślałam, że umrę na raka. I z takim bagażem miałam ci się zwalać na głowę? – spytałam retorycznie i prawie jednym tchem wyrzuciłam z siebie wszystko, co mną kierowało. Wszystko, o czym myślałam przez ostatni miesiąc. Nawet wizyty Roberta nie pominęłam, może oprócz tego, czym mogła się zakończyć. Tylko to zachowałam dla siebie. Piotr słuchał. Ani razu nie przerwał moich wynurzeń. – Dlatego tak postąpiłam.

– No właśnie – westchnął, kiedy skończyłam. – A nie pomyślałaś, że masz mnie? Ani przez chwilę? Aż tak mi nie ufasz?

– Ufam, tylko... – Zaplątałam się we własnych myślach, które niespodziewanie powróciły do mnie jak bumerang.

Miał rację. Wyrosłam w uczuciowym chłodzie i nie potrafiłam zaufać miłości. Pokochałam z ograniczonym zaufaniem, zostawiając sobie furtkę do odwrotu. A jednak w jakimś sensie jestem emocjonalną kaleką. Gdybym uwierzyła tak do końca w uczucia tego mężczyzny, który teraz wpatrywał się we mnie wyczekująco, nie skazałabym jego i siebie na to, co przeszliśmy przez ten miesiąc.

– Co tylko? – dopytuje się Piotr.

– Chyba nie umiałam w to do końca uwierzyć.

– Właśnie o tym chciałem porozmawiać. Nie wyobrażasz sobie, jak trudny był dla mnie ten czas, kiedy zniknęłaś. Wszystko, o czym przed chwilą powiedziałaś, że tego nie masz, wykształcenie, pracę i tak dalej, możesz zdobyć, bo jesteś mądra, bystra i inteligentna. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jaki masz w sobie potencjał, tylko musisz w to uwierzyć. A ty robisz krok do przodu i trzy do tyłu. Uciekasz, ciągle uciekasz. Nawet od miłości.

– Już nie uciekam. – Ujęłam go za rękę. – Piotr, już nie uciekam. Chcę wszystko zmienić. Zacząć żyć na nowo. Inaczej niż dotąd. Tak, jak zawsze marzyłam. Dostałam od losu drugą szansę i chcę ją wykorzystać.

– Gdyby Irek nie zdążył na czas... – Zaciśnął powieki. – Nie byłoby tej szansy.

– Wiem, ale na szczęście stało się inaczej. Na nasze szczęście.

– Haniu, wiem, że dużo przeszłaś. Teraz i wcześniej. Ja też swoje przeszedłem w życiu. Jednak jestem na tyle starym facetem...

– Wcale nie jesteś stary – przerwałam mu, ale Piotr ciągnął swoją myśl.

– ...że wiem, czego chcę. A chcę, zwłaszcza w miłości, bezgranicznego zaufania. W obie strony. Wszystko albo nic. Inaczej nie potrafię. Chcę, by mój dom był też twoim domem. Kocham cię, jak nigdy nie kochałem żadnej kobiety, ale jeśli nie jesteś na to gotowa albo mnie nie chcesz, to po prostu powiedz. Teraz. Mogę cię odwiedzić, dokąd chcesz. Do Nieba lub do naszego domu albo gdzie tylko powiesz. Czego chcesz, Haniu? – spytał, patrząc na mnie tak, że serce mi się krajało.

– Ciebie, tylko ciebie – odpowiedziałam, dławiąc się łzami. – Chcę tego wszystkiego, co ty, bo bardzo cię kocham. Piotr, naprawdę bardzo cię kocham.

Wsunęłam się w jego ramiona. Piotr objął mnie mocno. Prawie do utraty tchu.

– Nigdy więcej, nigdy więcej mi tego nie rób – szepnął mi do ucha. – Nie znikaj w ten sposób. Mało nie umarłem. Jak coś będzie nie tak, po prostu powiedz. Obiecujesz?

– Obiecuję.

Potrzebna mi była ta rozmowa. Miała w sobie coś oczyszczającego. Dopiero po niej poczułam, że wyrzuciłam z siebie truciznę, i mogłam ze spokojem patrzeć w przyszłość. Nawet jeśli naprawdę będę musiała się nauczyć ufać Piotrowi. Przy nim nie wydawało się to takie trudne.

Długo siedzieliśmy na tej plaży. Słońce zdążyło zmienić położenie na niebie, a my na przemian całowaliśmy się i obejmowaliśmy, a potem śmialiśmy; po prostu byliśmy razem. Powiał lekki wietrzyk. Piotr rozcierał energicznie moje ramiona.

– A swoją drogą, dobrana z nas para. Ty z naczyniakiem, ja z HIV-em – zażartował.

Zrobiło mi się trochę nieswojo. Zupełnie zapomniałam o paskudnym żarcie, który mógł odbić się na dziecku.

– Przepraszam, to było głupie – zaczęłam się tłumaczyć z zażenowaniem – nie wiem, co mnie podkusiło, że tak nazmyślałam.

– A nazmyślałaś, nazmyślałaś. – Pokiwał potakująco głową. – Prawdziwe mistrzostwo świata. Spryciara z ciebie. Jednym kłamstwem odkryłaś prawdę. Elżbieta mnie zwyczajnie wkręcała, nie było żadnej ciąży. Nie wiem, co chciała w ten sposób osiągnąć. Może powinienem to z nią wyjaśnić, ale zupełnie nie miałem do tego głowy. Na dodatek oberwałem od Elżbiety torebką, o tu. – Pokazał palcem na czoło. – Jeszcze mnie boli.

– Teraz już mniej? – spytałam, pocałowawszy wskazane miejsce. Nie powiem, ale wiadomość o oszustwie Elżbiety przyjęłam z prawdziwą ulgą.

– Zdecydowanie mniej. Haniu, mam pytanie.

– Tak?

– Zostaniesz panią Mróz?

– Wiesz, właściwie to nigdy nie chciałam wychodzić za mąż, ale dla ciebie mogę zrobić drugi wyjątek.

– Przytuliłam głowę do jego ramienia. – Tylko najpierw muszę przestać być panią Masłowicz. Zresztą chyba już zyskałam status twojej żony. Sam tak powiedziałeś w szpitalu.

– Otóż to – podchwycił i sięgnął do kieszeni. Wyjął z niej dwie obrączki. Mniejszą włożył mi na palec, większą sobie. – Nie są zbyt piękne, ale tylko takie zdążyłem dziś kupić, jako dodatek do sukienki. Zatem, moja kochana żono, formalnościom prawie stało się zadość. Na papierki rozwodowe i całą resztę możemy poczekać. Dla Niego – wskazał w górę – już jesteś moją żoną. Może twoja mama też jakoś mnie zaakceptuje? Trochę jej się dziś podlizywałem.

– Chytrus – zmarszczyłam nos.

Oglądałam prosty złoty krążek na palcu. Najpiękniejsza obrączka, jaką kiedykolwiek widziałam, w najpiękniejszym dniu, jaki dotąd przeżyłam.

– Kochanie, jakie masz teraz plany? – spytał Piotr.

– Znaleźć pracę, zdać maturę, skończyć studia, zobaczyć Chiny... – Wyginam w wyliczance serdeczny palec z obrączką.

– Pytałem o plany na dziś – przerwał mi rozbawiony – nie o te na całe życie. Zresztą i tak ułożymy je razem, dobrze nam idzie planowa robota, tylko najpierw niech skończą książkę.

– A właśnie, kochanie – podchwyciłam zwrot Piotra. – Będzie tam coś o mnie?

– Nic a nic.

– Uuuuu, dlaczego?

– Bo nasza miłość nie jest na sprzedaż. Będzie o stalkerce. Jak skończę, dam ci przeczytać. A tak na marginesie, podoba mi się, jak tak do mnie mówisz: „kochanie”. Po raz pierwszy tak mnie nazwałaś.

– Mogę nazywać cię tak codziennie.

– Lepiej co drugi dzień, żeby nie spowszedniało! – zaśmiał się. – To co z tymi planami na dziś? Co byś chciała?

– Co bym chciała? – zastanowiłam się głośno. – Kochałeś się kiedyś na plaży?

Piotr popatrzył dookoła na grupki spacerowiczów nad wodą. Po południu było ich więcej, niż kiedy tutaj przyszliśmy. Nawet dzieciaki niedaleko nas grały w piłkę.

– Trochę za dużo ludzi. – Ze świstem wciągnął powietrze. – I te maluchy.

– Przecież wiesz, że lubię ekstremalne wyzwania.

– Aż tak ekstremalne? – wyjąkał zaskoczony.



– Nie aż tak. Wracajmy do domu. Bardzo się za nim stęskniłam.

Po raz pierwszy pomyślałam o mieszkaniu Piotra jako o naszym domu. Każdą cząstką ciała i duszy wierzyłam, że będzie to szczęśliwy dom. Taki jak z moich marzeń i snu, w którym szliśmy po plaży razem z dziewczynką w różowej sukience.

# Podziękowania

Tym razem w pierwszej kolejności kieruję je do lekarzy – wybitnych specjalistów w swoich dziedzinach. To bezcenne, że w nawale zajęć zechcieli jeszcze służyć konsultacjami do powieści obyczajowej.

Panu prof. dr. hab. n. med. Wojciechowi Maksymowiczowi – kierownikowi Kliniki Neurochirurgii Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego w Olsztynie, jednocześnie kierownikowi Katedry Neurologii i Neurochirurgii Wydziału Nauk Medycznych Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, dziękuję za wymyślenie prawdopodobnego przypadku pomyłki w diagnozie bohaterki. Mam nadzieję, że niczego nie pokręciłam, Panie Profesorze, zwłaszcza w terminach medycznych, których Pan mnie uczył. Jeśli tak, to całą winę biorę na siebie, Panu zaś przekazuję najszczerze wyrazy wdzięczności.

Przyznam, że pierwotnie w moim zamyśle finał tej powieści miał być zupełnie inny. Nie tak szczęśliwy. Impuls do zmiany planów dał mi dr n. med. Waldemar Och, ordynator Oddziału Klinicznego Neurochirurgii Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego w Olsztynie. Panie Doktorze, dziękuję nie tylko za pasjonujący wykład z neurochirurgii, ale też za uświadomienie mi potrzeby niesienia w literaturze nadziei i optymizmu.

Równie gorące podziękowania składam Wydawcy. Annie Derengowskiej, szefowej Działu Literatury Polskiej, za wielkie zaufanie, którym wciąż mnie obdarza, pomoc merytoryczną i wsparcie, jakiego mi nie szczędzi. Dziękuję z całego serca, Aniu. Głębokie wyrazy wdzięczności kieruję też do Pani Elżbiety Kwiatkowskiej, Dyrektora Wydawniczej, która z pełnym oddaniem dba o dopięcie wszystkich spraw związanych z ukazaniem się powieści na rynku.

Nie mogę nie wspomnieć w tym miejscu osoby, która ma ogromny wpływ na to, co kryje książka w środku. Z nikim nie rozbieram tak na czynniki pierwsze swoich książek, jak z Ewą Witan, pod której opiekę redakcyjną miałam szczęście trafić. To nie jest tak, że autor coś tam napisze i na tym koniec. Prawdziwa praca nad tekstem zaczyna się właśnie podczas redakcji. Ewuniu kochana, dziękuję Ci za Twoją wnikliwość, pilnowanie czasów, dodawanie napięcia, gdzie trzeba, i ujmowanie go, gdzie za dużo. Jesteś mistrzynią.

@kasiul

# Spis treści

[Hanka](#)

[Piotr](#)

[Hanka](#)

[Piotr](#)

[Hanka](#)

[Piotr](#)

[Hanka](#)

[Piotr](#)

[Hanka](#)

[Piotr](#)

[Hanka](#)

[Piotr](#)

[Hanka](#)

[Piotr](#)

[Hanka](#)

[Piotr](#)

[Hanka](#)

[Piotr](#)

[Hanka](#)

[Piotr](#)

[Hanka](#)

[Podziękowania](#)